

DEAN

KOONTZ

APOKALIPSA
ODDA



CO CZEKA TYCH, KTÓRZY OCIERAJĄ SIĘ O ZŁO W NAJCZYSTSZEJ POSTACI?

O książce

Nadprzyrodzone zdolności Odda Thomasa często ściągają na niego kłopoty, a jego tajemnicza przyjaciółka, Annamaria, nie pomaga mu w trzymaniu się od nich z daleka. Zafascynowany dziewczyną miliarder zaprasza dwójkę młodych ludzi do swojej posiadłości Roseland. Odd stopniowo odkrywa przerażającą prawdę o tym dziwnym miejscu, gdzie najwyraźniej nie obowiązują zwykłe prawa fizyki. Pomaga mu w tym chłopiec, którego ratuje na prośbę ducha zamordowanej kobiety.

Dzięki genialnemu wynalazkowi Nikoli Tesli – maszynie sterującej czasem – mieszkańcy Roseland nie starzeją się i mogą żyć wiecznie. Tyle tylko, że uwolniwszy się od strachu przed śmiercią, stopniowo zatracają człowieczeństwo, uznając się za istoty wyższe i stojące ponad prawem. Bez skrupułów – dla zaspokojenia swoich zachcianek – torturują i mordują niewinnych ludzi. Po odkryciu w podziemiach posiadłości kolekcji ludzkich trofeów Odd zrozumie, że musi położyć temu kres.

DEAN
KOONTZ
APOKALIPSA
ODDA

Z angielskiego przełożyła
DANUTA GÓRSKA



Wydanie elektroniczne

DEAN KOONTZ

Jeden z najpopularniejszych współczesnych autorów amerykańskich, legitymujący się imponującą liczbą 450 milionów sprzedanych egzemplarzy książek. Karierę literacką rozpoczął w wieku 20 lat, startując w konkursie na opowiadanie zorganizowanym przez „Atlantic Monthly”. Po ukończeniu studiów pracował jako nauczyciel, jednocześnie sporo publikował, głównie science fiction i horrory. Należy do pisarzy niezwykle płodnych: jego dorobek to kilkadziesiąt powieści oraz liczne opowiadania wydane pod własnym nazwiskiem i paroma pseudonimami. Do najpopularniejszych powieści Koontza należą: **Opiekunowie**, **Intensywność**, **Przepowiednia**, **Odd Thomas**, **Dobry zabójca**, **Prędkość**, **Mąż**, **Recenzja**, **Bez tchu**, **Co wie noc**, **Dom śmierci**, **Apokalipsa Odda**. Wiele z nich zostało przeniesionych na ekran telewizyjny lub kinowy.

www.deankoontz.com

Tego autora

TRZYNASTU APOSTOŁÓW
APOKALIPSA
PRZEPOWIEDNIA
PRĘDKOŚĆ
INWAZJA
INTENSYWNOŚĆ
NIEZNAJOMI
MĄŻ
OCALONA
NIEZNISZCZALNY
DOBRY ZABÓJCA
PÓŁNOC
OSZUKAĆ STRACH
OCZY CIEMNOŚCI
ANIOŁ STRÓŻ
TWOJE SERCE NALEŻY DO MNIE
MASKA
MROczne POPOŁUDNIE
ZŁE MIEJSCE
SMOCZE ŁZY
RECENZJA
OPIEKUNOWIE
BEZ TCHU
DOM ŚMIERCI
CO WIE NOC
W MROKU NOCY
NIEWINNOŚĆ
KĄTEM OKA
W ŚWIEtle KSIĘŻYCA
KLUCZ DO PÓŁNOCY

Odd Thomas
ODD THOMAS
DAR WIDZENIA
BRACISZEK ODD
KILKA GODZIN PRZED ŚWITEM
APOKALIPSA ODDA

Tytuł oryginału:
ODD APOCALYPSE

Copyright © Dean Koontz 2012
All rights reserved

Published by arrangement with Prava i Prevodi and Lennart Sane Agency AB

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Danuta Górka 2014

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Zdjęcie na okładce: © David et Myrtille/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-081-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie

w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: [88em](#)

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[Przypisy](#)

*Dla Jeffa Zaleskiego,
z wdzięcznością za jego przenikliwość i prawość*

Od lat najmłodszych, lat dziecinnych
Życ ani patrzeć tak jak inni
Nie mogłem.

Edgar Allan Poe *Od lat najmłodszych*[1](#)

Drugiego dnia mojego pobytu w Roseland, przed zachodem słońca, kiedy szedłem przez ogromny trawnik pomiędzy głównym domem a zagajnikiem eukaliptusów, nagle zatrzymałem się i odwróciłem, ostrzeżony przez instynkt. W moją stronę pędził ogromny czarny ogier — największy koń, jakiego dotąd widziałem. Wcześniej przeglądałem książkę z rasami koni i wiedziałem, że to koń rasy fryzyjskiej. Na koniu jechała blondynka w białej koszuli nocnej.

Bezgłośnie jak każdy duch kobieta popędzała wierzchowca, szybciej. Wałąc kopytami, które nie wydawały żadnego dźwięku, ogier przegalopował przeze mnie... i nic się nie stało.

Mam pewne zdolności. Jestem całkiem niezłym kucharzem, specjalistą od szybkich dań, a oprócz tego miewam prorocze sny. Na jawie zaś czasami widuję duchy zmarłych, którzy z rozmaitych powodów zwlekają z przejściem na Drugą Stronę.

Ten dawno nieżyjący koń i amazonka, teraz jedynie zjawy w naszym świecie, wiedzieli, że tylko ja mogę ich zobaczyć. Pokazawszy mi się dwukrotnie poprzedniego dnia i raz tego ranka, ale z daleka, kobieta najwyraźniej postanowiła bardziej agresywnie zwrócić moją uwagę.

Koń i amazonka objechali mnie szerokim łukiem. Obracałem się, śledząc ich wzrokiem, a oni znowu przycwałowali do mnie i tym razem się zatrzymali. Ogier stanął dęba, bezdźwięcznie przebierając w powietrzu przednimi kopytami, rozdymając nozdrza i przewracając oczami — tak potężny, że cofnąłem się przed nim, chociaż wiedziałem, że jest niematerialny jak sen.

Duchy są dla mnie namacalne i ciepłe w dotyku, równie realne jak ktoś żywy. Same jednak nie mogą mnie dotknąć, ani żeby potargać mi włosy, ani żeby zadać śmiertelny cios.

Ponieważ szósty zmysł komplikuje mi życie, pod innymi względami staram się żyć prosto. Mam mniej dobytku niż mnich. Nie robię kariery kucharza ani żadnej innej, bo brak mi na to czasu i spokoju. Nie planuję przyszłości, tylko wkraczam w nią z uśmiechem na ustach, nadzieją w sercu i zjezonymi włosami na karku.

Bosonoga piękność jadąca na oklep na fryzie miała na sobie białą jedwabną koszulę nocną, ozdobioną białą koronką i krętymi czerwonymi wstążkami krwi na jedwabiu i w długich blond włosach, chociaż nie widziałem żadnych ran. Koszula zadarła się aż na uda, kolana ścisnęły wznoszące się i opadające boki ogiera. Lewą dłonią amazonka wczepiła się w końską grzywę, jakby nawet po

śmierci musiała mocno się trzymać wierzchowca, żeby ich dusze się nie rozłączyły.

Gdyby odtrącenie daru nie oznaczało niewdzięczności, natychmiast zrezygnowałbym ze swoich nadprzyrodzonych wizji. Z radością po całych dniach smażyłbym omlety, które wywołują jęk rozkoszy, i naleśniki tak puszyste, że najłżejszy powiew może je zdmuchnąć z talerza.

Jednak otrzymujemy swoje talenty niezasłużenie i naszym psim obowiązkiem jest wykorzystać je najpełniej i najmądrzej, jak to możliwe. Gdybym nie wierzył w cudowny charakter mojego talentu i święty obowiązek obdarowanego, do tej pory dostałbym takiego świra, że kwalifikowałbym się na wiele wysokich stanowisk w rządzie.

Ogier tańczył na tylnych nogach, a kobieta wyciągnęła prawą rękę i pokazała na mnie, jakby próbowała powiedzieć, że wie, iż ją widzę, i chce mi przekazać wiadomość. Na jej ślicznej twarzy malowała się ponura determinacja, oczy błękitne jak kwiaty kukurydzy nie błyszczały życiem, lecz cierpieniem.

Zsiadła, ale nie zeskokczyła, tylko niemal spłynęła z końskiego grzbietu, i zbliżyła się do mnie, sunąc po trawie. Krew znikła z jej włosów i nocnej koszuli. Kobieta wyglądała teraz jak za życia, zanim odniosła śmiertelne rany, jakby się obawiała, że odstręczy mnie widok posoki. Poczulem jej dotyk, kiedy przyłożyła mi rękę do twarzy, jakby trudniej było jej — duchowi — uwierzyć we mnie, niż mnie uwierzyć w nią.

Za kobietą słońce wtapiało się w odległe morze. Na niebie jaśniało kilka obłoków, niczym flota starożytnych okrętów wojennych o płonących masztach i żaglach.

Widząc, że cierpienie na twarzy kobiety ustępuje nieśmiałej nadziei, powiedziałem:

— Tak, widzę cię. I jeśli mi pozwolisz, pomogę ci przejść na Drugą Stronę.

Gwałtownie pokręciła głową i cofnęła się o krok, jakby się przestraszyła, że dotykem czy zaklęciem odeślę ją z tego świata. Ale nie mam takiej mocy.

Zdawało mi się, że rozumiem powód jej reakcji.

— Zostałaś zamordowana i zanim odejdziesz, chcesz dopilnować, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Przytaknęła, ale potem znowu pokręciła głową, jakby mówiła: „Tak, ale to nie wszystko”.

Znając zmarłych lepiej, niżbym sobie życzył, mogę wam powiedzieć na podstawie sporego osobistego doświadczenia, że duchy nie mówią. Nie wiem dlaczego. Nawet duchy brutalnie zamordowanych, które rozpaczliwie pragną zobaczyć swoich zabójców na ławie oskarżonych, nie potrafią mi przekazać istotnych informacji ani bezpośrednio, ani przez telefon. I nie mogą wysyłać esemesów. Może dlatego, że przy okazji mogłyby ujawnić jakieś fakty dotyczące śmierci i zaświatów, których my, żywi, nie powinniśmy poznać.

W każdym razie zmarli bywają jeszcze bardziej męczący niż żywi, co jest zadziwiające, biorąc pod uwagę, że to żywi kierują Wydziałem Ruchu Drogowego.

Nie rzucając cienia, fryzjczyk stał z uniesioną głową w ostatnich blaskach tonącego słońca, dumny niczym patriota dzierżący umiłowaną flagę. Ale jedyną flagą były złote włosy jego pani. Nie skubał tutaj trawy, zachowując apetyt na Pola Elizejskie.

Blondynka znowu podeszła bliżej. Wpatrywała się we mnie tak intensywnie, że czułem jej desperację. Zrobiła z ramion kołyskę i zakołysała kilka razy.

— Dziecko? — zapytałem.

„Tak”.

— Twoje dziecko?

Przytaknęła, a potem zaprzeczyła.

Ze zmarszczonymi brwiami, przygryzając dolną wargę, zawahała się, a potem wyciągnęła rękę wnętrzem dłoni do dołu, jakieś metr trzydzieści nad ziemią.

Wprawiony w szaradach duchów, odgadłem, że kobieta pokazuje obecny wzrost dziecka, które niegdyś urodziła, teraz dziewięć- lub dziesięcioletniego.

— Już nie jest niemowlęciem. Twoje dziecko.

Przytaknęła z zapalem.

— Czy ono wciąż żyje?

„Tak”.

— Tutaj, w Roseland?

„Tak, tak, tak”.

Na zachodzie starożytne okręty zbudowane z chmur wypalały się od płomiennego oranżu do krwawej czerwieni, a niebo powoli ciemniało do barwy fioletu.

Zapytałem, czy jej dziecko to chłopiec czy dziewczynka, a ona wskazała na pierwsze.

Chociaż nie wiedziałem o żadnych dzieciach w tej posiadłości, widziałem cierpienie malujące się na jej twarzy, więc zadałem najbardziej oczywiste pytanie:

— I twój syn... co? Ma kłopoty?

„Tak, tak, tak”.

Daleko na wschód od głównego domu, ukryty za kępą wiecznie zielonych dębów, znajdował się padok zarosnięty chwastami. Otaczał go na w pół rozwalony drewniany płot.

Stajnie natomiast wyglądały tak, jakby je zbudowano w zeszłym tygodniu. Co dziwne, wszystkie boksy były nieskazitelne: nigdzie ani żdźbła słomy, ani odrobiny kurzu czy pajęczyny, jakby je regularnie szorowano. Ta niezwykła schludność i zapach — czysty i świeży niczym zimowy dzień po śnieżycy — świadczyły wyraźnie, że od wielu lat nie trzymano tam koni; widocznie kobieta w bieli nie żyła od dawna.

Zatem jakim cudem jej dziecko miało dopiero dziewięć czy dziesięć lat?

Dla niektórych duchów dłuższy kontakt jest wyczerpujący i po takim wysiłku unikają na wiele godzin albo dni, zanim odzyskają zdolność manifestacji. Ta kobieta wydawała się obdarzona silną wolą, podtrzymującą jej obecność. Nagle jednak, kiedy powietrze zadrżało i dziwne kwaśno-żółte światło zalało ziemię, zniknęła razem z ogierem — pewnie zabitym w tym samym wypadku, w którym straciła życie jego pani. Nie rozwiali się ani nie rozplynęli stopniowo, poczynając od krawędzi, jak niektóre inne zagubione duchy, tylko zniknęli w ułamku sekundy, kiedy światło się zmieniło.

Dokładnie w chwili, gdy czerwony zmierzch stał się żółty, z zachodu nadleciał wiatr, smagnał zagajnik eukaliptusów daleko za moimi plecami, zaszeleścił w liściach kalifornijskich dębów na południu i zdmuchnął mi włosy na oczy.

Spojrzałem na niebo, gdzie słońce jeszcze nie zaszło, jakby jakiś niebiański chronometrażysta cofnął o kilka minut kosmiczny zegar.

Potem stało się coś jeszcze bardziej niemożliwego. Niebo, żółte od horyzontu po horyzont, bez jednej chmurki, przecinały smugi, które wyglądały jak rzeki dymu albo sadzy płynące na wysokościach. Szare, nakrapiane czernią, pędzące z ogromną szybkością. Rozszerzały się, zwężały, zapętały, niekiedy się zlewały, ale potem znowu rozdzielały.

Nie miałem pojęcia, czym są te rzeki, jednak ich widok uderzył w mroczną strunę mojej intuicji. Podejrzałem, że wysoko nade mną przesuwały się tumany sadzy, popiołu i drobnych szczątków, które niegdyś były miastami, metropolie rozpylone przez eksplozje o bezprecedensowej sile i liczebności, potem wyrzygane wysoko w atmosferę, pochwycone i zatrzymane na orbicie przez prąd strumieniowy, przez wiele prądów strumieniowych w odmienionej wojną troposferze.

Wizje na jawie zdarzają mi się jeszcze rzadziej niż prorocze sny. Doświadczając ich, zdaje sobie sprawę, że to wszystko dzieje się tylko w moim umyśle. Jednak ten spektakl wiatru, złowieszczygo światła i koszmarnych wzorów na niebie nie był wizją. Był równie prawdziwy jak kopniak w pachwinę.

Serce mi waliło, zaciśnięte jak pięść. Po żółtym sklepieniu przemknęło stado stworów, jakich nigdy jeszcze nie widziałem w locie. Nie potrafiłem rozpoznać ich prawdziwej natury. Były większe od orłów, ale bardziej przypominały nietoperze, setkami nadlatujące z północnego zachodu, opadające coraz niżej, w miarę jak się zbliżały. Moje serce załomotało jeszcze mocniej i miałem wrażenie, że rozum też puka, żebym go wypuścił i otworzył się na całe szaleństwo tej sceny.

Zapewniam, że nie jestem szalony w żadnym sensie, ani jak seryjny morderca, ani jak człowiek, który nosi na głowie durszlak zamiast kapelusza, żeby CIA nie mogło kontrolować jego myśli. W ogóle nie lubię kapeluszy, chociaż nie mam nic przeciwko odpowiednio używanym durszlakom.

Zabijałem więcej niż raz, ale zawsze w samoobronie albo w obronie niewinnych. Takich zabójstw nie można nazwać morderstwami. Jeśli uważacie, że to morderstwa, zazdrościcie wam bezpiecznego życia.

Nieuzbrojony i sam jeden w obliczu nadciągającej chmury stworów, nie wiedząc, czy zamierzają mnie rozszarpać, czy obojętnie minąć, nie miałem złudzeń co do możliwości samoobrony. Odwróciłem się i zbiegłem po długim zboczu w stronę eukaliptusowego gaju, osłaniającego domek gościnny, gdzie mieszkałem.

Chociaż zagrożenie wydawało się niemożliwe, nie wahałem się ani przez chwilę. Dwa miesiące temu skończyłem dwadzieścia jeden lat, praktycznie przez całe życie kisiłem się w niemożliwościach i wiedziałem, że prawdziwa natura świata jest dziwniejsza niż najbardziej osobliwa tkanina, jaką umysł zdolny jest utkać z wątku i osnowy wyobraźni.

Biegąc na wschód, spocony zarówno z wysiłku, jak i ze strachu, usłyszałem za plecami przenikliwe wrzaski stada, a potem łopot skórzastych skrzydeł. Odważyłem się obejrzeć i zobaczyłem, jak kołują na porywistym wietrze, z żółtymi oczami tej samej barwy co ohydne niebo. Wszystkie kierowały się do mnie, jakby ich pan i władca obiecał, że uczyni mroczniejszą wersję cudu z chlebem i rybami i rozmnoży mnie w posiłek wystarczający dla tych legionów.

Powietrze znówu zadrżało, żółte światło zostało zastąpione przez czerwone. Potknąłem się, upadłem i przetoczyłem się na plecy. Podnosząc ręce w obronie przed wygłodniałą hordą, ujrzałem nad sobą znajome niebo, puste oprócz paru morskich ptaków w oddali.

Wróciłem do Roseland, gdzie słońce już zaszło, niebo przybrało fioletową barwę, a płonące wcześniej napowietrzne galeony wypaliły się do posępnej czerwieni.

Łapiąc z trudem oddech, podniosłem się i patrzyłem przez chwilę, jak niebiańskie morze robi się czarne i resztki żaru z okrętów-chmur dogasają wśród wschodzących gwiazd.

Chociaż nie lękałem się nocy, rozważa nakazywała stąd odejść. Ruszyłem więc w stronę eukaliptusowego gaju.

Przemienione niebo i skrzydlata groźba, a także duchy kobiety i konia dały mi do myślenia. Zważywszy na niezwykły charakter mojej egzystencji, nie muszę się obawiać, że w sferze pokarmu dla rozmyślań kiedykolwiek zagrozi mi głód.

Po wizji kobiety na koniu i żółtego nieba nie sądziłem, że zasnę tej nocy. Leżałem przy świetle małej lampki, a moje myśli krążyły po ścieżkach grozy.

Nasze narodziny to nasz pogrzeb. Świat jest pełen grobów, zajętych i potencjalnych. Życie to krótka chwila oczekiwania na spotkanie z przedsiębiorcą pogrzebowym.

Chociaż to udowodniona prawda, nie zobaczysz tych słów na kubkach Starbucks, podobnie jak ostrzeżenia KAWA ZABIJA.

Jeszcze przed przyjazdem do Roseland byłem w tym szczególnym stanie ducha. Wiedziałem, że wkrótce nastrój mi się poprawi. Jak zawsze. Bez względu na wszelkie okropieństwa, jakie mnie spotykają, wystarczy dać mi trochę czasu i niezawodnie poszybuję w górę jak balon wypełniony helem.

Nie znam przyczyny tej pogody ducha. Zrozumienie tego może być kluczowym elementem mojej życiowej misji. Zapewne kiedy wreszcie odkryję, dlaczego potrafię znaleźć humor w najczarniejszych mrokach, przedsiębiorca pogrzebowy wywoła mój numer i przyjdzie pora wybierać trumnę.

Właściwie nie spodziewam się, że będę miał trumnę. Niebiańskie Biuro Dróg Życiowych — czy jakkolwiek się nazywa — zdecydowało najwyraźniej, że moją podróż po tym świecie ogromnie skomplikują absurdy i akty przemocy, jakimi tak się szczyci rodzaj ludzki. W konsekwencji pewnie zostaną rozdarty na strzępy przez rozwścieżoną tłuszcę antywojennych demonstrantów i wrzucony do ogniska. Albo przejeżdżenie mnie rolls-royce adwokata broniącego biednych.

Przekonany, że nie zmrużę oka, zasnąłem.

O czwartej nad ranem tego lutowego dnia spałem głęboko, pogrążony w niepokojących snach o Oświećmiu.

Typowa dla mnie pogoda ducha jeszcze się nie ujawniła.

Obudził mnie znajomy krzyk, wpadający przez uchylone okno mojego apartamentu w domku gościnnym. Srebrzysty niczym piszczałki w celtyckiej pieśni lament wszywał w noc i las nitki smutku i tęsknoty. Rozległ się ponownie bliżej, a potem po raz trzeci w oddali.

Te lamentacje trwały krótko, ale przez ostatnie dwa dni budziły mnie nad ranem i nie mogłem już zasnąć. Krzyk wdierał się do krwi, przebiegał przez wszystkie żyły i arterie niczym prąd elektryczny. Brzmiała w nim samotność tak wielka, jakiej dotąd nie znałem, i napełniał mnie niewytłumaczoną zgrozą.

Ocknąłem się ze snu o nazistowskim obozie śmierci, w którym byłem Żydem przerażonym, że umrze dwa razy. W ogóle nie jestem Żydem, a podwójna śmierć miała sens we śnie, ale nie na jawie. Upiorny zew nocy natychmiast przekuł bańkę snu i wyraziście wizję się rozwiały.

Według obecnego właściciela Roseland i wszystkich, którzy u niego pracowali, te niepokojące krzyki wydawał nur. Albo nie mieli o niczym pojęcia, albo kłamali.

Nie chciałem obrazić mojego gospodarza ani jego personelu. W końcu ja też nie mam pojęcia o wielu rzeczach, ponieważ nie mogę sobie pozwolić na dalszą edukację. Coraz więcej osób koniecznie chce mnie zabić, więc muszę się skoncentrować raczej na zachowaniu życia.

Ale nawet na pustyni, gdzie się urodziłem i wychowałem, są stawy i jeziora stworzone ręką ludzką i żyją tam nury. Głosy tych ptaków są melancholijne, ale nie takie posępne jak głos, który mnie obudził, przepełnione dziwną nadzieją, nie rozpaczą.

Prywatna posiadłość Roseland leży półtora kilometra od kalifornijskiego wybrzeża. Ale nury to nury, gdziekolwiek się gnieźdzą, nie zmieniają głosów, żeby się dostosować do krajobrazu. To ptaki, nie politycy.

Poza tym nury to nie koguty piejące o stałej porze. A to zawodzenie rozlegało się zawsze pomiędzy północą a świtem, długo przed wschodem słońca. I zdawało mi się, że im wcześniej się odzywało każdego nowego dnia, tym częściej się powtarzało w pozostałych do świtu godzinach ciemności.

Odrzuciłem kołdrę, usiadłem na brzegu łóżka i powiedziałem:

— Oszczędź mnie, żebym mógł służyć.

Tej porannej modlitwy nauczyła mnie moja babcia Sugars, kiedy byłem małym chłopcem.

Pearl Sugars była zawodową pokerzystką i często siadała do gry z rekinami kart dwukrotnie większymi od niej, facetami, którzy nie przegrywali z uśmiechem. Nie uśmiechali się nawet wtedy, kiedy wygrywali. Babcia lubiła wypić. Zjadła beczkę wieprzowego tłuszczu w różnych postaciach. Na trzeźwo prowadziła tak szybko, że policja w kilku stanach Południowego Zachodu nazywała ją Pearl Gaz-Do-Dechy. Jednak żyła długo i zmarła we śnie.

Miałem nadzieję, że jej modlitwa pomoże również mnie; ostatnio jednak zacząłem dodawać jeszcze jedną prośbę. Tego ranka brzmiała:

— Proszę, nie pozwól nikomu mnie zabić przez wepchnięcie rozwścieczonej jaszczurki do gardła.

Prosić Boga o coś takiego wydaje się aroganckie, jednak pewnego razu ogromny psychopata zagroził, że nakarmi mnie na siłę egzotyczną jaszczurką o ostrych zębach, która dostała szału, ponieważ nafaszerowano ją metamfetaminą. Udałoby mu się to, gdybyśmy nie byli wtedy na placu budowy i gdybym nie wykorzystał jako broni aplikatora do pianki izolacyjnej. Obiecał, że mnie wytropi, kiedy wyjdzie z więzienia, i dokończy dzieła z następną jaszczurką.

Ostatnio proszę też Boga, żeby oszczędził mi śmierci w zgniatarce samochodów na złomowisku, śmierci od strzału z pistoletu do wstrzeliwania kołków, śmierci przez przykucie łańcuchem do trupów i wrzucenie do jeziora... W przeszłości cudem przeżyłem te wszystkie rzeczy, obawiam się jednak, że jeśli znowu stanę w obliczu takiego zagrożenia, nie będę miał tyle szczęścia, żeby powtórnie uniknąć tego samego losu.

Nie nazywam się Szczęściarz Thomas. Nazywam się Odd Thomas.

Odd, czyli dziwny. I naprawdę jestem dziwny.

Moja piękna, lecz psychotyczna matka twierdzi, że na metryce urodzenia miało figurować imię Todd. Natomiast mój ojciec, który ugania się za nastolatkami i handluje nieruchomościami na Księżycu — chociaż z wygodnego biura tu na Ziemi — czasami mówi, że umyślnie nazwał mnie Odd.

W tej kwestii skłonny jestem bardziej wierzyć ojcu. Chociaż jeśli nie kłamie, byłaby to jedyna prawdziwa rzecz, którą kiedykolwiek mi powiedział.

Ponieważ wziąłem prysznic przed snem, teraz od razu się ubrałem, żeby być gotowym na... cokolwiek.

Z dnia na dzień Roseland coraz bardziej przypominało pułapkę. Wyczuwałem ukryte mechanizmy, które mogłem uruchomić jednym fałszywym stąpnięciem i zwalić sobie na głowę miażdżący ciężar.

Chciałem stąd wyjechać, ale musiałem wypełnić obietnicę, zobowiązanie wobec Damy Dzwonka. Przyjechała razem ze mną z Magic Beach, miasteczka leżącego dalej na północ na wybrzeżu, gdzie o mało mnie nie zabito na wiele sposobów.

Obowiązek nie musi głośno wzywać; wystarczy szept. A jeśli posłuchasz tego wezwania, cokolwiek się stanie, nie musisz niczego żałować.

Stormy Llewellyn, którą kochałem i straciłem, wierzyła, że ten rozdarty konfliktami świat to tylko obóz treningowy, przygotowujący do wielkiej przygody, która nas czeka pomiędzy pierwszym życiem a życiem wiecznym. Mówiła, że błądzimy jedynie wtedy, gdy jesteśmy głusi na głos obowiązku.

Wszyscy odnosimy rany w świecie, który jest strefą wojenną. Wszystko, co kochamy, zostanie nam odebrane, naprawdę wszystko, a na końcu samo życie.

A jednak wszędzie, gdzie spojrzę, widzę na tym polu bitwy piękno, widzę łaskę i obietnicę szczęścia.

Kamienna wieża w eukaliptusowym gaju, w której obecnie mieszkałem, wyróżniała się surowym pięknem, częściowo przez kontrast pomiędzy jej dostojnym masywem a delikatnymi srebrzystozielonymi listkami, opadającymi kaskadami z gałęzi dookołnych drzew.

Zbudowana na planie kwadratu o boku długości dziewięciu metrów, miała osiemnaście metrów wysokości, jeśli liczyć kopułę z brązu, ale nie niezwykły kwiaton, który przypominał bardzo powiększony wałek naciągowy, koronkę i bigiel starego kieszonkowego zegarka.

Wieżę nazywano domkiem gościnnym, ale z pewnością nie zawsze służyła do tych celów. Wąskie okna kwaterowe otwierały się do środka, ponieważ od zewnątrz zabezpieczały je pionowe żelazne pręty.

Zakratowane okna sugerowały, że w przeszłości wieża była fortecą lub więzieniem. W każdym z tych przypadków musiał istnieć jakiś wróg.

Drewniane, okute żelazem drzwi wyglądały tak, jakby mogły się oprzeć uderzeniom tarana czy nawet kulom armatnim. Za nimi znajdował się przedsionek o kamiennych ścianach. Stamtąd schody po lewej stronie prowadziły do apartamentu na piętrze. Mieszkała tam Annamaria, Dama Dzwonka.

Wewnętrzne drzwi przedsionka, dokładnie naprzeciwko zewnętrznych, otwierały się na parterowe mieszkanie, gdzie zakwaterował mnie obecny właściciel Roseland, Noah Wolflaw.

Moje mieszkanie składało się z wygodnego pokoju dziennego i mniejszej sypialni, jedno i drugie wyłożone mahoniową boazerią, oraz łazienki z ozdobnymi kafelkami z lat dwudziestych zeszłego wieku. Urządzono je w stylu Craftsman: ciężkie drewniane fotele z grubymi poduchami, stoły na kozłach z czopowymi złączami i dekoracyjne kołeczki do bielizny.

Nie wiem, czy witrażowe lampy Tiffany'ego były oryginalne, ale nie wykluczałem tego. Zapewne kupiono je w czasach, kiedy nie stanowiły jeszcze muzealnych eksponatów o fantastycznej wartości, i zostały w tej położonej na uboczu wieży po prostu dlatego, że zawsze tu były. Charakterystyczną cechą Roseland była niedbała obojętność na bogactwo, które sobą reprezentowało.

Każdy apartament gościnny wyposażony był w aneks kuchenny ze spiżarnią i lodówką zaopatrzoną w podstawowe produkty. Mogłem gotować proste posiłki albo zamówić coś u szefa kuchni, pana Shilshoma, który spełniłby każdą rozsądną prośbę i przysłałby mi tacę z głównego domu.

O tej porze, ponad godzinę przed świtem, niespecjalnie miałem ochotę na śniadanie. Czuliłem się jak skazaniec, który ostatniego dnia życia próbuje wmusić w siebie jak najwięcej posiłków, zanim otrzyma śmiertelny zastrzyk.

Gospodarz ostrzegł mnie, żebym od zmierzchu do świtu nie wychodził z domu. Twierdził, że ostatnio w okolicy grasuje co najmniej jedna puma. W sąsiednich majątkach zginęły rozszarpane dwa psy, koń oraz pawie trzymane dla ozdoby. Wielki kot mógł się rozzuchwalić na tyle, żeby zaatakować spacerującego po terenie posiadłości gościa, gdyby nadarzyła się sposobność.

Znałem się na pumach wystarczająco, żeby wiedzieć, że polują równie chętnie za dnia, jak w ciemnościach. Podejrzywałem, że ostrzeżenia Noaha Wolflawa miały mnie zniechęcić do prowadzenia śledztwa w sprawie rzekomych nurów oraz innych nocnych osobliwości Roseland.

Przed świtem tego lutowego poniedziałku wyszedłem z gościnnej wieży i zamknąłem za sobą okute drzwi na klucz.

Zarówno Annamara, jak i ja otrzymaliśmy klucze oraz surowe pouczenie, żeby zawsze zamykać drzwi wieży. Kiedy zauważyłem, że puma raczej nie naciśnie klamki i nie otworzy drzwi, nawet niezamkniętych na klucz, pan Wolflaw oświadczył, że żyjemy w początkach nowego mrocznego wieku, że mury i strażnicy nie zapewniają już bezpieczeństwa rezydentom bogaczy oraz że „zuchwali złodzieje, gwałciciele, dziennikarze, krwiożerczy rewolucjoniści i jeszcze gorsi” mogą się pojawić wszędzie.

Nie odwracał wzroku, kiedy to mówił, i dym nie buchał mu z uszu, chociaż posępny wyraz jego twarzy i złowieszczy ton głosu sprawiały teatralne wrażenie. Myślałem, że żartuje, dopóki nie spojrzałem mu w oczy i nie dostrzegłem tam paranoi jeszcze większej niż u trzynogiego kota otoczonego przez wilki.

Nie wiedziałem, czy jego paranoja jest usprawiedliwiona, ale podejrzewałem, że nie obawiał się ani złodziei, ani gwałcicieli, ani dziennikarzy, ani rewolucjonistów. Przerazali go wyłącznie ci „jeszcze gorsi”.

Wyszedszy z wieży, ruszyłem wyłożoną kamieniami ścieżką przez wonny gaj eukaliptusowy i dotarłem do podnóża łagodnej pochyłości, prowadzącej do głównego domu. Przede mną rozciągał się wypielegnowany trawnik, miękki jak dywan.

Na dzikich ugorach otaczających posiadłość, gdzie buszowałem w poprzednich dniach, spośród bujnych traw wyłaniały się majestatyczne kalifornijskie zimozielone dęby tworzące tajemniczy, lecz harmonijny wzór.

Nie znałem miejsca piękniejszego od Roseland, ale też w żadnym innym miejscu nie wyczuwałem tyle zła.

Niektórzy powiedzą, że miejsce to miejsce, nie może być ani dobre, ani złe. Inni znowu stwierdzą, że zło jako realna siła albo istota to beznadziejnie staroświecka koncepcja, że podłe czyny mężczyzn i kobiet dają się wytłumaczyć taką czy inną teorią psychologiczną.

Nigdy nie słucham takich opinii. Gdybym ich słuchał, już bym nie żył.

Bez względu na pogodę każdego dnia zdawało się, że nad Roseland świeci inne słońce niż to, które oświetla resztę świata. Tutaj znane rzeczy czy zjawiska wywoływały wrażenie obcości i nawet najbardziej solidne, dobrze widoczne przedmioty miały w sobie coś ulotnego.

Wędrując piechotą przez noc, czułem, że nie jestem sam. Ktoś mnie śledził, obserwował.

Przy innych okazjach zdarzało mi się słyszeć szelest, którego nie wywołało nieruchome powietrze, wymamrotane niezrozumiałe słowa, pospieszne kroki. Mój prześladowca, jeśli istniał, zawsze krył się w cieniu albo w zaroślach, albo wyglądał zza rogu.

Podziwienie zabójstwa kazało mi krążyć nocą po Roseland. Kobieta na koniu była chjąszą ofiarą, nawiedzała posiadłość, szukając sprawiedliwości dla siebie i swojego syna.

Roseland zajmowało dwadzieścia jeden hektarów w Montecito, zamożnym osiedlu sąsiadującym z Santa Barbara, które samo w sobie tak się różni od slumsów, jak hotel Ritz-Carlton od motelu Batesa z *Psychozy*.

Oryginalny dom oraz pozostałe budynki zbudował w latach tysiąc dziewięćset dwadzieścia dwa — dwadzieścia trzy magnat prasowy Constantine Cloyce, również współzałożyciel jednego z legendarnych studiów filmowych. Miał rezydencję w Malibu, ale Roseland stanowiło dla niego azyl, kosztowną kryjówkę, gdzie mógł się oddawać takim męskim zajęciom, jak jazda konna, strzelanie do rzutków, polowanie na drobną zwierzynę, całonocna gra w pokera i może też pijackie zawody w waleniu bykiem przeciwnika.

Cloyce był też entuzjastycznym wyznawcą niezwykłych, a nawet dziwacznych teorii głoszonych przez rozmaite wybitne osobistości, począwszy od słynnego medium i jasnowidzki Heleny Pietrowny Bławatskiej, skończywszy na światowej sławy fizyku i wynalazcy Nikoli Tesli.

Krążyły plotki, że Cloyce niegdyś tutaj, w Roseland, finansował tajne badania nad takimi projektami, jak promienie śmierci, nowoczesna alchemia albo telefony, przez które można rozmawiać ze zmarłymi. No, ale niektórzy wierzą również w system emerytalnych ubezpieczeń społecznych.

Stojąc na skraju zagajnika eukaliptusów, przesunąłem wzrok po długim, łagodnym wzniesieniu w stronę głównego domu, gdzie Constantine Cloyce zmarł we śnie w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, w wieku siedemdziesięciu lat. Na dachu krytym rzymską dachówką jaśniały w blasku księżyca plamy fosforyzujących porostów.

W tym samym roku Roseland kupił, razem z kompletnym umeblowaniem, jedyny, zaledwie trzydziestoletni dziedzic ogromnej południowoamerykańskiej fortuny górniczej. Sprzedał je, również umeblowane, czterdzieści lat później. Był odludkiem i niewiele o nim wiadomo.

W tej chwili tylko kilka okien na piętrze płonęło ciepłym światłem. Należały do luksusowej sypialni Noaha Wolflawa, który zbił spory majątek jako założyciel

i zarządca funduszu hedgingowego, cokolwiek to znaczy. Zakładam, że to ma coś wspólnego z Wall Street.

Pięćdziesięcioletni i będący już na emeryturze pan Wolflaw twierdził, że ma uszkodzony ośrodek snu w mózgu. Podobno od dziewięciu lat nie zmrużył oka.

Nie wiedziałem, czy ta ekstremalna bezsenność jest prawdą, czy kłamstwem, czy też zwykłym urojeniem.

Pan Wolflaw kupił tę rezydencję od nietowarzystkiego dziedzica górniczej fortuny. Odnowił i powiększył dom zbudowany w stylu szkoły architektonicznej Addisona Miznera, stanowiący eklektyczną mieszankę wpływów hiszpańskich, mauretańskich, gotyckich, greckich, rzymskich i renesansowych. Szerokie wapienne tarasy otoczone balustradami schodziły w dół do trawników i ogrodów.

O tej porze przed świtem, kiedy przecinałem wymanikiowany trawnik, idąc w stronę domu, kojoty na wzgórzach już nie wylały, bo nażarły się dzikich królików i poszły spać. Po wielu godzinach rehotania żaby się zmęczyły, a świerszcze zostały zjedzone przez żaby. Na krótko cisza i spokój spowiły ten upadły świat.

Zamierzałem wyciągnąć się w fotelu z podnóżkiem na południowym tarasie i zacząć, aż w kuchni zapali się światło. Szef Shilshom zawsze zaczynał pracę przed świtem.

Oba poprzednie poranki zaczynałem razem z szefem kuchni nie tylko dlatego, że robił fantastyczne bułeczki na śniadanie, ale ponieważ liczyłem, że wymknie mu się jakaś wskazówka dotycząca sekretów Roseland. Bronił się przed moją ciekawością, udając odpowiednik roztargnionego profesora w kulinarnym świecie, ale podtrzymywanie tej fikcji wymagało wysiłku, więc prędzej czy później musiał popełnić błąd.

Jako gość miałem swobodny wstęp na parter głównego domu: kuchnia, pokój dzienny, biblioteka, pokój bilardowy i wszystko inne stało przede mną otworem. Pan Wolflaw i jego stały personel uparcie udawali zwyczajnych ludzi, którzy nie mają nic do ukrycia, i przedstawiali Roseland jako uroczy zakątek bez żadnych tajemnic.

Wiedziałem, że to nieprawda, dzięki moim specjalnym zdolnościom, mojej intuicji i znakomitemu wykrywaczowi kłamstw — a teraz również dlatego, że poprzedniego wieczoru na chwilę ujrzałem miejsce położone co najmniej sto przystanków ekspresowej linii tornada za Oz.

Mówiąc, że Roseland jest złe, nie zakładałem z góry, że wszyscy tutaj — czy choćby jeden z nich — również są zli. Domownicy stanowili grupkę zabawnych ekscentryków; ale ekscentryczność najczęściej idzie w parze z cnotą, a przynajmniej brakiem jednoznacznie złych zamiarów.

Diabeł i wszystkie jego demony są nudne i przewidywalne, ponieważ ciągle tylko się buntują przeciwko prawdzie. Zbrodnia jako taka — w przeciwieństwie do rozwiązywania jej zagadki — nudzi wyrafinowane umysły, chociaż nieskończenie fascynuje prostaczków. Jeden film o Hannibalu Lecterze robi wrażenie, kolejny nieuchronnie rozczarowuje. Kochamy seryjnego bohatera, jednak seryjny złoczyńca szybko staje się śmieszny, bo usiłuje nas zaszokować w tak oczywisty sposób. Cnota jest oryginalna, zło powtarzalne.

Roseland miało swoje tajemnice. Jednak istnieje wiele powodów do ukrywania sekretów i tylko nieliczne zasługują na potępienie.

Usadowiłem się w fotelu na patio i czekałem, aż szef Shilshom zapali światło w kuchni. Tymczasem noc przybrała intrygujący obrót. Nie mówię „niespodziewany”, ponieważ nauczyłem się spodziewać prawie wszystkiego.

Na południe od tarasu szeroki łuk schodów wznosił się do kolistej fontanny, flankowanej przez dwumetrowe włoskie renesansowe urny. Za fontanną następne łukowe schody prowadziły do trawiastego zbocza, ujętego w kłamry żywopłotów, wzdłuż których spływały łagodnie opadające kaskady wody i rosły wysokie cyprysy. Zbocze ciągnęło się jakieś sto metrów do następnego tarasu na szczycie wzgórza, gdzie stało bogato zdobione mauzoleum z wapienia, bez okien, o boku długości około dwunastu metrów.

Mauzoleum pochodziło z tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku, z czasów, kiedy prawo nie zabraniało jeszcze grzebania zmarłych na terenach prywatnych posiadłości. W tym pretensjonalnym grobowcu nie spoczywały jednak żadne gnijące zwłoki, tylko w ściennych niszach stały urny z popiołami. Pochowano tam Constantine'a Cloyce'a, jego żonę Madrę oraz ich jedyne dziecko, które zmarło młodo.

Nagle mauzoleum zaczęło świecić, jakby zmieniło się w konstrukcję ze szkła, ogromną lampę oliwną pulsującą złocistym blaskiem. Palmy daktylowe za budynkiem odbijały tę poświatę, ich pierzaste liście wyglądały jak pióropusze fajerwerków.

Z wierzchołków palm zerwało się stado wron, zbyt zaskoczonych, żeby krakać. Bijąc powietrze skrzydłami, wtopiły się w ciemne niebo.

Zaniepokojony, zerwałem się na nogi, co robię zawsze, ilekroć budynki zaczynają świecić z niewyjaśnionych przyczyn.

Nie pamiętam, jak wspiąłem się na pierwszy łuk schodów, okrążyłem fontannę i pokonałem drugi bieg schodów. Niczym za sprawą czarów znalazłem się na długim trawiastym zboczu, w połowie drogi do mauzoleum.

Zwiedziłem już wcześniej ten grobowiec. Wiedziałem, że jest solidny jak skład amunicji.

Teraz wyglądał jak ptaszarnia z dmuchanego szkła, zamieszкана przez niezliczone świetliste wróżki.

Chociaż temu niesamowitemu zjawisku nie towarzyszył żaden dźwięk, docierały do mnie jakby fale ciśnienia, załamywały się na mnie i we mnie, jak gdybym dostał ataku synestezji i odbierał przez skórę głos ciszy.

To właśnie te wstrząsy podziały jak zakłęcie, które ściągnęło mnie z fotela i zaprowadziło po schodach na trawę. Drgania przenikały mnie na wylot, pulsujący wir wprowadzał mnie w jakiś trans. Odkryłem, że znowu idę, wspinam się na wzgórze. Wewnętrzny przymus kazał mi podejść do mauzoleum, jednak przeciwstawiłem się sile, która ciągnęła mnie do przodu. Zatrzymałem się w miejscu.

Fale ciśnienia obmywały mnie, napełniały tęsknotą za czymś, czego nie potrafiłem nazwać, za jakąś wielką nagrodą, którą otrzymałbym, gdybym tylko podszedł do mauzoleum, dopóki przez jego przezroczyste ściany prześwieca ten dziwny blask. Nadal stawałem opór; stopniowo przyciąganie osłabło i światło zaczęło przygasać.

Tuż za mną jakiś mężczyzna powiedział głębokim głosem, z akcentem, którego nie rozpoznałem:

— Widziałem cię...

Odwrociłem się, zaskoczony, ale na trawiastym zboczu pomiędzy mną a bulgoczącą fontanną nie było nikogo.

Za moimi plecami, jeszcze ciszej i tak intymnie, jakby usta, które formowały te słowa, znajdowały się centymetry od mojego lewego ucha, męczyzna ciągnął:

— ...tam, gdzie jeszcze nie byłeś.

Znowu się odwróciłem i znowu nie zobaczyłem nikogo.

Kiedy mauzoleum na szczycie wzgórza przygasło, głos przycichł do szeptu:

— Liczę na ciebie.

Każde kolejne słowo brzmiało coraz słabiej. Potem powróciła cisza i złociste światło wsiąkło w wapienne ściany grobowca.

„Widziałem cię tam, gdzie jeszcze nie byłeś. Liczę na ciebie”.

Ktokolwiek to powiedział, nie był duchem. Widuję duchy zwlekające z odejściem, ale ten człowiek pozostał niewidzialny. Poza tym zmarli nie mówią.

Od czasu do czasu zmarli próbują się komunikować nie tylko poprzez gesty i kiwanie głową, lecz także za pośrednictwem pantomimy, co bywa frustrujące. Jak każdy psychicznie zdrowy obywatel, mam ochotę udusić takiego mima, kiedy zaczyna się produkować, jednak mim, który już nie żyje, nie przejmuje się taką groźbą.

Obracając się dookoła w pozornej samotności, odezwałem się mimo wszystko:

— Halo?

Odpowiedział mi tylko samotny głos świerszcza, który wymknął się żarłocznym żabom.

Wprawdzie kuchnia w głównym domu nie była tak ogromna jak kort tenisowy, jednak każda z dwóch wysp spokojnie wystarczyłaby do gry w ping-ponga.

Blaty były z czarnego granitu albo ze stali nierdzewnej, szafki z mahoniem. Podłogę pokrywały białe kafelki.

Ani jeden detal nie rozweselał tego wnętrza — nie było kolorowych ściereczek, ceramicznych owoców czy nawet słoja z ciasteczkami w kształcie misia.

W ciepłym powietrzu unosił się zapach pieczonych na śniadanie croissantów i chleba naszego powszedniego. Twarz i sylwetka szefa kuchni Shilshoma sugerowały, że wszystkie jego winy mają związek z jedzeniem. Jego drobne stopy w czystych białych tenisówkach wyglądały jak stopy baletnicy przeszczepione do masywnych nóg zapasnika sumo. Monumentalna kolumna torsu wspierała podwójne podbródki, okalające wesołą twarz z bananem uśmiechu, guzikowatym nosem i oczami błękitnymi jak u Świętego Mikołaja.

Usiadłem na stołku przy jednej z wysp. Shilshom zamknął na dwa spusty drzwi, przez które mnie wpuścił. W ciągu dnia drzwi nie zamykano na klucz, ale od zmierzchu do świtu Wolflaw i jego personel stosowali takie środki ostrożności, czego nasz gospodarz żądał również ode mnie i Annamarii.

Z widoczną dumą szef Shilshom postawił przede mną talerzyk, na którym leżał pierwszy pulchny croissant prosto z pieca. Aromaty maślanego ciasta i ciepłego marcepanu wznosiły się niczym ofiara dla boga kulinarnych ekscesów.

Rozkoszując się zapachem i pozwalając sobie na chwilowe odłożenie przyjemności, powiedziałem:

— Jestem tylko chłopakiem od grilla i patelni. Naprawdę podziwiam coś takiego.

— Próbowałem twoich naleśników, twoich smażonych ziemniaków. Umiesz piec równie dobrze jak smażyć.

— Nie ja, proszę pana. Wszystko, czego nie trzeba przewracać łopatką, przekracza moje możliwości.

Pomimo swoich rozmiarów szef kuchni poruszał się z gracją tancerza, a dłonie miał zręczne jak dłonie chirurga. Pod tym względem przypominał mi mojego dwustukilowego przyjaciela i mentora, autora kryminałów Ozziego Boone'a, który mieszkał kilkaset kilometrów stąd, w moim rodzinnym mieście Pico Mundo.

Poza wyglądem okrągły Shilshom niewiele miał wspólnego z Ozziem. Jedyny i niepowtarzalny pan Boone był gadatliwy, znał się na wielu rzeczach i wszystkim się interesował. W pisanie, w jedzenie i w każdą rozmowę Ozzie wkładał tyle

energii, ile David Beckham w piłkę nożną, chociaż nie pocił się tak bardzo jak Beckham.

Natomiast Shilshom wydawał się pasjonować tylko gotowaniem i wypiekami. Podczas pracy rozmawiał ze mną z takim roztargnieniem — prawdziwym lub udawanym — że jego odpowiedzi często nie miały większego związku z moimi pytaniami i komentarzami.

Przyszedłem do kuchni w nadziei, że szef wypluje jakąś perełkę informacji, jakąś cenną wskazówkę dotyczącą Roseland, nawet nie zauważywszy, że rozchyliłem jego skorupę.

Najpierw zjadłem połowę pysznego croissanta, ale tylko połowę. Powstrzymałem się, żeby sobie udowodnić, że pomimo wszechobecnego w moim życiu stresu i zamieszania potrafię zachować dyscyplinę. Potem zjadłem drugą połowę.

Kuchmistrz niezwykle ostrym nożem siekał suszone morele, kiedy wreszcie skończyłem się obliżywać i powiedziałem:

— Tutaj okna nie są zakratowane jak w wieży gościnnej.

— Główny dom przebudowano.

— Więc tu też były kraty?

— Może. Zanim tu nastałem.

— A kiedy przebudowano dom?

— Dawno.

— Jak dawno?

— Hm.

— Jak długo pan tu pracuje?

— Och, całe wieki.

— Ma pan świetną pamięć.

— Hm.

Tyle zdołałem się dowiedzieć o historii zakratowanych okien w Roseland. Shilshom nadal siekał morele z takim skupieniem, jakby rozbrajał bombę.

Zacząłem więc znowu:

— Pan Wolflaw nie trzyma koni, prawda?

Zaabsorbowany morełami kucharz burknął:

— Nie, nie ma koni.

— Padok i ujeżdżalnia zarosły chwastami.

— Chwastami — zgodził się szef.

— Ale, proszę pana, stajnie są nieskazitelnie czyste.

— Nieskazitelnie.

— Prawie jak sala operacyjna.

— Czyste, bardzo czyste.

— Tak, ale kto sprząta stajnie?

— Ktoś.

— Wszystko tam wygląda jak świeżo pomalowane i wypolerowane.

— Wypolerowane.

— Ale po co... jeśli nie ma koni?

— Właśnie, po co? — podchwycił szef.

— Może on zamierza sprowadzić konie?

— No proszę.

— Czy on zamierza sprowadzić konie?

— Hm.

Zgarnął posiekane morele i wrzucił je do miski. Z torby wysypał na deskę do krojenia połówki orzechów pekanowych.

Zapytałem:

— Ile czasu minęło, odkąd ostatnio w Roseland były konie?

— Dawno, bardzo dawno.

— Więc pewnie koń, którego czasami widuję na terenie posiadłości, należy do któregoś sąsiada.

— Pewnie tak — potwierdził i zaczął przekrawać na pół orzechy na desce.

— Proszę pana, czy pan widział tego konia? — zapytałem.

— Dawno, bardzo dawno temu.

— To wielki czarny ogier, ma jakiś metr siedemdziesiąt.

— Hm.

— W tutejszej bibliotece jest dużo książek o koniach.

— Tak, w bibliotece.

— Odszukałem tego konia. Myślę, że to fryzyczyk.

— No proszę.

Nóż był taki ostry, że połówki pekanów wcale się nie kruszyły, kiedy je przekrawał.

— A czy pan zauważył niedawno dziwne światło na zewnątrz?

— Zauważyłem?

— Na górze w mauzoleum.

— Hm.

— Złote światło.

— Hm.

— Hm? — zapytałem.

— Hm.

Prawdę mówiąc, podejrzewałem, że to światło mógł widzieć tylko ktoś tak jak ja obdarzony szóstym zmysłem. Ale podejrzewałem również, że szef Shilshom to załgana kupa sadła.

Zgarbiony nad deską do krojenia, wpatrywał się z bliska w orzechy pekanowca tak uważnie, jak pan Magoo usiłujący odczytać drobny druk na buteleczce z pigułkami.

Chciałem go sprawdzić, więc zapytałem:

— Czy to mysz obok lodówki?

— No proszę.

— Nie. Pomyłka. To wielki stary szczur.

— Hm.

Jeśli nie był całkowicie pogrążony w pracy, to był dobrym aktorem.

Wstając ze stołka, rzuciłem:

— No, nie wiem dlaczego, ale zamierzam podpalić sobie włosy.

— Właśnie, dlaczego?

Odrwaliłem się plecami do kuchmistrza i ruszyłem w stronę drzwi na taras, mówiąc:

— Podobno odrastają gęściejsze, jak się je spali co jakiś czas.

— Hm.

Ostry stukot noża krojącego pekany ucichł.

W jednej z czterech szyb w górnej części kuchennych drzwi widziałem odbicie Shilshoma. Obserwował mnie, z księżycową twarzą równie białą jak jego fartuch.

Otwierając drzwi, powiedziałem:

— Jeszcze nie świta. Może jakieś pумы spróbują otworzyć drzwi?

— Hm — powtórzył szef, udając tak zajętego pracą, że nie zwracał na mnie uwagi.

Wyszedłem na dwór, zamknąłem za sobą drzwi i przeszedłem przez taras do podnóża pierwszego łuku schodów. Stałem tam i spoglądałem na mauzoleum, aż usłyszałem, że szef zamyka obie zasuw.

Zostały zaledwie minuty do świtu, wstającego zza gór na wschodzie. Nie-nur krzyknął znowu, po raz ostatni, w odległym zakątku wielkiej posiadłości.

Ten żaloszny dźwięk przywiódł mi przed oczy obraz ze snu o Oświęcimiu, z którego wcześniej mnie zbudził pierwszy krzyk tej nocy: *Jestem słaby, wygłodzony, z wysiłkiem pracuję łopatą, boję się umrzeć dwa razy, cokolwiek to znaczy. Nie kopię dostatecznie szybko, żeby zadowolić strażnika, który nogą wytrąca mi łopatę. Stałowy czubek jego buta rozcina mi prawą dłoń, z której nie płynie krew, lecz ku memu przerażeniu sypie się szary, miałki popiół, ani odrobiny żaru, tylko zimny szary popiół wysypuje się ze mnie, bez końca...*

Kiedy wracałem do eukaliptusowego gaju, gwiazdy na wschodzie zbladły i niebo zarumieniło się pierwszym słabym blaskiem poranka.

Annamaria, Dama Dzwonka, i ja gościliśmy w Roseland od dwóch dni i trzech nocy, i podejrzewałem, że nasz pobyt tutaj szybko dobiegnie końca, a nasz trzeci dzień skończy się przemocą.

Pomiędzy narodzinami a pogrzebem uczestniczymy w komedii tajemnic.

Jeśli nie sądzisz, że życie jest tajemnicze, jeśli uważasz, że masz wszystko rozpracowane, to nie patrzysz uważnie albo znieczuliłeś się wodą lub prochami, lub wygodną ideologią.

A jeśli nie uważasz, że życie jest komedią — no cóż, przyjacielu, równie dobrze możesz przyspieszyć swój pogrzeb. Reszta z nas potrzebuje towarzystwa, z którym można się pośmiać.

Powróciwszy do wieży gościnnej w rozkwitającym brzasku, wspiąłem się po kolistych schodach na pierwsze piętro, gdzie czekała Annamaria.

Dama Dzwonka ma kostyczne poczucie humoru, ale jest bardziej tajemnicą niż komedia.

Kiedy zapukałem do jej drzwi, rozwarły się szeroko, jakby lekkie stuknięcie kłykcami o drewno wystarczyło, żeby odsunąć zatrask i wprawić w ruch zawiasy.

Dwa wąskie, głęboko osadzone okna wyglądały równie średniowiecznie jak te, przez które Roszpunka wywieszała długie włosy, i wpuszczały niewiele porannego światła.

Annamaria siedziała przy małym stoliku, obejmując kubek delikatnymi rękami, w blasku lampy podłogowej z brązu, z witrażowym kloszem w skomplikowany motyw żółtych róż.

Wskazując drugi kubek, z którego unosiła się para, powiedziała:

— Nalałam ci herbaty, Oddie.

Zupełnie jakby dokładnie wiedziała, kiedy przyjdę, chociaż zdecydowałem się na to pod wpływem impulsu.

Noah Wolflaw twierdził, że nie sypia od dziewięciu lat, chociaż pewnie zmyślał. Natomiast Annamaria, którą znałem od czterech dni, nigdy nie spała, kiedy chciałem z nią porozmawiać.

Na kanapie leżały dwa psy. Golden retriever, którego nazwałem Rafael, dobry pies, który przyczepił się do mnie w Magic Beach.

Białe mieszańce owczarka niemieckiego imieniem Buu był duchem, jedyną psią zjawą, z jaką się zetknąłem. Towarzyszył mi od mojej wizyty w opactwie świętego Bartłomieja, gdzie mieszkałem przez pewien czas jako gość, zanim przeniosłem się do Magic Beach.

Jak na chłopaka kochającego swoje rodzinne Pico Mundo, ceniącego prostotę, stabilizację i tradycję, przywiązanego do przyjaciół z młodości, prowadziłem nazbyt cygański tryb życia.

Wybór nie należał do mnie. To wydarzenia za mnie zdecydowały.

Szukam drogi do czegoś, co nada sens mojemu życiu, i znajduję ją, jadąc tam, gdzie muszę, wdzięczny za każde towarzystwo.

Przynajmniej tak to sobie tłumaczę. Wierzę, że to nie jest zwykła wymówka, żeby się wykręcić od studiów.

Niewiele rzeczy jestem pewien w tym niepewnym świecie, wiem jednak, że Buu został tutaj nie dlatego, że boi się przejść na tamten świat — jak niektóre ludzkie dusze — ale ponieważ w przełomowym punkcie mojej podróży będę go potrzebował. Nie posunę się aż tak daleko, żeby go nazwać moim strażnikiem czy wręcz aniołem stróżem, ale jego obecność dodaje mi otuchy.

Oba psy pomachały ogonami na mój widok. Jednak tylko ogon Rafaela wałnęło głośno w kanapę.

W przeszłości Buu często mi towarzyszył. Jednak w Roseland oba psy nie odstępowały tej kobiety, jakby obawiały się o jej bezpieczeństwo.

Rafael zdawał sobie sprawę z obecności Buu, a Buu czasami widział rzeczy, których ja nie widziałem, co sugerowało, że psy dzięki swojej niewinności dostrzegają w pełni rzeczywistość egzystencji, na którą my zamknęliśmy oczy.

Usiadłem przy stole naprzeciwko Annamarii i skosztowałem herbaty posłodzonej nektarem brzoskwinowym.

— Shilshom to krętać.

— To dobry kucharz — odpowiedziała.

— To wspaniały kucharz, ale nie jest taki niewinny, jakiego udaje.

— Nikt nie jest — odparła z uśmiechem tak subtelnym i pełnym niuansów, że w porównaniu z nim Mona Liza wydawałaby się rechotać.

Od chwili, kiedy spotkałem Annamarię na molo w Magic Beach, wiedziałem, że potrzebuje przyjaciela i że jakoś się różni od innych ludzi. Nie tak jak ja z moimi proroczymi snami i darem widzenia duchów, ale różni się na swój własny sposób.

Niewiele o niej wiedziałem. Kiedy zapytałem, skąd pochodzi, odpowiedziała: „Z daleka”. Ton jej głosu i lekko rozbawiona mina sugerowały, że to spore niedopowiedzenie.

Ona natomiast wiedziała dużo o mnie. Znała moje imię, zanim się przedstawiłem. Wiedziała, że widuję duchy zmarłych zwlekających z odejściem, chociaż wyjawilem te zdolności tylko paru najlepszym przyjaciołom.

Do tej pory rozumiałem, że ona nie jest tak zwyczajnie inna. Stanowiła enigmę tak skomplikowaną, że nigdy nie poznałbym jej sekretów, chyba że sama dałaby mi klucz do prawdy o sobie.

Miała osiemnaście lat i była chyba w siódmym miesiącu ciąży. Dopóki nie połączyliśmy się, przez jakiś czas wędrowała samotnie po świecie, ale nie dręczyły jej żadne zmartwienia ani wątpliwości typowe dla dziewczyny w jej sytuacji.

Chociaż nic nie miała, niczego jej nie brakowało. Mówiła, że ludzie dawali jej to, czego akurat potrzebowała — pieniądze, mieszkanie — chociaż nigdy o nic nie prosiła. Na własne oczy przekonałem się, że to prawda.

Przyjechaliśmy z Magic Beach mercedesem pożyczonym od Lawrence'a Hutchisona, który przed pięćdziesięciu laty był słynnym aktorem filmowym, a teraz, mając lat osiemdziesiąt osiem, pisał książeczki dla dzieci. Przez krótki czas pracowałem u Hucha jako kucharz i towarzysz, zanim w Magic Beach zrobiło się za gorąco. Umówiłem się z nim, że zostawię samochód u wnuka jego siostry, Grovera, który był adwokatem w Santa Barbara.

W poczekalni biura Grovera spotkaliśmy Noaha Wolflawa, klienta, który właśnie wychodził. Wolflaw natychmiast zainteresował się Annamarią i po krótkiej pogawędce, wywołującej lekką konsternację, jaka zwykle towarzyszyła rozmowom z tą kobietą, zaprosił nas do Roseland.

Annamaria była nieodparcie pociągająca, ale nie w sensie seksualnym. Ani piękna, ani brzydka, nie wydawała się jednak pospolita. Drobną, ale nie wątłą, z idealną, lecz bladą cerą, fascynowała innych z powodów, które usiłowałem zrozumieć, ale ciągle mi umykały.

Cokolwiek nas łączyło, nie był to romans. Wrażenie, jakie wywierała na mnie — i na innych — było głębsze niż pożądanie i dziwnie onieśmiałające.

Sto lat wcześniej pasowałyby do niej określenie „charyzmatyczna”. Jednak w epoce, która przypisuje charyzmę płytkim gwiazdom filmowym i uczestnikom najnowszego telewizyjnego reality show, to słowo straciło wszelkie znaczenie.

W każdym razie Annamaria nie namawiała nikogo, żeby się do niej przyłączył, jak to robią przywódcy religijni. Zamiast tego budziła w ludziach pragnienie, żeby ją chronić.

Twierdziła, że nie ma nazwiska, i chociaż nie rozumiałem, jak mogła tego uniknąć, nie wątpiłem w jej słowa. Często zachowywała się tajemniczo, ja jednak wierzyłem, jak się wierzy w coś, co wymaga raczej silnej wiary niż dowodów, że nigdy nie kłamała.

— Myślę, że powinniśmy natychmiast opuścić Roseland — oświadczyła.

— Czy nie mogę nawet dopić herbaty? Czy muszę w tej chwili się zerwać i pędzić do bramy?

— Mówię poważnie. Coś tu jest bardzo nie w porządku.

— Każde miejsce, do którego pojedziemy, będzie nie w porządku.

— Ale nie jak tu.

— A dokąd pojedziemy? — zapytałem.

— Dokądkolwiek.

W jej łagodnym głosie nigdy nie brzmiały pedantyczne tony, chociaż to ja zwykle wysłuchiwałem jej cierpliwych i czułych instrukcji.

— Dokądkolwiek to znaczy wszędzie. Jeśli nie ma znaczenia, dokąd pojedziemy, to chyba nie warto wyjeżdżać.

Oczy miała tak ciemne, że nie mogłem odróżnić źrenicy od tęczówki.

— Możesz być tylko w jednym miejscu naraz, dziwaku. Więc to konieczne, żebyś był we właściwym miejscu z właściwego powodu.

Przed Annamarią tylko Stormy Llewellyn nazywała mnie „dziwakiem”.

— Odnoszę wrażenie — powiedziałem — że ciągle mówisz do mnie zagadkowo.

Patrzyła na mnie spokojnie ciemnymi oczami.

— Moja misja i twój szósty zmysł sprowadziły nas tutaj. Roseland przyciągało nas jak magnes. Nie mogliśmy trafić nigdzie indziej.

— Twoja misja? Co to za misja?

— Dowiesz się w swoim czasie.

— Jutro? Za tydzień? Za dwadzieścia lat?

— To się okaże.

Wciągnąłem brzoskwiniowy aromat herbaty, z westchnieniem wypuściłem powietrze i powiedziałem:

— Tamtego dnia, kiedy się spotkaliśmy w Magic Beach, mówiłaś, że niezliczona rzesza ludzi chce cię zabić.

— Zostali policzeni, ale jest ich tak wielu, że nie musisz znać dokładnej liczby, podobnie jak nie musisz wiedzieć, ile włosów masz na głowie, żeby się uczesać.

Ubrana była w tenisówki, spodnie khaki i workowaty beżowy sweter z przydługimi rękawami. Podwinięte mankiety swetra podkreślały delikatność jej smukłych nadgarstków.

Wyjechała z Magic Beach tak, jak stała, ale po pierwszym dniu jej pobytu w Roseland gospodyni, pani Tameed, kupiła walizkę, napełniła ją kilkoma zmianami odzieży i zostawiła w domku gościnnym, chociaż nikt jej nie prosił o dostarczenie garderoby.

Ja też przyjechałem tylko w tym, co miałem na sobie. Nikt jednak mi nie kupił nawet pary skarpetek. Musiałem opuścić posiadłość na kilka godzin, pojechać do miasta i nabyć dżinsy, swetry i bieliznę.

— Cztery dni temu pytałaś mnie, czy utrzymam cię przy życiu — przypomniałem. — Utrudniasz mi zadanie bardziej niż trzeba.

— Nikt w Roseland nie chce mnie zamordować.

— Skąd wiesz?

— Nie zdają sobie sprawy, kim jestem. Jeśli zginę, to z ręki tych, którzy wiedzą, kim jestem.

— A kim jesteś? — zapytałem.

— W głębi serca wiesz.

— A kiedy mój umysł się dowie?

— Zawsze wiedziałeś, odkąd pierwszy raz mnie zobaczyłeś na molo.

— Może nie jestem taki bystry, jak myślisz.

— Jesteś więcej niż bystry, Oddie. Jesteś mądry. Ale boisz się mnie.

Zdziwiony, zaprzeczyłem:

— Boję się wielu rzeczy, ale nie ciebie.

Spojrzała na mnie z czułym rozbawieniem, bez śladu protekcjonalności.

— Z czasem, młody człowieku, poznasz swój strach, a wtedy dowiesz się, kim jestem.

Od czasu do czasu nazywała mnie „młodym człowiekiem”, chociaż miała osiemnaście lat, a ja prawie dwadzieścia dwa. Powinno to brzmieć dziwnie w jej ustach, ale nie brzmiało.

— Na razie jestem bezpieczna w Roseland — podjęła. — Ale jest tu ktoś, komu grozi wielkie niebezpieczeństwo i kto rozpaczliwie cię potrzebuje.

— Kto?

— Zaufaj swoim zdolnościom, one cię poprowadzą.

— Pamiętasz kobietę na koniu, o której ci mówiłem? Wczoraj wieczorem miałem z nią bliskie spotkanie, dość niesamowite. Zdołała mi przekazać, że jej syn tu jest. Ma dziewięć czy dziesięć lat. I coś mu grozi, chociaż nie wiem co, jak ani dlaczego. Czy to jemu mam pomóc?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem wszystkiego.

Dopiłem herbatę.

— Wierzę, że nie kłamiesz, ale jakoś nigdy nie odpowiadasz wprost.

— Jeśli patrzysz prosto w słońce, możesz oślepnąć.

— Następna zagadka.

— To nie zagadka. To metafora. Mówię ci prawdę nie wprost, bo mówienie wprost mogłoby cię zranić, jak promienie słońca mogą przepalić siatkówkę.

Odepchnąłem krzesło od stołu.

— Mam tylko nadzieję, że nie okażesz się jakąś nawiedzoną wariatką.

Roześmiała się cicho, melodyjnie jak strumyk.

Piękno jej śmiechu sprawiło, że mój komentarz wydał się niegrzeczny, więc dodałem:

— Bez urazy.

— Nie obrażam się. Zawsze mówisz to, co myślisz, i nie ma w tym nic złego.

Kiedy wstałem z krzesła, psy znowu zaczęły walić ogonami, ale żaden się nie ruszył, żeby mi towarzyszyć.

Annamaria dodała:

— A przy okazji, nie musisz się bać, że umrzesz podwójnie.

Albo miała na myśli mój koszmarne sen o Oświęcimiu, albo to był niesamowity zbieg okoliczności.

— Skąd znasz moje sny? — zapytałem.

— Czy strach przed podwójną śmiercią dręczy cię we śnie? — ciągnęła, znowu unikając bezpośredniej odpowiedzi. — Jeśli tak, to niepotrzebnie.

— Co to w ogóle znaczy: umrzeć podwójnie?

— Z czasem zrozumiesz. Ale ze wszystkich ludzi w Roseland, w tym mieście, w tym stanie i w tym kraju ty chyba najmniej musisz się obawiać podwójnej śmierci. Umrzesz raz i tylko raz, i to będzie śmierć bez znaczenia.

— Każda śmierć ma znaczenie.

— Tylko dla żywych.

Rozumiecie, dlaczego staram się żyć prosto? Gdybym był, powiedzmy, księgowym z głową wypełnioną szczegółami finansów moich klientów i gdybym oprócz tego widywał duchy zmarłych zwlekających z odejściem, i gdybym jeszcze próbował odnaleźć sens w rozmowach z Annamarią, pewnie straciłbym rozum.

Lampa rzucała wzór żółtych róż na jej twarz.

— Tylko dla żywych — powtórzyła.

Czasami, kiedy napotykam jej oczy, coś mi każe odwrócić wzrok i serce mi bije szybciej ze strachu. Nie ze strachu przed nią. Ze strachu przed... czymś, czego nie umiem nazwać. Czuję bezradny skurcz w sercu.

Przeniósłem spojrzenie z Annamarii na psy rozłożone na kanapie.

— Na razie jestem bezpieczna — powtórzyła. — Ja, ale ty nie. Jeśli zwątpisz w słuszność swoich działań, możesz umrzeć w Roseland, umrzeć swoją jedyną śmiercią.

Nieświadomie uniosłem prawą rękę do piersi, żeby namacać kształt dzwonka zawieszzonego na łańcuszku pod swetrem.

Kiedy pierwszy raz spotkałem Annamarię na moło w Magic Beach, nosiła na szyi kunsztownie wykonany srebrny dzwoneczek wielkości naparstka, zawieszony na srebrnym łańcuszku. To był jedyny jasny punkt w tamtym szarym, pochmurnym dniu.

Później, w chwili najdziwniejszej ze wszystkich wspólnych chwil, cztery dni przed naszym przyjazdem do Roseland, zdjęła dzwonek z szyi, podała mi i zapytała: „Czy umrzesz dla mnie?”.

Co jeszcze dziwniejsze, chociaż prawie jej nie znałem, odpowiedziałem twierdząco i przyjąłem wisiołek.

Ponad osiemnaście miesięcy wcześniej, w Pico Mundo, oddałbym życie, żeby uratować moją dziewczynę Stormy Llewellyn. Bez wahania przyjąłbym na siebie kule, które ją trafiły, ale Los nie dał mi szansy na takie poświęcenie.

Od tamtego czasu często żałowałem, że nie umarłem razem z nią.

Kocham życie, kocham piękno świata, ale świat, którego nie mogę dzielić ze Stormy, pomimo całej cudowności zawsze będzie dla mnie niekompletny.

Nigdy jednak nie popełnię samobójstwa ani umyślnie nie narażę się na niebezpieczeństwo, ponieważ autodestrukcyjność oznaczałaby ostateczne odrzucenie daru życia, niewybaczalną niewdzięczność.

Ponieważ przeżyłem ze Stormy kilka szczęśliwych lat, cenię sobie życie. I ciągle mam nadzieję, że jeśli przeżyję resztę swoich dni w taki sposób, żeby ją uhonorować, w końcu znowu się spotkamy.

Może dlatego tak skwapliwie zgodziłem się bronić Annamarii przed wrogami, których jeszcze nie znałem. Z każdym ocalonym życiem może ratuję osobę, która jest dla kogoś równie cenna jak Stormy dla mnie.

Psy przewróciły oczami jeden do drugiego, a potem popatrzyły na mnie, jakby zażenowane, że nie mogę wytrzymać spojrzenia Annamarii.

Zdobyłem się na odwagę, żeby znowu spojrzeć jej w oczy, kiedy powiedziała:

— Najbliższe godziny mogą wystawić na próbę twoją wolę i złamać ci serce.

Chociaż ta kobieta budziła we mnie — i w innych — pragnienie, żeby ją chronić, czasami myślałem, że to ona mnie chroniła. Drobną i zwiewną nawet w trzecim trymestrze ciąży, zapewne świadomie przybierała bezbronną postawę, żeby wzbudzić współczucie, przyciągnąć mnie do siebie i wziąć pod opiekuńcze skrzydła.

Zapytała:

— Czy czujesz, jak szybko to się zbliża do ciebie, młody człowieku? Apokalipsa, apokalipsa w Roseland?

Przyciskając mocno dzwonek do piersi, odpowiedziałem:

— Tak.

5

Jeśli ktoś w Roseland był w wielkim niebezpieczeństwie i rozpaczliwie mnie potrzebował, jak mówiła Annamaria, może to był syn dawno zmarłej kobiety na koniu, chociaż z pewnością nie był taki młody, jak pokazywała zjawą. Nawet jeśli nie chodziło o jej dziecko, przypuszczałem, że zagrożona osoba jest z nią jakoś spokrewniona. Intuicja podpowiadała mi, że morderstwo tej kobiety stanowiło tajemnicę, której rozwiązanie dostarczy mi klucz do wszystkich pozostałych sekretów Roseland. Jeśli jej zabójca nadal żył po tylu latach, osoba, która mnie potrzebowała, mogła być jego przyszłą ofiarą.

Dwie stajnie nie były tak obszerne i bogato zdobione jak stajnie w Wersalu, nie tak ostentacyjnie ociekające przepychem, żeby podburzyć rewolucyjne masy do rezygnacji z oglądania powtórek *Tańca z gwiazdami* i entuzjastycznego podziwiania wszystkich mieszkańców Roseland, ale nie przypominały też typowych drewnianych stajni krytych gontem. Dwa budynki z płowóżłtej cegły miały dachy kryte ciemnym łupkiem i okna ze szkła ołowiowego w rzeźbionych wapiennych obramowaniach, co świadczyło, że trzymano tutaj tylko konie lepszej klasy.

Stajnie nie otwierały się bezpośrednio na zewnątrz. Na obu końcach każdego budynku znajdowały się duże drzwi z brązu, które przesuwały się na wpuszczanych prowadnicach i chowały w ścianie. Każde z tych drzwi ważyły pewnie ze dwie tony, ale były tak doskonale wyważone i kółka miały tak dobrze nasmarowane, że ich otwieranie i zamykanie prawie nie wymagało wysiłku.

Na każdym drzwiach wytłoczono trzy stylizowane konie w stylu art déco, galopujące z lewej strony na prawą. Pod końmi widniało słowo ROSELAND.

Sięgające do pasa chwasty zrobiły się niższe, kiedy się zbliżyłem do pierwszej stajni. W odległości trzech metrów od budynku całkiem znikły.

Mógłbym nie zauważyć, że coś jest nie tak, gdybym szedł wśród chwastów, nie po gołej ziemi. Ale coś tu nie pasowało, więc zatrzymałem się niecałe dwa metry od brązowych drzwi.

Zanim krzyk nie-nura zbudził mnie pierwszej nocy spędzanej w tej posiadłości, zanim napotkałem ducha konia i nadobnej amazonki, dużo wcześniej, zanim zobaczyłem stwory na żółtym niebie, Roseland wywarło na mnie wrażenie miejsca, które jest nie całkiem takie, jakie się wydaje. Okazałe, tak, ale nie majestatyczne. Luksusowe, ale pozbawione wygód. Eleganckie, ale dalekie od prostoty w swoim braku umiaru.

Każda piękna fasada zdawała się ukrywać prawie namacalną ruinę i zgniliznę. Posiadłość i jej mieszkańcy podtrzymywali pozory normalności, jednak w każdym kącie i przy każdym spotkaniu wyczuwałem kamuflaż, deformację i głęboką obcość czekające na ujawnienie.

Na tym skrawku gołej ziemi przed drzwiami stajni nagle ujrzałem następny dowód świadczący o nienaturalnym charakterze Roseland. Słońce, które wzeszło zaledwie pół godziny wcześniej, miałem z lewej strony, toteż mój wydłużony poranny cień kładł się na prawo, w kierunku zachodnim. Natomiast stajnia rzucała dwa cienie. Pierwszy padał na zachód; był jednak jaśniejszy od mojego, raczej szary niż czarny. Drugi cień budynku, krótszy, ale czarny jak mój, przechylał się na wschód, jakby słońce przesunęło się już kilka stopni za zenit, czyli jakby południe minęło z godzinę temu.

Na zapyłonej ziemi kamień i zgnieciona puszką po coli rzucały cienie tylko na zachód, jak ja.

Pomiędzy dwiema stajniami rozciągał się plac do ćwiczeń szeroki na jakieś dwanaście metrów, najeżony chwastami i dziką trawą, zbrązowiałą po jesieni. Podeszedłem do drugiej stajni i zobaczyłem, że ten budynek również rzuca dwa cienie: dłuższy i bledszy na zachód, krótszy i czarny na wschód, całkiem jak pierwsza stajnia.

Potrafiłem sobie wyobrazić tylko jedną przyczynę, dla której budynki rzucają dwa przeciwległe cienie, jaśniejszy i ciemniejszy: na niebie musiałyby świecić dwa słońca, przy czym słabsze dopiero co wzeszło, a jaśniejsze wędrowało już po nieboskłonnie w dół do zachodniego horyzontu.

Oczywiście w górze świeciło tylko jedno słońce.

Pośrodku placu do ćwiczeń rosła prawie dwumetrowa magnolia, bezlistna o tej porze roku. Gałęzie rzucały siatkę atramentowych cieni na zachód, na ścianę i dach pierwszej stajni, tak jak powinny wczesnym rankiem.

Tylko budynki stajni podlegały wpływowi zarówno słońca, które widziałem nad głową, jak i drugiego, fantomowego.

Wcześniej, wędrując po posiadłości, odwiedziłem to miejsce dwukrotnie. Z pewnością jednak nie przeczyłbym takiego zjawiska przy poprzednich wizytach. Dwa przeciwległe cienie pojawiły się dopiero teraz.

Skoro z zewnątrz budynek prezentował się tak niemożliwie, zastanawiałem się, jakie niespodzianki czekają w środku. Moje niezwykle życie nie obfituje w niespodzianki typu wygranej na loterii, raczej w takie z ostrymi kłami, dostawnie i w przeności.

Niemniej odsunąłem drzwi na tyle, żeby wśliznąć się do środka. Zrobiłem krok w lewo; teraz miałem brząz za plecami i słońce nie podświetlało mnie od tyłu.

Pod wschodnią ścianą ciągnęło się pięć przestronnych boksów i pod zachodnią ścianą drugie pięć, z dzielonymi mahoniowymi lub tekowymi drzwiami. Środkowa alejka była szeroka na trzy i pół metra i wybrukowana, podobnie jak podłogi w boksach, ciasno osadzoną kamienną kostką.

Na drugim końcu z lewej strony znajdowała się siodlarnia, naprzeciwko zaś skład paszy, jedno i drugie od dawna puste.

W stajniach, które dotąd znałem, były podłogi z ubitej ziemi, ale zauważyłem tu więcej dziwnych szczegółów niż kamienne płyty bruku.

Wszystkie boksy miały na tylnych ścianach okna o wymiarach metr na metr dwadzieścia. Szybki ze szkła ołowiowego w większości były kwadratowe, o boku około ośmiu centymetrów, z wyjątkiem tych, które otaczały owalną szybę pośrodku. W każdy szklany owal wtopiono sznur ze splecionych miedzianych drucików, tworzący poziomą ósemkę.

Samo szkło miało miedziany odcień i barwiło czerwienią poranne światło. Można by pomyśleć, że wiktoriański charakter okien nadawał stajni przytulną atmosferę miejsca przy kominku, chociaż ja wyobraziłem sobie kapitana Nemo, prowadzącego łódź podwodną *Nautilusa* przez morze ognia i krwi. No, ale taki już jestem.

Nie od razu zapaliłem stajenne lampy, głównie kinkiety z brązu zamocowane na słupach po obu stronach drzwi. Zamiast tego stałem bez ruchu w miedzianym świetle i ciemnych jak żelazo cieniach, nasłuchiwałem i czekałem nie wiadomo na co.

Po chwili uznałem, że — pomimo podwójnych cieni na zewnątrz — w środku budynek się nie zmienił. Temperatura jak zwykle wynosiła przyjemne osiemnaście stopni, co z pewnością potwierdziłby duży termometr na drzwiach siodlarni. Powietrze było czyste i bezwonne, jakby tuż po śnieżycy. Panowała niesamowita cisza — żadnych odgłosów osiadania budynku, żadnych tupotów mysich łapek, żadnych dźwięków z zewnątrz, jakby za tymi murami czekał jałowy, martwy świat.

Pstryknąłem przełącznikiem na ścianie i kinkiety rozbłysły. Stajnia wydawała się równie nieskazitelna, jak sugerowało bezzapachowe powietrze.

Chociaż trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek trzymało tu konie, w korytarzach głównego domu wciąż wisiały fotografie i obrazy faworytów Constantine'a Cloyce'a. Pan Wolflaw uważał, że stanowią ważną część historii Roseland.

Jak dotąd nie widziałem żadnego wizerunku zakrwawionej kobiety w białej koszuli nocnej. Wydawała mi się co najmniej równie ważna dla historii Roseland jak konie, no, ale nie wszyscy myślą tak jak ja, że morderstwo to poważna sprawa.

Oczywiście mógłbym wkrótce trafić do korytarza obwieszzonego portretami zakrwawionych młodych kobiet w najrozmaitszych strojach, prezentujących śmiertelne rany. Zważywszy, że na razie nie znalazłem w Roseland ani jednego różanego krzaczka, może nazwa majątku nawiązywała do kwiatów kobiecości, które tu zerwano i pogrzebano.

Znowu zjeżyły mi się włoski na karku.

Jak podczas poprzedniej wizyty, przeszedłem przez całą stajnię, oglądając miedziane dyski dwucentymetrowej średnicy wpuszczone pomiędzy kwarcytowe kostki bruku. Krążki tworzyły lśniące faliste linie biegnące przez całą długość budynku. Na każdym takim dysku wygrawerowano, zależnie od kąta widzenia, albo cyfrę osiem, albo leniwą ósemkę leżącą na boku, taką samą jak w okiennych szymbach.

Nie potrafiłem odgadnąć przeznaczenia tych miedzianych dysków, jednak wydawało się nieprawdopodobne, żeby nawet taki magnat prasowy i potentat kina jak zmarły Constantine Cloyce, który mógł palić pieniędzmi w piecu, kazał je zainstalować tylko dla ozdoby.

— Kto ty jesteś, do cholery?

Zaskoczony, odwróciłem się i ponownie zostałem zaskoczony widokiem olbrzyma z ogoloną głową, z siną bliźną biegnącą od prawego ucha do kącika ust, drugą taką samą przecinającą czoło aż do nasady nosa, zębami tak żółtymi i krzywymi, że nigdy by mu nie zaproponowano prowadzenia wieczornych wiadomości w żadnej większej stacji telewizyjnej, strupkiem zimna na górnej wardze, rewolwerem w kaburze na biodrze, pistoletem w kaburze na drugim biodrze i automatycznym subkarabinkiem, chyba uzi, w obu rękach.

Miał blisko dwa metry wzrostu, ważył pewnie ze sto dwadzieścia kilo i wyglądał jak rzeźnik masowej konsumpcji sterydów. Białe litery na jego czarnej koszulce głosiły: ŚMIERĆ TO LEKARSTWO. Na potężnych bicepsach i przedramionach widniały tatuaże przedstawiające wyszczerzone hieny, a nadgarstki były grube jak moja szyja.

Nosił spodnie khaki z licznymi zapinanymi na suwaki kieszeniami, wpuszczone w czerwono-czarne kowbojskie buty z wytłaczanej skóry, jednak te modne akcesoria nie nadawały mu zawadiackiego wyglądu. Policyjny pas z bronią miał kieszenie na amunicję pełne szybkoładowaczy do rewolweru i zapasowych magazynków do pistoletu. Kilka zapiętych kieszeni wybrzuszało się; może trzymał tam więcej amunicji albo myśliwskie trofea, na przykład ludzkie uszy i nosy.

— Ładna pogoda jak na luty — powiedziałem.

W *Otellu* zazdrość nazywana jest zielonookim potworem. Szekspir był co najmniej tysiąc razy mądrzejszy ode mnie. Nigdy bym nie kwestionował geniuszu jego figur retorycznych. Jednak ten zielonooki potwór chyba nie miał cierpliwości do błahych emocji, jak zazdrość czy dobroć, gdyż pochłaniały go nienawiść, furia i żądza krwi. Był zbyt odrażający nawet jak na rolę w *Makbecie*.

Zrobił następny krok w głąb stajni, mierząc we mnie z karabinka.

— „Ładna pogoda jak na luty”. Co to miało znaczyć? — Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał: — Co to za (wyobraźcie sobie brzydkie słowo na stosunek płciowy), palancie?

— To nic nie znaczy, proszę pana. No wie pan, tylko przełamanie lodów, nawiązanie rozmowy.

Zmarszczył brwi tak mocno, że zetknęły się nad nasadą nosa, zamykając półcentymetrowy odstęp między nimi.

— Głupi jesteś czy co?

Przekonałem się, że czasami w trudnej sytuacji warto symulować upośledzenie umysłowe. Przede wszystkim ta technika się przydaje, żeby kupić sobie trochę czasu. Poza tym przychodzi mi to w naturalny sposób.

Gotów byłem odgrywać idiotę przed tym brutalem, jeśli tego chciał, zanim jednak zaprezentowałem się w roli Lenniego z *Myszy i ludzi*, powiedział:

— Problem ze światem jest taki, że pełno na nim głupich (wyobraźcie sobie brzydkie słowo na sam koniec okrężnicy), którzy wszystko psują. Zabić wszystkich głupich ludzi i świat stanie się lepszym miejscem.

Pragnąc zademonstrować, że jestem zbyt mądry, żeby świat sobie poradził bez mnie, powiedziałem:

— W *Henryku VI* Szekspira, część druga, buntownik Dick mówi: „Na początek zabijmy wszystkich prawników”².

Brwi ściągnęły się jeszcze bardziej, zielone oczy zapłonęły jak ogień metanu.

— Co ty jesteś, jakiś mądrała?

Z tym facetem nie mogłem wygrać.

Zbliżył się do mnie jeszcze bardziej i dźgnął mnie w pierś lufą uzi.

— Podaj mi jeden powód, żebym cię nie rozwalił na miejscu, przemądrzały włamywaczu.

Jeśli facet ma broń, a ja nie, i każe mi podać jeden dobry powód, żeby mnie nie zabić, zakładam, że nie zamierza mi odstrzelić głowy, bo inaczej już by to zrobił. Albo potrzebuje pretekstu, żeby się wycofać, albo jest tak żałośnie pozbawiony wyobraźni, że odgrywa scenę, którą oglądał na ekranie.

Jednak Zielonooki wydawał się bandziorem innego kalibru. Jego zachowanie sugerowało, że nie potrzebował powodu, żeby kogoś zabić, wystarczyły dobre chęci, jego wygląd zaś świadczył o tym, że nie brakowało mu wyobraźni, żeby wymyślić kilkanaście krwawych zakończeń tej sceny.

Dotkliwie zdawałem sobie sprawę, jak daleko znajduję się stajnie od zamieszkałych budynków w Roseland.

Z nadzieją, że nie dopatry się w moich słowach żadnej prowokacji, powiedziałem:

— No, bo ja jestem gościem, a nie włamywaczem, proszę pana.

Nie wydawał się przekonany.

— Od kiedy tu wpuszczają takich lalusiowatych gnojzków?

Postanowiłem nie obrażać się za tę niepochlebną charakterystykę mojej osoby.

— Mieszkam w wieży w gaju eukaliptusów. Od trzech nocy i dwóch dni.

Wcisnął mi łufę uzi w klatkę piersiową.

— Trzy dni i nikt mi nie powiedział? Myślisz, że jestem taki tępy, że można mi wcisnąć gówno na patyku?

— Nie, proszę pana. Nie na patyku.

Nozdrza mu się rozděły tak szeroko, że obawiałem się, czy mózg mu nie wypłynie przez nos.

— Co to niby znaczy, lalusi?

— To znaczy, że pan jest dużo mądrzejszy ode mnie, bo inaczej nie stałbym po tej stronie karabinu. Ale to prawda. Mieszkam tu prawie od trzech dni. Oczywiście zaproszono nas nie ze względu na mój urok, tylko na dziewczynę, która jest ze mną. Nikt nie potrafi jej odmówić.

Zdawało mi się, że na wzmiankę o dziewczynie dostrzegłem cień współczucia na jego twarzy. Może myślał, że mówię o dziecku. Nawet faceci krańcowo uzależnieni od przemocy miewają słabość do dzieci.

— To już ma więcej sensu — orzekł. — Przywiozłeś jakąś superseksowną laskę i nikt nie chce, żeby Kenny się o niej dowiedział.

Zamiast pobudzić jego gruczoł współczucia, rozjątrzyłem inne gruczoły, które lepiej było zostawić w spokoju.

— Nie, proszę pana. Nie całkiem tak to wygląda.

— A jak?

— Ona jest bardzo słodka, jakby uduchowiona, wcale nie seksowna, trochę zaniedbana, w siódmym miesiącu ciąży, żadna piękność, ale wszyscy ją lubią, wie

pan, bo to takie smutne, samotna dziewczyna bez grosza, z dzieckiem w drodze, serce się kraje.

Kenny popatrzył na mnie, jakbym nagle zaczął mówić w obcym języku. W obcym języku, którego brzmienie obrażało go tak bardzo, że gotów był mnie zastrzelić, żeby mi zamknąć usta.

Żeby zmienić temat, dotknąłem palcem górnej wargi w tym miejscu, gdzie na wardze Kenny'ego czerwieniała opryszczka.

— To musi boleć.

Nie przypuszczałem, że mógłby się zjeżyć jeszcze bardziej, ale on dosłownie się nadał z urazy.

— Mówisz, że jestem chory?

— Nie. Skąd. Wygląda pan zdrowo jak byk. Każdy byk mógłby panu pozazdrościć zdrowia. Mówię tylko, że ten drobiazg, który pan tam ma, pewnie boli.

Lekko się odprężył.

— Boli jak skurwysyn.

— Co pan na to robi?

— Nic się nie robi na cholerną aftę. Cholera musi się sama wyleczyć.

— To nie afta. To opryszczka.

— Wszyscy mówią, że to afta.

— Afta jest wewnątrz ust. Wygląda inaczej. Jak długo pan to ma?

— Od sześciu dni. Przez to kurestwo czasem chce mi się krzyzczać.

Skrzywiłem się na znak współczucia.

— Zanim to panu wyskoczyło, czuł pan mrowienie w wardze, dokładnie w tym miejscu, gdzie się pojawiło?

— Zgadza się — potwierdził Kenny, szeroko otwierając oczy, jakbym okazał się jasnowidzem. — Mrowienie.

Mimochodem odsuwając na bok lufę uzi, zapytałem:

— Czy w ciągu dwudziestu czterech godzin przed tym mrowieniem był pan wystawiony na bardzo ostre słońce albo zimny wiatr?

— Wiatr. W zeszłym tygodniu mieliśmy nagłe ochłodzenie. Wiało jak skurwysyn z północnego zachodu.

— Ma pan lekkie oparzenie od wiatru. Za dużo gorącego słońca albo zimnego wiatru może wywołać taki wyprysk. Niech pan to smaruje wazeliną i unika słońca i wiatru. Jeśli pan przestanie to drażnić, szybko się zagoi.

Kenny dotknął ranki językiem, zauważył moją dezaprobatę i zapytał:

— Jesteś lekarzem czy co?

— Nie, ale znam sporo lekarzy. Domyślam się, że należy pan do ochrony.

— Czy wyglądam jak dyrektor artystyczny?

Zakładając, że dostatecznie się zbliżyliśmy, zaryzykowałem wesoły śmiech i powiedziałem:

— Założę się, że niezły z pana artysta po paru piwach.

Ozdobiony opryszczką, pełen ciemnożółtych krzywych zębów uśmiech wielkoluda wyglądał równie atrakcyjnie jak szczer rozjechany przez osiemnastokółowca.

— Wszyscy mówią, że z Kenny'ego można boki zrywać, jak się w niego wleje kilka browarów. Kłopot tylko, że po dziesięciu tracę humor i zaczynam wszystko

rozwalać.

— Ja też — zapewniłem, chociaż nigdy nie wypijam więcej niż dwa piwa dziennie. — Ale muszę z żalem przyznać, że chyba nie dałbym rady skutecznie takiej demolki jak pan.

Uderzyłem w czułą strunę jego dumy.

— No, zrobiło się trochę szumu, to na pewno — odparł i przerażające blizny na jego twarzy przybrały odcień żywszej czerwieni, jakby wspomnienie dawnych aktów wandalizmu podniosło temperaturę jego samozadowolenia.

Stopniowo uświadamiałem sobie, że światło w stajni się zmienia. Teraz spoglądałem w prawo i zobaczyłem, że wschodnie okna wciąż jaśniejają czerwonym blaskiem słońca, przesianym przez miedziane szyby, ale już nie tak mocno jak wcześniej.

Celując karabinkiem w podłogę albo może w moje stopy, Kenny powiedział:

— No więc jak ci na imię, mały?

Spiąłem się lekko i znowu skupiłem całą uwagę na olbrzymie, którego serca bynajmniej jeszcze nie podbiłem.

— Proszę pana, niech pan nie myśli, że pana wpuszczam w maliny, to naprawdę jest moje imię, chociaż dziwne. Nazywam się Odd. Odd Thomas.

— Thomas jest w porządku.

— Dziękuję panu.

— I wiesz, Odd nie jest takie złe w porównaniu z tym, co rodzice czasem robią dzieciom. Rodzice potrafią zgnoić człowieka. Moi rodzice byli wrednymi...

Żeby dokończyć charakterystykę wygłoszoną przez Kenny'ego, przywołajcie z pamięci kilka słów nigdy nieużytych w przyzwoitym towarzystwie, sugerujących kazirodztwo, samozadowolenie, ohydne pogwałcenie praw chroniących zwierzęta przed perwersyjnymi żądzami istot ludzkich, erotyczną obsesję na punkcie produktów znanej firmy wytwarzającej płatki śniadaniowe oraz używanie języka do najdziwniejszych celów...

Chociaż z drugiej strony lepiej dajcie sobie spokój. Opis rodziców Kenny'ego stanowił unikatowe osiągnięcie w barwnej historii rynsztokowych wyrażań. Nawet gdybyście głowili się przez miesiąc nad zagadką, którą wam zadałem, rozwiązanie byłoby jedynie błędą imitacją oryginału.

— Moje prawdziwe nazwisko to Keister — podjął. — Wiesz, co znaczy Keister?

Wprawdzie budowaliśmy już fundamenty naszej przyjaźni, jednak podejrzewałem, że w ciągu sekundy mogę spaść z listy kumpli Kenny'ego na listę jego śmiertelnych wrogów. Martwiłem się, że jeśli przyznam się do znajomości znaczenia słowa „keister”, podpalę lont.

Ale przecież on zapytał. Więc powiedziałem:

— No, to jest slang, proszę pana, i czasami tak się określa tylną część ciała, wie pan, to, na czym się siedzi, wie pan, jak siedzenie spodni albo nawet, no, pośladki.

— Dupa — oświadczył, przy czym zdołał jednocześnie syknąć i warknąć to słowo, dostatecznie głośno, żeby okna w stajni zabrzęczały. — Keister znaczy dupa.

Odważyłem się zerknąć w lewo i zobaczyłem, że przez zachodnie okna wpada więcej znacznie czerwieniącego światła niż parę minut wcześniej.

— Wiesz, jak naprawdę mam na imię, jak mi dali na imię? — zapytał tonem, który zmieniał pytanie w żądanie.

Ponownie napotkałem jego spojrzenie, wciąż tak samo przerażające.

— Domyślam się, że nie Kenny — powiedziałem.

Zamknął oczy, odetchnął głęboko i twarz mu się skurczyła, jakby się przygotowywał do trudnego wyznania.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie skoczyć do najbliższych drzwi, obawiałem się jednak, że próba ucieczki zniweczy pozory naszej przyjaźni i skłoni porzuconego Kenny'ego, żeby strzelił mi w plecy.

Wszyscy pozostali mieszkańcy Roseland, chociaż w większym czy mniejszym stopniu ekscentryczni, próbowali zachowywać się normalnie. Natomiast ten malowniczy olbrzym, ten chodzący skład amunicji z tatuażami wyszczerzonych hien na masywnych ramionach nie podejmował takich wysiłków. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby współpracował z pozostałymi tutejszymi ochroniarzami, których poznałem. Musiałem więc założyć, że on wcale nie należał do ochrony Roseland i nie powinienem mu ufać ani na jotę.

Wziął następny głęboki oddech, wypuścił powietrze, otworzył oczy i powiedział:

— Moje prawdziwe imię to Jack. Nazwali mnie Jack Keister.

— To po prostu okrutne.

— Skurwysyńskie dranie — stwierdził, co uznałem za mniej drastyczne określenie jego rodziców. — Wyśmiewali się ze mnie od pierwszego dnia w przedszkolu. Te małe gnojki nie mogły nawet zaczekać do pierwszej klasy. Jak tylko skończyłem osiemnaście lat, pobiegłem do sądu zmienić nazwisko.

O mało nie zapytałem: „Na Kenny Keister?“, ale na szczęście ugryzłem się w język.

— Kenneth Randolph Fitzgerald Mountbatten — oznajmił, przetaczając te słowa po języku ze swadą najlepszego brytyjskiego aktora.

— Imponujące — oceniłem — i pasuje doskonale, jeśli można zauważyć.

Niemal się zarumienił z zadowolenia.

— Zawsze mi się podobały te nazwiska, więc je połączyłem.

Jak na złość nie mogłem wymyślić nic więcej do powiedzenia. O ile Kenny Mountbatten nie okaże się bardziej utalentowanym gawędziarzem, niż świadczyły wszystkie dotychczasowe przesłanki, nasza rozmowa właśnie dobiegła końca.

Nie zdziwiłbym się, gdyby dla podkreślenia swojej ostatniej wypowiedzi strzelił mi w brzuch.

Zamiast tego spojrział w lewo, potem w prawo, nagle zauważywszy szybką zmianę oświetlenia. Zrobił tak przerażoną minę, że pomimo paskudnych blizn, ohydnych zębów i krokodylich oczu widziałem przez moment w jego twarzy udręczonego małego chłopca, którym niegdyś był.

— Spóźniłem się — wymamrotał drżącym głosem — spóźniłem, spóźniłem, spóźniłem.

Odwrocił się i popędził do drzwi, przez które obaj przedtem weszliśmy. Wciąż powtarzając to jedno słowo, wybiegł z budynku wcale nie jak Terminator, którego przypominał, bardziej jak Biały Królik spieszący się w obawie przed karą, jaka go spotka, jeśli spóźni się na herbatkę u Szalonego Kapelusznika.

Po wschodniej stronie stajni okna wpuszczały o wiele za mało światła jak na poranek, który wstał tak niedawno przy bezchmurnym niebie. Natomiast każda szyba w zachodnich oknach gorzała niczym rubin.

Szybko postępujące zachmurzenie mogło wyjaśnić gasnące światło we wschodnich oknach, ale nie płomienny blask w tych od zachodu. Przyszedł mi do głowy pożar lasu, kłęby czarnego dymu na wschodzie, ryczące płomienie na zachodzie, nie czułem jednak zapachu dymu; zresztą w ciągu kilku minut żaden pożar nie urośnie od zapalki podpalacza do grzmiącego inferna.

Nie chciałem deptać Kenny'emu po piętach, wolałem raczej, żeby o mnie zapomniał, więc odczekałem chwilę, zanim ruszyłem do drzwi. Zostawił je otwarte na szerokość około metra.

Na progu zawałałem się, bo świat na zewnątrz nie wyglądał tak, jak powinien.

Za drzwiami jak przedtem ciągnął się trzymetrowy pas gołej ziemi, ale kamień i zgnieciona puszka po coli, rzucające przedtem pojedyncze cienie jak ja, zniknęły. Za jałowym splechietkiem rosły chwasty, w oddali znajome wiecznie zielone dęby rozpościerały czarne gałęzie.

Jednak wszystko było skąpane w złowieszczym świetle, tym samym, z którego przedtem wylatywały koszmarnie nietoperze większe od orłów. Wysoko w górze i na zachodzie serpentynowe rzeki sadzy i popiołu płynęły po żółtym niebie. Na wschodzie niebiosy miały odcień ciemnej musztardy przechodzący w czern. Noc zapadała nad górami i wzgórzami, zbliżała się do mnie coraz bardziej — noc, kiedy ani odrobina gwiazdnego blasku nie zdoła się przebić przez apokaliptyczny płaszcz spowijający świat.

Zaledwie parę minut wcześniej trwał świeży poranek, a teraz dzień powoli wpełzał do swojego legowiska w dalekim Pacyfiku. Tajemnica podwójnych cieni budynku wciąż mnie intrygowała, ale okazałem się zbyt kiepskim detektywem, żeby wydedukować ich znaczenie albo przewidzieć rozwiązanie, które wydawało się zbliżać wielkimi krokami.

Intuicja ostrzegła mnie jednak, żebym nie próbował wyjść w ten żółty zmierzch, bo to może być niebezpieczne, jeśli nie wręcz samobójcze przedsięwzięcie. Leżało tam Roseland przerażająco różne od majątku, który znałem. I na czymkolwiek polegała ta różnica, bynajmniej nie była tak niegroźna jak fakt, że w tym Roseland rosły róże.

Zasunąłem drzwi z brązu, ale nie mogłem ich zamknąć na klucz. Zapewne koni nie zamykano z obawy przed pożarem. A od czasu, kiedy zbudowano tę posiadłość w latach dwudziestych ubiegłego wieku, w Kalifornii nie grasowały bandy koniokradów, przed którymi należało się strzec.

Kiedy wracałem kamiennie-miedzianą alejką przez środek budynku, kinkiety na słupach zaczęły przygasać. A potem zgasły całkowicie.

Noc dotarła do wschodnich okien, a każda ołowiowa płytką miedzianego szkła po zachodniej stronie wyglądała jak wizjer hutniczego pieca. Wnętrze stajni było smolście czarne, tylko na słupach i drzwiach boksów tliły się czerwono-pomarańczowe odbłaski fałszywego ognia.

W mroku nie widziałem, czy naturalne prawo jednego cienia dla każdego przedmiotu nadal obowiązuje wewnątrz budynku, czy też dodatkowe, niewytłumaczalne cienie padają na wszystkie strony.

Do tej pory dziwnie bezwonna stajnia pachniała teraz ozonem, zapachem wybielacza, jaki często zostaje w powietrzu po uderzeniu pioruna i utrzymuje się niekiedy przez całe godziny, gdy już gromy ucichły i burza się oddaliła. Ale tego dnia nie padało i nie zanosilo się na deszcz.

Nie wiedziałem, na co czekam, ale wiedziałem, że to nie będzie komitet powitalny z darmowymi prezentami od miejscowych kupców. Nagła ucieczka Kenny'ego — „Spóźniłem się, spóźniłem, spóźniłem!” — sprawiała wrażenie, jakby nie tyle obawiał się, że nie zdąży na umówione spotkanie, ile bał się przyłapania w tym miejscu po zapadnięciu nocy. Twardy, potężny mężczyzna, ubrojonny po zęby. Przerazony jak mały chłopiec.

Nieprzewidziany zmierzch, następujący zaraz po wschodzie słońca, posiadał takie kosmiczne implikacje, że serce kurczyło mi się w piersi. Biło szybko jak serce królika, kiedy ujrzy w ciemności błysk ślepiów polującego wilka.

Strach upija szybciej niż whisky. Najwyraźniej miałem łyknąć podwójną porcję, ale musiałem wziąć się w garść, zachować trzeźwość i spokój.

Na wschodzie noc całkowicie wypełniła ołowiowe szyby — z wyjątkiem leniwej ósemki osadzonej pośrodku każdego okna. Te miedziane symbole świeciły, chociaż ich blask nie przenikał przez ciemne szkło. Nie sądziłem, że stanowił jedynie odbicie czerwonego, coraz bardziej posępnego światła, które płonęło naprzeciwko w zachodnich oknach.

Po pospiesznej rejteradzie Kenny'ego początkowo w stajni zaległa cisza, nagle jednak usłyszałem, że na zewnątrz coś cicho obija się o zachodnią ścianę. Więcej niż jedno coś. Kilka. W różnych miejscach wzdłuż boku budynku.

W poczerwieniałym oknie ukazała się jakaś postać, pozbawiona szczegółów, tylko sylwetka na tle zachodzącego słońca. Dostrzegłem zarys głowy, wymachującego ramienia, chwytającej dłoni.

W pierwszej chwili założyłem, że to człowiek. Chociaż głowa, ramię i dłoń wydawały się zniekształcone, taki efekt mogły spowodować nierówności grubego szkła i ostry kąt padania promieni słonecznych.

Szkarłat słońca przechodził w purpurę i w pozostałych oknach też majaczyły cienie, mniej wyraźne, bardziej zdeformowane, co najmniej kilka osobników.

Z sekundy na sekundę przestawałem wierzyć, że stukanie i skrobanie w ścianę stajni jest ludzkie.

Po pierwsze, oni wydawali się nie przejmować hałasem, jaki powodowali, jednak żaden się nie odezwał. Istoty ludzkie, nawet kiedy próbują się zachowywać cicho, rzadko potrafią się powstrzymać od komentarzy albo przynajmniej stłumionych przekleństw; jesteśmy gadatliwym gatunkiem, oprócz innych cech.

Co więcej, oni nie sprawdzali wytrzymałości ściany ani nie ogłaszali swojej obecności. Wymacywali sobie drogę wzdłuż budynku, bez wątplenia szukając drzwi, ale nie jak normalni ludzie. Noc jeszcze nie objęła we władanie całego świata. Pozostało dość światła, żeby człowiek widział otoczenie. Ich niezgrabne, hałaśliwe ruchy sugerowały, że jeśli to ludzie, są ślepi albo kulawi, albo jedno i drugie.

Nie chciało mi się wierzyć, że armia kalek przemierzyła rozległe tereny Roseland, żeby zwiedzić stajnię albo — z jakiego powodu? — zmierzyć się ze mną, skulonym w środku.

Czymkolwiek były te stwory, które rzuciły pokręcone cienie na okna i obijały się o ściany, wołałem ich nie spotkać. I czegokolwiek chciały ode mnie, nie zamierzałem im tego dać.

Pierwszy z nich skręcił za róg i znalazł północne drzwi, którymi niedawno uciekł Kenny. Uderzył kilkakrotnie w brąz, nie jakby grzecznie pukał przed wejściem, raczej jakby badał charakter przeszkody. Oprócz łomotania rozległy się podejrzanym szmery w okolicach kłamki.

Zastanawiając się po raz pierwszy, skąd Kenny miał te blizny na twarzy, ruszyłem pospiesznie w stronę południowych drzwi stajni.

Nie chciałem ryzykować wędrówki przez tę upiorną noc do wieży w gaju eukaliptusów. Ale nie uśmiechała mi się również perspektywa czekania tutaj na niepożądanych gości.

Kiedy podszedłem do południowych drzwi, wielka płyta z brązu zahaczała od uderzeń. Coś próbowało się dostać do środka. Jako zwykły kucharz od grilla, widujący duchy, ale nieposiadający zdolności teleportacji, znalazłem się w pułapce.

Siodlarnia po lewej stronie nie miała drzwi zamykanych na klucz. Ogołocoנו ją ze wszystkich sprzętów, więc nie mogłem się tam zabarykadować.

Dziesięć pustych boksów za moimi plecami także nie oferowało żadnej kryjówki.

Po prawej stronie znajdowały się drzwi do paszarni, pomieszczenia o długości około trzech i pół metra. Ponieważ nie miała okien, było tam czarno jak w lochu.

Zwiedziłem paszarnię podczas poprzedniej wizyty. Wiedziałem, że pod ścianą z prawej strony stoją puste regały, a naprzeciwko dwa długie na półtora metra pojemniki, każdy wysoki na metr trzydzieści i głęboki na jakieś metr dwadzieścia.

Pojemnik bliżej drzwi miał na wierzchu trzy wieka na zawiasach i był podzielony na trzy komory. Musiałbym się rozczłonkować i rozparcelować, żeby się tam zmieścić.

Drugi pojemnik miał podwójne wieko, ale tylko jedną dużą komorę. Mocna konstrukcja z ciężkiego, dobrze spasowanego drewna, w środku szczelnie wyłożona nierdzewną stalą. Każda pokrywa miała zagiętą krawędź, która

wchodziła w rowek na brzegu pojemnika i tworzyła hermetyczne zamknięcie, zapewne żeby chronić ziarno przed myszami.

Gdybym miał wybór, nie włożyłbym do tego pustego pojemnika, który, jak pamiętałem, niepokojąco przypominał trumnę. Lecz jeśli natrętni goście, obecnie walący w drzwi po obu stronach stajni, mieli wrogie zamiary, alternatywami dla ukrycia się w pojemniku były śmierć w siodlarni, śmierć w przejściu albo śmierć w jednym z końskich boksów, a żadna z tych opcji mnie nie zachwycała.

Nie wiedziałem, czy nieznani przeciwnicy dysponowali oczami, sam jednak byłem praktycznie ślepy, kiedy zasunąłem za sobą drzwi paszarni — oczywiście bez zamka — i wymacałem drogę do drugiego pojemnika. Podniosłem jedną pokrywę i przechyliłem do tyłu, aż zablokowała się automatycznie w otwartej pozycji.

Nie musiałem włączyć do środka po cichu, ponieważ pod ciosami stworów, które chciały urządzić sobie w stajni konferencję albo ucztę, drzwi z brzędu dzwięczały jak dzwony.

Na spodzie pokrywy znajdował się piętnastocentymetrowy uchwyt zakończony gąłką. Stojąc przed pojemnikiem, można było sięgnąć do uchwytu i pociągnąć, żeby zwolnić blokującą zapadkę w zawiasach i opuścić pokrywę z powrotem.

Kiedy usłyszałem, że kółka północnych drzwi turkoczą w prowadnicy, wskoczyłem do tej niezbyt zadowolającej kryjówki i opuściłem pokrywę. Skuliłem się w pojemniku na paszę z nadzieją, że jego nazwa okaże się mniej trafna teraz niż w przeszłości.

Siedząc na podłodze tej skrzyni, mocno trzymałem oba uchwyty przyspawane do pokrywy. Liczyłem, że jeśli ktoś wejdzie do paszarni i spróbuje otworzyć pojemnik, pomyśli, że pokrywa skorodowała i zaklinowała się ze starości.

Południowe drzwi również odtoczyły się na bok, wyjątkowo głośno, ponieważ kasety, do której się chowały, znajdowała się za tylną ścianą paszarni.

Po otwarciu drzwi na wystarczającą szerokość zapadła cisza, jakby przybysze po prostu weszli do środka i stanęli w przejściu między boksami. Co tam robili?

Pewnie nasłuchiwali odgłosów, które mogły zdradzić moją obecność, podobnie jak ja słuchałem, co oni robili. Ale ponieważ ja byłem jeden, a ich wielu, powinni szukać bardziej agresywnie, z większą pewnością siebie.

Upłynęła kolejna minuta. Zacząłem się zastanawiać, czy oni naprawdę weszli do stajni po otwarciu drzwi, czy ciągle jeszcze stali na progu.

W izolowanej skrzyni na paszę i tak nie mógłbym ich słyszeć, gdyby nie dwa rzędy otworów na przedniej ścianie, oddzielone trzydziestocentymetrowym odstępem. W każdym rzędzie znajdowało się pięć otworów o średnicy dziesięciu centymetrów każdy, zakrytych drobną siatką. Zapewne służyły do wentylacji, żeby przechowywane tu ziarno nie pleśniało. Dzięki nim powinienem usłyszeć każdego, kto spróbuje się podkraść.

Chlorowy zapach ozonu spotężniał do tego stopnia, że bałem się, żeby nie kichnąć.

Bez kierownictwa wiary ludzki umysł to niekontrolowany generator zmartwień, dynamo negatywnych oczekiwań. A ponieważ sam nadajesz kształt swojemu życiu dzięki wolnej woli, jeżeli zanadto się martwisz o zbyt wiele rzeczy, jeżeli nie pokładasz zaufania w opatrności, twoje obawy częściej się spełniają.

Sami ściągamy na siebie wiele kłopotów, od drobnych niepowodzeń po katastrofy, bo rozmyślałyśmy o nich tak długo, aż możliwe stanie się nieuniknionym.

Zatem nakazałem sobie przestać się martwić o kichanie i oddać się w opiekę opatrności. „Szybko teraz, tu, teraz, zawsze, jeśli spełnimy warunek doskonałej prostoty”³ (jak mówi poeta), nadzieja i ufność pomogą nam utrzymać się na powierzchni, podczas gdy strach szybciej nas zatopi.

Cisza w ciszy... Zacząłem już myśleć, że goście odeszli, kiedy drzwi paszarni się otworzyły.

Ktokolwiek je otworzył, nie miał latarki. Widocznie noc już całkowicie pochłonęła dzień, ponieważ przez zasłonięte siatką otwory nie docierał do mnie nawet najsłabszy promyk zachodzącego słońca z okien w głównej części stajni.

Co najmniej jeden z gromady, szurając, przekroczył próg. Wydawał się wielki i ciężki, chociaż niekoniecznie wysoki, ponieważ w jego ruchach wyczuwałem pewną niezgrabną ociężałość.

Pierwsze wieko pojemnika na paszę bliżej drzwi uniosło się z cichym zgrzytem i słabym skrzypieniem zawiasów. A potem opadło z hukiem. Drugie wieko. Trzecie.

W ciemnym pomieszczeniu intruz zajrzał do trzech całkowicie ciemnych przegródek pojemnika i ocenił, że są puste. Jeśli nie dysponował najnowocześniejszym i najlepszym noktowizorem najnowszej generacji, widocznie z natury widział w ciemnościach równie dobrze jak kot.

Mocno ściskając oba uchwyty na pokrywach w mojej kryjówce, przyczołowałem się i czekałem, aż ktoś spróbuje je otworzyć.

Intruz doczłapał do drugiego pojemnika, ale nie próbował od razu go otwierać, tylko najpierw brzdąknął na siatkach kilku otworów wentylacyjnych przed moją twarzą.

Jeśli ciemność nie oślepiła łowcy tak jak mnie, cieniutka druciana siatka powinna mnie zasłonić przed jego wzrokiem przynajmniej częściowo. Jednak przerażała mnie myśl, że właśnie teraz możemy patrzeć sobie w oczy.

Dygresje są niebezpieczne. Musiałem się skupić na przytrzymywaniu pokryw z całej siły, żeby nawet nie drgnęły i wydawały się zaklinowane, gdyby mój przeciwnik nagle za nie szarpnął.

Następne brzęknięcie na siatkach wydawało się prowokujące, jakby myśliwy wiedział, gdzie jestem, i chciał mi zagrać na nerwach, może posolić moje mięso potem strachu, żebym był smaczniejszy.

Teraz węszenie. Węszenie przy zasłoniętych otworach, jakby posokowiec wietrzył trop.

Cieszyłem się, że powietrze tak cuchnie ozonem, bo to z pewnością utrudni wykrycie mojej osoby.

Węszenie spotęgniało w wibrujące parsknięcie, niesamowicie głośne drganie nozdrzy i przegrody nosowej, parsknięcie nie człowieka ani psa, tylko jakiegoś drapieżnego stwora.

Chlorowany ozon łaskotał mi zatoki, ale ufałem opatrności, że nie pozwoli na kichnięcie, nie zamierzałem się martwić, odrzucałem negatywne możliwości i nie kichałem, nie kichałem, wciąż nie kichałem, ale nagle puściłem bąka.

W pustym pojemniku wyłożonym stalą moja niefortunna erupcja zagrzała tak głośno, że spaliłbym się ze wstydu, gdyby zależało mi głównie na tym, by uchodzić za dobrze wychowanego. Jednak przede wszystkim zależało mi na przeżyciu. W tamtej chwili nie było we mnie miejsca na wstyd, ponieważ wypełniało mnie przerażenie.

Narcyzm jest powszechny w tej dojrzałej epoce samouwielbienia, co mnie dziwi, ponieważ życie tak często uczy nas pokory. Każdy z nas potencjalnie jest głupcem, każdy musi znosić konsekwencje cudzej głupoty, a jakby to nie wystarczało, natura ustawicznie uświadamia nam absurdalność naszych poczynań i przypomina w ten sposób, że bynajmniej nie jesteśmy władcami wszechświata, za jakich lubimy się uważać.

Zanim jeszcze się zdradziłem tym niedelikatnym dźwiękiem — zaznaczam, że tylko dźwiękiem — wiedziałem, że nie jestem władcą wszechświata. Miałem tylko nadzieję, że zostanę władcą pojemnika na paszę, a właściwie sekretnym władcą.

Te skromne ambicje prysły, kiedy intruz w ciemności złapał za wieko i próbował siłą otworzyć najpierw jedną, potem drugą połowę, a potem obie jednocześnie.

Z rozpaczliwym uporem ścisnąłem mocno uchwyty, łatwiejsze do utrzymania niż krawędź pokrywy, z którą walczył mój przeciwnik.

Usiłując się do mnie dobrać, nie tylko parsknął, ale również warczał, chrząkał i stękał, a nawet skomlał, z czego wywnioskowałem, że moje podejrzania są słuszne i że to nie jest człowiek, gdyż ani razu nie powiedział „kurwa”.

Kolejni przedstawiciele jego gatunku stłoczyli się w ciemnym pomieszczeniu. Chór zwierzęcych odgłosów, jakie wydawali, nie przypominał skrzeczenia małp, ale tworzył kakofonię przewyższającą nawet zgiełk w małpiarni podczas burzy z piorunami.

Pierwszy intruz nadal starał się podważyć pokrywy, a inni zaczęli walić w wierzch i boki pojemnika. Ponadto kołysali moją kryjówką w przód i w tył, chociaż była zbyt nieporęczna i mieli za mało miejsca do manewru, żeby przewrócić ją na bok.

Czułem się jak mysz zamknięta w puszcze, wydana na pastwę okrutnych dzieciaków.

Ponieważ moje życie wypełniają walka, pościgi i ucieczki, częściej na piechotę niż samochodem, i ponieważ zjadłem znacznie mniej smażonych potraw, niż przygotowałem dla innych, jestem w całkiem dobrej kondycji. Ale ramiona już mnie rozboleły od wysiłku, jaki wkładałem w utrzymanie podwójnego wieka.

Z minuty na minutę pozytywne myślenie stawało się coraz trudniejsze.

Jeden lub kilku z tej wygodniejszej tłuszczy — jeśli rzeczywiście kierowała nimi nadzieja na obiad, a nie coś jeszcze bardziej niewyobrażalnego — gwałtownie

drapało osłony otworów wentylacyjnych, a potem zaczęło je rozdzierać. Cienka druciana siatka pękła z takim odgłosem, jakby wodzik rozdzielał ząbki zamka błyskawicznego, co sugerowało, że napastnicy mieli albo noże, albo wyjątkowo ostre pazury.

Nie mogli do mnie sięgnąć przez dziury o średnicy dziesięciu centymetrów, ale mogli mnie dźgać nożami lub kijami, czego się spodziewałem w każdej chwili. Jeśli widzieli po ciemku, co wydawało się prawdopodobne, i jeśli siatki już im nie zasłaniały widoku mojej osoby, wiedzieli dokładnie, gdzie dźgnąć, żeby uzyskać najlepszy efekt.

Wypatrywałem w ciemności błysku zwierzęcego oka, ale nie dostrzegłem niczego. Gdyby nie odgłosy wyrażające łaknienie i gniew, mógłbym ich wziąć za zabójcze roboty o spojrzeniu czarnym jak śmierć, zamiast oczu wyposażone w kamery, które pochłaniają całe spektrum światła.

Ręce miałem śliskie od potu i jedna dłoń nieznacznie omsknęła się z uchwytu. Mój pierwszy przeciwnik natychmiast zareagował na to drobne potknięcie i szarpnął pokrywę ze zdwojonym zapałem.

Serce mi waliło tak mocno, że puls wybijał w uszach gorączkowy rytm tam-tam-tów; nawet w hałasie wywoływanym przez napastników słyszałem swój urywany oddech.

Odkąd straciłem Stormy, nie zależało mi na życiu. Gdybym miał umrzeć młodo przez jakiś boski akt miłosierdzia, na przykład nagły wypadek albo udar mózgu, wcale bym się nie przejmował. Ale jak większość ludzi, którzy przerzucając kanały, trafili na scenę z najnowszej remake'u *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną* albo otworzyli powieść Stiega Larssona na niewłaściwej stronie, boję się długiego i paskudnego umierania, obejmującego tortury albo pożarcie żywcem.

Oczywiście teraz, kiedy już nie musiałem się martwić, że się zdradzę kichnięciem, gryzący zapach ozonu trochę złagodniał i nagle poczułem smród hordy zombie, wściekłych niedźwiedzi czy czymkolwiek te istoty były. Zresztą nazwanie tego smrodem byłoby równie nieadekwatne jak stwierdzenie, że gnijąca kapusta pachnie mniej przyjemnie od róży.

Zacząłem się krztusić. Fetor był tak intensywny, że czułem również jego smak. Gdyby mnie zemdlilo, gdybym dostał skurczów wymiotnych, nie mógłbym utrzymać pokryw dostatecznie mocno, żeby nie wpuścić bestii. Oczywiście na samą myśl o rzyganiu zebrało mi się na rzyganie. Gorzka masa podeszła mi do gardła. Przełknąłem ją, ale wiedziałem, że po raz drugi jej nie przełknę.

Nieoczekiwanie horda w paszarni ucichła i zaprzestała ataków. Smród szybko się rozwiął, zniknął całkowicie, jak wcześniej cierpki zapach ozonu.

Prze poszarpane osłony otworów wentylacyjnych widziałem, że do ciemnego wnętrza z otwartych drzwi wlewa się odblask lamp stojennych, a może również światło dnia. Błady snop światła przypominał fosforyzującą parę zimnego oddechu, która skraplała się nierówną szarą warstwą kondensacji na szorstkich drewnianych ścianach.

Często stykam się z przemocą. Ale nie spotkałem dotąd złych facetów, którzy w kulminacyjnym momencie ataku, mając właściwie zwycięstwo w garści, nagle robią się nastawieni pokojowo i odchodzą, żeby medytować.

Czymkolwiek byli, nie przypuszczałem, że wycofali się pod wpływem wyrzutów sumienia i dla odmiany zapragnęli okazać trochę miłosierdzia.

Niektórzy ludzie nie rozumieją zła i wierzą w jego poprawę. Oni są ojcami i matkami wszelkich wojen, ponieważ ich nieuzasadnione nadzieje inspirują mroczne serca do snucia jeszcze mroczniejszych marzeń. Zło nie stanie się dobrem; trzeba je pokonać. A nawet pokonane, wykorzenione i oczyszczone ogniem zło zostawia po sobie nasiona, które pewnego dnia wykiełkują i w rozkwicie znowu pozostaną niezrozumiane.

Ja nikogo nie pokonałem. Nie byłem taki głupi, żeby wierzyć, że tajemniczy napastnicy nie wrócą. Pytanie tylko: kiedy?

Mocno trzymając uchwyt na spodzie pokrywy, wytrzymałem słuch, ale słyszałem tylko własny spokojniejszy oddech i od czasu do czasu brzdęknięcie, kiedy wkładka z nierdzewnej stali wyginała się pod wpływem nieznaczących przesunięć mojego ciężaru.

Po jakiejś minucie blade światło, brak ozonu i cisza skłoniły mnie do konkluzji, że chrząkająca horda nie odeszła z własnej woli, tylko coś ją wymiotło, kiedy zbyt wczesna noc magicznie się cofnęła i powrócił poranek.

Nie wiedziałem, w jaki sposób noc zapadła tak szybko po brzasku ani jak mogła się cofnąć — zupełnie jakby czas nie był rzeką płynącą stałym kursem, tylko zmiennym wiatrem, dmuchającym raz w plecy, raz w oczy.

W moim dziwnym życiu doświadczyłem wielu nadnaturalnych zjawisk, ale nigdy czegoś takiego.

Można argumentować, że większość spośród osobliwych zjawisk, z którymi się stykam, w rzeczywistości jest naturalna jak Słońce i Księżyc; to tylko pięć zmysłów innych istot ludzkich jeszcze nie przystosowało się w pełni do świata.

Ta teoria sugerowałaby, że jestem kimś wyjątkowym, lepszym od świata, ale wiem, że to nieprawda. Pomimo swoich zdolności w niczym nie jestem lepszy od każdego innego grzesznika szukającego zbawienia — podobnie jak dobry muzyk nie jest lepszym człowiekiem od muzycznego beztalencia — a od niektórych ludzi jestem nawet gorszy.

Gotów przyjąć możliwość, że nie zostaną rozszarpany i pożarty, jeśli zaryzykuję wyjście z kryjówki, puściłem jedną pokrywę, uniosłem drugą i wygramoliłem się z pojemnika na paszę.

Sądziłem, że teraz wiem, co czuje homar uwięziony w zbiorniku obok stanowiska maître d' w restauracji, kiedy głodni goście czekający na stolik bębnią w szkło i komentują jego rozmiary i mięsistość.

Wyszedszy z paszarni, zobaczyłem, że południowe drzwi stajni są zamknięte, a północne otwarte dokładnie na taką szerokość, jak je zostawiłem wcześniej, kiedy tu wchodziłem. Kinkiety, które przedtem zgasły, teraz się paliły. Dzień za oknami wyglądał tak, jak powinien: mnóstwo światła, jaśniejsze na wschodzie niż na zachodzie.

Czujnie przeszedłem przez stajnię do otwartych drzwi, ale nie napotkałem żadnego zagrożenia.

Zgasiałem światło i wyszedłem na dwór, w jasny, pogodny, wzorowy poranek. Świetlisty pędzel pojedynczego słońca malował drzewa, trawę i pochyły stok. Odległy ocean pozostał w połowie ciemny niczym szara dachówka, pomazana odrobina łagodniejszych odcieni gliny, z której ją uformowano. Stajnia rzucała pojedynczy czarny cień na zachód, tak jak ja. Kamień i zgnieciona puszka po coli

znowu się pojawiły; jak wszystko dookoła, odbijały swoje sylwetki tylko po zachodniej stronie w zwykłym świetle dnia.

Przez chwilę jakaś siła wprowadziła do świata chaos, a następnie wstrzymała egzekucję. Ten świat należy do cielesnych ludzi, którzy często buntują się przeciwko porządkowi, wybierając pozorną wolność odmierzonego chaosu. Jednak chaos na wpół spętany nie daje się długo kontrolować; musi być wszystko albo nic. Wyrok odroczone nie na długo.

Cokolwiek się działo w Roseland, zostało niefortunnie stworzone przez ludzi żądnych władzy, ponieważ to żądza władzy w takiej czy innej postaci leży u korzeni wszystkich podstawowych ludzkich pragnień. Wyczuwałem, że nie tylko grunt przechylał się ze wschodu na zachód; w obrębie murów tej posiadłości również samą rzeczywistość odchyłono od normy i dalej przekrzywiano pod coraz ostrzejszym kątem, aż Roseland nagle ześliznę się w ruinę, rozsądek omsknie się w szaleństwo i wszyscy spadną w śmierć.

Słońce dopiero wstało, ale czas już się kończył.

Jeśli pozostali mieszkańcy Roseland zauważyli nadejście nocy tak szybko po świcie, a potem jej równie zdumiewający odwrót, przyjęli to niezwykle spokojnie. Idąc przez posiadłość, spodziewałem się zobaczyć na tarasach i trawnikach co najmniej kilka osób spoglądających w niebo ze zdumieniem, jeśli nie ze strachem, nikogo jednak nie spotkałem. Chociaż nie mogłem zrozumieć, jakim sposobem tak wstrząsające kosmiczne zjawisko mogło się ograniczyć do stajni, widocznie tylko ja go doświadczyłem.

Widuję zmarłych zwlekających z odejściem, ale nie miewam halucynacji. I nie wierzyłem, że szef kuchni Shilshom naszpikował mojego migdałowego croissanta pejotlem. Gdyby strażnik przy wjazdowej bramie, dokąd zmierzałem, nie wspomniał o zaćmieniu Słońca, to by znaczyło, że zmiana z dnia w noc i z powrotem w dzień miała nietypową lokalizację.

Ponad dwadzieścia hektarów Roseland otaczał betonowy mur, wysoki na prawie trzy metry i gruby na metr, oblicowany kamieniami zebranymi z terenu posiadłości. Jedyne wejście stanowiła imponująca brama na końcu podjazdu, wykonana nie z prętów i krat, przez które mogli zajrzeć ciekawscy, tylko z solidnych płyt z brązu, ozdobionych miedzianymi dyskami jak te na podłodze stajni.

Stróżówkę zbudowano z tego samego kamienia. Podobnie jak wieża dla gości w eukaliptusowym zagajniku, okna miała wąskie i zakratowane, a okute żelazem dębowe drzwi mogły się oprzeć hordom barbarzyńców.

Budynek o długości około czterech metrów, dość duży jak na swoje przeznaczenie, zawierał biuro, kuchnię i łazienkę. Zajrzałem do środka tylko przelotnie, przez otwarte drzwi, w drugim dniu naszego pobytu. Ale nie mogłem nie zauważyć w głębi pod ścianą stojaka na broń — dwie śrutówki, jedna z pistoletowym chwytem, i dwa karabinki szturmowe.

Najwyraźniej nie zamierzali pozostawiać komiwojażerom żadnych wątpliwości, że kiedy mówią: „nie”, to mówią poważnie.

Od północnej strony budynku, obok podjazdu, wiata dwumetrowej głębokości z pochyłym dachem, wsparta na czterech słupkach, zapewniała strażnikowi osłonę przy brzydkiej pogodzie, kiedy rozmawiał z przybywającymi gośćmi. W cieniu tej wiaty, na prawo od drzwi, Henry Lolam siedział w kapitańskim krześle z wyściełanym siedziskiem.

Około trzydziestki, chłopięco przystojny, na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie żółtodzioba. Z twarzą bez zmarszczek, ustami niewinnymi jak usta dziecka, których jeszcze nie skaziło żadne przekleństwo, z policzkami w odcieniu skórki brzoskwini, wyglądał, jakby nie dotknęło go żadne zło tego świata, jakby płynął przez życie niczym puszek dmuchawca unoszony najłżejszym, najłagodniejszym powiewem cieplej bryzy.

W tej chłopięcej twarzy zielone oczy wydawały się obce, pełne tęsknoty i cierpienia, a czasami zadziwione.

Jak podczas moich dwóch poprzednich wizyt, Henry czytał tomik poezji. Na stoliku obok krzesła leżały inne rozrzucone bezładnie tomiki takich poetów, jak Emerson, Whitman i Wallace Stevens — bandy, którą niebezpiecznie wpuszczają do głowy.

Sceptycy mogą podawać w wątpliwość fakt, że ochroniarz — „wynajęty gliniarz” w szyderczym hollywoodzkim żargonie naszych czasów — zaczytuje się w poezji. Współczesna kultura, z obsesją na punkcie tożsamości grupowej, niechętnie podejmuje temat unikatowości jednostki. Jednak Henry był sobą i nikim innym, i sądząc po intensywnym skupieniu na tych wersach, czerpał z nich głęboką przyjemność.

Zatrzymał się dłużej na ostatnich liniijkach poematu, więc oparłem się o słupek ganku i czekałem. Nie był niegrzeczny, po prostu go wciągnęło.

Przyszedłem go zapytać o Kenny'ego Randolpha Fitzgeralda Mountbattena, który podawał się za ochroniarza w Roseland, chociaż nie nosił munduru innych ochroniarzy — szare spodnie, biała koszula, granatowy blezer — i pod wieloma względami był znacznie bardziej ekstrawagancki niż Henry i jego koledzy.

Czekając, obserwowałem ptaka, chyba sokoła wędrownego, sądząc po znacznej rozpiętości skrzydeł, charakterystycznie prążkowanych na spodzie. Te sokoły polują chętniej na mniejsze ptaki niż na gryzonie, atakują spektakularnie lotem nurkowym i chwytają swoje ofiary w powietrzu.

Kiedy Henry zamknął książkę i podniósł wzrok, wydawał się zagubiony, jakby nie wiedział, gdzie jest ani kim ja jestem.

— Przepraszam, że przeszkadzam — powiedziałem.

Roztargnienie, czy cokolwiek to było, odplynęło i ten sam odpływ wyrzucił uśmiech na gładką plażę jego twarzy. Wyglądał równie chłopięco jak każdy nastolatek na obrazach Normana Rockwella — jeśli nie szukało się w jego oczach czegoś więcej niż zieleni.

— Nie, nie — zaprotestował Henry. — Lubię z tobą pogadać. Siadaj, siadaj.

Wcześniej wystawił na lewo od drzwi drugie krzesło, widocznie przewidując moją wizytę. Usiadłem i zdecydowałem, że nie ma sensu pytać go o zaćmienie.

— Odświeżam sobie moją historię UFO — powiedział Henry.

Fascynowały go doniesienia o porwaniach przez kosmitów i pozaziemskich bazach na ciemnej stronie Księżyca. Przypuszczałem, chociaż nie potrafiłem tego uzasadnić, że szukał w ufologii tego samego, co próbował znaleźć w poezji.

Zdawałem sobie sprawę, jakie to śmieszne, że ta sama osoba, która widuje duchy, odrzuca istnienie przybyszów z kosmosu, niemniej powiedziałem:

— Przepraszam pana, ale nie kupuję tego szajsu o latających spodkach i tak dalej.

— Kilka osób, które zostały uprowadzone, przeszło testy na wykrywaczach kłamstw. Istnieje obszerna dokumentacja.

— Wie pan, to dla mnie nie ma sensu, że superinteligentna rasa przemierza całą galaktykę, żeby porywać ludzi i wsadzać im sondy w odbyty.

— No, nie tylko to robią podczas badań.

— Ale to zawsze wydaje się najważniejsze i na pierwszym miejscu.

— Nie uważasz, że warto co jakiś czas zrobić sobie kolonoskopię?

— Lepiej, żeby zrobił ją lekarz.

— Ale nie tak dokładnie jak kosmici.

— Ale, proszę pana, dlaczego kosmitów interesuje, czy mam raka okrężnicy?

— Może się troszczyć o ciebie — odparł Henry.

Przekonałem się, że jeśli chcę poruszyć jakiś ważny dla mnie temat, muszę tolerować dziwną fascynację Henry'ego proktologami z innych planet. Jednak tolerancja nie znaczy, że mam łyknąć pigułkę szaleństwa i odjechać razem z nim, pozostałem więc sceptykiem.

— Zrypuszczam, że oni po prostu są bardzo troskliwi — upierał się Henry.

— I lecą pięćdziesiąt lat świetlnych, żeby mi zrobić kolonoskopię? Od takiej troskliwości ciarki przechodzą.

— Nie, Odd, zrozum, może dla nich pięćdziesiąt lat świetlnych to jak dla nas pięćdziesiąt kilometrów.

— Nawet jeśli ktoś jedzie tylko pięćdziesiąt kilometrów, żeby mi wsadzić sondę w tyłek bez mojej zgody, to dla mnie jest zbroczony.

Na wzmiankę o obcych twarz Henry'ego rozjaśniła się zachwytem, a dołączki sugerowały rozbawienie niczym u psotnego chłopca, kiedy ma pozornie uzasadnioną okazję rozmawiać o tyłkach i innych takich.

— Pewnie pobierają też próbki DNA.

Wzruszyłem ramionami.

— Więc dam im kosmyk włosów.

Uśmiechając się marzycielsko, ale obracając tomik poezji w rękach jakby ze zdenerwowaniem, powiedział:

— Niektórzy eksperci od UFO uważają, że obcy pokonali śmierć i pragną nas obdarzyć nieśmiertelnością.

— Obdarzyć wszystkich?

— Są tacy współczujący.

— Lady Gaga jest fajna — rzuciłem. — Ale za tysiąc lat nie chcę słuchać jej siedemsetnego albumu.

— To nie będzie takie nudne. Jeśli jesteś nieśmiertelny, możesz zmieniać zawód bez końca. Być piosenkarzem jak Lady Gaga, a ona może być kucharką.

Skrzywiłem się.

— Nie umiem śpiewać i mam przeczucie, że ona nie umie gotować.

Henry raz po raz uparcie, nie patrząc, przerzucał kciukiem stronicę książki z takim odgłosem, jakby tasował talię kart.

— Ulepszeni przez technologię obcych, będziemy mogli robić wszystko doskonale.

— Więc po co robić cokolwiek?

— Jak to?

— Jeśli nie mamy się czego uczyć, bo wiemy wszystko, gdzie jest wyzwanie, gdzie nagroda za wysiłek, gdzie sens?

Jeszcze przez chwilę kartkował tomik poezji, potem jego ręce znieruchomiały i uśmiech zgasł.

Czekałem na odpowiedź, ale milczał. Odezwał się dopiero po chwili:

— Powinienem być na urlopie. Osiem tygodni na Hawajach.

Noah Wolflaw nie wyglądał na gościa, który odgrywa wobec pracowników Świętego Mikołaja, ale nie skomentowałem tych hojnych dwumiesięcznych

wakacji.

Henry spoglądał teraz na sokoła, kołującego leniwie, cierpliwie wypatrującego zdobyczy. Subtelny, lecz niewątpliwy wyraz przygnębienia nie pasował do jego chłopięcej twarzy; podejrzewałem, że coś go gryzie i jeśli zachowam milczenie, wyjawi mi jakieś użyteczne informacje.

— Spędziłem dwa tygodnie na Hawajach i już nie mogłem dłużej wytrzymać. Poleciałem na tydzień do San Francisco, ale nie było lepiej.

Sokół szybował bezgłośnie, a ja czułem się jak ten ptak, krążąc myślami nad strażnikiem i czekając cierpliwie, żeby wymówił słowa, które będą pokarmem dla mnie.

— Nie chodziło o te konkretne miejsca — ciągnął Henry. — Teraz, gdziekolwiek się pojedzie, wszystko jest złe, prawda? Nie wiem czemu, ale tak jest.

Nie sądziłem, że spodziewał się po mnie komentarza. Zdawał się myśleć na głos.

— Ludzie są inni niż dawniej. Tacy szybcy. Otwierają się nieskończone możliwości.

W obawie, że zrobi się równie enigmatyczny jak Annamaria, spróbowałem uściślić:

— Chodzi panu o internet, technologię i tak dalej?

— Technologia nic nie zmienia. Ludzie byli ludźmi przed silnikiem parowym i później, przed samolotami i później. Ale... teraz już nie całkiem. Ściany. W tym rzecz. Problemem są ściany.

Czekałem, ale nie dodał nic więcej. Wreszcie z pewną irytacją, z której nie jestem dumny, powiedziałem:

— Ściany. Tak. Całkowita racja. Musimy mieć ściany, prawda? A może nie musimy? Zaczyna się od ścian, a potem potrzebny jest sufit. I podłoga. I drzwi. Końca temu nie ma. Namioty. To może być odpowiedź.

Jeśli usłyszał moje słowa, nie wyczuł ironii.

— Zostało mi pięć tygodni urlopu, ale już nie mogłem tam wytrzymać. Nienawidzę tego muru dookoła Roseland, ale brama w nim prowadzi donikąd.

Znowu zamilkł, więc ponagliłem go, mówiąc:

— No, według mnie ta brama prowadzi wszędzie. Za nią jest cały świat.

Sądziłem, że rozważa moją mądrą wypowiedź, jednak się myliłem. Przeskoczył na całkiem inny tor myślowy.

— *Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze*⁴.

Chociaż rozpoznałem te słowa, nie od razu skojarzyłem źródło cytatu.

Zanim zdążyłem zapytać, Henry wyrecytował słynne linijki wiersza o sokole i sokolniku, metaforę człowieka i Boga, ten pierwszy odlatujący coraz dalej od tego drugiego, pogańskie okrucieństwo człowieczego serca wyłamującego się z cywilizowanej tradycji.

— Yeats — wymieniłem nazwisko poety i byłbym zadowolony z siebie, gdybym rozumiał, o czym on mówi, do cholery.

— Nienawidzę tego miejsca, tego Roseland bez róż, ale przynajmniej tu jest mur, a mur może powstrzymać rozpad.

Nie wpadł w histerię, jednak nadal był enigmatyczny i miałem wielką ochotę mu przyłożyć, jak czasami na filmach bohater policzkuje histeryzującą bohaterkę, żeby zaczęła w końcu gadać do rzeczy. Jednak pomimo całej frustracji nigdy nie

spoliczkowałbym faceta, który nosi pistolet w podramiennej kaburze pod marynarką tak skrojoną, żeby umożliwić szybkie wydobycie broni.

Henry przeniósł uwagę z sokoła na mnie. W jego twarzy Hucka Finna zielone oczy spoglądały posępnie jak oczy Hamleta.

Nie mógł już wyraźniej okazać swojej wrażliwości. Wyczuwałem, że otworzył się przede mną tak łatwo, ponieważ brakowało mu przyjaciół, szukał przyjaźni i mogłem zacieśnić tę znajomość wystarczająco, żeby zdradził mi sekrety Roseland, które pomogą mi zrozumieć, po co tu jestem i co muszę zrobić.

Jednakże prawdziwa przyjaźń to uświęcony związek, nawet bez składania formalnego ślubowania. Przyjaciele, których zdobyłem w Pico Mundo i wszędzie, gdzie mieszkalem po wyjeździe z domu, bronili mnie przed rozpaczą, podsycali nadzieję. Zastanawiając się, jak zacieśnić znajomość z Henrym, w rzeczywistości zamierzałem nim manipulować. Nie przeszkadza mi manipulowanie złymi ludźmi w dążeniu do prawdy, ale uważałem, że Henry Lolam nie jest zły i nie zasługuje na pogardę wynikającą z manipulacji. Udawanie przed nim przyjaźni oznaczałoby dewaluację każdej prawdziwej przyjaźni w moim życiu.

Podczas gdy się wahałem, sposobna chwila minęła i Henry powiedział:

— Rzadko mamy gości w Roseland.

— Dama, z którą podróżuję, jakoś... oczarowała pana Wolflawa.

— Nie jest w jego typie. Nie jest prostacka, krzykliwa ani tania.

Obrażając swojego pracodawcę, Henry zbudził we mnie nadzieję, że obdarzy mnie zaufaniem, nie żądając, żebym symulował przyjaźń.

Milczenie wydawało się najlepszą taktyką. Po chwili Henry dodał:

— Nie jesteś jej kochankiem.

— Nie.

— Kim jesteś dla niej?

— Przyjacielem. Ona jest sama. Potrzebuje ochrony.

Patrzył mi w oczy, jakby wzrokiem chciał wbić we mnie swoje następne słowa.

— On jej nie chce. Może chodzi o dziecko.

— Pan Wolflaw? Po co mu dziecko?

Poruszywszy ten temat, nie chciał go rozwijać.

— Kto wie? Może on potrzebuje... czegoś nowego.

Wiedziałem, że nie ma na myśli czegoś tak niewinnego, jak nowe doświadczenia związane z wychowywaniem dziecka, więc zapytałem:

— Nowego? Czego nowego?

— Wrażenie — odparł, przenosząc spojrzenie na łowcę szybującego wysoko w błękicie. — Podniety.

Te dwa słowa wywołały takie mnóstwo okropnych skojarzeń, że zamierzałem zażądać od niego wyjaśnień. Zanim się odezwałem, podniósł rękę, żeby mnie powstrzymać.

— Powiedziałem za dużo i nie dość dużo. Jeśli chcesz ją chronić, powinniście natychmiast wyjechać. To miejsce jest... niezdrowe.

Nie mogłem mu powiedzieć, że sprowadziły nas tutaj mój nadnaturalny dar oraz misja Annamarii, na czymkolwiek polegała. Wyjawienie prawdy o moim sóstym zmyśle komuś innym niż najbliższemu przyjacielowi mogłoby spowodować poważne kłopoty.

Annamaria twierdziła, że ktoś w Roseland jest w wielkim niebezpieczeństwie, może chłopiec, o którego się martwiła niezwywa blondynka. Nie wyczuwałem, żeby zagrożoną osobą był Henry. Musiałem dopiero się dowiedzieć, kto potrzebuje mojej pomocy.

— Nie możemy dzisiaj wyjechać — odparłem. — Ale wkrótce tak, mam nadzieję.

— Jeśli to kwestia pieniędzy, mogę wam trochę dać.

— To bardzo miło z pana strony. Ale nie chodzi o pieniądze.

— Powiedziałem ci, że to miejsce jest niezdrowe, a ty się nie zdziwiłeś.

— Trochę się zdziwiłem.

— Ani trochę. Ciekawe, kim ty jesteś.

— Zwykłym kucharzem od szybkich dań.

— Ale nie masz pracy.

Wzruszyłem ramionami.

— Parszywy kryzys.

Henry odwrócił wzrok i pokręcił głową.

Niczym anioł nagle zrzucony z nieba, który dopiero w ostatniej chwili przypomina sobie o skrzydłach, sokół spikował, pochwycił w straszliwe szpony ptaka w locie i odleciał w stronę drzewa, gdzie mógł zasiąść w pierzastym majestacie i pożywić się swoją przerażoną pierzastą zdobyczą.

Henry rzucił mi znaczące spojrzenie, które dawało do zrozumienia, że ten sokół to znak zwiastujący mój los, gdybym zbyt długo pozostał w Roseland.

— Wiem, że nie jesteś głupi, Oddzie Thomasie. Ale czy jesteś durniem?

— Mniejszym niż niektórzy, proszę pana, ale większym od innych.

— Z pewnością boisz się śmierci.

— Nie całkiem. Nie samej śmierci. Tylko tego, jak się umiera. Na przykład zamknięty w garażu z głodnym krokodylem i pożarty żywcem. Albo przykuty łańcuchem do trupów i utopiony w jeziorze. Albo z dziurą wywierconą w czaszce, a potem facet, który wywiercił dziurę, wrzuca tam garść czerwonych mrówek, wprost do mojego mózgu.

Nie wiem, czy Henry punktował każdą rozmowę chwilami refleksyjnego milczenia, czy tylko ja wywoływałem taką reakcję.

Poruszył się niespokojnie na krześle i spojrzał w niebo, jakby szukał następnego znaku, który mnie skłoni do opuszczenia Roseland.

Wreszcie dotarłem do powodu mojej wizyty.

— Proszę pana, czy w zespole ochrony jest facet imieniem Kenny?

— Nie, nie mamy żadnego Kenny'ego.

— Wysoki, muskularny, z okropnymi bliznami na twarzy, nosi podkoszulek z napisem „Śmierć to lekarstwo”.

Powolny obrót głowy Henry'ego i długi namysł przed odpowiedzią świadczyły, że Kenny był tu znany, nawet jeśli nie z imienia.

— Ostrzegano cię, żebyś siedział w domu, za zamkniętymi drzwiami, od zmiernych do świtu.

— Tak, proszę pana, ale ostrzegano mnie przed pumami, niczym innym. Zresztą nie spotkałem go w nocy. To było dzisiaj rano.

— Nie po wschodzie słońca.

— Ponad pół godziny później. W stajni. Kim on jest, jeśli nie strażnikiem?

Henry wstał z krzesła, podszedł do drzwi stróżówki, otworzył je i obejrzał się na mnie.

— Zabierz ją i wyjedźcie. Nie wiesz, co to za miejsce.

Ja też wstałem.

— Więc niech mi pan powie.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Przez okno zobaczyłem, że podnosi słuchawkę telefonu.

Gdybym przyjechał do Roseland sam, może posłuchałbym rady Henry'ego. Lecz Annamaria, wypełniająca tajemniczą misję, nie zgodziłaby się na wyjazd, a ja nie mogłem jej zostawić na łasce... czego? Nie wiadomo.

Wędrowałem na południe od stróżówki po obwodzie posiadłości. Towarzyszyło mi buczenie trzmieli, śmigające strzyżyki, które wyśpiewywały melodyjne trele wysokimi, dzwoniącymi głosikami, jaskrawe motyle, nie na miejscu o tej porze roku, i przez chwilę parka zwinnych wiewiórek, toteż czułem się jak postać z kreskówek Disneya i trochę się spodziewałem, że wiewiórki przemówią ludzkim głosem.

To mnie nie pocieszało. W niektórych filmach Disneya dobrym zwierzętom przytrafiają się złe rzeczy. Przypomnijcie sobie mamę Bambię i Żółte Psisko, tę pierwszą zastrzeloną na oczach dziecka, tego drugiego zarażonego wściekłością i zabitego przez chłopca, który go kochał. Ludziom też nie lepiej się powodzi. Nawet najśłodsze księżniczki zostają otrute przez wiedźmy. Wujek Walt miał w sobie coś z Quentina Tarantino.

Henry Lolam mówił, że nienawidzi Roseland, ale tu wrócił, ponieważ mur wokół posiadłości może „powstrzymać rozpad”. Rozumiałem, co chciał wyrazić poeta Yeats w cytowanych wersach, ale nie miałem pojęcia, o co chodziło strażnikowi.

Wysoki, masywny mur przypominał wały obronne, ale przecież nie był to Wielki Mur Chiński. Nie powstrzymałby hord Mongołów ani ich odpowiednika. Zdecydowany człowiek z łatwością mógł przeleźć na drugą stronę, czy to z zewnątrz, czy od środka.

Nawet na początku lat dwudziestych zeszłego wieku taka potężna konstrukcja musiała sporo kosztować. Podatek dochodowy, nowość w tamtych czasach, był jeszcze niski, a Constantine Cloyce miał forsy jak lodu. Ale jeżeli chciał tylko oznaczyć granice swoich dwudziestu jeden hektarów, mur niższy o jedną trzecią i w połowie tak gruby spełniłby równie dobrze swoje zadanie, a kosztowałby ułamek ceny.

Dotąd nie poświęcałem uwagi tym fortyfikacjom, jednak rozmowa z Henrym pobudziła moją ciekawość.

Chociaż wciąż szedłem po obwodzie posiadłości, niczym nie zdradzałem, że intryguje mnie ten mur. W Roseland zawsze czułem się śledzony, a teraz jeszcze bardziej niż zwykle. Henry z pewnością obserwował mnie ze stróżówki. Wydawało się, że dobrze mi życzy; może nadal nie chciał mojej krzywdy. Ale jego nastawienie się zmieniło, kiedy wspominałem olbrzyma z bliźniami.

Po stu metrach wypielegnowany trawnik i klomby kwiatowe ustąpiły miejsca dzikiej trawie, a kolejne dwieście metrów dalej wspiąłem się na łagodną pochyłość i przeciąłem zagajnik wiecznie zielonych dębów, wysokich na dwadzieścia do

trzydziestu metrów. Przedstawiciele dzikiej przyrody zniknęli, poza kowalikami, które pogwizdywały w majestatycznych koronach czarnopiennych drzew.

Niewidoczny ze stróżówki i głównego domu, podszedłem do muru. Kamienie zapewniały uchwyty dla rąk i oparcie dla stóp, więc szybko pokonałem te trzy metry i dotarłem na szczyt.

Tam, stanąwszy na czworakach, odkryłem to, czego podświadomie się spodziewałem. W krętych liniach spoin pomiędzy ciemnymi kamieniami osadzono błyszczące miedziane monety. Na każdej była wygrawerowana lekko wydłużona ósemka, jaką widziałem już gdzie indziej.

Wierzchołek muru, nakrapiany słońcem i cieniem dębowych gałęzi, zbudowano z takich samych kamieni, pociętych na płyty i ułożonych w nieregularny, lecz dopasowany wzór. Opierając płasko dłonie na chłodnych płytach, wyczuwałem słabiutką wibrację, jakby we wnętrzu tej masywnej konstrukcji kryła się jakaś maszyna.

Nachyliłem się i przyłożyłem lewe ucho do kamienia, jednak nie usłyszałem żadnego dźwięku wewnątrz muru.

Jeśli te szybkie drgania o małej amplitudzie wytwarzały jakieś dźwięki, to raczej nie ciężkie dudnienie czy łomotanie, tylko jęklivy szum albo nawet pisk.

Im dłużej się zastanawiałem nad tymi wibracjami, tym większego nabierałem przekonania, że ich źródłem nie jest żadna pracująca maszyna, tylko jakieś urządzenie elektroniczne.

Podniosłem się na kolana, pogrzebałem w kieszeni dzinsów i wyciągnąłem szczyrtek, który kupiłem, kiedy pojechałem do miasta po nowe ubranie. Nabyłem ten mały nożyk specjalnie po to, żeby wydłubać jeden z miedzianych dysków z zaprawy murarskiej, chociaż nie zabrałem żadnego ze stajni ani z mauzoleum — gdzie również ozdabiała podłogę — ponieważ zakładałem, że jeśli ktoś zauważy ten akt wandalizmu, niechybnie będę pierwszym podejrzanym.

Co ważniejsze, mogliby się zorientować, że zniknięcie miedzianego dysku to nie wandalizm, tylko element dochodzenia. Jeśli zaczną podejrzewać, że jestem kimś więcej niż zwykłym gościem korzystającym z uroków Roseland, mogą poznać sekrety tego miejsca w sposób nagły i gwałtowny.

Prawie trzy metry nad ziemią, na szczycie muru, niełatwo będzie wypatrzeć brakujący kawałek miedzi. Przystąpiłem więc do pracy, dźgając zaprawę szczyrkiem, wkrótce jednak przekonałem się, że samo wydłubanie miedzianego krążka też nie pójdzie łatwo. Dopiero kiedy zrobiłem dwucentymetrową dziurę i złamałem ostrze szczyrka, zorientowałem się, że dyski nie są cienkie jak monety, tylko stanowią tępe zakończenia miedzianych prętów dwuipółcentymetrowej średnicy. Wszystko wskazywało na to, że pręty przechodzą przez całą wysokość muru, aż do betonowych fundamentów.

Miedź to metal o wiele za miękki i za drogi, żeby ją stosować jako wzmocnienie konstrukcji. Do tych celów służą stalowe zbrojenia. Miedź spełnia inne funkcje. Zważywszy koszt wmurowania tak wielu prętów w długą konstrukcję z kamienia, musiały przyjąć, że były równie istotne dla prawdziwego przeznaczenia muru co szkielet zbrojeń, podtrzymujący całość konstrukcji.

Wrzuciłem kawałki połamanego szczyrka w wysoką trawę za murem i podpełzłem na czworakach, aż wyostałem się spod nisko zwieszonych gałęzi

dębów. Wstałem i przeszedłem po metrowej szerokości parapecie, jakbym znowu — albo wciąż — był chłopcem szukającym przygód.

Wzniesienie terenu zasłaniało przede mną odległy główny dom oraz inne budynki — i zasłaniało mnie przed innymi.

Po jakichś piętnastu metrach zobaczyłem pośrodku parapetu jakby płytką czarną misę średnicy trzydziestu centymetrów, odwróconą do góry nogami. Ponownie ukląknęłam i odkryłam, że ten przedmiot spoczywa na czterech dziesięciocentymetrowych stalowych słupkach i stanowi osłonę przed deszczem, umieszczoną nad kwadratową kratką wentylacyjną o boku piętnastu centymetrów.

Wsunąłem jedną rękę pod misę i poczułem słaby, ciepły powiew, ledwie muskający palce. Kiedy schyliłem głowę, doleciał mnie zapach kojarzący się z kiełkującą wiosenną trawą, bujną letnią trawą i dzikimi truskawkami, chociaż właściwie nie przypominał żadnego z tych aromatów. Nagle przeciąg ochłodził i razem ze zmianą temperatury napłynął inny zapach, równie unikatowy, jednak niepodobny do tego, co przywodził na myśl: suche liście, ale również wilgotne opadłe liście pokryte wcale nieodstręczającą pleśnią, i ledwie wyczuwalny, lecz pobudzający zapach pękającego lodu.

Chłód zmieniał się w ciepło, a ciepło w chłód co dwadzieścia sekund z przyczyn, których nie potrafiłem odgadnąć. Nie miałem pojęcia, dlaczego mur wymaga wentylacji ani dlaczego temperatura i zapachy się zmieniają.

Wstałem i przeszedłem jakieś sto metrów, zanim dotarłem do następnego osłoniętego wentylatora. Tutaj zaobserwowałem te same zjawiska.

Tuż przede mną następne dęby wyciągały gałęzie nad murem, a kilka zwieszało się nisko. Zastanawiałem się, czy nie skoczyć z parapetu, ale w wysokiej trawie mogły się kryć dziury albo kamienie i wolałem nie ryzykować złamania kostki. Zsunąłem się więc ze szczytu, zawisłem na rękach i opadłem z wysokości niecałego metra.

Odszedłem parę kroków od muru i próbowałem zobaczyć osłonę nad kratką wentylatora. Ale znajdowała się wysoko, była spłaszczona i matowoczarna, trudna do wypatrzenia. Kiedy cofnąłem się na tyle, żeby ją dostrzec, wyglądała jak nieznaczna wypukłość, niezwracająca uwagi.

Zaintrygowany swoimi odkryciami, odwróciłem się od muru i spojrzałem prosto w lufę pistoletu, wycelowaną w moje lewe oko.

Pistolet trzymała ręka o długich, tępo zakończonych palcach, z kępkami sztywnych czarnych włosów między kłykciami. Twarz jej właściciela pasowała do dłoni: twarde, zacięte rysy i cień zarostu, któremu nie dałby rady nawet hebel.

Paulie Sempiterno był szefem ekipy ochrony w Roseland. Nawet w starannie wyprasowanych szarych spodniach, białej koszulce polo i schłodnym granatowym blezerze wyglądał tak, jakby większość czasu spędzał w ciemnych uliczkach, gdzie łamał ludziom kolana i dekorował twarze wzorami łańcucha.

— Nie lubię cię, przystojniaczkę — oznajmił szorstkim głosem, który kazał zamilknąć gwizdzącym kowalikom w koronach najbliższych drzew.

Chociaż spotkałem go wcześniej tylko raz i niczym go nie obraziłem, wierzyłem, że mówi szczerze, że rzeczywiście mnie nie znosi. Nawet gdyby nie powiedział ani słowa, odczytałbym pogardę w grymasie jego grubych, sinych warg, odsłaniających zęby dostatecznie groźne, żeby rozgryźć kotlet schabowy razem z kością. Broń przed moją twarzą stanowiła następną wskazówkę.

— Wolflaw to skończony idiota — podjął. — Zawsze był idiotą, ale tego się nie spodziewałem nawet po nim. Goście w domu! I nie tylko na jedną noc. Co on sobie myśli, do cholery? Czemu na tym poprzestać? Czemu nie wyprawić wesela tobie i twojej nadmuchianej laluni? Zaprosić setkę twoich skretyniałych niedorozwiniętych krewnych, wynająć orkiestrę, przekonać gubernatora, żeby na chwilę przestał brać łapówki i przyjechał z Sacramento celebrować nabożeństwo.

Krępy, baryłkowaty, z grubym karkiem, aspołeczny Sempiterno byłby klasycznym typem silnego, milczącego faceta, gdyby się zamknął na chwilę. Ale teraz był wkurwiony i chciał mi pokazać, jak bardzo jest wkurwiony, i widocznie myślał, że jestem taki tępy, że nie zauważę jego stanu, dopóki go nie opisze w tysiącu słowach.

— W każdym razie — ciągnął — ty nie jesteś zwykłym gościem, przystojniaczkę. Zaglądasz tu i tam, węszysz, kręcisz się koło stajni, pytasz Shilshoma o konia, chociaż tam nie ma żadnego konia, nie ma koni już od dawna, a teraz łazisz po murze. Kto, do cholery, łązi po trzymetrowym murze? Nikt, ot co. Oprócz ciebie. Po coś tam wlaź?

Milczał przez chwilę dłuższą, niż potrzeba, żeby zaczerpnąć tchu, więc zrozumiałem, że czeka na odpowiedź.

— No, bo stamtąd jest ładny widok, proszę pana. Widać dużo więcej.

Przysunął pistolet bliżej do mojego oka na wypadek, gdybym o nim zapomniał.

— A co powiesz na ten widok? Podoba ci się ten widok? Bardziej dramatyczny niż Wielki Kanion. Nie wiem, co kombinujesz, murołazie, ale coś kombinujesz. Nie lubię ludzi, którzy coś kombinują. Wiesz, ile mam tolerancji dla takich ludzi?

— Zero? — odgadłem, przekonany, że tą odpowiedzią zdobyłbym nagrodę, gdyby była jakaś nagroda do wygrania.

— Mniej niż zero. Co kombinujesz?

— Nic nie kombinuję, proszę pana. Prawdę mówiąc, tylko pasożytnę na panu Wolflawie. Oczarowała go dziewczyna, z którą jestem, więc po prostu się załapałem. Może pan schować broń? Jestem niegroźny. Naprawdę.

Zmierzył mnie wzrokiem. To spojrzenie mogłoby stopić jaja polarnego niedźwiedzia.

Gdyby miał opryszczkę na wardze, bylibyśmy już przyjaciółmi.

— Wiem, że narobisz cholernych kłopotów — oświadczył. — Naprawdę chciałbym ci wpakować kulkę w twarz.

— Rozumiem, proszę pana. Doceniam pańską szczerość. Ale nie ma pan powodu, żeby mi wpakować kulkę w twarz.

— Powód jest taki, że mi się nie podobasz.

— Poza tym jeśli pan mnie zabije, dziewczyna, z którą jestem, będzie zła, a pan Wolflaw jest nią tak oczarowany, że też będzie zły, no i straci pan pracę. Nie mówiąc o więzieniu, zbiorowym gwałcie i utracie prawa do głosowania.

Nawet perspektywa niedopuszczenia do urny wyborczej go nie wzruszyła.

— Ta dziewczyna nie jest w jego typie. W niczym typie. Odrzuca mnie od tej dziwki.

— Oj, proszę pana, to przesada. Może nie jest modelką Victoria's Secret, ale jest ładna na swój sposób.

— Nie mówię o jej wyglądzie. Czy z tą twarzą mogę wyśmiewać wygląd innych ludzi?

— Słuszny argument.

Wreszcie opuścił broń.

— Chodzi o to, jak na mnie spojrzała, kiedy mnie pierwszy raz zobaczyła. Jakby czytała w przyspieszonym tempie i jakby cała moja historia nie była dłuższa od listy składników na opakowaniu płatków śniadaniowych.

Kiwnąłem głową.

— Ona potrafi zajrzeć prosto w serce.

— To nie było żadne romantyczne przeżycie — burknął Sempiterno. — Raczej jakimś przeszedł przez kontrolę na lotnisku, gdzie mnie obejrżeli, obmacali i obnażyli dokładnie w dziesięć sekund.

Jeśli jesteś otwarty na uśmiech, dopadnie cię w najbardziej nieoczekiwanych chwilach.

— Podoba mi się, jak pan mówi, proszę pana.

Znowu obdarzył mnie spojrzeniem zdolnym wykastrować niedźwiedzia.

— Co to miało znaczyć, do cholery?

— Nic. Tylko że pan ma taki sposób mówienia.

— Mówię, co chcę. Nie obchodzi mnie, co myślisz. — Włożył pistolet do kabury.

— Jeśli ten idiota Noah Wolflaw chce cię tu mieć, nie mogę cię wyrzucić. Ale lepiej zapamiętaj, przystojniaczkę, że on nie kocha tej dziewczyny i ciebie też nie lubi, on

myśli tylko o sobie. I czegokolwiek chce od was dwojga... kiedy to weźmie, gorzko pożałujecie, że nie posłuchaliście mojej rady i nie wyjechaliście od razu.

Kiedy się odwrócił, powiedziałam:

— Chyba wyjedziemy jutro rano.

Zrobił tylko dwa kroki, zatrzymał się i obejrzał.

— Wyjedźcie dzisiaj. Nie zostawajcie na noc. Wyjedźcie teraz.

— Może po lunchu.

Wpatrywał się we mnie, jakby samą siłą woli mógł u mnie wywołać spontaniczne samozapalenie. Po chwili milczenia dodał:

— Może jednak wiem, dlaczego Wolflaw was zaprosił.

— Dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć, oświadczył:

— Czegokolwiek szukasz w Roseland, znajdziesz tego przeciwieństwo. Jeśli chcesz żyć, szukaj śmierci.

Znowu się odwrócił i pomaszerował w stronę konklawe masywnych dębów. Kiedy się do nich zbliżył, gwiżdżąc w gałęziach kowaliki ponownie zamilkły. Zaledwie wszedł w cień drzew, stado poderwało się do ucieczki, łopocząc skrzydłami wśród owalnych liści, i uleciało w niebo, na pastwę sokołów.

Pomiędzy drzewami zobaczyłem miniwózek akumulatorowy, pojazd często używany przez architektów krajobrazu, dłuższy od wózka golfowego, ale mniejszy od pick-upa, bez dachu, z dwoma siedzeniami i otwartym bagażnikiem. Ten egzemplarz miał grube opony, co razem z innymi modyfikacjami upodabniało go do terenówki.

Paulie Sempiterno usiadł za kierownicą. Z cichym pomrukiem wózek niemal wyfrunął spośród drzew, przeciął złocistą łąkę i pomknął w stronę wzniesienia, za którym stał główny dom.

Nie obrażam się za przewiska, którymi mnie obrzucają. Jednak „przystojniaczek” mnie zasmucił, bo wyglądam równie pospolicie jak każdy aktor, który grał kumpla Toma Cruise’a i którego angażowano głównie po to, żeby w porównaniu z jego popularyścią gwiazdor wyglądał jeszcze bardziej niezwykle niż w prawdziwym życiu.

Pan Sempiterno nie sztychował ze mnie, kiedy tak mnie nazwał; udane szyderstwo musi zawierać przynajmniej szczyptę prawdy. Nie można wyszydzić psa za to, że jest psem, a jeśli ktoś tego próbuje, sam się ośmiesza. Szef ochrony uważał mnie za przystojniaczka tylko w porównaniu ze sobą, co świadczyło, że oceniał swój niezbyt atrakcyjny wygląd o wiele za surowo, i dlatego to było smutne.

W tym przypadku określenie „przystojniaczek” mogło również znaczyć co innego, niż się wydawało. Ludzie niekiedy mówią szyfrem, często nawet nie zdając sobie z tego sprawy, niezrozumiale zarówno dla siebie, jak i dla innych. Zważywszy mój przeciętny wygląd, może miałem inne zalety, które pan Sempiterno dostrzegał, ale sam ich nie posiadał... i których mi zazdrościł. Gdybym rozwiązał tę zagadkę, może zdobyłbym cenną wskazówkę dotyczącą tajemnicy Roseland.

Odprowadzając wzrokiem pojazd szefa ochrony, postanowiłem kontynuować obchód posiadłości, ale także również skupić się na trzecim i ostatnim aspekcie mojej pozazmysłowej percepcji.

Oprócz okazjonalnych proroczych snów oraz dostrzegania duchów zmarłych, którzy zwlekają z odejściem, mam coś, co Stormy Llewellyn nazwała psychicznym magnetyzmem. Jeśli potrzebuję znaleźć kogoś i nie wiem, gdzie przebywa w danej chwili, koncentruję się na jego nazwisku albo twarzy, zdaję się na intuicję i kieruję się tam, gdzie mnie nogi poniosą — albo zawiezie samochód czy rower, czy cokolwiek — aż go znajdę. Zwykle chwytam zdobycz w ciągu pół godziny.

Poszukiwanie najczęściej, lecz nie zawsze, kończy się sukcesem i nie potrafię ani przewidzieć, ani zaplanować miejsca i czasu spotkania. Gdyby moje paranormalne zdolności sprzedawano w sklepie, to raczej w takim „Wszystko za dolara” niż u Tiffany’ego.

W tym przypadku nie miałem ani nazwiska, ani twarzy, żeby się na nich skupić. Mogłem tylko odtwarzać w myślach na okrągło słowa Annamarii w pętli pamięci — „jest tu ktoś, komu grozi wielkie niebezpieczeństwo i kto rozpaczliwie cię potrzebuje” — z nadzieją, że odnajdę tego kogoś raczej prędzej niż później.

Ponieważ wszyscy mnie namawiali do wyjazdu i udzielali takich dziwnych rad, żebyam szukał śmierci, jeśli chcę żyć, obawiałem się, że czas, jaki mi pozostał na ratowanie tego bezimiennego kogoś, przesypuje mi się przez palce niczym piasek z rozbitej klepsydry. W przeszłości zawiódłem kilka osób, włącznie z tą, którą kochałem nad życie. Każda porażka drąży moje serce coraz głębiej i żaden sukces nie jest w stanie ponownie wypełnić tej pustki. Zamiast zginąć z rąk jakiegoś złoczyńcy, pewnie umrę, kiedy ścianki mojego serca zapadną się w wewnętrzną próżnię. Nie wniósłbym kolejnej porażki; zatem jeśli czas uciekał, musiałem prześcignąć czas.

„...jest tu ktoś, komu grozi wielkie niebezpieczeństwo i kto rozpaczliwie cię potrzebuje...”.

Wróciłem na granicę posiadłości i ruszyłem w stronę miejsca, gdzie nad kamiennym murem zwieszały się gałęzie dębów.

Z cienia tych drzew wypadł nagle wielki czarny ogier, stanął dęba nad moją głową i zamłócił kopytami w powietrzu.

Siedząca na koniu bosonoga blondynka wskazała na mnie tak, jak zeszłego wieczoru. Teraz na jej twarzy zamiast cierpienia malował się strach.

Wprawdzie mogła się obawiać przejścia na Drugą Stronę, jednak na tym świecie już nie miała się czego bać. Zrozumiałem zatem, że boi się o mnie i że przybyła mnie ostrzec przed niebezpieczeństwem dużo bliższym niż niejasne zagrożenie, o którym wspominali Henry Lolam i Paulie Sempiterno.

Czarny jak noc ogier opadł na cztery nogi i bezgłośnie chlasnął się długim ogonem po bokach. Kobieta przeniosła uwagę ze mnie na coś za moimi plecami. Wykrzywiła twarz raczej z odrazą niż z lękiem i otworzyła usta w milczącym okrzyku zgrozy.

Obejrzałem się, ale zobaczyłem tylko wysoką do kolan zeszlą trawę, rozplamioną przez poranne słońce i równie złocistą jak włosy kobiety, grunt opadający w północnym kierunku i pierwszą grupę dębów, obok których wcześniej wspiałem się na mur.

Jednak ogarnęło mnie drżenie podobne do tego, jakie odczuwa każdy z nas, kiedy znajdujemy w poczcie list z urzędu skarbowego. Zawładnęło mną przeświadczenie, że gdybym tylko przechylił głowę pod właściwym kątem albo

założył okulary z odpowiednimi soczewkami, albo przebił wzrokiem blask słońca i dostrzegł zmierzch odległy wciąż o wiele godzin, zobaczyłbym to samo co duch.

Odwrociłem się z powrotem do konia i amazonki, ale odjechali. Zatrzymali się pięć metrów dalej, na skraju lasu. Kobieta obejrzała się na mnie i przywołała mnie gestem prawej ręki, całą postawą wyrażając ponaglenie.

Nikt nie wie lepiej ode mnie, że rzeczywistość jest bardziej złożona, niż potrafi dostrzec pięć zmysłów. Nasz świat ze wszystkimi swoimi tajemnicami jest zaledwie księżycem innego, bardziej tajemniczego, niewidzialnego świata i orbituje tak blisko tej większej sfery, że niekiedy krzywizna jednego przecina się z krzywizną drugiego bez żadnych szkód, ale powodując dziwne skutki.

Nie odważyłem się stracić ani sekundy, żeby ponownie się obejrzeć, tylko pobiegłem za koniem i amazonką.

Katedralne sklepienie dębowych konarów przypominało kościelne okna, chociaż więcej było cienia niż światła w witrażowych wzorach złocistego słońca i zielonych liści, które mogły przedstawiać abstrakcyjny obraz raj.

Czarny koń niemal znikł wśród ogromnych drzew, zdradzały go tylko błyski sierści, po której przemykały drżące krople światła. Jednak bez trudu widziałem kobietę, za którą biegłem, ponieważ biała jedwabna koszula rozkwitała jasnością, kiedy musnęło ją słońce, i lekko świeciła nawet w mroku.

Nie wiem, dlaczego światło i cień oddziałują na duchy, zakrywają je i odsłaniają na zmianę, podobnie jak wpływają na żywych ludzi i wszystkie rzeczy tego świata. Duchy nie posiadają substancji, która może odbijać światło albo tworzyć powierzchnię, na którą pada cień.

Psychiatra powiedziała, że ta cecha zjaw zaprzecza ich pochodzeniu z tamtego świata. Zasugerowała natomiast, że to psychotyczne iluzje, a ja jestem po prostu zbyt ograniczony, żeby je sobie wyobrazić jako niezależne od światła i cienia, co z pewnością charakteryzowałoby prawdziwe duchy — gdyby istniały.

Zastanawiam się czasami, dlaczego ci, którzy teoretyzują o ludzkim umyśle, bez zastrzeżeń wierzą w rzeczy, których nie mogą zobaczyć ani zmierzyć, ani w żaden sposób potwierdzić ich istnienia — jak id, ego, podświadoma jaźń — ale odrzucają jako przesąd twierdzenie, że ludzie posiadają dusze.

Kobieta zatrzymała konia pod drzewem. Kiedy się z nią zrównałem, wskazała prosto w górę, na poskręcane konary wielkiego dębu, jasno dając do zrozumienia, żebym się tam wspiął.

Strach na jej twarzy — strach o mnie — był doskonale widoczny nawet w zmiennym, nierównym oświetleniu.

Chociaż w przeszłości miałem do czynienia ze złośliwymi duchami, które czasami zmieniały się w poltergeisty i rzucały we mnie wszystkim, od mebli do zamrożonych indyków, nie przypominam sobie, żeby którykolwiek ze zwlekających zmarłych próbował mnie oszukać. Umiejętność oszukiwania traciły razem z ciałami.

Przekonany, że kobieta widzi jakieś monstrum, które skrada się za mną, włączyłem na drzewo. Po pnju na konar, potem na następny konar, ocierając dłonie o szorstką korę, wspiąłem się do pierwszego rozwidlenia, jakieś cztery metry nad ziemią.

Spoglądając w dół przez zasłone gałęzi, widziałem częściowo miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stali koń i jeździec. Teraz zniknęli.

Oczywiście jako duchy mogli dowolnie być albo nie być, a ponieważ ani koń, ani kobieta nie potrafili mówić, nie wygłaszali monologów, rozważając ten wybór.

Zaklinowany w pierwszym rozwidleniu pnia, wkrótce poczułem się głupio. Jako niewątpliwy przedstawiciel rasy ludzkiej miałem w sobie pokłady głupoty, z których mogłem zerpać do woli. Tylko dlatego, że nigdy nie spotkałem ducha zdolnego do oszustwa, nie mogłem liczyć, że nigdy żaden z nich nie wpuści mnie w kanał.

Zmarli zwlekający z odejściem to raczej smutasy, najczęściej związani z miejscem swojej śmierci. Nie mogą skoczyć do multipleksu na najnowszą hollywoodzką komedię złych manier i zafundować sobie trzydziestodolarowej torby organicznej kukurydzy prażonej w rybim oleju z atestem państwowym. Jednak po latach nieustannego zamartwiania się, co ich czeka po Drugiej Stronie, po tak długim czepianiu się tego świata w nadziei, że zobaczą swoich morderców przed sądem, naprawdę potrzebują rozrywki.

Wyobrażałem sobie te dwa duchy, kobietę i konia, jak galopują przez Roseland, zaśmiewając się serdecznie — chociaż bezgłośnie — z tego, jak łatwo podpuścili naiwnego Odda Thomasa, żeby wlaź na drzewo, schował się tam i drżał, czekając na niestniejącego potwora, podczas gdy najgorsze, co mu groziło, to obsranie przez ptaszka siedzącego na wyższej gałęzi.

Potem pojawił się potwór.

Wiele potworów.

Pierwszą wskazówką, że jednak nie zostałem nabrany przez ducha, był słaby zapach wybielacza przesączający się przez gałęzie, wplatający ostrą nutę w łagodniejsze wonie kory dębowej, zielonych liści i popękanych żołędzi, wciąż wiszących na drzewie niczym zniszczone ozdoby.

Smród ozonu był tutaj znacznie mniej gryzący niż w stajni, lecz równie nie na miejscu. Na otwartej przestrzeni nie mógł nabrać takiej intensywności jak w zamkniętym pomieszczeniu. Jednak nie wątpiłem, że — podobnie jak przedtem — ten smród zapowiadał coś dziwniejszego i groźniejszego niż duchy zmarłych.

Nagła zmiana barwy światła potwierdziła moje obawy co do ponownego spotkania śmierdzącej zgrai, która widzi w ciemnościach. Złociste poranne słońce, migoczące w prześwitach między liśćmi, stało się żółtopomarańczowe, a źródło promieni przesunęło się ze wschodu na zachód.

Wprawdzie nie zawsze rozumiem enigmatyczne wypowiedzi, jakimi ludzie mnie częstują, ale potrafię dokładnie przewidzieć każdą katastrofę. Pod tym względem można na mnie polegać. Gdyby organizowano narodowe zawody paranoiadnych jasnowidzów, zdobyłbym główną nagrodę i mógłbym od razu iść na emeryturę.

Przez ten las, wyścielany dywanem małych, owalnych, suchych liści wiecznie zielonych dębów, żadna żywa istota nie przeszłaby po cichu. Jednak zgraja, która wcześniej chciała mnie wyciągnąć z pojemnika na paszę, wcale nie próbowała się kryć. Nadeszli z niezgrabnym pośpiechem, tak hałaśliwie depcząc ściółkę, że trzaski i szelesty zagłuszyły wszelkie ewentualne odgłosy warczenia czy prychnania.

Próbowałem coś dojrzeć przez warstwy listowia, ale ograniczony widok skrawka ziemi nie dostarczył mi żadnych pożytecznych informacji o przybyszach. Dęby rzucały więcej cienia niż przedtem, poranne słońce nie przebiegało już gęstwiny ostrzami czystego światła, wśród gałęzi migotały tylko

ulotne, posępne błyski, jakby wiatr, którego nie czułem, rozdmuchiwał niewidoczne dla mnie płomienie i ciskał odblaski ognia między drzewa.

Prawie nie widziałem prześladowców, tylko ciemne sylwetki, niektóre szybkie, inne stępujące chwiejnie, wszyscy jednak wydawali się podnieceni i usilnie czegoś szukali. Najprawdopodobniej nie szukali panien o dobrej reputacji, żeby się z nimi ożenić i mieć dzieci, i spędzać długie wieczory przy kominku, grając na flecie i skrzypcach w rodzinnych zespołach muzycznych.

Zarówno ci zwinni, jak i ci niezdarzy krążyli beładnie wśród dębów, jakby stracili rozum, skręcali to na wschód, to na północ, to na południe. Mogłem śledzić ich gorączkową bieganinę po odgłosach tratowania milionów zeszlętych dębowych liści.

Za każdym razem, kiedy się zbliżali, słyszałem ich warczenie i chrząkanie jak wtedy w stajni. Lecz te gardłowe odgłosy brzmiały teraz trochę inaczej. Nadal przypominały głosy zwierząt, jednak zdradzały nie tylko zwierzęcą naturę. Zdawało mi się, że w niektórych okrzykach słyszę brzmienie ludzkiego głosu: bezsłowny wyraz desperacji; żalostny jęk niepokoju, jaki sam mógłbym nieświadomie wydać w chwili wielkiego napięcia i zagrożenia; udrężone warknięcie gniewu, nie zwykłej zwierzęcej furii, tylko bardziej gorzkiej, posępnej urazy, sugerującej emocje występujące jedynie w połączeniu z inteligencją.

Nie było zimno. Ubrałem się stosownie do pogody, w lekki sweter i dzinsy. A jednak przeszedł mnie dreszcz.

To była bardziej tłuszcza niż zgraja. Stado zwierząt jest grupą jednostek o bardzo podobnych osobowościach, typowych dla gatunku, działających zgodnie ze swoimi instynktami i nawykami. Natomiast tłum ludzi jest nieorganizowany i nieobliczalny. Do najwyższego podniecenia doprowadza go nie polowanie, jak u zwierząt, nie zdrowa potrzeba zaspokojenia głodu, ale idea, która bywa prawdą lub kłamstwem — a najczęściej tym drugim. Jeśli zaś idea jest złem, jak każde kłamstwo, porwani nią ludzie są nieskończenie bardziej niebezpieczni od każdego zwierzęcia, jakie kiedykolwiek żyło na Ziemi. Tłum napędzany kłamstwem jest dziki, okrutny i zdolny do aktów takiej przemocy, że zwykły lew umknie przed nim z przerażeniem, a groźny krokodyl poszuka schronienia w bagiennych wodach.

Sądząc po odgłosach, prześladowców było tutaj znacznie więcej niż w stajni, może ze dwudziestu albo nawet dwa razy tyle.

Zachowywali się również bardziej niecierpliwie. W tej chwili dźwięki, które wydawali, świadczyły, że doprowadzili się do białej gorączki i nie zadowolili ich nic oprócz krwi, i to w dużej ilości.

Trzykrotnie przebiegali obok drzewa, na którym się ukryłem, dotąd jednak wdech — czy jaki tam zmysł im służył najlepiej — ich zawiódł. Potem bestie przewaliły się w dole po raz czwarty, przepychając się i próbując mnie znaleźć, jednak wciąż nie widziałem nic oprócz cieni, które skrywały fantastyczne deformacje ich ciał.

Żółtopomarańczowe słońce zaczęło już przechodzić w głęboki oranż. Raczej nie miałem szans na dokładniejsze obejrzenie tych stworów, chyba że zaczną prowadzić również wertykalne poszukiwania i staną ze mną twarzą w twarz w mojej dębowej reducie.

To, czego najbardziej się boimy, często sami na siebie sprowadzamy.

Prawie odeszli na północ i nagle zawrócili. Stwory z cienia, ledwie widoczne złowrogie kształty opłynęły drzewo niczym morski przypływ obmywający samotną przybrzeżną skałę.

Ostatni dotarł na miejsce i trzeszczenie liści pod stopami ucichło. Oni też umilkli niczym potwory ukryte pod łóżkiem dziecka, które zachowują kompletne milczenie, żeby dzieciak poczuł się bezpiecznie, wychylił się, podniósł kołdrę i zajrzał pod spód.

Ja nie czułem się bezpiecznie. Znaleźli mnie.

Na drzewie moja sytuacja nie wydawała się taka beznadziejna jak uwięzienie w skrzyni. Z tej ostatniej wyszedłem obronną ręką, liczyłem więc, że przeżyję również obłężenie na dębie.

Ponieważ od wyjazdu z Pico Mundo najczęściej byłem bezrobotny, a ostatnio stałem się także bezdomny, nie miałem ubezpieczenia zdrowotnego. W konsekwencji czułem się zmotywowany nie tylko do przeżycia, ale też do unikania ohydnych uszkodzeń ciała, których naprawy nie mógłby opłacić zbankrutowany stan, wskutek czego musiałbym zamieszkać w podziemiach opery. Nigdy nie przepadałem za operą, a kluby jazzowe nie mają podziemi.

Na otwartej przestrzeni smród tłumu zebranego wokół dębu nie wywoływał mdłości tak szybko jak w stajni, jednak ścisnąłem nos palcami i oddychałem przez usta. Nie jechało od nich niczym równie przyjemnym jak zatęchły pot i nieświeży oddech; przypuszczałem, że mają gruczoły zapachowe jak skunksy, tylko że skunksy uprzejmie ograniczały swój odór do wytrysków moczu, natomiast te stwory wydzielają go nieustannie ze wszystkich porów skóry.

Chociaż wyteżałem wzrok, nie widziałem dokładnie sylwetek ani twarzy tych, którzy zgromadzili się na dole i zapewne również mnie wypatrywali. Zmierzc znów zapadł zbyt wcześnie, długo przed południem. Słabnące światło przybrało barwę czerwono-pomarańczową. Obsypywało niczym promienisty pył intruzów pod dębem, ale nie ujawniało detali, jakbym ich oglądał przez noktowizor, w którym prawie wyczerpały się baterie.

A potem, kiedy ciemność powoli zgęstniała, ich oczy zaczęły świecić. Najpierw różowo, niemal tak ładnie jak małe lampki choinkowe, jednak szybko stały się czerwone. Tak sobie wyobrażałem ślepią wilków w nocy, chociaż wilki były dużo bardziej sympatyczne od tych stworów.

W przeszłości musiałem się zmierzyć z mordercami, seryjnymi zabójcami, handlarzami narkotyków, skorumpowanymi glińiarzami, zbłąkanym byłym miliarderm i mnichem, kidnaperami, terrorystami i innymi, którzy na pewnym etapie życia stoczyli się, pozwolili się przeciągnąć albo radośnie sami przeskoczyli na ciemną stronę. Nie walczę z wampirami ani wilkołakami z tej prostej przyczyny, że one nie istnieją.

Niemniej, spoglądając przez gałęzie dębu na czerwonoooką tłuszcę, mimo woli wyobraziłem sobie kilkudziesięciu uciekinierów z powieści dla młodzieży, szukających krwi i nowych dziewczyn. Przeczuwałem jednak, że nie okażą się wystarczająco przystojni, żeby łatwo zdobyć partnerki na bal maturalny.

Istniały spore szanse, że te bestie nie potrafią wlaźić na drzewa. Pумы potrafią, ale koty już nie. Niedźwiedzie potrafią, ale nie wilki. Wiewiórki śmigają po drzewach, króliki próbują i tylko się kompromitują. Wystarczyłoby przeczekać w kryjówce, aż ten dziwny zmierzch ustąpi, jak przedtem.

Wtedy jeden z nich zaczął się wspinać.

Porzuciwszy pierwsze rozgałęzienie, wdrapałem się wyżej, szybko jak chłopiec udający małpę.

Zerknąłem w dół i doznałem ulgi, widząc, że mój prześladowca — zaledwie ciemna sylwetka — kiepsko sobie radzi. Wydawał się nieprzystosowany do włazenia na drzewa. Sądząc po jego warczeniu, gniewnych wrzaskach i wściekłym tarmoszeniu listowia, traktował drzewo jak świadomego przeciwnika, który umyślnie mu przeszkadza. W odwecie szarpał gałęzie i strząsał na ziemię grad liści.

Im wyżej włożyłem, tym mniej gałęzi przesłaniało mi niebo i tym więcej miałem światła. Ale słońce zapadało się w morze szybko niczym płonący okręt z kadłubem podziurawionym przez kule armatnie.

Za kilka minut światło całkiem zgaśnie. Wymacywanie drogi po ciemku w labiryncie korony dębu, wysoko nad ziemią, wydawało się całkiem skutecznym sposobem samobójstwa.

Zanim zmierzch się skończył, rozpocząłem ewakuację. Wyższe konary były mniej potężne od dolnych i ugiwały się zdradliwie. Stopy często mi się ześlizgiwały, ręce bolały od ściskania gałęzi z całej siły.

Zatrzymałem się i ostrożnie usiadłem, oparty plecami o znacznie zwężony główny pień. Siedziałem okrakiem na gałęzi, która nie zapewniała dostatecznego oparcia pod tyłek i przywróciłaby mi głos z chłopięcego chóru, gdybym się zbyt gwałtownie przesunął.

Mój ciężki oddech nie zagłuszał odgłosów szamotaniny daleko w dole. Rozwścieczony stwór najwyraźniej próbował biciem zmusić drzewo do posłuszeństwa. Pocieszałem się, że jego IQ, chociaż z pewnością dostatecznie wysokie, żeby mógł startować w wyborach, stanowi jedynie ułamek mojego.

Wciąż czułem słaby, lecz uporczywy zapach ozonu, chociaż na szczęście smród tłuszczu nie docierał aż tutaj, na wysokość prawie dwudziestu metrów.

Jednak po paru chwilach smród ponownie zaczął się zbliżać i rozumiałem, że drzewołaż mimo wszystko robi postępy.

Ciemność zakryła niebo i przez chwilę nie widziałem czarnych konarów dębu, tylko je wyczuwałem dotykiem.

Brak światła nie powstrzymał bestii na dole. Dalej przedzierała się energicznie przez drzewo, stawiając równie energiczny opór. Gałęzie trzeszczały, liście szeleściły jak w podmuchach huraganowego wiatru. Chrząknięcia satysfakcji świadczyły zapewne o znalezieniu bezpiecznego oparcia dla nóg, natomiast warknięcia i sfrustrowane wrzaski niewątpliwie rozlegały się wtedy, kiedy droga w górę okazywała się trudna lub skomplikowana. Dwukrotny paskudny młazszący chichot, niepokojąco rozciągnięty w czasie, zdawał się sugerować, że stwór już się cieszy na myśl, jak to zedrze mi twarz, włoży do kajzerki i zje z musztardą.

Smród narastał i poczułem się jak Jean Valjean z *Nędzników*, tylko że zamiast nieubłaganego inspektora Javerta prześladował mnie jakiś demoniczny czarwonooki mutant.

Potem absolutną ciemność złagodził żółtawy blask, jak się okazało, wschodzący księżyc. Dąb wokół mnie znowu się pojawił, chociaż wyglądał jak nie do końca wyobrażone drzewo ze snu. I nadal nie widziałem drzewołażę poniżej.

Nie mogłem już dłużej czekać, aż ta nadprogramowa noc ustąpi i zabierze ze sobą stwory, jak wcześniej w stajni. Ten incydent trwał dłużej niż poprzedni, więc przestałem wierzyć, że za chwilę zostanę uwolniony od obecnej niesamowitości i powrócę do poranka w lepszym, łagodniejszym Roseland.

Fetor wciąż potężniał. Podniosłem się ostrożnie, przyciskając plecy do pnia, i chwyciłem gałąź nade mną, najpierw jedną ręką, potem obiema. Przekreśliłem się na konarze, żeby zerknąć w dół, w ten kwadrant wielkiego dębu, przez który wspinał się stwór.

Akcja, którą zaplanowałem, mogła się skończyć w ten sposób, że stracę oparcie dla nóg, wypuszczę gałąź i spadnę pomiędzy dżgające, tłukące zasieki konarów i gałęzi z wrzaskiem dużo mniej triumfalnym niż okrzyk Tarzana, władcy dżungli. Jednak nie widziałem innego wyjścia, jak tylko poczekać, aż bestia pojawi się pode mną, i kiedy spróbuje wspinać się wyżej, kopnąć ją kilkakrotnie w twarz, aż straci równowagę... albo odgryzie mi stopę.

Czasami żałuję, że nie lubię broni palnej.

Niekiedy musiałem uciekać się do jej użycia, ale zawsze z oporami. Przerazające zabawy z pistoletem, które urządziła moja matka, kiedy byłem chłopcem, zaszczyliły mi trwałą awersję do broni palnej i upodobanie do prostszych narzędzi — w tym przypadku tak prostych jak moja własna stopa — co prędzej czy później mnie zabije.

Okropny smród zgęstniał do tego stopnia, że oczy zaczęły mi łzawić, ale jego źródło jeszcze się nie pojawiło, chociaż odgłosy wspinaczki się zbliżały.

Dopiero kiedy coś przeskoczyło z drugiej strony pnia za moimi plecami na mój konar, uświadomiłem sobie, że był co najmniej jeszcze jeden wspinacz oprócz tego, którego śledziłem. Chwycił mnie brutalnie za prawe ramię i wiedziałem już, że teraz mnie ugryzie i rozszarpie.

Zanim kły lub pazury zdążyły mnie zranić, rzuciłem się całym ciałem w tył. Stopy ześliznęły mi się z zaokrąglonej kory... i zrobiły krok w powietrzu. Zawisłem oburącz na konarze, ale nagłym ruchem straciłem napastnika z drzewa. Uczepił się mojego ramienia jak jedynej nadziei, jednak pod jego straszliwym ciężarem niemal czułem, jak mięśnie oddzielają mi się od kości. Ból wystrzelił w górę ramienia i dotarł do prawej dłoni, która ześliznęła się z gałęzi.

Wisiałem teraz tylko na lewej ręce. Na szczęście nagła zmiana pozycji szarpnęła uczepionym stworem i jego łapa — która wydawała się mało chwytna i niezbyt zręczna — zsunęła się z mojego ramienia. Odpadł z wyciem, ale wstrząsy szybko pozbawiły go głosu, kiedy przebijał się przez bezlitosną architekturę dębu. Nawet nie zdążyłem mu się przyrzec. Widocznie spadł na kolegów słotczonych pod dębem, ponieważ z dołu dobiegły wrzaski bólu i oburzenia.

Stopniowo zgiełk przycichł, a wtedy w ciemnym lesie rozległ się szelest tysiąca długich skórzastych skrzydeł. Stado, zapewne to samo, które widziałem zeszłego wieczoru nadlatujące z północnego zachodu, zakotłowało się między dębami i zaatakowało bestie na dole, które skowyczały z przerażenia.

Chwyciłem gałąź drugą ręką i zacząłem się lekko huścić w przód i w tył z nadzieją, że znajduję oparcie dla stóp. Nie chciałem dopuszczać możliwości, że jeden z ogromnych nietoperzy — jeśli to w ogóle były nietoperze — zanurkuje w koronę drzewa i urwie mi kawałek twarzy. A jeśli mu zasmakuję, zwoła swoich pobratymców i rozpocznie się Oddowa uczta.

Odzyskałem oparcie dla stóp, chociaż przypuszczałem, że nie na długo. Jednak nasłuchując z drżeniem wrzasków i zamieszania na dole, pozwoliłem sobie na odrobinę nadziei, że zdobycz okaże się wystarczająco obfita i róż, kolonia, banda, jakkolwiek to zwać, nasyci się tym, co zabije na poziomie gruntu.

Z filmów przyrodniczych w telewizji pamiętałem gatunek nietoperzy uzbrojony w ostre jak brzytwy, zakrzywione siekacze oraz inny gatunek wyposażony w pazury tak precyzyjnie zakrzywione, że mogły wyrwać rybę z wody i odlecieć z nią. Filmy przyrodnicze potrafią wywoływać jeszcze gorsze koszmary niż najbardziej krwawe horrory.

Nagle ciemność się cofnęła, ponownie oblało mnie światło poranka i spłynęło przez gałęzie aż do poszycia lasu. Słoneczny blask zmył stwory, które sprowadziła ze sobą nienaturalna noc, jakby nigdy nie istniały. W zasięgu wzroku nic żywego ani martwego nie czekało na dywanie suchych liści.

Cały w bieli i ogromny niczym układ wydętych grotzagli, marsli i sztaksli, szef kuchni Shilshom zdawał się żeglować tam, gdzie go poniesie wiatr. Ale oczywiście w kuchni nie było wiatru, a kucharz zamierzał tylko powiększyć stertę oczek na desce do krajania obok zlewu, gdzie oslepiął parę kilo ziemniaków, jeszcze przed obraniem.

Miałem za sobą wyczerpujący ranek, a ponieważ nie jadłem nic oprócz migdałowego croissanta, musiałem uzupełnić paliwo.

— Nie chciałbym przeszkadzać, ale Roseland daje mi się dzisiaj we znaki. Potrzebuję trochę protein.

— Hm — powiedział i wskazał ciepły quiche oraz świeży sernik, na którym właśnie zastygła cytrynowa polewa.

Jako gość obdarzony przywilejem dostępu do kuchni, mogłem zrobić sobie kanapkę z szynką albo poszukać resztek piersi z kurczaka. Zamiast tego ukroiłem klin quiche'a oraz porcję sernika, nałożyłem na talerz i nalałem sobie szklanek mleka.

Nie martwię się o cholesterol. Biorąc pod uwagę mój dar, który niemal na pewno skróci mi życie, umrę z arteriami czyściutkimi jak u noworodka, nawet gdybym na każdy posiłek jadł wyłącznie lody.

Siedząc na stołku przy wyspie kuchennej najbliższej Shilshoma, obserwowałem, jak oczkuje ziemniaki ze skupieniem wręcz niepokojącym. Koniuszek języka wysunięty spomiędzy zębów, pulchne policzki bardziej zaróżowione niż zwykle, oczy zwężone jakby z pogardą i drobne kropelki potu na czole sugerowały, że w wyobraźni wydłubywał oczy czemuś bardziej wrażliwemu od ziemniaków.

Od przyjazdu do Roseland próbowałem wydobyć z niego informacje w sposób raczej zawaolowany, stosując różne podchody. Jednak ta strategia do niczego mnie nie doprowadziła. Tego poranka, jedząc croissanta, zdobyłem się na odrobinę zuchwałości i chociaż nie przycisnąłem go na tyle, żeby wygadał przynajmniej jeden sekret, potrząsnąłem nim dostatecznie mocno, żeby ujawnił swoją skrywaną wrogość, kiedy jego odbicie w szybie łypało na mnie wściekle za moimi plecami.

W połowie porcji quiche'a powiedziałem:

— Pamięta pan, jak wcześniej pana pytałem o konia, którego czasami widuję?

— Hm.

— Czarny ogier, fryzyczyk.

— Skoro tak mówisz.

— Ponieważ pan Wolflaw nie trzyma koni, pomyślałem, że może to koń sąsiada, a pan przyznał, że to możliwe.

— No proszę.

— Ale zastanawiam się, jak ten koń się przedostał przez bramę, skoro tam jest strażnik i w ogóle?

— Rzeczywiście, jak?

— Może przelazł przez mur.

Wobec tak absurdalnej prowokacji szef nie mógł dłużej udawać roztargnienia. Zerknął na mnie, ale zaraz przeniósł uwagę z powrotem na ziemniaka, którego właśnie maltretował.

— Tutaj nie trzymano koni od lat.

— Więc co ja widziałem?

— Nie mam pojęcia.

Dokończyłem quiche i zapytałem:

— A czy pan widział zaćmienie Słońca jakiś czas temu?

— Zaćmienie? — powtórzył, obierając teraz ziemniaki.

— Dzień zmienił się w noc. Tysiące lat temu ludzie wierzyli, że Bóg zgasił słońce za karę, więc świrowali ze strachu, wyrwali sobie włosy, składali dzieci w ofierze, biczowali się jeżynami i przysięgali nigdy więcej nie cudzołożyć, bo byli ignorantami, chociaż to właściwie nie ich wina, skoro wtedy nie było History Channel ani National Geographic, i może niektórzy próbowali wygugłować „słońce gaśnie”, żeby się dowiedzieć, co się dzieje, ale za bardzo wyprzedzali swoje czasy.

Obierając zawzięcie, szef Shilshom oświadczył:

— Nie rozumiem pana, panie Thomas.

— Nie pan pierwszy — zapewniłem go.

Skosztowałem sernika. Był pyszny.

— Proszę pana — ciągnąłem — zostawmy na chwilę tajemnicę konia. Czy pan zna jakieś zwierzę w tej okolicy, wielkości co najmniej człowieka, jeśli nie większe, z czerwonymi oczami, które świecą w ciemności, i okropnie śmierdzące?

Szef skrawał skórę z ziemniaka tak, że powstawała jedna długa wstążka, jakby kolekcjonował obierki, podobnie jak niektórzy zbierają sznurki i zwijają je w kłębki wielkim niczym samochody. Lecz w połowie mojego pytania ręka mu drgnęła i przedwcześnie odcięta obierka rozwinęła się w zlewie.

Wątpię, czy miałem wśród przodków Sherlocka Holmesa, jednak na podstawie incydentu z przeciętą obierką wydedukowałem, że szef kuchni zna cuchnące zwierzę, które opisałem. Wydawał się zaalarmowany moimi słowami i wyraźnie próbował ukryć niepokój.

Natychmiast podjął obieranie, ale tak długo zastanawiał się nad odpowiedzią, że jego zaniepokojenie stało się jeszcze bardziej oczywiste. W końcu powtórzył:

— Okropnie śmierdzące?

— Naprawdę straszny smród, proszę pana.

— Wielkości człowieka?

— Tak, może nawet większe.

— Jak wyglądały?

— Zetknąłem się z nimi tylko w ciemności.

— Ale przecież musiał pan coś widzieć.

— Nie, proszę pana. Było bardzo ciemno.

Odprężył się trochę.

— Nie mamy w tych stronach takich dużych zwierząt.

— A niedźwiedzie?

— No...

— Kalifornijskie czarne niedźwiedzie?

— Hm.

— Może te niedźwiedzie przelazły przez mur, żeby pozabijać i pożreć wszystkie pумы?

Śliski ziemniak wyskoczył mu z ręki i wpadł z łoskotem do zlewu ze stali nierdzewnej.

— Czy to mogły być niedźwiedzie? — naciskałem, chociaż wiedziałem, że to nie były żadne miłutkie maszyny do zabijania w rodzaju niedźwiedzi.

Szef wywołał ziemniaka ze zlewu i znowu zaczął go obierać, ale zabrakło mu opanowania niezbędnego przy tej pracy. Kaleczył niezdarnie najlepszy egzemplarz odmiany idaho, aż zrobiło mi się wstyd za niego.

— Może nie powinien pan wychodzić w nocy, panie Thomas.

Byle jak dokończył obieranie ziemniaka i wrzucił go do dużego garnka, w połowie wypełnionego wodą.

— Pierwszy raz natknąłem się na nie w stajni — podjąłem. — Dzisiaj rano, jakieś pół godziny po wschodzie słońca.

Chwycił następnego ziemniaka i zabrał się za niego, jakby gardził wszystkim, co pochodzi z Idaho, a szczególnie wkurzały go rośliny bulwiaste.

— Po raz drugi — ciągnąłem — spotkałem je zaledwie dwadzieścia minut temu, w dębowym zagajniku, gdzie nagle zrobiło się tak ciemno, jakby nastąpiło zaćmienie Słońca.

— To nie ma sensu, panie Thomas.

— Dla mnie też.

— Nie było żadnego zaćmienia.

— No właśnie, chyba nie. Ale coś się wydarzyło.

Obserwując go, dokończyłem sernik.

Shilshom wrzucił drugiego ziemniaka do garnka i odłożył obieraczkę.

— Moje lekarstwo — powiedział.

— Słucham?

— Zapomniałem je wziąć — wyjaśnił i wyszedł z kuchni na korytarz.

Opukałem w drugim zlewie mój talerz, widelec i szklanekę. Wstawiłem je do zmywarki.

Jedzenie ciążyło mi w żołądku i czułem się tak, jakbym zjadł swój ostatni posiłek.

„...jest tu ktoś, komu grozi wielkie niebezpieczeństwo i kto rozpaczliwie cię prosi o pomoc...”

Recytując w myśli słowa Annamarii z nadzieją, że uruchomią mój psychiczny magnetyzm, czego próbowałem już wcześniej, zanim duch amazonki na koniu ostrzegł mnie bez słów i kazał wleźć na drzewo, przemierzyłem kuchnię i wyszedłem przez wahadłowe drzwi, prowadzące do pokoju kredensowego.

Przebiegłem oficjalną jadalnię, przytulny nieoficjalny salonik, kilkakrotnie mniejszy od głównego salonu, i ruszyłem korytarzem wyłożonym boazerią, mijając zamknięte drzwi, których żaden impuls nie kazał mi otwierać.

Niejeden raz w ciągu ostatnich dni rozkład ogromnego domu przyprawiał mnie o dezorientację, nie tylko z powodu jego wielkości, ale również dlatego, że projektujący go architekt wynalazł chyba nową geometrię z nieznanym dotąd

wymiarem, którego moja pamięć nie rejestrowała. Pokoje łączyły się ze sobą w sposób, który ciągle mnie zaskakiwał.

Zanim dotarłem do biblioteki całkiem nieoczekiwaną trasą, zastanowiły mnie dwie sprawy: głęboka cisza panująca w wielkim domu oraz nieobecność personelu. Żadnego szumu odkurzacza w odległym pomieszczeniu. Żadnych głosów. Nikt nie zmywał wapiennych posadzek, nie froterował mahoniowych podłóg, nie ścierał kurzu z mebli.

Poprzedniego dnia po raz pierwszy skorzystałem z zaproszenia, żeby na parterze czuć się jak u siebie w domu, i spędziłem trochę czasu w pokoju karcianym oraz w kompletnie wyposażonej siłowni. Spotkałem tylko gospodynię, panią Tameed, i pokojówkę, Victorię Mors.

Teraz, stojąc na progu biblioteki i zastanawiając się nad wszechobecną ciszą, uświadomiłem sobie, że ani gospodyni, ani pokojówka nie zajmowały się żadną konkretną pracą, kiedy się na nie natknąłem. Stały w pokoju karcianym, pogrążone w rozmowie. Chociaż przeprosiłem, że im przeszkadzam w pracy, i zamierzałem wyjść, zapewniły mnie, że już tutaj skończyły i mają robotę gdzie indziej. Natychmiast wyszły, jednak dopiero teraz się zorientowałem, że nie miały ze sobą żadnych przyborów do sprzątania, nawet ściereczki do kurzu.

W tak olbrzymim domu — z ozdobnymi gzymsami, rzeźbionymi marmurowymi kominkami, bogactwem architektonicznych szczegółów i pokojami pełnymi antycznych mebli — pani Tameed i cały zastęp pokojówek powinny się krzątać od rana do nocy. Jednak spotkałem tylko te dwie i żadnej jaszczki z nich nie widziałem przy pracy, chociaż wszędzie panował nieskazitelny porządek.

Przekroczyłem próg biblioteki, również opustoszałej. Duży, prostokątny pokój zapełniały regały z książkami. Na oknach wisiały ciężkie brokatowe draperie. Nie przystanąłem, żeby odczytać tytuł na którymś z tysięcy grzbietów, nie usiadłem w fotelu. Kierowany psychicznym magnetyzmem, ruszyłem prosto do otwartej klatki schodowej pośrodku pokoju.

Biblioteka miała sześć metrów wysokości i mahoniowy sufit z głębokimi kasetonami. Trzy i pół metra nad podłogą wzdłuż ścian biegła antresola półtorametrowej szerokości. Spiralne schody z brązu, z tralkami balustrady oplecionymi przez pięknie kute pnącza o połączonych liściach, miały zapewne symbolizować drzewo wiedzy. Na szczycie schodów pomost łączył dwa dłuższe boki antresoli. Bez wahania skręciłem w lewo. Dotarłem do końca pomostu i skręciłem w prawo.

W południowo-zachodnim narożniku antresoli znajdowały się ciężkie drewniane drzwi, z trójkątnym frontonem zwieńczonym pochodnią z brązu z połączanym płomieniem, wbudowane pod kątem między regałami. Przeszedłem przez drzwi i znalazłem się na skrzyżowaniu korytarzy pierwszego piętra.

Zaproszenie do korzystania z publicznych pomieszczeń głównego domu nie obejmowało pierwszego piętra. Nadużyłem przyznanego mi przywileju. I nawet się nie zawahałem. Nie sądzę, żebym był naprawdę zły, ale przyznaję, że bywam niegrzeczny.

Zważywszy, że szef ochrony, Paulie Sempiterno, niedawno wyraził szczerą chęć wpakowania mi kulki w twarz, obecne pogwałcenie prywatności pana

Wolflawa mogło się skończyć czymś gorszym niż surowa reprimenda na temat dobrych manier. Należało zachować ostrożność.

Jakby wywołany samą myślą o panu Sempiterno, jego szorstki głos dobiegł zza którychś zamkniętych drzwi w zachodnim skrzydle, po prawej stronie.

Następny głos, mniej gniewny i bardziej zmartwiony niż głos ochroniarza, należał niewątpliwie do szefa Shilshoma. Widocznie Shilshom wcale nie poszedł po zapomniane lekarstwo do swojego mieszkanka w skrzydle dla służby na parterze.

Trzeci głos, cichszy od poprzednich, mógł należeć do Noaha Wolflawa. Jego sypialnia znajdowała się w zachodnim skrzydle.

Słyszałem tylko co głośniejsze słowa, ale ton rozmowy wyraźnie był kłótlivy. Wyobrażałem sobie, że Sempiterno chce mnie zemleć w rozdrabniaczu do drewna, Shilshom woli mnie upiec z cebulą i marchewką, żeby mnie ofiarować jako dar pokoju czerwonoookim bestiom grasującym po Roseland, a Wolflaw nie wyraża zgody ani na posiekanie, ani na upieczenie, ponieważ wciąż jest zauroczony Annamarią z powodów, których sam nie potrafi wyjaśnić.

Chociaż kusiło mnie, żeby podsłuchiwać pod drzwiami, rozważa i psychiczny magnetyzm kazały mi odejść. Poszedłem więc dalej południowym korytarzem, który przez połowę swojej długości miał drzwi tylko po prawej stronie. Stąpałem cicho po chodniku, wdzięczny, że moc kierująca moimi stopami nigdy mnie nie zmuszała do skoczego tańca.

Tuż przed miejscem, gdzie południowe skrzydło łączyło się ze skrzydłem wschodnim, moją uwagę przyciągnęły jedne drzwi. Zawahałem się z ręką na kłame i nasłuchiwałem, ale ze środka nie dobiegał żaden dźwięk.

Wszedłem i znalazłem się w saloniku należącym do oddzielnego apartamentu z sypialnią. W fotelu uszaku siedział chłopiec z szeroko otwartymi, całkiem białymi oczami, jakby zakrytymi grubą kataraktą.

Nie zareagował w żaden sposób na moje wejście, więc cicho zamknąłem za sobą drzwi i podszedłem bliżej.

Usta miał lekko rozchylone. Ręce spoczywały na kolanach, odwrócone wnętrzami dłoni do góry. Nieruchomy, milczący, wyglądał jak martwy albo pogrążony w śpiączce.

Salon i sąsiadująca z nim sypialnia, którą widziałem za otwartymi drzwiami, nie byłyumeblowane ani udekorowane według gustu ośmio- czy dziewięcioletniego chłopca. Ozdobne gipsowe medaliony na białym suficie, przedstawiające pęki upierzonych strzał, na ścianach gobeliny ze scenami polowania na jelenie ujętymi w misterne wzorzyste bordiury, angielskie meble z okresu, którego nie rozpoznawałem, na stolikach i konsolach liczne brązowe posążki psów myśliwskich, perski dywan w bogatych odcieniach złota, czerwieni i brązu — wszystko to było zdecydowanie męskie, ale pasowało raczej do mężczyzny mającego za sobą dekady sportowych osiągnięć niż do małego chłopca.

Na oknach zaciągnięto zasłony. Światło dawały lampa na stoliku obok sofy i lampa podłogowa obok fotela, obie z plisowanymi jedwabnymi abażurami. W kątach gromadziły się cienie, jednak czułem, że chłopczyk jest sam.

Podszedłem do niego, nie wywołując żadnej reakcji. Przyglądałem mu się przez chwilę i zastanawiałem się nad jego stanem.

Straszne puste oczy były zupełnie białe, ani śladu źrenic i tęczówek pod kataraktą. Chłopczyk wydawał się całkowicie ślepy.

Chociaż nie słyszałem oddechu, jego klatka piersiowa lekko unosiła się i opadała. Oddychał płytko i powoli.

Nie licząc tych upiornych oczu, był ładnym dzieckiem o czystej, bladej cerze, subtelnych rysach twarzy sugerujących, że wyrośnie na przystojnego młodzieńca, i gęstych czarnych włosach. Może trochę małym jak na swój wiek: dodatkowo fotel go pomniejszał, a stopy nie sięgały podłogi.

Wydawało mi się, że dostrzegam w jego rysach podobieństwo do kobiety na koniu, ale nie miałem pewności.

„...jest tu ktoś, komu grozi wielkie niebezpieczeństwo i kto rozpaczliwie cię potrzebuje...”.

Sądziłem, że odnalazłem osobę, o której mówiła Annamaria... i syna widmowej amazonki. Ale nie znałem natury niebezpieczeństwa i nie wiedziałem, co mogę zrobić dla tego dziecka.

Odwrócona lewa dłoń chłopca drgnęła, a lewa pięta dwukrotnie kopnęła w krawędź fotela, jakby lekarz stuknął go młoteczkiem w kolano, żeby zbadać

odruchy.

— Słyszysz mnie? — zapytałem.

Nie odpowiedział.

Usiadłem na otomanie naprzeciwko fotela. Przez chwilę obserwowałem chłopca, potem ująłem jego prawy nadgarstek, żeby zmierzyć mu puls.

Chociaż siedział spokojnie i oddychał powoli, serce galopowało mu z prędkością stu dziesięciu uderzeń na minutę. Jednak rytm był regularny i nic nie wskazywało, żeby mały cierpiał.

Skórę miał tak zimną, że ująłem jego prawą dłoń w obie ręce, żeby ją rozgrzać.

Najpierw nie reagował, nagle jednak zacisnął mocno palce na mojej dłoni. Wyrwał mu się zdławiony okrzyk, wstrząsnął nim dreszcz.

Okazało się, że wcale nie chorował na zaćmę, po prostu oczy miał wywrócone do wnętrza głowy bardziej, niż uznałbym za możliwe. Teraz pojawiły się źrenice, kasztanowe i czyste.

Początkowo patrzył jakby przeze mnie na wylot, na coś daleko poza ścianami pokoju. Stopniowo skupił wzrok i spojrzał na mnie, chociaż bez zdziwienia, jakbyśmy się znali albo jakby pomimo młodego wieku i braku doświadczenia nic go nie mogło zdumieć czy zaskoczyć.

Rozluźnił uścisk i wypuścił z palców moją dłoń. Trupio blada skóra stopniowo zabarwiła się jakby odbiciem płomieni, chociaż pobliski kominek był wygaszony.

— Nic ci nie jest? — zapytałem.

Zamrugał kilka razy i rozejrzał się po pokoju, jakby próbował sobie przypomnieć, gdzie się znajduje.

— Nazywam się Odd Thomas. Mieszkam w domku gościnnym.

Przeniósł uwagę na mnie. Miał denerwująco bezpośrednie spojrzenie, zwłaszcza jak na dziecko.

— Wiem.

— Jak się nazywasz?

Zamiast odpowiedzieć, oznajmił:

— Zabronili mi wychodzić z pokoju, dopóki tu jesteś.

— Kto ci zabronił?

— Oni wszyscy.

— Dlaczego?

Wstał z fotela, a ja podniosłem się z otomany. Podszedł do kominka i stanął tam, wpatrując się przez ekran kominkowy w polana ułożone na mosiężnym ruszcie.

Doszedłszy do wniosku, że dzieciak nie powie nic więcej, jeśli go nie przycisnę, zapytałem ponownie:

— Jak się nazywasz?

— Ich twarze topią się i spływają z czaszek. A czaszki czernieją w zetknięciu z powietrzem, i wszystkie kości czernieją. A potem czernią się rozsypuje jak sadza i nic po nich nie zostaje.

Głos miał chłopięce brzmienie, ale rzadko, chyba nawet nigdy nie słyszałem, żeby dziecko mówiło tak poważnym tonem. I bardziej niż powaga zmroziło mnie co innego w tym głosie: smutek, przygnębienie, utrata wszelkiej nadziei, może jeszcze nie rozpacz, ale zaledwie jeden stopień przed tym stanem.

— Ze dwadzieścia dziewczynek w mundurkach i podkolanówkach — ciągnął — idących do szkoły. W ciągu sekundy zapalają się ich włosy i ubrania, a kiedy próbują krzyżeć, płomień buchają im z ust.

Podszedłem do niego i położyłem rękę na jego szczupłym ramieniu.

— Koszmarny sen, co?

Wpatrując się w zimną czeluść kominka, jakby tam widział płonące uczennice zamiast polan na ruszcie, pokręcił głową.

— Nie.

— Książka, film? — drążyłem, próbując zrozumieć.

Podniósł na mnie wzrok. Oczy miał ciemne i błyszczące... i równie nawiedzone jak Roseland, które nawiedzał duch kobiety na koniu.

— Lepiej się schowaj — ostrzegł.

— Jak to?

— Już prawie dziewiąta. Wtedy ona wraca.

— Kto?

— Pani Tameed. Wraca o dziewiątej, żeby zabrać tacę po śniadaniu.

Zerknąłem na drzwi. Z korytarza dobiegł hałas.

— Lepiej się schowaj — powtórzył chłopiec. — Jeśli się dowiedzą, że mnie widziałeś, zabiją cię.

Paulie Sempiterno mówił, że chce mi wpakować kulkę w twarz, bo mu się nie podobam. Przeglądałem się w lustrze dostatecznie często, żeby zrozumieć ten motyw. Ale nie potrafiłem sobie wyobrazić, dlaczego miałbym dostać wyrok śmierci tylko z tego powodu, że widziałem chłopca zajmującego pokój na pierwszym piętrze. Chociaż dzieciak był dziwny, natychmiast uwierzyłem w jego złowrogi ostrzeżenie.

Wymknąłem się z salonu do przyległej sypialni i zobaczyłem, że łóżko jest posłane, czyli pani Tameed nie będzie musiała wchodzić dalej niż do pierwszego pokoju. Ale potem spostrzegłem tacę z resztkami śniadania na małym stoliku, na którym leżał również stos książek.

Za następnymi drzwiami dojrzałem łazienkę. Okna w łazienkach zwykle są za małe, żeby posłużyć za drogę ucieczki, więc pozostał mi tylko odpływ wanny.

Zajrzałem do garderoby i zorientowałem się, że wcale nie jest tam bezpieczniejsze niż w łazience. Usłyszałem, jak w drugim pokoju pani Tameed pyta chłopca, czy skończył śniadanie, wszedłem więc do tej ostatniej możliwej kryjówki, zostawiając lekko uchylone drzwi.

W *Rebecce*, zarówno w książce, jak i w filmie, gospodyni, pani Danvers, to istna zmora w długiej czarnej sukni. Od pierwszej sceny z jej udziałem wiadomo, że w końcu kogoś zamorduje albo podpali dom.

Pani Tameed nie wywodziła się z tej szkoły posępnych i tajemniczych służących. Wysoka na metr osiemdziesiąt, jasnowłosa, solidnie zbudowana, ale nie pulchna, z rękami tak silnymi, że mogłaby masować cielecia z Kobe po nakarmieniu ich ziarnem i napojeniu piwem, miała szczerzy uśmiech i otwartą skandynawską twarz, która wydawała się niezdołna do udawania. Chociaż nie wyglądała na kobietę ukrywającą jakieś straszne sekrety, ja widziałem w niej wojowniczkę, która gdyby jej dano sztylet i miecz, wiedziałaby, jak ich użyć ze skutkiem śmiertelnym.

Kiedy weszła do sypialni chłopca, nie podeszła zwyczajnie do stolika, żeby zabrać tacę, ale pomaszzerowała z wyprostowanymi ramionami i podniesioną głową, jakby nawet taka przyziemna czynność miała ogromne znaczenie.

Chłopiec stanął w drzwiach i powiedział:

— Chcę z nim porozmawiać o zwiększeniu przywilejów.

— On nie ma ochoty z tobą rozmawiać — odparła pani Tameed chłodnym tonem, nie lekceważąco, ale stanowczo i bez cienia szacunku, jakby chłopiec znajdował się znacznie niżej od niej w strukturze społecznej Roseland.

Słodki chłopięcy głos był o całe pokolenie młodszy od słów, które wypowiedział.

— To jego obowiązek, odpowiedzialność. On myśli, że żadne zasady go nie obowiązują, ale nikt nie jest ponad wszystkim.

Z tą w rękach gospodyni powiedziała:

— Posłuchaj siebie, to zrozumiesz, dlaczego on nie chce z tobą rozmawiać.

— Sprawdź mnie tutaj. Jeśli już nie chce ze mną rozmawiać, to powinien przynajmniej odwieźć mnie z powrotem.

— Wiesz, co dla ciebie znaczy powrót. Chyba tego nie chcesz.

— Może chcę. Dlaczego nie?

— Jeśli naprawdę chcesz z nim rozmawiać, musisz zmienić taktykę. On nigdy nie uwierzy, że wolisz wrócić.

Kiedy podeszła do niego, chłopiec się cofnął i oboje zniknęli w salonie.

Uchyliłem szerzej drzwi garderoby i usłyszałem, jak gospodyni mówi do chłopca:

— Pamiętaj, nie rozsuwaj zasłon i nie zbliżaj się do okien.

— Jakie to ma znaczenie, czy goście mnie zobaczą?

— Może żadnego, ale nie możemy ryzykować — oświadczyła pani Tameed. — Mówisz o odpowiedzialności. Jeżeli będziemy musieli zabić jego i tę kobietę, będziesz odpowiedzialny za ich śmierć.

— Co oni mnie obchodzą? — burknął chłopiec nadąsanym tonem, bardziej dziecinny niż dotąd.

— I nie powinni cię obchodzić. Nie powinieneś się troszczyć o ich gatunek. Nie ty. Jesteś przecież... inny.

— Skoro to takie ryzyko ich gościć, po co ich zapraszał? — zapytał chłopiec i wiedziałem, że ma na myśli Noaha Wolflawa.

— Za cholerę nie wiem — odparła pani Tameed. — Żadne z nas tego nie rozumie. On mówi, że ta kobieta go intryguje.

— Co on jej chce zrobić? — spytał chłopiec tonem lubieżnej insynuacji, nazbyt świadomej jak na jego wiek.

— Nie wiem, czy on zamierza jej coś zrobić — warknęła pani Tameed. — Ale może zrobić z tą dziwką, co mu się podoba, tak jak ja i każde z nas, i to nie twój interes, szczeniaku.

— Zawsze byłaś taką zmiłą — zagadnął mały — czy to przyszło z wiekiem?

— Ty gówniarzu. Jak będziesz dalej pyskował, przywiążę cię kiedyś w nocy na polu i niech odmienne zrobią z tobą, co zechcą.

Ta pogroźka uciszyła chłopca. Domyśliłem się, że odmienne to czerwonoookie stwory, które w magiczny sposób przynosiły ze sobą ciemność wszędzie, gdzie się pojawiały.

Nazwana zmiłą gospodyni poczuła się zobligowana, żeby wypluć przed wyjściem jeszcze jedną porcję jadu:

— Może te odmienne cię zerzną parę razy, zanim ci odgryzą twarz.

Jeśli istniał jakiś pan Tameed i jeśli charakterem przypominał żonę, zapewne w ich małżeństwie było tyle miłości, co w walkach psów.

Pani Tameed wypuściła ostatnią strzałę, bardziej enigmatyczną niż wcześniejsze obelgi:

— Jesteś tylko trupem. Nie jesteś jednym z nas i nigdy nie będziesz, trupie.

Drzwi na korytarz zamknęły się stanowczo, ale nie wyszedłem od razu z garderoby. Czekałem, żeby chłopiec mi powiedział, że pani Tameed na pewno wyszła.

Po kilku minutach, kiedy się nie zjawiał, ostrożnie zajrzałem do salonu.

Na przekór rozkazom gospodyni odsunął zasłony w jednym oknie i oglądał południowy widok, obejmujący ogrody i schodkową kaskadę prowadzącą do mauzoleum na szczycie wzgórza. Nie zareagował na mój powrót. Kolory znikły z jego twarzy i znowu był błady jak wcześniej, kiedy zastałem go w transie, z oczami wywróconymi w tył głowy.

— Dlaczego ona powiedziała: „trup”?

Nie odpowiedział.

— Czy to groźba? Czy oni zamierzają cię zabić?

— Nie. Ona po prostu taka jest. To nic nie znaczy.

— Myślę, że znaczy. I myślę, że o tym wiesz. Chcę ci pomóc. Jak się nazywasz?

Pokręcił głową.

— Pomogę ci.

— Nikt mi nie pomoże.

— Chcesz się stąd wydostać — stwierdziłem.

Tylko popatrzył na odległe mauzoleum.

— Zabiorę cię z Roseland, zaprowadzę na policję.

— Niemożliwe.

— Przez mur. To łatwe.

Odwrocił się do mnie. Smutek nie tylko wypełniał jego melancholijne oczy, ale wręcz z nich promieniował, i kiedy napotkałem jego wzrok, zrobiło mi się ciężko na sercu.

— Przez cały czas wiedzą, gdzie jestem — powiedział chłopiec. Podciągnął lewy rękaw swetra i pokazał coś, co przypominało raczej obrożę niż zegarek.

Podszedłem do niego i zobaczyłem, że ten przedmiot jest zamknięty na jego nadgarstku. Dziurka od klucza wyglądała jak zamek w kajdankach. Bransoletka była masywniejsza niż w zegarkach. W zestawieniu z chudym nadgarstkiem stalowa obręcz wydawała się okrucieństwem, chociaż skóra nie była podrażniona.

— To nadajnik GPS — oznajmił chłopiec. — Jeśli wyjdę z apartamentu, natychmiast zawiadomi ich dźwięk, który rozlegnie się w całym domu. I w stróżówce. I w radiotelefonach, które noszą ze sobą ochroniarze. Jeśli opuszczę pierwsze piętro, zabrzmii inny dźwięk, i jeszcze inny, gdy wyjdę z domu.

— Dlaczego cię tu trzymają?

Zamiast odpowiedzi ciągnął:

— Mogą śledzić moje ruchy na planie domu i posiadłości, które wyświetlają się na ich telefonach komórkowych. Jak tylko zejdziesz z pierwszego piętra, ktoś się zjawi, żeby mi towarzyszyć.

Obejrzałem uważniej urządzenie śledzące.

— Taa, to wygląda jak zamek w kajdankach. Znam się na tym. Pewnie dałbym radę go otworzyć spinaczem do papieru.

— Jeśli spróbujesz, uruchomi się alarm, tak samo jak wtedy, kiedy wyjdę z apartamentu.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że patrzy na mnie przez łzy.

— Nie zawiodę cię — zapewniłem, ale ta obietnica zabrzmiała arogancko niczym wyzwanie rzucone przeznaczeniu, i pomyślałem, że prędzej go zawiodę, niż uwolnię.

Obawiałem się, że uwolnienie chłopca będzie jeszcze trudniejsze, jeśli go przyłapią na pogwałceniu zakazów jego dozorców, więc zaciągnąłem zasłony.

— Nie musimy cię wydostać z Roseland. Wystarczy, że ściągniemy tu policję. Może pomyślał, że jestem stuknięty, ale mam dobrego przyjaciela, który jest szefem policji w Pico Mundo. On mi uwierzy i przekona miejscowe władze.

— Nie. Nie gliny. To byłby... koniec wszystkiego. Nie rozumiesz, kim jestem.

— Więc mi powiedz.

Pokręcił głową.

— Gdybyś wiedział, ci ludzie... zabiliby cię bardziej niż na śmierć.

— Jestem twardszy, niż wyglądam.

Zamiast roześmiać mi się w twarz, po prostu wrócił do fotela, na którym siedział, kiedy go pierwszy raz zobaczyłem.

Znowu usiadłem na otomanie.

— Powiedziałeś pani Tameed, że on cię tu sprowadził i powinien przynajmniej odwiedzić cię z powrotem. O kim mówiłeś?

— O nim. A o kim innym? Wszystko przez niego.

— Przez Noaha Wolflawa?

— Przez Wolflawa — powtórzył z taką pogardą, jakby przepełniało go rozgoryczenie nagromadzone w ciągu długiego życia.

— Sprowadził cię tutaj. To znaczy porwał?

— Gorzej niż porwał.

Zupełnie jakby brał lekcje tajemniczości od Annamarii.

Znając aż za dobrze głębię zła, do jakiego istoty ludzkie potrafią się zniżyć, uzbroiłem się wewnętrznie, zanim zapytałem:

— Dlaczego Wolflaw trzyma cię tutaj? Czego on... oczekuje od ciebie?

— Jestem jego zabawką. Wszyscy są dla niego zabawkami.

Głos mu zadrżał i pod warstwą pogardy przesycającej każde słowo dostrzegłem całkiem inną emocję, bardziej smutek niż gniew, poczucie tragicznej straty.

Przypomniałem sobie, jak Henry Lolam w stróżówce sugerował, że Noah Wolflaw pragnął dziecka Annamarii dla „wrażeń”... dla „podniety”. Poczulem ucisk w piersi i flegma podeszła mi do gardła, ale to wstręt mnie dławił. Nie chciałem słuchać, jak ten chłopiec mówi o obrzydliwościach.

— Wiem, czym jest piekło — powiedział i skurczył się w głębi przepastnego fotela. — Piekło to Roseland.

Po chwili wahania zapytałem:

— On... cię dotyka?

— Nie. Nie tego chce ode mnie.

Ogarnęła mnie ulga, ale zaraz zacząłem się zastanawiać, co może być gorszego niż moje najgorsze obawy.

Chłopiec oznajmił:

— Jestem tutaj, bo on przez jedną chwilę czuł skruchę.

Dziwnie to zabrzmiało w ustach dziecka, a także enigmatycznie. Jednak biorąc pod uwagę naszą dotychczasową rozmowę, wątpiłem, czy uzyskam wyjaśnienie.

Zanim spróbowałem go wypytywać dalej, dodał:

— Teraz on trzyma mnie tutaj, żeby sobie udowodnić, że może zrobić wszystko i nic go nie powstrzyma.

Sfrustrowany zarówno ograniczeniami narzuconymi chłopcu — i mnie — przez transponder GPS na jego lewym nadgarstku, jak i jego niechęcią do udzielania informacji, powiedziałem:

— Ja tylko chcę ci pomóc.

— A ja żałuję, że nie możesz.

— Więc pomóż mi pomóc sobie. Skąd on cię zabrał? Jak długo cię tu trzyma? Jak się nazywasz? Czy pamiętasz swoich rodziców, ich nazwiska, swój adres domowy?

W tamtej chwili jego rudobrązowe oczy wydawały się straszliwie głębokie. Wcześniej tego nie widziałem, nigdy jeszcze w żadnych oczach nie widziałem takiej bezdennej głębi samotności, i zdawało mi się, że niebezpiecznie nawet w nie patrzeć, jakby czała się tam rozpacz tak potężna, że mogła zmienić mnie w kamień niczym wzrok Meduzy.

— Masz ciemne włosy, ale twoja matka była blondynką.

Spoglądał na mnie bez słowa.

— Miała wielkiego czarnego fryzyskiego ogiera, którego uwielbiała. I dobrze na nim jeździła.

— Kimkolwiek jesteś, może już wiesz za dużo — powiedział chłopiec, jakby potwierdzając to, co przekazał mi duch. — Lepiej nie opowiadaj o niej żadnemu z nich. Wyjedź, dopóki on jest gotów cię wypuścić. Co już nie potrwa długo. Jeśli myślisz, że nic ci nie grozi... idź do mauzoleum. W mozaice naciśnij tarczę, którą anioł stróż trzyma wysoko.

Wywrócił oczy w głąb czaszki, aż znowu stały się ślepe jak oczy posągu z białego marmuru. Ręce zsunęły się z poręczy fotela i spoczęły na kolanach, odwrócone wnętrzami do góry.

Albo mógł zapadać w ten trans z własnej woli, albo nie panował nad tym, jak epileptyk pozbawiony leków nie panuje nad atakami. Podejrzewałem jednak, że wybrał podróż w głąb siebie — jeżeli właśnie tam odszedł — żeby mnie odprawić.

Obserwowałem go przez chwilę. Nie zamierzał dobrowolnie wracać, a potrząsanie nim i zmuszanie go, żeby ze mną współpracował, wydawało się bez sensu.

Nie przypuszczałem, że kiedy znajdę osobę, która rozpaczliwie mnie potrzebuje, ten ktoś odrzuci moją pomoc.

Przed wyjściem obejrzałem sypialnię dokładniej niż wcześniej, kiedy w pośpiechu chowałem się przed panią Tameed. Podobnie jak salon, zostałaumeblowana i urządzona według gustu dorosłego mężczyzny. Tematem przewodnim były psy myśliwskie i polowanie. Żadnych zabawek. Żadnych

komiksów. Żadnych plakatów filmowych. Żadnej konsoli gier wideo. Żadnego telewizora.

Książki w twardych oprawach piętrzyły się nie tylko na stole, z którego gospodyni zabrała tacę, ale również na komodzie i na nocnej szafce. Nie byli to autorzy, w jakich zaczytywałyby się dziewięciolatek: Faulkner, Balzac, Dickens, Hemingway, Graham Greene, Somerset Maugham...

W pierwszej chwili pomyślałem, że chłopiec mieszka tu z kimś, że to nie jest jego prywatna kwatera. Ale w komodzie i w garderobie znajdowały się tylko dziecięce ubrania. Jedna szczoteczka do zębów w łazience oraz brak elektrycznej maszynki do golenia i innych akcesoriów dla dorosłego potwierdziły to, co wywnioskowałem z rzeczy w sypialni.

Wróciłem do salonu i stanąłem nad chłopcem, zakłopotany i zmartwiony. Wyglądał tak bezbrinnie i wiedziałem, że muszę mu pomóc, jednak strzegł swoich sekretów równie zazdrośnie jak pozostali mieszkańcy Roseland.

Żeby zachęcić mnie i Annamarię do wcześniejszego wyjazdu, dał mi wskazówkę, którą miałem znaleźć w mauzoleum.

Nagle przypomniałem sobie coś, co powiedział Paulie Sempiterno, kiedy już postanowił nie strzelać mi w twarz: „Czegokolwiek szukasz w Roseland, znajdziesz tego przeciwieństwo. Jeśli chcesz żyć, szukaj śmierci”.

Zamierzałem pójść prosto do mauzoleum, gdzie jedyni zmarli spoczywali schludnie zapakowani w urnach pod postacią prochów. Albo tak mi się tylko zdawało.

Ostrożnie przeszedłem przez wielki dom z powrotem do kuchni, ale równie dobrze mógłbym tańczyć i śpiewać, ponieważ rezydencja wydawała się opustoszała. Szef kuchni Shilshom nie wrócił do obierania swoich ziemniaków, więc pomyślałem, że konferencja w kwaterze Noaha Wolflawa jeszcze się nie skończyła.

Kiedy przemierzyłem południowy taras i dotarłem do łuku schodów prowadzących do fontanny, wyżej na zboczu, na trawniku pomiędzy schodkowymi kaskadami zobaczyłem pana Jama Diu, ogrodnika. Krępy mężczyzna z gładkim, przyjemnym obliczem Buddy wyglądał na Wietnamczyka, ale nie miałem co do tego pewności, ponieważ rozmawialiśmy tylko raz i krótko, gdy skomentowałem architekturę zieleni, a on pochwalił mój dobry gust, pozwalający mi docenić jego pracę.

Pan Diu chyba jako jedyny wśród mieszkańców Roseland miał poczucie humoru i gdyby dzień się zrobił jeszcze bardziej ponury — na co się zносиło — mogłem zgłosić się do niego w nadziei na odrobinę śmiechu.

W tej chwili nie miał tacek ani narzędzi ogrodniczych. Wpatrywał się w trawnik gładki jak dywan, pewnie szukając chwastów, żeby je wyrwać bez litości.

Wolno mi było odwiedzać mauzoleum i bywałem tam już wcześniej, teraz jednak nie chciałem, żeby pan Diu wciągnął mnie w rozmowę i ewentualnie wszedł za mną do środka. W jego obecności nie mógłbym nacisnąć tarczy anioła na witrażowej mozaice, jak sugerował chłopiec.

Zszedłem z tarasu i początkowo skierowałem się na wschód. Zmieniłem kurs, kiedy nie mogłem mnie widzieć ogrodnik ani nikt z domu. Zamierzałem podejść do mauzoleum od południa.

Zaledwie skryłem się przed cudzym wzrokiem, zatrzymała mnie nagła myśl, że przez poprzednie dwa dni i dzisiaj jak dotąd ani razu nie widziałem, żeby pan Jam Diu wykonywał jakieś prace ogrodowe. Nie zauważyłem też nikogo innego z co najmniej sześć- czy siedmioosobowej, jak zakładałem, ekipy pełnoetatowych ogrodników.

Ani razu także nie słyszałem kosiarki czy dmuchawy do liści.

Przypomniałem sobie nieskazitelne wnętrze domu... gdzie o porządek dbały na pozór tylko pani Tameed i Victoria Mors, których również nigdy nie widziałem przy pracy.

Te fakty wydawały się ze sobą powiązane. Coś znaczyły. Na razie jednak ich znaczenie było dla mnie równie niejasne jak dokument spisany brajlem.

Przedemną ciągnęła się długa trawiasta aleja, obrzeżona z trzech stron przez zimozielone kalifornijskie dęby. Pośrodku stał duży łowiany posąg Enkeladosa,

jednego z gigantów z klasycznej mitologii. Olbrzym spoglądał w niebo i wyzywająco unosił pięść.

Giganci walczyli z bogami. Zginęli zmiażdżeni głazami, które spiętrzyli wysoko, usiłując osiągnąć nieba.

Ambicja i głupota to niebezpieczna kombinacja.

Coś mi nie pasowało w tym posągu. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że Enkelados rzuca dwa przeciwstawne cienie, jeden krótszy i ciemniejszy od drugiego.

Niedobrze. Poprzednim razem, kiedy to niewytłumaczalne zjawisko miało miejsce w stajni, zapadła niemożliwa noc i sprowadziła hordę stworów, które pani Tameed nazywała odmieńcami.

Ciemne chmury, ciężkie jak galeony, napływały z północy, ale większość nieba pozostała czysta. Słońce zbliżało się do zenitu.

Ośloniłem oczy dłońią i przepatrywałem cienie wśród drzew, szukając czegoś o fantastycznych kształtach i wrogich zamiarach. Jak zwykle czułem się obserwowany. Ale obserwatorzy, jeśli istnieli, dobrze się ukryli.

Na moich oczach cień giganta padający na wschód skurczył się i został tylko krótszy, ciemniejszy cień. Natura, która zaczęła popadać w rozprzężenie, doprowadziła się do porządku.

Mogę wytrzymać z duchami zmarłych, pod warunkiem że nie nawiedzają mnie w krępujących sytuacjach, na przykład w łazience. Bardziej wyprowadza mnie z równowagi każde nadnaturalne zjawisko wykraczające poza moje zwykłe doświadczenia, ponieważ obawiam się, że zagości w moim życiu na stałe. Jeśli nie mogę polegać na wschodach i zachodach słońca następujących zgodnie z harmonogramem, jeśli wszystkie przedmioty rzucają dwa przeciwstawne cienie, to może jutro psy zaczną latać, a ptaki szczeekać, i w ciągu tygodnia stanę się kompletnie stukniętym kucharzem, który przemawia do naleśników na patelni i oczekuje, że mu odpowiedzą.

Ominąłem giganta Enkeladosa, który zginął zmiażdżony jak rozjechany królik na autostradzie do nieba, i doszedłem do końca trawnika.

Zanim zanurzyłem się w las, rozejrzałem się w nadziei, że pojawi się duch amazunki i zapewni mnie, że droga jest bezpieczna, albo udzieli ostrzeżenia. Jednak moja duchowa przewodniczka nie była tak niezawodna jak Indianin Tonto, podobnie jak mnie brakowało efektownego stroju i seksownej maski Jeźdźca Znikąd.

Wszedłem pomiędzy stłoczone drzewa, w cień tak głęboki, że nie mogły tam wyrosnąć żadne krzewy ani trawa. Słońce rozsypywało złote monety na ciemnym leśnym podłożu i stąpałem po tej miękkiej, nagiej ziemi niemal bezszelestnie, jak złodziej.

Ta cisza mnie zatrzymała. Zdziwiła mnie naga ziemia. Dublony słonecznego blasku uświadomiły mi, że wszędzie dookoła powinny leżeć zeszcłe liście. Przypomniałem sobie trzaski i chrzęsty, kiedy banda odmieńców krążyła po innym dębowym zagajniku.

Kalifornijskie dęby są wiecznie zielone, ale zrzucają małe owalne liście przez cały rok, i to obficie. Nawet gdyby pan Jam Diu z całą ekipą pracowitych elfów jeszcze tego ranka zgrał, zebrał do worków i wyniósł wszystko, co spadło z drzew, do tej pory kilkadziesiąt suchych liści zdążyłoby zaśmiecić ziemię.

Jednak nic nie trzeszczało mi pod nogami, nie spotkałem żadnych elfów, a na podstawie zebranych poszlak przypuszczałem, że Jam Diu jako główny ogrodnik raczej się nie przemieszczał.

Ta kępa drzew znajdowała się w ogrodowej części posiadłości, zajmującej niecałe osiem hektarów, natomiast drugi zagajnik rósł dziko wśród łąk. Nie dostrzegłem między nimi żadnej różnicy, która mogłaby wyjaśnić tę starannie zamiecioną ziemię.

Jednak w tej chwili najważniejsze było nie to, w jaki sposób ogrodnik utrzymuje zagajnik w takim nieskazitelnym stanie ani dlaczego uważa to za konieczne. Teraz musiałem myśleć przede wszystkim o uwięzionym chłopcu.

Za dębami wszedłem na stromą łąkę, gdzie dzika trawa miejscami sięgała mi do pasa. Żar minionego lata wybielił ją do jasnożółtej barwy. Mimo pory deszczowej było sucho, żadna burza nie przygniotła sztywnych, wysuszonych źdźbeł i nie wydobyla z ziemi świeżych zielonych pędów.

Na szczycie wzgórza przystanąłem i spojrzałem na południowy zachód, w stronę mauzoleum odległego o kilkaset metrów. Po chwili odpoczynku poszedłbym tam, gdyby mojej uwagi nie przyciągnął ruch na skraju pola widzenia.

Od wierzchołka wzgórza teren nierównomiernie się obniżał — grunt wznosił się i opadał niczym złociste morze zastygłe w chwili, kiedy sztorm się skończył, najgorsza nawałnica przeminęła, lecz wciąż jeszcze piętżą się potężne fale, rozdzielone głębokimi dolinami.

Na wpół ukryci w wysokiej trawie, widoczni w skróceniu z mojego punktu obserwacyjnego, biali jak larwy na tle wybielonej łąki, więc jeszcze bardziej zakamuflowani, wyszli zza grzbietu wzniesienia dwie fale ode mnie. Nie mniej niż dwudziestu, nie więcej niż trzydziestka, posuwali się osobliwym krokiem, szybko, lecz powłóczęcą nogami.

Niektórzy mieli garby, głowy wysunięte do przodu i jakby zdeformowane, chociaż z tej odległości nie mogłem ocenić, czy asymetryczny wygląd ich czaszek to tylko złudzenie wywołane grą światła. Niemal spazmatycznie wymachiwali ramionami, które sprawały wrażeń wysożonych w dodatkowe stawy i przypominały długie kończyny rozdrażnionego orangutana.

Większość jednak nie miała garbów między łopatkami. Szli wyprostowani, z głowami uniesionymi wysoko, smuklejszymi niż u ich niezgrabnych towarzyszy. Poruszali się z większą gracją i zapewne mogliby szybciej posuwać się do przodu, gdyby nie tych kilku zdeformowanych osobników, którzy samą swoją obecnością opóźniali marsz.

Na oko mieli po jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, niektórzy więcej, niektórzy mniej. Z daleka wyglądali na umięśnionych brutalni i nie wątpiłem, że okażą się śmiertelnie groźnymi przeciwnikami.

Tym razem nie sprowadzili ze sobą zmierzchu, jednak zdawali się widzieć równie dobrze w słońcu jak w całkowitych ciemnościach. Z pewnością to były te same stwory, przed którymi chowałem się w skrzyni na paszę i wysoko na dębie. Z tej odległości ich nie słyszałem, ale dobrze pamiętałem ich warczenie, chrząkanie i wrzaski.

Znikli w zagłębieniu terenu, oddalając się ode mnie, a ja wypuściłem wstrzymywany oddech z ulgą, że mnie nie zauważyli. Powinienem zejść ze szczytu

najwyższego wzgórza, ale stałem jak przykuty do miejsca i czekałem, żeby ich jeszcze raz zobaczyć.

Strach przejechał mi po kręgosłupie bryłą lodu. Zdumienie jakby zamroziło mi umysł i myśli nie chciały odtajać, nie chciały odpłynąć od widoku tej bandy.

Pojawili się na następnym grzbiecie, zmierzając do dalszego wzniesienia. Z tak dużej odległości przypominali niewyraźny miraż, więc może wcale nie rozplynęli się w powietrzu, jak mi się zdawało, tylko po prostu znikli w jeszcze wyższej trawie.

Chociaż nie widziałem ich z bliska i nie mogłem dokładnie określić ich wyglądu, odniosłem pewne wrażenia, dostatecznie wiarygodne. Wrażenie długich, płaskich głów i tępych, mięsistych pysków. Wrażenie ramion, a co za tym idzie, niewidocznych rąk. Poruszali się w pozycji wyprostowanej, właściwie biegli, ale nie byli zwierzętami, które umiały również biegać na dwóch nogach. Tylko naczelne potrafią stać tak prosto: ludzie, małpy, małpiatki... Te stwory nie należały do żadnego z tych gatunków. Zdawało mi się również, że widziałem krótkie, spiczaste kły, ciemne na tle bladych twarzy, ostre kły, zdolne ranić i patroszyć, jak u dzików. Dzikie świnie o ciałach wtłoczonych w prymitywną postać naczelnych, o twarzach udreńczonych i chorych od przemocy. Zdeformowane i garbate osobniki akceptowano niewątpliwie dlatego, że każdy członek ich plemienia, bez względu na stopień deformacji, stanowił wybryk natury.

Nie pojawili się na odległym zbocz, jakby się zdematerializowali niczym duchy. Jednak to nie były duchy ani wytwory mojej wyobraźni. Czy zamieszkiwali Roseland na stałe, czy też przychodzili i odchodzili przez jakąś bramę pomiędzy tym miejscem a inną, niepojętą dla mnie rzeczywistością, stanowczo należało ich unikać. Zdawali się nieustannie krążyć jak rekiny w poszukiwaniu pożywienia, zapewne zdolne wywęszyć krew nawet wtedy, kiedy jeszcze bezpiecznie płynęła w żyłach ofiary.

Zdecydowałem, że wizytę w mauzoleum trzeba odłożyć. Wróciłem tą samą drogą — po stromej łące, przez zagajnik dębów, które wciąż nie zrzuciły ani jednego liścia, i przez długą aleję, obok jeszcze niezmiądzzonego Enkeladosa.

Gdybym miał umrzeć tego dnia, co wydawało się całkiem prawdopodobne, miałem w sypialni coś, co chciałem ze sobą zabrać na spotkanie śmierci.

Przebiegłem przez gaj eukaliptusowy po ścieżce wyłożonej kamiennymi płytami i dotarłem do wieży akurat wtedy, kiedy Noah Wolflaw z niej wychodził. Nie wiem, który z nas okazał się bardziej zaniepokojony, ale tylko on niósł strzelbę.

W zwykłych czasach, jeśli w Roseland takie się zdarzały, Wolflaw przypominał Wezuwiusza w nieaktywnej fazie: solidny mężczyzna zachowujący się tak spokojnie, że wydawał się równie stały i niezmienny jak granitowy szczyt zwieńczony czapą chmur. Lecz wyczuwało się w nim siłę, wulkaniczną i zawsze gotową do działania, energię, dzięki której osiągnął sukces i zdobył bogactwo.

Wysoki, grubokościsty, z ciałem jak zbroja wykuta przez zbrojmistrza na miarę szkieletu, robił wrażenie, nawet kiedy nie trzymał krótkolufowej dwunastki z pistoletowym chwytem. Płaszczyny jego twarzy stanowiły triumf geometrii: szare oczy osadzone w idealnie eliptycznych oczodołach, nos jak wielki równoramienny klin, podbródek jak wystająca plinta, nad którą wznosiły się skarpy kości policzkowych. Gęste ciemne włosy tworzyły grzywę, której pozazdrościłby mu lew czy ogier. Tylko usta, o pełnych wargach, a jednak trochę za małe, pozwalały sądzić, że ten silny człowiek ma też swoje słabości.

— Thomas! — zawołał na mój widok.

Zwracał się do mnie w ten sposób nie dlatego, że nie raczył dodawać „pan” przed nazwiskiem, ale ponieważ uważał moje imię za zbyt dziwaczne i krępujące. W dniu, kiedy się poznaliśmy, oznajmił, że potraktuje moje nazwisko jak imię, ponieważ „mówiąc »Odd« czuję się, jakbym pluł na ciebie”. Nie wydawał się człowiekiem o tak wysublimowanej wrażliwości, żeby moje imię sprawiało mu kłopoty, ale może zachował się w ten nietypowo rycerski i wytworny sposób ze względu na Annamarię, która rzucała urok na wszystkich.

Strzelba Wolflawa przestraszyła mnie niemal tak bardzo, jak wcześniejsze spotkanie z naczelnymi świniami, jednak nie wycelował we mnie, czego się po trosze spodziewałem.

Zamiast tego powiedział:

— Jak ona robi to, co robi? I co ona właściwie robi? Zawsze rozmawiam z nią z jasno określonym zamiarem, a ona odpowiada mi w najbardziej uprzejmy sposób, po czym wychodzę oszołomiony, zapomniawszy albo porzuciwszy cel wizyty.

Oczywiście mówił o Annamarii, więc mogłem tylko odpowiedzieć:

— Tak, proszę pana, współczuję. Ale zawsze mam uczucie, że wszystko, co ona mówi, jest prawdą i że kiedyś to zrozumie. Może nie jutro, może nie za miesiąc, może nie za rok, ale kiedyś.

— Ona ma w sobie tę królewską wytworność, jaką miała Grace Kelly, chociaż Grace Kelly była prawdziwą ślicznotką. Jesteś taki młody, że pewnie nigdy nie słyszałeś o księżnej Grace.

— Była aktorką. *M jak morderstwo, Okno na podwórze, Złodziej w hotelu.* Wyszła za księcia Monako.

— Nie jesteś takim ciemniakiem, na jakiego wyglądasz.

W ten sposób ze mną rozmawiał — i w zasadzie z każdym — pod nieobecność Annamarii.

— Dziękuję panu.

Mówiąc, rozglądał się czujnie po eukaliptusowym zagajniku, poszatkowanym smugami słońca i cienia, które tworzyły jakby kamuflaż, gdzie mogło się coś zczaić, coś trudnego do zauważenia.

— Przeszedłem jej powiedzieć, że musicie stąd wyjechać. Dzisiaj. W ciągu godziny. Wiesz, co mi odpowiedziała?

— Na pewno coś wartego zapamiętania.

Wwiercił się we mnie szarymi oczami, stworzonymi do takich spojrzeń, niczym ostrza z nierdzewnej stali sięgające aż do kości.

— Powiedziała, że to, czego sobie życzę, nie stanie się, jeśli wy dwoje teraz wyjedziecie, że wyjedziecie jutro z samego rana, kiedy wypełni się cel, dla którego was tu sprowadziłem.

— Tak, to coś w jej stylu.

— Jeszcze nigdy żaden gość mi nie odmówił, kiedy mu kazałem wyjechać. — Gniewnie zmarszczył krzaczaste brwi i kiedy się do mnie nachylił, promień słońca przebijający liście eukaliptusa dodał ostrości jego stalowym oczom. Głos miał przesycony groźbą i nie zawahał się jej wypowiedzieć: — Jeśli ośmielasz się dyktować gospodarzowi, kiedy wyjedziesz, może nigdy nie wyjedziesz, gdy już wszystko się dokona.

Nie sądziłem, że w ten sposób wyrażał obawę, że zostaniemy tu na stałe. Raczej obiecywał każdemu z nas urnę i niszę w mauzoleum.

To były niezwykle i wiele mówiące słowa. W Wezuwiuszu narastało ciśnienie.

— Za kogo ona się uważa, do cholery?

— Zapytał ją pan o to? — zaciekawilem się, ponieważ mnie też interesowała odpowiedź.

Stal znikła z jego oczu, groźba z głosu i znowu rozejrzał się po pachnącym zagajniku, tym razem nie jakby się lękał, że zbliża się stado zmutowanych świń, tylko jakby nie bardzo pamiętał, jak się tu znalazł.

— Nie. Zrobiła tę sztuczkę z kwiatem, jak numer iluzjonisty w Vegas. — Wydawał się poruszony wspomnieniem jej pokazu magii. — Widziałeś kiedyś, jak ona robi tę sztuczkę z kwiatem?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, ciągnął:

— Nagle usłyszałem, jak jej mówię, że oczywiście może zostać, oboje możecie zostać tak długo, jak trzeba, jeśli ona sobie tego życzy. Powiedziałem, że tylko martwiłem się o wasze bezpieczeństwo, wiesz, skoro pумы tu grasują po nocach.

I przeprosiłem za moją bezmyślność. Chyba nawet pocałowałem ją w rękę. Nigdy w życiu nie całowałem kobiety w rękę. Po co miałbym całować kobietę w rękę?

Odetchnął głęboko, wypuścił powietrze w długim, sfrustrowanym wydechu i pokręcił głową, jakby zdumiony własnym zachowaniem.

— No więc ona mówi, że oboje wyjedziecie, kiedy stanie się to, czego sobie życzę, kiedy spełni się cel, dla którego was tu sprowadziłem... ale o jaki cholerny cel jej chodzi?

— To pański cel.

— Nie wymądrzaj się, Thomas.

— Ależ skądże, proszę pana.

— Nie wiem, dlaczego was tu sprowadziłem. To było szalone. Lekkomyślne. Nie chcę jej. Powiedziałem Pauliemu, że mam na nią ochotę, jako pretekst, bo nie wiedziałem, jak się wytłumaczyć, ale on dobrze wie, że ona nie jest w moim typie.

— Pan Sempiterno jest bardzo przenikliwy.

— Zamknij się.

— Oczywiście, proszę pana. Jutro wyjedziemy — przyrzekłem.

Teraz mówił bardziej do siebie niż do mnie:

— Nie chcę jej. Ona jest wstrętna, odrażająca, rozdęta i gruba jak krowa. Nie potrafi poruszyć soków w mężczyźnie. Nic od niej nie chcę i nigdy jej nie tknę.

— Jutro wyjedziemy — powtórzyłem.

Znowu przeniósł uwagę na mnie i ściągnął zbyt małe usta z niesmakiem, jakby był czymś, czego nie chciałby mieć przyklepionego do podeszwy buta, a co dopiero rozmawiać z tym czymś twarzą w twarz.

— Powiedziałeś Henry'emu Lolamowi, że spotkałeś faceta imieniem Kenny. Nikt go nie widział od lat. Powiedziałeś szefowi Shilshomowi, że widziałeś niedźwiedzie z czerwonymi oczami.

— Może nie niedźwiedzie, proszę pana. Ale na pewno coś widziałem.

Znowu omiół spojrzeniem zagajnik. Pomimo twardej, choć przystojnej twarzy i stalowych oczu nie wydawał się już taki silny, ponieważ wargi mu zdrząły.

— Widziałeś kogoś w dziennym świetle?

— Nie, proszę pana — skłamałem.

— Noc to jedno, ale dzień to całkiem inna para kaloszy. — Znowu skupił na mnie wzrok. — Ciągłe zaczepiasz ludzi, Thomas, ciągle próbujesz wyciągać z nich informacje, jesteś taki namolny.

— Jestem po prostu ciekawski, proszę pana. Zawsze taki byłem.

— Zamknij się.

— Tak, proszę pana.

— To, co tu się dzieje, to nie twój cholerny interes. Rozumiesz?

— Tak, proszę pana. Przepraszam. Nadużyłem pańskiej gościnności.

Zmarszczył brwi, co budziło jeszcze większy respekt niż stalowe spojrzenie.

— Żarty sobie stroisz?

— Nie, proszę pana. Jeśli wolno mi powiedzieć, gdybym naprawdę żartował, nie powstrzymałby się pan od śmiechu.

— Kiedy mówię, żebyś się zamknął, to masz się zamknąć. Zamknij się.

— Tak, proszę pana.

— Dopóki jutro nie wyjedziecie, zostańcie w wieży gościnnej.

Kiwnąłem głową, pamiętając o jego strzelbie.

— Zostańcie w wieży, zamknijcie drzwi na klucz, pozamykajcie okna, zaciągnijcie zasłony i czekajcie do rana.

Znowu kiwnąłem głową.

Widząc, że zerkam na strzelbę, uświadomił sobie z opóźnieniem, że powinien się z niej wytłumaczyć.

— Pomyślałem, że trochę postrzelam do rzutków.

Przecisnął się obok mnie na ścieżce wyłożonej kamieniami. Ruszyłem w stronę drzwi wieży.

— Jeszcze jedno — powiedział.

Obejrzałem się i zobaczyłem z zadowoleniem, że nadal trzyma strzelbę w zgięciu ramienia, wycelowaną w ziemię.

— W waszych pokojach nie ma telefonów, ale pewnie macie komórki. Musicie zrozumieć, że nie ma tutaj niczego interesującego dla policji. Czy to jasne?

Potwierdziłem skinieniem głowy. Nie miałem komórki, bo nigdy nie potrzebowałem grać w gry wideo ani surfować po necie, ani wymieniać nagich zdjęć z jakimś kongresmanem.

— Mam mocne powiązania z miejscowymi władzami — ciągnął Wolflaw. — Mocniejsze niż ty z własnym fiutem. Kilku z nich dawniej pracowało tutaj w ochronie. Dużo dla nich robię. Nawet się nie domyślasz, ile dla nich robię, i zapewniam cię, że nie potraktują łagodnie jakiegoś nędznego włóczęgi, który spróbuje mnie obszczekiwać. Czy to jasne?

Przytaknąłem.

— Nagle zaniemówiłeś czy co?

— Rozumiem, proszę pana. O glinach. Zostać w wieży, zamknąć drzwi na klucz, pozamykać okna, zaciągnąć zasłony, nie dzwonić do glin ani nawet do straży pożarnej, jeśli dom zacznie się palić, tylko czekać do rana, a potem o świcie pomaszerować prosto do bramy.

Popatrzył na mnie, pogardliwie wydymając dziewczęce usta, i pomyślałem, że niedługo zacznie bez oporów nazywać mnie „Odd”, bo powiedział:

— Z ciebie to prawdziwy pojeb.

— Tak, proszę pana. Przekażę Annamarri, że pan tak powiedział.

Patrzyliśmy na siebie, on z wyraźną wrogością, ja ze zwykłą ciekawością, aż wreszcie rzekł:

— Słuchaj... wołałbym, żebyś tego nie robił.

— Czego?

— Wołałbym, żebyś jej nie mówił. Nie wiem, co się ze mną dzieje. To wariatwo. Czy ona mnie zahipnotyzowała, czy jak? Co mnie obchodzi, czy jej powiesz, czy nie powiesz, że cię nazwałem pojebem?

— Więc jej powiem.

— Nie mów — zaprotestował natychmiast. — Nie zależy mi, co ona o mnie myśli, ona nic dla mnie nie znaczy, jest pospolita jak pączek z lukrem bez lukru. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego, ale wołałbym, żebyś jej nie mówił o moim wybuchu.

— Dziwne, jak ona wpływa na ludzi — zauważyłem.

— Bardzo dziwne.

— Nie powiem jej.

— Dziękuję.

— Nie ma za co.

Patrzyłem, jak Wolflaw odchodzi między eukaliptusami i wspina się po rozległym, zalanym słońcem trawniku w stronę głównego domu. Nawet na otwartej przestrzeni, gdzie nic nie mogło się do niego podkraść, rozglądał się nerwowo na boki i raz po raz zerkał do tyłu. Pewnie obawiał się pumy, nasłuchiwał krzyku nura i zachowywał czujność na wypadek niespodziewanego spotkania z Dżabbersmokiem o płomiennych oczach albo skroźnym Banderzwierzem.

Kiedy Stormy Llewellyn i ja mieliśmy po szesnaście lat, spędziliśmy wieczór w wesołym miasteczku. W namiocie z atrakcjami natknęliśmy się na maszynę wróżbiarską wielkości budki telefonicznej. Obudowana dolna połowa tworzyła podstawę, na której spoczywała szklana gabłota, według plakietki zawierająca zmumifikowane szczątki pewnej Cyganki, karlicy słynącej ze swoich przepowiedni.

Skurczona, upiorna postać w cygańskim stroju — zapewne konstrukcja z gipsu, papieru, wosku i lateksu, a nie prawdziwe zwłoki — za ćwierć dolara wyrzucała wydrukowaną karteczkę z odpowiedzią na pytanie. Ćwierćdolarówka to niewygórowana cena za przepowiednię zmieniającą całe życie, ale zmarli mogą odpowiadać tanio, bo nie muszą kupować jedzenia ani subskrybować kabłówki.

Młoda para, która korzystała z maszyny przed nami, pytała, czy ich małżeństwo będzie długie i szczęśliwe. Chociaż dali cygańskiej mumii osiem ćwierćdolarówek, ani razu nie otrzymali wyraźnej odpowiedzi. Stormy i ja słyszeliśmy, jak potencjalny pan młody, Johnny, czyta wszystkie odpowiedzi swojej dziewczynie i chociaż wydawały się niejasne, rozumieliśmy je doskonale. Jedna brzmiała: „Sad z chorymi drzewami rodzi trujące owoce”. Pozostałe były równie mało zachęcające.

Kiedy Johnny i jego oblubienica odeszli nadąsani, zadaliśmy cygańskiej mumii to samo pytanie co poprzednia para. Na mosiężną tackę ześliznęła się karteczka z wydrukiem: LOS SPRAWI, ŻE NA ZAWSZE BĘDZIECIE RAZEM.

Stormy oprawiła ją w ramki za szkłem i powiesiła nad łóżkiem, gdzie przepowiednia wisiała przez kilka lat. Teraz stała w mniejszej ramce na nocnym stoliku w mojej sypialni w więzi.

Kiedy straciłem Stormy, nigdy nie chciałem w gniewie zniszczyć tej kartki. Nie ma we mnie gniewu. Nigdy nie wściekałem się na człowieka ani na Boga z powodu tego, co się stało. Smutek jest moją spuścizną po tamtym strasznym dniu, a także upokarzającym przypomnieniem o moich niedostatkach, których jest wiele.

Nie chcę, żeby ten smutek mnie przytłoczył, więc skupiam się na pięknie świata, które przejawia się wszędzie w całym różnorodnym bogactwie — od najmniejszych dzikich kwiatów i żerujących na nich migotliwych kolibrów po nocne niebo nabijane diamentami płomiennych gwiazd.

A ponieważ widuję zwlekających z odejściem zmarłych, wiem, że istnieje coś poza czasem, miejsce, do którego oni przynależą i do którego kiedyś odejdę. Zatem przepowiednia cygańskiej mumii nie okazała się fałszywa; może jeszcze się

spełnić, toteż trzymam smutek w ryzach i czekam, aż się dokona upragnione przeznaczenie.

Odkąd wyjechałem z Pico Mundo, zabieram kartkę z przepowiednią wszędzie, dokąd mnie prowadzi intuicja. Lecz z obawy, żeby jej nie zgubić podczas jakiejś desperackiej akcji, nie noszę jej przy sobie codziennie, przez cały czas.

Ostatnie wydarzenia przekonały mnie, że zło w Roseland jest niezwykle groźne. Annamaria pomagała mi, ale nie chroniła, i nie miałem wielkich szans dożyć do rana. Oczywiście nie wmawiałem sobie niemądrze, że dopóki mam przy sobie te siedem słów cygańskiej mumii, jestem niepokonany. Jednak wierzyłem, że niezbyt mądrze, że gdybym umarł i przekroczył próg czasu, moce po drugiej Stronie poczują się bardziej zobowiązane zaprowadzić mnie prosto do Stormy, jeśli będę miał przy sobie dowód obiecanego przeznaczenia.

Nie przeszkadza mi, że mnie uważają za głupca. Jestem równie głupi jak każdy, od niektórych pewnie głupszy, i stale o tym pamiętam, co chroni mnie przed zarozumiałstwem. Zbytnią pewnością siebie może zabić.

Odgiałem zszywki z tyłu ramki, wyjąłem prostokąt płyty wiórowej i wyciągnąłem karteczkę. Włożyłem ją do jednego z plastikowych okienek w portfelu.

Zwykle okienka były puste. Nie nosiłem fotografii Stormy, bo nie czułem takiej potrzeby. Jej twarz, jej uśmiech, postać, piękno jej pełnych wdzięku rąk, jej głos, to wszystko pozostało we mnie, niezatarte. Stormy żyła w moich wspomnieniach, poruszała się i uśmiechała, a fotografia uwieczniła tylko jeden zastygły moment z przeszłości.

Narzuciłem na sweter sportową marynarkę, którą kupiłem podczas wyprawy do miasta. Nie próbowałem poprawiać swojego wizerunku. Sportowa marynarka jest użyteczna, ponieważ ma sporo kieszeni i schowków.

Zgodnie z instrukcją Noaha Wolflawa pozamykałem wąskie, zakratowane okna i zaciągnąłem zasłony. Zapaliłem wszystkie lampy, żeby później, kiedy zapadnie noc, światło przebijające przez tkaninę sugerowało, że jestem w domu.

Zamknąwszy na klucz moją kwatere, wszedłem po krętych schodach z westybulu na pierwsze piętro. Kostki mojej prawej dłoni podążyły za płytą drzwi, które otworzyły się, zanim zdążyłem zapukać.

Rafael, golden retriever, którego uratowaliśmy w Magic Beach, leżał na podłodze, trzymał w przednich łapach gryzak dla psów Nylabone i obgryzał go z apetytem. Walnął ogonem o podłogę na przywitanie, ale w tej chwili gryzak interesował go znacznie bardziej niż wszelkie drapanie za uszami czy głaskanie po brzuchu, jakie mogłem mu zaferować.

Buu przebywał w innej części apartamentu albo wybrał się na zwiedzanie Roseland. Jako duch psa mógł przenikać przez ściany i robić to wszystko, co robią duchy. Zauważyłem jednak wcześniej, że jak każdy żywy pies odznaczał się nieposkromioną ciekawością i uwielbiał zwiedzać nowe miejsca.

Jak przedtem, zasłony były zaciągnięte i jedyne światło padało z dwóch witrażowych lamp. Annamaria siedziała wciąż przy stoliku. Nie stały tam jednak żadne parujące kubki z herbatą, ani dla niej, ani dla mnie.

Zamiast nich na stoliku stała płytka błękitna misa prawie półmetrowej średnicy, napełniona wodą, w której pływały trzy ogromne białe kwiaty.

Wyglądały jak kwiaty magnolii, tylko większe, wielkie jak kantalupy, o płatkach tak grubych, że wydawały się sztuczne, jakby zrobione z wosku.

Widziałem już takie kwiaty, na potężnym drzewie rosnącym przed domem, w którym Annamaria mieszkała przez jakiś czas w Magic Beach. Zjedliśmy wtedy wspólny posiłek przy stole, gdzie trzy kwiaty pływały w dużej, płytkiej misie, podobnej do tej.

Znajomość nazw to sposób na uszanowanie piękna tego świata, które dodaje mi sił i pomaga znosić smutek. Znam nazwy wielu drzew, ale nie tego, z którego pochodziły te kwiaty.

Podchodząc do stołu, zapytałem:

— Skąd je wzięłaś?

Blask lampy padał na kwiaty, woskowe płatki odbijały go na Annamarię, co wywoływało złudzenie, jakby jej twarz była rozświetlona od środka.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

— Zerwałam je z drzewa.

— Przecież to drzewo jest w Magic Beach.

— To drzewo jest tutaj, Oddie.

Widziałem tylko jedno drzewo z takimi kwiatami, drzewo bez nazwy w Magic Beach, z grubymi, rozłożystymi, czarnymi konarami i ośmiopłatkowymi liśćmi.

— Tutaj, w Roseland? Zwiedziłem całą posiadłość. Nigdzie nie widziałem takich kwiatów.

— Jest tutaj z całą pewnością.

Niecały tydzień wcześniej zademonstrowała sztukę z jednym z tych białych kwiatów. Moja przyjaciółka, kobieta imieniem Blossom, jedyna publiczność, była pełna podziwu. Teraz iluzja wywarła podobne wrażenie na Wolflawie, chociaż najwyraźniej wstrząsnęła nim znacznie bardziej niż moją przyjaciółką.

— W Magic Beach obiecałaś mi pokazać sztukę z takim kwiatem.

— I pokażę. Coś, czego nigdy nie zapomnisz.

Wysunąłem krzesło, ale zanim zdążyłem usiąść, podniosła rękę, żeby mnie powstrzymać.

— Nie teraz.

— Kiedy?

— Wszystko w swoim czasie, dziwaku.

— To samo mówiłaś poprzednim razem.

— I powiem jeszcze raz. Masz chyba pilniejszą sprawę.

— Tak. Znalazłem tego, kto mnie potrzebuje. Chłopca, który nie chce mi powiedzieć, jak się nazywa. Myślę, że to rzeczywiście jej syn... jeśli to ma sens.

Odbicia kwiatów w misie rozkwitły w wielkich ciemnych oczach Annamarii.

— Nie masz czasu na wyjaśnienia, a ja ich nie potrzebuję. Rób, co musisz.

Coś szturchnęło mnie w rękę. Spuściłem wzrok i zobaczyłem, że Buu się zmaterializował. Wydawał się równie rzeczywisty jak prawdziwy pies, bo tak odbieram wszystkie duchy. Polizał mi palce ciepłym językiem, ale nie zostawił na nich wilgoci.

— I pamiętaj, co ci mówiłam wcześniej — powiedziała Annamaria. — Jeśli zwątpisz w prawość swoich czynów, możesz umrzeć w Roseland. Uwierz w piękno swojego serca.

Rozumiałem, dlaczego udzielała mi tych rad. Zaledwie parę dni wcześniej, w Magic Beach, splot wydarzeń zmusił mnie do zabicia pięciorga ludzi, uczestników terrorystycznego spisku, wśród nich ślicznej dziewczyny o wielkich, przejrzystych, błękitnych oczach. Zamordowałyby setki tysięcy, może nawet miliony, gdybym ich nie pozabijał, i zamordowałyby mnie. Ale zabójstwo, zwłaszcza kobiety, nawet w samoobronie, napełniło mnie ciemnością i wstrętem do siebie.

Dlatego powiedziałem wam na początku, że ostatnio jestem w szczególnym stanie ducha, nie taki pogodny i skory do śmiechu jak zawsze. Z pewnością również dlatego śniłem o Oświęcimiu i bałem się, że umrę dwa razy.

— Ten chłopiec cię potrzebuje — oświadczyła Annamaria.

Spojrzałem po raz ostatni na kwiaty w misie i ruszyłem do drzwi.

— Młody człowieku. — Obejrzałem się, a ona dodała: — Ufaj w prawość swoich czynów i wróc do mnie. Jesteś moim jedynym obrońcą.

Retriever i biały owczarek patrzyły na mnie. Żaden nie machał ogonem. Henry Ward Beecher napisał kiedyś: „Pies został stworzony specjalnie dla dzieci. To bóg igraszek”. Lecz niekiedy pies spogląda na ciebie z taką powagą, jaką rzadko się widuje na ludzkim czy zwierzęcym obliczu, jakby mógł przepowiedzieć przyszłość, jakby widział w twojej przyszłości coś, czego się lęka ze względu na ciebie.

Wyszedłem z apartamentu Annamarii, zamknąłem drzwi, wyłowilem klucz z kieszeni i przekręciłem go w zamku dla bezpieczeństwa.

Wyszedszy z wieży gościnnej, uświadomiłem sobie, że wśród eukaliptusów, podobnie jak w dębowym zagajniku wokół trawnika z Enkeladosem, na ziemi nie leżał ani jeden listek.

Dumając nad tym i nad wieloma innymi rzeczami, powędrowałem do domku ogrodnika okrężną trasą, żeby mnie nie zobaczył nikt z okien głównego domu. Po trawnikach, po dzikich łąkach, pod osłoną drzew, zataczając łuk, dotarłem do północnego skraju olbrzymiej posiadłości. Nieustannie wypatrywałem tajemniczych świń, jeśli to były świny, a także amazonki na ogierze.

Człekokształtne świny mnie przerażały, ale przynajmniej jedyny koń w Roseland był duchem. Uważam konie za piękne, szlachetne zwierzęta i w ogóle, ale... Pewnej nocy przed laty trzy kobiety na koniach ścigały mnie po pustyni wokół Pico Mundo. Chciały mi rozłupać czaszkę i wyciągnąć mózg. A ich wierzchowce wyglądały równie przerażająco.

Wpadłem na nie przypadkiem w trakcie ceremonii, jakiej żaden człowiek nie miał nigdy oglądać. Wziąłem je za wiccanki, ale one gardziły wiccankami prawie tak samo, jak gardziły rozsądkiem. Według tej trójki zwykle czarownice to niedołęgi.

Ceremonia była w większości tak nudna, że niewarta ceny najtańszego biletu, a co dopiero ceny mojego życia. Przypominała zebranie żeńskiego uniwersyteckiego stowarzyszenia, z odczytywaniem protokołu i raportem skarbniczki, tylko że te trzy rozebrały się do naga, ugotowały herbatkę z magicznych grzybków i ceremonialnie złożyły w ofierze trzy pulchne gołębie. Nieszczęsne ptaki nikomu nie zrobiły nic złego, ale pechowo dla nich były symbolem pokoju, a nic nie doprowadzało tych kobiet do takiej wściekłości, jak idea pokoju.

Paskudna trójka. A ich wierzchowce zdawały się tropić mnie węchem, niczym mieszańce koni appaloosa z posokowcami. Rozdęte nozdrza, czarne wargi uniesione nad wielkimi kwadratowymi zębami, rozplamione oczy... W konsekwencji takie filmy, jak *Niepokonany Seabiscuit* czy nawet *Czarny Książę*, uważam za równie niepokojące co *Milczenie owiec*.

Domek głównego ogrodnika, spory kamienny piętrowy budynek, stał w płytkim, malowniczym wąwozie, nasłonecznionym pośrodku i otoczonym wianuszkami drzew pieprzowych. Małe listki migotały na lekkim wietrze, słabutkim jak oddech niemowlęcia.

Okna na parterze były większe niż w wieży gościnnej, ale również zakratowane. Wielkie drzwi okazały się zamknięte na klucz. Za potrójną bramą garażu stały pojazdy najwyraźniej używane przez nieobecnych ogrodników. Podczas którejś wizyty w stróżówce dowiedziałem się od Henry'ego Lolama, że Jam Diu znajdował mieszkanie na piętrze, gdzie znajdowały się również pokoje dla

innych członków stałej ekipy ogrodniczej, chociaż Henry nigdy nie potwierdził istnienia rzeczonyj ekipy.

Wprawdzie ryzykownie było zakładać, że Jam Diu nadal krząta się w pobliżu głównego domu, wypatrując nienawistnych mleczy, które mogłyby skazić doskonałość Roseland, jednak przyjąłem takie założenie. Zuchwale spróbowałem otworzyć frontowe drzwi, lecz były zamknięte na klucz. Stanowiska garażowe miały elektryczne rolowane bramy bez możliwości ręcznego podnoszenia z zewnątrz.

Na tyłach budynku znalazłem dwoje drzwi oraz szereg kolejnych zakratowanych okien. Wyłamanie drzwi kopniakiem mogło się okazać trudne, jeśli były zamknięte na zasuwę. Poza tym miałem na nogach rockporty z gumową podeszwą. Do wykopywania drzwi należy założyć solidne podkute buty, żeby nie wylądować na ziemi z pękniętą kością piętową, łkając jak dziecko.

Matt Damon, Tom Cruise, Liam Neeson, Bruce Willis i inni mężczyźni ich postury wyłamywali kopniakami niezliczone drzwi i nigdy nie doznali najmniejszego urazu *calcaneus*, czyli kości piętowej. Czasami nawet robili to na bosaka. Ale ja nie jestem taki twardy jak ci dżentelmeni ani nie mam dostępu do wspnianego systemu opieki zdrowotnej Stowarzyszenia Aktorów Filmowych.

W drodze przez posiadłość zastanawiałem się usilnie, dlaczego Wolflaw mówił o zaproszeniu Annamarii z taką konsternacją... i przypomniałem sobie, że Henry Lolam i Paulie Sempiterno też mu się dziwili. Jeżeli ci ludzie skrywali sekrety, które mogły ich zniszczyć, zapraszanie obcych do Roseland oznaczało strzał do własnej bramki.

Owszem, Annamaria miała charyzmę w najprawdziwszym sensie tego słowa i budziła w ludziach opiekuńcze instynkty, ale nie była kapłanką voodoo rzucającą zaklęcia, które zapewniały jej wstęp do każdego sanktuarium. Powiedziała Wolflawowi, że sprowadził ją i mnie do Roseland w określonym celu, i chyba orientowała się przynajmniej z grubsza, co to za cel, nawet jeśli nie zamierzała się z nikim dzielić swoimi spostrzeżeniami i zachowywała się tajemniczo również przy mnie.

W Pico Mundo współpracowałem po cichu przy śledztwach w sprawach morderstw z szefem policji Wyattem Porterem, który był dla mnie jak ojciec, toteż wiedziałem, że niekiedy notoryczni przestępcy, zwłaszcza popełniający perwersyjne akty przemocy, pragną być złapani. Nie wszyscy. Nawet nie większość. Ale niektórzy tak. Niekoniecznie zdają sobie sprawę, że chcą być złapani, jednak podświadomie zostawiają znak, coś jak podpis, który łączy poszczególne zbrodnie, sztydzą z policji i podejmują coraz większe ryzyko, co prędzej czy później powoduje nieuniknioną wpadkę.

Czymkolwiek nagannym zajmował się Wolflaw, zapewne na jakimś głębszym poziomie był już tym znużony, czuł się schwytyany w pułapkę i pragnął z tym skończyć. Jednak — jak w przypadku każdego zakorzonego nałogu — powstrzymanie szaleństwa bywa trudne.

Kiedy tak stałem i zastanawiałem się, czy spróbować włamania przez tylne drzwi, przyszło mi nagle do głowy, że Wolflaw — podświadomie pragnąc zdemaskowania i powstrzymania — mógł dosłownie wręczyć mi klucz do tajemnicy.

Wypróbowałem klucz do wieży gościnnej i zamek ustąpił. W obu budynkach zamontowano jednakowe zamki.

Na parterze znajdowały się garaże. W dwóch z trzech zatoczek stały pojazdy. Były to nieduże pick-upy, jakich najczęściej używają architekci krajobrazu, ale wyglądały na antyki, takie stare, że miały elementy nadwozia z wypolerowanego mosiądzu, wielkie, wypukłe przednie światła i wymyślne koła szprychowe, jakich żaden producent w naszych czasach nie zastosuje w pojeździe użytkowym. Były w stanie fabrycznym.

Z częścią garażową sąsiedował otwarty magazyn narzędzi, gdzie na ścianie wisiały łopaty, grabie, sierpy i motyki. Wydawały się czyste jak narzędzia chirurgiczne.

Na środku części magazynowej stały otwarte regały, które obszedłem dookoła. Wszystkie półki były puste, bez odrobiny kurzu.

W betonową podłogę wpuszczono wiele miedzianych prętów z wydłużonymi ósemkami wyrytymi na widocznych końcach.

Nigdzie nie widziałem worków nawozu, puszek insektycydów, butelek fungicydów czy innych artykułów ogrodowych.

Przejrzałem szuflady szafki, zawierające głównie ręczne narzędzia. Znalazłem piłę do metalu, którą zabrałem, i paczkę zapasowych ostrzy, które wsunąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Wziąłem również śrubokręt z drewnianą rękojeścią. Nie zastąpiłby noża, ale mógł wyrządzić krzywdę.

Chociaż lepszy Odd Thomas we mnie buntował się na samą myśl, żeby dźgnąć kogoś śrubokrętem czy inną bronią, wiedziałem z ponurego doświadczenia, że przyparty do muru i zdesperowany, potrafię zrobić złym ludziom to, co oni chcą zrobić mnie. Jest we mnie ciemność, która napotkawszy ciemność, powstaje i przejmuje kontrolę. Działam w obronie niewinności, ale czasami się zastanawiam, czy sam pozostanę niewinny albo chociaż godny odkupienia na końcu mojej dziwnej drogi.

Na parterze znajdowało się również biuro Jama Diu. Szuflady biurka były puste, podobnie jak segregator. W betonowej podłodze tkwiły kolejne miedziane pręty.

Z braku wewnętrznych schodów wszedłem na piętro zewnętrznymi schodami we wschodnim rogu budynku. Z korytarza wchodziło się do pięciu pokoi i jednej łazienki, zajmujących dwie trzecie piętra; chociaż pokoje przeznaczone zapewne na kwatery dla ogrodników zatrudnionych na stałe, były nieumeblowane.

Drzwi na końcu korytarza prowadziły do utilitarnej kwatery Jama Diu. Nieskazitelnie czyste mieszkanie było umeblowane i udekorowane oszczędnie niczym cela buddyjskiego mnicha.

Jam Diu nie miał telewizora, ale posiadał sprzęt grający najwyższej klasy. Chociaż świat wolał ściągać muzykę z internetu, Diu trzymał się kompaktów. Jego kolekcja składała się niemal wyłącznie z klasyki, fortepianowej i orkiestrowej, chociaż zauważyłem jeden album Slima Whitmana, zapewne prezent od kogoś nieorientowanego.

W sypialni, jak należało się spodziewać po prawdziwym miłośniku muzyki, na ścianie wisiała strzelba beretta i karabin szturmowy, zamocowane w szybko

zwalnianych zaciskach sprężynowych. Naładowane. Na otwartych regałach stało ze sto pudełek amunicji do obu sztuk broni, ale również do broni krótkiej.

Najwidoczniej pan Jam Diu obawiał się czegoś bardziej agresywnego niż mszyce i korniki.

Pistolety i rewolwery leżały w dwóch dolnych szufladach wysokiej komody. Odłożyłem zatem śrubokręt do dolnej szuflady i z sześciu pistoletów wybrałem berettę Px4 Storm. Kaliber dziewięć milimetrów, dwuoporowy spust, dziesięciocentymetrowa lufa. Magazynek na siedemnaście naboji.

Miał zapasowy magazynek. Naładowałem oba nabojami małoodrzutowymi w miedzianym płaszczu. Przed oczami mojej duszy przebiegła naczelną świnią w wysokiej trawie, więc wrzuciłem pudełko z jeszcze dwudziestoma nabojami do kieszeni marynarki.

W szufladach znalazłem proste, skórzane, podwójnej grubości kabury, wykonane specjalnie dla każdej znajdującej się tu broni, do noszenia na pasku, z pojemnikami na zapasowy magazynek. Z łatwością przewlokłem pasek przez szlufki i po dwóch minutach naładowana beretta spoczywała na moim biodrze, schowana pod marynarką.

Tak więc niedługo się zacznie. Miałem nadzieję, że nie będę musiał strzelać do nikogo oprócz świń... i że określenie „świnia” pozostanie czysto biologiczne.

W szafie leżała zapasowa pościel. Wyjąłem ręcznik kąpielowy i powłoczkę na poduszkę. Owinąłem piłę ręcznikiem i włożyłem do powłoczki, która posłużyła za wygodny worek.

Zamierzałem za wszelką cenę unikać cudzych oczu. Gdybym jednak natknął się na kogoś, mogłem się wytłumaczyć z worka — że na przykład wybieram się na piknik na łące i niosę w worku lunch — natomiast wyjaśnienie obecności piły do metalu byłoby trudniejsze.

Przy odrobinie szczęścia może nie spotkam nikogo, dopóki nie wymyślę lepszej historyjki niż ten głupi piknik.

W salonie zatrzymałem się przed wyjściem, żeby zlustrować jakieś pięćdziesiąt książek w bibliotece. Były to głównie poważne dzieła filozoficzne, a oprócz tego cztery grube albumy, za wysokie, żeby się zmieścić na półkach, leżące poziomo.

Każdy z tego kwartetu dotyczył Hongkongu. Fotografie przedstawiały miasto takie, jak wyglądało pod koniec dziewiętnastego wieku i w każdej kolejnej dekadzie aż do dnia dzisiejszego.

Jam Diu wyglądał mi na Wietnamczyka. Ale ja jestem tylko niedouczonego kucharzem z parapsychicznymi zdolnościami, znającym się na kulturach Azji równie mało co na biologii molekularnej.

Hongkong był niegdyś brytyjską kolonią. Teraz jest chińską prowincją. Ogrodnik mówił po angielsku bez brytyjskiego czy azjatyckiego akcentu.

Może naprawdę nie nazywał się Jam Diu. W istocie, jeśli Roseland stanowiło takie kłębowski fałsz i konspiracji, jak się wydawało, prędzej nazywał się Myszka Miki niż Jam Diu. Jednak bez względu na nazwisko czasami tęsknił za rodzinnym Hongkongiem.

Wyszedłem z budynku, zamknąłem za sobą drzwi i wróciłem na łąkę, pod osłonę drzew.

Kusiło mnie, żeby poczuć się bezpieczniej teraz, kiedy byłem dobrze uzbrojony, ale nie uległem tej pokusie. Doświadczenie nauczyło mnie, że zbytnia pewność

siebie to zachęta dla losu, żeby wprowadził na scenę dwóch lub trzech mięśniaków w kapeluszach pork pie, którzy chcą mnie zamknąć w chłodni, dopóki nie zamarznię na kamień, albo wrzucić mnie do olbrzymiego wirującego bębna betoniarki i wlać w fundamenty nowej oczyszczalni ścieków.

Wiem z doświadczenia, że faceci, którzy noszą kapelusze typu pork pie, zawsze knują coś złego... dla samej przyjemności knucia. Czy ten rodzaj nakrycia głowy zmienia łagodnych dotąd mężczyzn w socjopatów, czy też socjopaci upodobali sobie właśnie taki styl, to jedna z zagadek, które nigdy nie znajdą rozwiązania, chociaż Departament Sprawiedliwości prawdopodobnie sfinansował liczne badania naukowe tej kwestii.

Ruszyłem na południowy wschód, ścigany przez chmury nadciągające z północy. Ale niebo przede mną było takie błękitne i krajobraz taki słoneczny, że w innych okolicznościach wędrowałbym wesoło przez łąkę, nucąc melodie z *Dźwięków muzyki*.

Oczywiście nie wolno zapominać, że chociaż *Dźwięki muzyki* to najpogodniejszy film muzyczny wszechczasów, pełno w nim nazistów.

Niosąc piłę do metalu udającą piknikowy lunch w powłoczce na poduszkę, podszedłem do mauzoleum od południa, najpierw przez zachwaszczoną łąkę, potem po trawniku miękkim i nieskazitelnym jak z erotycznego snu o polu golfowym.

Bezokienny megagrobowiec z wapienia, dwanaście na dwanaście metrów, pysznił się ozdobnymi gzymsami i rzeźbionymi panelami, przedstawiającymi stylizowane wschody słońca oraz rajske krajobrazy. Wejście, żebrowane drzwi z brązu flankowane przez ogromne kolumny, nie znajdowało się od północnej strony, tylko tutaj, od południa, niewidoczne z głównego domu.

Według pani Tameed o położeniu wejścia zdecydował przesąd. Pierwotny właściciel uważał, że spotka go nieszczęście, jeśli ze wszystkich okien głównego domu będzie widział drzwi do tego przybytku śmierci.

Płyta brązu odchyliła się gładko, bezgłośnie na zawiasach kulkowych. Przymknąłem za sobą drzwi i zapaliłem światło: trzy kandelabry pokryte złotymi listkami i rząd kinkietów na ścianach.

Ogromna, pusta komnata nadawałaby się idealnie na salę balową na odlotowej halloweenowej imprezie. Wyobraziłem sobie ludzi w kolorowych maskach tańczących walca z czerwonoookimi naczelnymi świniami i zdecydowałem, że jednak wolałbym spędzić ten świąteczny wieczór samotnie, za drzwiami zamkniętymi na klucz i zaciągniętymi zasłonami, obgryzając paznokcie do żywego mięsa.

Każdą ścianę zdobiły murale ze szklanych płytek, odtwarzające słynne malowidła o religijnej tematyce. W wolnych miejscach pomiędzy tymi dziełami sztuki znajdowały się nisze czekające na urny z prochami.

Tylko trzy nisze były zajęte. Po śmierci założyciela Roseland, Constantine'a Cloyce'a, oraz jego rodziny kolejni właściciele nie czuli się na wieki związani z posiadłością i wybierali dla swoich doczesnych szczątków inne miejsca pochówku.

Bezimienny chłopiec kazał mi tu przyjść. Pomyślałem, że warto posłuchać jego rady, zanim wrócę do głównego domu, żeby go uwolnić.

Polecił mi „naciśnąć tarczę, którą anioł stróż trzyma wysoko” na którejś mozaice w mauzoleum. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że każda z tych czternastu scen przedstawia postać anioła stróża.

Nie podano tytułów obrazów, ale na dole każdej mozaiki umieszczono nazwisko artysty: Domenichino, Franchi, Bonomi, Berrettini, Zucchi...

Na szczęście nie wszystkie anioły trzymały tarcze. I tylko jeden na obrazie Franchiego unosił tarczę wysoko, żeby ochronić dziecko nie przed demonami, ale przed gniewem bożym.

Czerwonawobrazowa tarcza składała się z mnóstwa maleńkich kawałeczków kolorowego szkła. Z lekkim drżeniem przesunąłem ręką tam i z powrotem po całej tarczy. Absolutnie nic się nie stało.

Postukałem kłykciami tu i tam w tarczę, nasłuchując pustego odgłosu. Nic nie znalazłem.

Zacząłem już myśleć, że wybrałem niewłaściwą mozaikę, kiedy zauważyłem, że jedna z większych szklanych płytek, o boku ponad dwóch centymetrów, nie jest połączona fugą z sąsiednimi. Nacisnąłem tylko tę płytkę, poczułem, że trochę ustąpiła, nacisnąłem więc mocniej, jeszcze mocniej i nagle płytka z kliknięciem zapadła się dwa centymetry w ścianę.

Coś zasyczało. A potem rozległ się basowy hurgot i cały fragment wapiennej ściany z murałem, wysoki na dwa metry i szeroki na metr dwadzieścia, odsunął się ode mnie. Cofnął się około metra i znieruchomiał.

Główna ściana, od której odłączył się ten fragment, miała niecałe pół metra grubości, po obu stronach zostały więc prześwity szerokości około sześćdziesięciu centymetrów, w których automatycznie zapaliły się światła. Wąskie schody z prawej i lewej strony prowadziły w dół.

Powinienem się domyślić, że jeśli moje pełne przygód życie potrwa dostatecznie długo, kiedyś doczekam się swoich pięciu minut w roli Indiany Jonesa.

Przypuszczając, że jedno i drugie schody prowadzą w to samo miejsce, wybrałem te po prawej stronie. Okazały się strome. Przytrzymałem się poręczy, dotkliwie świadomy, że ironią losu byłoby, gdybym przeżył niezliczone ataki psychopatycznych morderców, żeby teraz potknąć się i skreślić sobie kark.

Rzeczywiście oba biegi schodów kończyły się w piwnicy wysokiej na prawie trzy metry i równie przestronnej co mauzoleum na górze, mieszczącej najdziwniejszą mechaniczną aparaturę, jaką dotąd widziałem.

Pośrodku rozmieszczono siedem kul, każda o blisko dwumetrowej średnicy, połączona z podłogą i sufitem prętami lub rurami siedmiocentymetrowej grubości. Rury zamocowano na stałe, ale wielkie kule wirowały z taką szybkością, że ich powierzchnie rozmywały się w złocistą mgiełkę, i chociaż wiedziałem, że są materialne, nawet jeśli puste w środku, wyglądały jak błyszczące bańki mydlane, gotowe odfrunąć na wietrze.

Pod północną ścianą z wyjątkiem podwójnych schodów i pod całą ścianą południową błyszczały dziesiątki kół zamachowych różnych rozmiarów — jedno małe jak płyty CD, inne duże jak pokrywy śmietników — na obudowach maszyn w kształcie dzwonów, połączone z nimi przez lśniące wały korbowe, łożki i tłoczyska. Połyskliwe czoepy korbowe na końcach metalicznych korbowodów obracały wały korbowe i koła się kręciły, kręciły, jedno szybko, drugie jeszcze szybciej, jedno w prawo, drugie w lewo, ale wywołując wrażenie skomplikowanej synchronizacji.

Od czasu do czasu z zewnętrznej krawędzi tego czy tamtego koła zamachowego unosiły się złociste iskry i wlatywały ku sufitowi. Właściwie to nie były iskry, tylko coś, czego nie umiałem nazwać, coś jakby krople złotego światła, i nie wystrzeliwały z dużą szybkością jak iskry, tylko szybowały pod sufit, gdzie wchłaniała je siatka z miedzianego drutu o abstrakcyjnym splocie, bardziej skomplikowanym niż najbardziej misterny wzór perskiego dywanu.

Oprócz miedzianego sufitu i betonowych ścian wszystko w tej piwnicy, wszystkie widoczne części dziwnej maszyny wydawały się powleczone szlachetnymi metalami, niektóre srebrem, inne złotem. Piwnica przypominała mi szkatułkę z biżuterią, roziskrzoną, mieniącą się i migotliwą.

Przeznaczenie tej maszyny przekraczało moją zdolność pojmowania, ale najbardziej chyba mnie zdumiało, że te wszystkie ruchome części nie robiły żadnego hałasu, nie wydawały żadnego brzęczenia ani buczenia, żadnego tykania ani skrzypienia. Jedyнным dźwiękiem dobiegającym od tego pracowitego zbiorowiska był cichy szum rozcinanego powietrza, przeciąg wywołany przez obracające się koła zamachowe i wirujące ogromne kule.

Nie da się zaprojektować i wykonać maszynowych części tak perfekcyjnie, żeby całkowicie wyeliminować tarcie, i nie zapewni tego żaden smar. Jednak nie widziałem nigdzie ani odrobiny towotu, ani kropli oleju; nie wyczuwałem też zapachu smarów ani ciepła wydzielanego na skutek tarcia, wskazującego, że smarowanie jest konieczne.

Nie sposób opisać niesamowitego wrażenia, jakie wywoływał ten gorączkowy ruch odbywający się w kompletnej ciszy. Czuję się tak, jakbym wkroczył do sfery kosmicznej maszyny pomiędzy naszym a innym wymiarem, gdzie silnik utrzymujący ład we wszechświecie pracuje przez wieczność w cudownej równowadze.

Jednak piwnica nie wyglądała futurystycznie. Pewne detale sprawiały wrażenie wiktoriańskich, inne nawiązywały do estetyki art déco. Zamiast sugerować konstrukcję z przyszłego tysiąclecia, podziemna sala wydawała się staroświecka, a raczej nie tyle staroświecka, ile ponadczasowa, jakby istniała zawsze.

Wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, które nigdy mnie nie opuszczało podczas pobytu w Roseland, teraz przybrało na sile.

Ze lśniących krawędzi kół zamachowych, niczym małe baloniki z helem, jeszcze więcej miodowych kropeł światła wznosiło się do miedzianego gobelinu na suficie. Ten ruch w górę kontrastował z wszechobecnym wirowaniem i nagle moja głowa zrobiła się lekka, ogarnęło mnie mdłące, nieprzyjemne uczucie, że mogę oderwać się od ziemi i... odlecieć.

Głęboki, akcentowany, bezcielesny głos, który słyszałem przed świtem, kiedy podchodziłem do świecącego jak lampa mauzoleum, odezwał się za moimi plecami:

— Widziałem cię...

Odwróciłem się, ale nie zobaczyłem nikogo.

— ...tam, gdzie jeszcze nie byłeś — szepnął głos.

Znowu się odwróciłem i zobaczyłem wąsatego mężczyznę, stojącego na drugim końcu serwisowej alejki, która oddzielała kule od kół zamachowych. Wysoki i wychudzony, nosił czarny garnitur, zwisający luźno na kościstej sylwetce. Z wyglądu i poważnej miny przypominał mi przedsiębiorcę pogrzebowego.

Głośniejszym głosem powiedział:

— Liczę na ciebie.

Potem przeszedł do wylotu drugiej alejki i skrył się za kulami.

Pobiegłem za nim, skręciłem w prawo i zajrzałem do następnej alejki. Była pusta. Obszedłem piwnicę dookoła, ale mężczyzna zniknął, jakby potrafił

przechodzić przez ściany.

Duchy nie mówią. Ale żywi ludzie nie dematerializują się jak duchy.

Kiedy znowu się odwróciłem, stanąłem twarzą w twarz z kobietą w bieli, o długich blond włosach przeplecionych wstążkami świeżej krwi i splątanych jakby przez wiatr tamtej nocy, kiedy odbyła swoją ostatnią konną przejażdżkę.

Krew plamiła również jej nocną koszulę i po raz pierwszy zmanifestowały się trzy rany wlotowe w piersiach. Strzał prosto w serce i drugi trochę niżej oddano widocznie z bliska, ponieważ tkanina wokół ran była przypalona. Kula, która strzaskała mostek, została wystrzelona z większej odległości; zapewne był to pierwszy strzał i prawdopodobnie zabił ofiarę na miejscu. Potem morderca strzelił jeszcze dwa razy z bliska do trupa, co świadczyło o wyjątkowo gwałtownej furii.

Widocznie użył karabinu o dużej mocy. Wielkokalibrowe pociski poczyniły spustoszenia w klatce piersiowej kobiety.

Chyba zobaczyła, że przygnębia mnie widok zbrodni popełnionej na jej osobie, bo krew i rany zniknęły. Teraz wyglądała tak, jak przed naciśnięciem spustu. Śliczna. Postawa i wyraz twarzy świadczyły o silnej woli. Spojrzenie miała bezpośrednie i jak mi się zdawało, szczerze.

Odwróciła się, odeszła i po trzech krokach obejrzała się przez ramię.

Zrozumiałem, że chce mnie gdzieś zaprowadzić, zatem poszedłem za tą piękną na koniec piwnicy. W jednym kącie wąskie, spiralne schody prowadziły na jeszcze niższy poziom mauzoleum.

Chciała, żebym szedł za nią tam głębiej.

Spiralne skręty żelaza opadały w mrok, oznaczający nie brak światła, ale brak wszelkiej nadziei, ponieważ z dołu bił blask równie złocisty jak w piwnicy z kamii.

Sniłem o Oświęcimiu i w tym śnie bałem się umrzeć podwójnie. Annamaria zapewniała mnie, że umrę raz i tylko raz, i że to będzie „śmierć bez znaczenia”.

Jednak w ciągu całego życia wiele razy umieramy po trochu, kiedy zranią nas kłeska czy strata, albo strach, albo widok cierpienia tych, którym możemy ofiarować tylko litość, którym nie możemy pomóc, którzy nie dostąpią miłosierdzia.

Spiralne schody były jak świder wwiercający się ostro w dół przez warstwy Roseland. Podczas wiercenia studni, przebijając ziemię i skałę w poszukiwaniu wody, niekiedy wydobywa się na powierzchnię skamieliny albo ich fragmenty. Trafiają się dziwaczne stworzenia z oczami na szypułkach, jaszczurczymi ogonami i odnóżami o wielu stawach, stworzenia, które dawno temu pęłzały po dnie prehistorycznego morza. Widok tych istot odciśniętych w kamieniu sprawia, że Ziemia wydaje się mniej poznana, i zimnym dreszczem przejmuje cię nagle podejrzenie, że jesteś obcy w obcym kraju. Samotny odgłos moich kroków na żelaznych stopniach przebrzmiał w ciszy i u stóp schodów, na dolnym poziomie mauzoleum ujrzałem widok tak kuriozalny, tak ponury, że nie napotkałbym nic bardziej przerażającego nawet na obcej planecie krążącej wokół odległej gwiazdy.

To pomieszczenie było z pół metra wyższe niż pierwsza piwnica. Później zauważyłem równoległe rzędy połączonych kół zębatach, zawieszone w płytkich posrebrzanych przewodnicach jakiś metr pod sufitem. Koła nie były zamocowane w przewodnicach; nie tylko odbierały i przekazywały energię i ruch, ale same się przemieszczały po sali, wyjeżdżały z dziury w jednej ścianie i wjeżdżały do dziury w ścianie naprzeciwko. Pierwszy, trzeci i piąty rząd przesunął się ze wschodu na zachód; drugi, czwarty i szósty sunął z zachodu na wschód. Zęby zazębiały się z zębami, lśniące koła wgrzyzały się jedno w drugie i obracały się nieprzerwanie, równie cicho jak koła zamachowe na górze. Nie rozumiałem, do czego służą, co napędzają, jeśli napędzały cokolwiek poza nimi samymi.

Lecz zagadka kół zębatach nie miała żadnego znaczenia wobec martwych kobiet, które siedziały na podłodze, oparte plecami o ściany.

Jak uprzedzałem przynajmniej w jednym z wcześniejszych tomów tych pamiętników, nie zamierzam opisywać wszystkiego, co widziałem. *Tableau* w piwnicy było równie nieprzyzwoite co przerażające. Niewinni zmarli zasługują, żeby uszanować ich godność.

Liczyby nie stanowią o rozmiarach tej nikczemności, ponieważ każda z tych kobiet była wyjątkowa, podobnie jak każdy człowiek, który kiedykolwiek stąpił po tej ziemi. Wyrządzone im niesprawiedliwość i podłość tak monstrualną, że

umysł się buntował i serce się ścisnęło od tego okrucieństwa. Każda z tych ofiar wystarczałaby, żeby zażądać najwyższej kary dla tego, kto to zrobił. Później je policzyłem i okazało się, że jest ich trzydzieści cztery.

W pomieszczeniu nie wyczuwało się żadnego zapachu... chociaż nie to najbardziej dziwiło w tej scenie.

Wszystkie kobiety były nagie i siedziały obok siebie na podłodze, oparte plecami o betonową ścianę. Chociaż każda miała unikatową duszę, wszystkie należały do jednego fizycznego typu. Same blondynki w różnych odcieniach, kilka z krótszymi włosami, większość z włosami do ramion albo jeszcze dłuższymi. Niektóre miały najwyżej szesnaście lat; żadna nie przekroczyła trzydziestki. Niegdyś były śliczne, o subtelnych rysach twarzy. Oczy miały błękitne, szarobłękitne albo błękitnozielone, szeroko otwarte, niektóre dlatego, że śmierć je tak zastała, inne dlatego, że przypięto im powieki szpilkami.

Milczący duch amazonki w nocnej koszuli prowadził mnie przez piwnicę, gdzie nad głowę obracały się złociste koła zębate, i coraz wyraźniej zaznaczało się podobieństwo pomiędzy nią a martwymi kobietami.

Początkowo zakładałem, że była pierwszą ofiarą, ale mordercy nie zadowolilo zabicie jej tylko raz. Znajdował więc zastępczynię podobne do niej i zabijał je tak, jakby zabijał ją znowu.

Widocznie żadna z tych martwych kobiet nie czepiała się uparcie tego świata, ponieważ nie widziałem w Roseland żadnych innych duchów zwlekających z odejściem oprócz amazonki i jej wiernego wierzchowca. Cieszyłem się, że tak szybko przeszły na drugą stronę, bo nie dałbym sobie rady, gdyby piwnicę zapełniały ich cierpiące i błagające dusze.

Ciała kobiet nosiły ślady tortur, chociaż nie potrafiłem określić, jakich użyto technik czy narzędzi. U niektórych oprawca działał na rękach, u innych na stopach lub na piersiach. Lecz oprócz zwykłych szpilek w powiekach, wbitych post mortem, co sugerował brak krwi, twarze były nietknięte.

Morderca chciał w każdej z tych twarzy widzieć twarz amazonki. Może przychodził tu oglądać swoją kolekcję, żeby czuć na sobie ich spojrzenia, pysznić się przed nimi, że żyje i prosperuje pomimo tego, co im zrobił.

W największą konsternację wprawiał mnie nie tyle brak najbliższej woni rozkładu w tej podziemnej krypcie, ile stan tych trzydziestu czterech zwłok. Martwe kobiety wyglądały tak, jakby każda zginęła dopiero tego ranka.

Nie można tak idealnie zakonserwować zwłok. Tych kobiet nie zabalsamowano ani nie zмумifikowano. Poza tym mumie nie mają gładkiej dziewczęcej skóry, jedwabistych włosów i przejrzystych oczu. I nawet zabalsamowane ciała się psują.

Zakładałem, że zamordował je Noah Wolflaw. Kupił Roseland od drugiego właściciela, samotnika i dziedzica południowoamerykańskich kopalń, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku, przed dwudziestoma czterema laty. Gdyby otrzymał tę makabryczną kolekcję razem z posiadłością, wezwałby policję i oczywiście kazałby usunąć trupy.

Biorąc pod uwagę, że ujeżdżalnia i plac treningowy dla koni zarastały chwastami od wielu lat oraz że osobliwie nieskazitelne stajnie wyglądały, jakby od dekad nie trzymano tam żadnych zwierząt, doszedłem do wniosku, że amazonka i jej ogier zginęli dużo wcześniej, zanim Wolflaw nabył tę rezydencję. Szef kuchni Shilshom niejako potwierdził długą nieobecność koni w Roseland.

Lecz kiedy duch amazonki zaprowadził mnie przez kryptę do ostatniego z trzydziestu czterech ciał — czy raczej pierwszego w kolejności śmierci — okazało się ono jej ciałem. Stan zwłok świadczył wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, że dusza opuściła je najpóźniej przed godziną. Jeśli to była sprawa Wolflawa, to po nabyciu Roseland trzymał w stajni przynajmniej jednego ogiera.

Tylko jej ciało nie było nagie, lecz odziane w długą, białą, jedwabną, koronkową koszulę nocną, w której manifestował się jej duch. Z trzydziestu czterech kobiet ona jedna nie była torturowana, co zdawało się potwierdzać tezę, że zamordowano ją jako pierwszą i że jej zabójca przy tej jednej okazji działał w afekcie; później zaś wybierał ofiary z cierpliwym wyrachowaniem, maltretował je seksualnie i fizycznie w sposób niemal rytualny, zanim wreszcie odbierał im życie.

Szok odkrycia powoli mijał, lecz zgroza narastała z minuty na minutę. W moim krótkim życiu widziałem wiele obrzydliwości i sam musiałem robić paskudne rzeczy, które mi potem ciążyły. Ale nic, czego dotąd doświadczyłem, nie przytłoczyło mnie takim ciężarem, jak ponura scena w podziemiach mauzoleum.

Na chwilę musiałem zamknąć oczy przed tą rozpasaną orgią zła, jakby sam jej widok mógł mnie zainfekować.

Nogi się pode mną ugięły. Zachwiałem się w narzuconej sobie ciemności. Usztywniłem kolana. Stałem prosto.

Pocieszająca dłoń na ramieniu z pewnością należała do ducha amazonki. Mogę czuć dotyk zwlekających zmarłych, chociaż zwykle nie próbuję dodawać mi otuchy.

Nadnaturalne przeżycia rozwinęły moją wyobraźnię, żywą już od dzieciństwa. Dłoń amazonki spoczywała na moim ramieniu zaledwie parę sekund, kiedy doszedłem do przekonania, że to nie ona mnie dotyka, tylko ktoś albo coś o mnie współczujących zamiarach.

Otwarłem oczy i przekonałem się, że jednak to była ona. Przez chwilę patrzyłem jej w oczy, a potem spojrzałem na jej siedzącego trupa.

Dziwię się, że w ogóle mogę sypiać po nocach.

Rany od kul w piersi trupa wyglądały ohydnie. Nie chciałem im się przypatrywać.

Niemniej, po chwili wahania, ukląknęłem obok ciała i dotknąłem splamionej krwią koszuli nocnej, żeby potwierdzić to, co podejrzewałem. Tak. Krew, która wsiąkała w tkaninę, wciąż była lepka... a w ranach wydawała się płynna i wilgotna, co nie miało sensu.

Morderca ułożył ofiary swojej obscenicznej kolekcji niczym lalki, którymi się pobawił i odrzucił, kiedy mu się znudziły. Siedziały z rozłożonymi nogami, ze smukłymi ramionami zwieszonymi bezwładnie po bokach, z dłońmi odwróconymi wewnątrz do góry jakby błagalnie.

Oprócz kobiety w koszuli nocnej — podciągniętej nad kolana — pozostałe lalki wyposażone były jedynie w narzędzia ich zniszczenia. Kilka uduszono krawatami, które werżnęły się głęboko w ciało na szyjach, jakby morderca nie działał pod wpływem zwyczajnej furii, tylko kierowała nim chora, zatruta złość, nieprzejednana nienawiść. Kilka dźgnięto dwa lub trzy razy, innym zadano dużo więcej ciosów, ale w każdym przypadku nóż został w ostatniej ranie.

Przed trzydziestoma trzema kobietami, które były nagie, na podłodze między ich rozłożonymi nogami leżały ręcznie wypisane drukowanymi literami karty katalogowe, widocznie mające wspomagać pamięć mordercy. Jak mała dziewczynka nazywa swoje lalki, tak każda ofiara w kolekcji tego zbrojnego otrzymała imię i nazwisko, chociaż przypuszczałem, że te same, które nosiła za życia.

Niechętnie ukląknęłem na jedno kolano przed drugim trupem, starając się skupić wzrok tylko na karcie katalogowej. Zabójca napisał: TAMMY VANALETTI, a obok narysował cztery schludne gwiazdki, zapewne określające, ile przyjemności mu sprawiła.

Moja odraza ani smutek się nie zmniejszyły. Teraz jednak ciemna mgła gniewu, który nie przychodzi mi łatwo, wypłynęła jakby ze szpiku w kościach i zasnęła mój wewnętrzny krajobraz.

Każda z tych kobiet była czyjąś córką, siostrą, przyjaciółką, może także matką. To nie były zabawki. Zabijanie ich nie było sportem, którego wyniki można oceniać systemem gwiazdek. Cenne same w sobie i dla siebie, mogły również być cenne dla kogoś tak bardzo, jak Stormy dla mnie.

Gniew to gwałtowna emocja, mściwa i równie niebezpieczna dla tego, kogo napędza, jak i dla tego, przeciwko komu się zwraca. Jeśli gniew jest osobisty i egoistyczny — jak to się najczęściej zdarza — zaćmiewa umysł, co bywa ryzykowne. Musiałem zachować jasność myślenia, żeby sobie poradzić z tym, co mnie jeszcze czeka. Musiałem wyłączyć z tego Stormy Llewellyn, nie traktować tego okrucieństwa osobiście, zamienić gniew na słuszne oburzenie, które pogardza złymi uczynkami wyłącznie dlatego, że są złe. Gniew to czerwona mgła,

która przesłania świat, ale sprawiedliwy gniew to jasność widzenia. Rozgniewany człowiek zbyt często strzela z biodra i chybia albo trafia w niewłaściwy cel, natomiast człowiek oburzony działa bez emocji, pragnąc jedynie sprawiedliwości.

Pod nazwiskiem Tammy Vanaletti wydrukowano datę. To nie mogła być data jej urodzenia, ponieważ była tylko osiem lat wcześniejsza, a Tammy wyglądała na dwadzieścia parę lat. Nasuwał się logiczny wniosek, że była to data jej śmierci.

Tammy została zadżgana nożem. Krew na krawędziach jej ran wydawała się świeża.

Nie miałem pojęcia, jak to możliwe osiem lat po morderstwie. Czułem jednak, że ta część mojego umysłu, która nigdy nie śpi ani nie odpoczywa, spłata wszystkie pozornie różne nitki Roseland w jedną tkaninę.

Przechodziłem od trupa do trupa, odczytywałem każdą kartkę, ale niczego nie dotykałem. Kolejne daty śmierci coraz bardziej zbliżały się do chwili obecnej. Ginger Harkin, najnowsza ofiara, zginęła zaledwie przed niecałym miesiącem.

Z trzydziestu trzech ofiar, których daty śmierci zapisano, wszystkie zginęły w ciągu ostatnich ośmiu lat. Okresowość morderczych ataków zabójcy wynosiła około trzech miesięcy. Cztery ofiary rocznie, rok po roku, od czasu do czasu dodatkowa.

Tyle morderstw nie można złożyć na karb morderczego impulsu czy nawet wewnętrznego przymusu. To była praca tego człowieka, jego zajęcie, jego powołanie.

Odwróciłem się znowu do bezimiennego ducha i zapytałem:

— Czy to Noah Wolflaw cię zabił?

Po chwili wahania przytaknęła.

— Byłaś jego kochanką?

Następna chwila wahania.

„Tak”.

Zanim zdążyłem zadać trzecie pytanie, podniosła rękę, żeby zademonstrować pierścionek zaręczynowy i ślubną obrączkę, oczywiście nierzeczywiste, stanowiące jedynie idee małżeńskiej biżuterii, którą niegdyś nosiła na tym świecie.

— Jego żoną?

„Tak”.

— Chcesz dla niego sprawiedliwej kary.

Energicznie kiwnęła głową i przyłożyła obie ręce do serca, jakby chciała powiedzieć, że ponad wszystko pragnie sprawiedliwości.

— Zniszczę go. Wsadzę go do więzienia.

Pokręciła głową i przesunęła palcem po gardle w uniwersalnym geście, oznaczającym: „Zabij go”.

— Pewnie będę musiał — przyznałem. — On się łatwo nie podda.

Zmarli, którzy zwlekają z odejściem, nie zawsze dostarczają użytecznych informacji, a nawet ci, którzy chcą mi pomóc, mają po śmierci takie same opory psychiczne, jakie mieli za życia. W rzeczy samej, ponieważ są zagubieni pomiędzy tym światem a następnym, często tracą rozsądek na skutek strachu, dezorientacji czy innych emocji, zbyt skomplikowanych, żebym potrafił je sobie wyobrazić. W rezultacie niekiedy zachowują się irracjonalnie, przeszkadzają, kiedy chcą pomóc, i odwracają się ode mnie, kiedy powinni się do mnie zwrócić.

Pragnąc wyciągnąć jak najwięcej z zamordowanej żony Wolflawa, zanim straci ochotę do współpracy, powiedziałem:

— W domu jest chłopiec. Tak jak sugerowałaś.

Znowu energicznie pokiwała głową. Łzy wezbrały w jej oczach, gdyż nawet duchy mogą płakać, chociaż nie zmoczą łzami niczego na tym świecie.

Ponieważ chłopiec wspomniał, że zabrano go skądś i chciałby tam wrócić, zakładałem, że nie jest spokrewniony z Noahem Wolflawem i nie przynależy do Roseland. Jednak łzy kobiety zmusiły mnie do zrewidowania tego założenia.

— Twój syn.

„Tak”.

— Czy Noah Wolflaw jest jego ojcem?

Po następnej chwili wahania i frustracji odpowiedziała twierdząco.

„Tak”.

— Zakładam, że niewiele o mnie wiesz poza tym, że widzę ciebie i innych, którzy nie przeszli na Drugą Stronę. Ale musisz wiedzieć, że ściągnięto mnie tu z powodu twojego syna. Mam mu pomóc i zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Na jej twarzy odmalowała się nadzieja przemieszana z niepewnością. Macierzyńska troska, która nie opuszczała jej nawet po śmierci, budziła litość.

— On mówi, że chce, żeby go zabrano z powrotem, ale nie wiem, skąd go przywieziono. Czy mieszkał gdzieś indziej przez jakiś czas, może z dziadkami?

„Nie”.

— Z ciotką i wujem?

„Nie”.

— Obiecuję, że odwiozę go tam, gdzie był.

Ku mojemu zdziwieniu zareagowała niepokojem i stanowczo pokręciła głową.

„Nie, nie, nie”.

— Ale on chce tam wrócić, najbardziej na świecie, i przecież będzie musiał gdzieś wyjechać, kiedy to się skończy.

Wyraźnie zrozpaczona zmarła pani Wolflaw objęła głowę rękami, jakby sama myśl o zabraniu dokądś jej synka była psychiczną torturą.

— Osobne zabójstwa to nie jest cała historia Roseland. Tutaj dzieje się coś cholernie dziwnego i nie skończy się dobrze. Nie będzie już Roseland, a jeśli będzie,

to z pewnością zmieni się na gorsze, stanie się magnelem dla moralnie zwichrowanych, mentalnie rozstrojonych, wyznawców przeróżnych kultów i świrów wszelkiej maści. Chłopiec będzie musiał wrócić tam, dokąd chce wrócić.

Strach wykrzywił jej śliczną twarz, ale gniew kazał jej zamachnąć się pięścią.

Zwlekający zmarli mogą mnie dotknąć — i czuję ich — kiedy mają przyjazne zamiary. Lecz jeśli chcą mi zrobić krzywdę, ich ciosy przechodzą przeze mnie niezauważalnie, potwierdzając ich niematerialną naturę.

Dlaczego tak jest, nie mam pojęcia. Nie ja ustalam reguły, a gdyby mi pozwolono je tworzyć, wprowadziłbym sporo zmian.

Nie wiem nawet, dlaczego sam jestem taki, jaki jestem.

Pani Wolflaw zamachnęła się na mnie znowu, i po raz trzeci. Nie zdołała mnie dosięgnąć, co ją tak rozczarowało, że w desperacji wydała żaloszny skowyt, na który pozostałem głuchy, a świat — obojętny.

Była nie tyle rozgniewana, co przestraszona i sfrustrowana. Nie przypuszczałem, że mogła się doprowadzić do takiej furii, jaka zdoła przemienić nieszkodliwego ducha w groźnego, miotającego meblami poltergeista.

Jak się okazało, miałem rację, ponieważ odwróciła się ode mnie, przemknęła wzdłuż szeregu martwych kobiet i znikła, kiedy dotarła do własnego podziurawionego kulami ciała.

Czasami na jawie zdaje mi się, że śnię, kiedy moja rzeczywistość staje się równie nierzeczywista jak senne krajobrazy.

Sam na sam z konklawe zmarłych, podniosłem wzrok na sześć rzędów złocistych kół zębatach. Lśniące zęby wgrzyzały się bez kłania, przeżuwały bez pożerania, obracały się bez dźwięku, przesuwały się przez salę od ściany do ściany, niczym piekielny mechanizm zegara, którym diabeł odmierza czas pozostały do wieczności.

W zegarowej krypcie pozaczasowe zmarłe dawały milczące świadectwo ludzkim zdolnościom czynienia zła. Spojrzeć w ich niewidzące oczy znaczyło zapłakać. To nie był jednak ani czas płaczu, ani śmiechu. Zawróciłem do spiralnych schodów, przepelnięny oburzeniem, ale nie gniewem.

Ozzie Boone, bestsellerowy autor kryminałów, który mieszka w Pico Mundo, to mój dwustukilowy mentor, przyjaciel i zastępczy ojciec. Pojawił się w kilku tomach tych pamiętników, a jego pisarskie rady nadają kształt całości.

Powiedział mi, że muszę utrzymać narrację w lekkim tonie, ponieważ zwykle temat jest taki ponury. Bez szczypty humoru, mówi Ozzie, pisałbym dla wąskiego grona zgorzkniałych nihilistów i zdeklarowanych melancholików, i nie dotarłbym do tych czytelników, których może podnieść na duchu nadzieja leżąca u podstaw mojej opowieści.

Za mojego życia nie można opublikować nic z mojej pisaniny, choćby dlatego, że zostałem obłożony przez ludzi, którzy błędnie założą, że potrafię kontrolować mój szósty zmysł. Spodziewaliby się prawdopodobnie, że posłużę za łącznika pomiędzy nimi a ich ukochanymi po Drugiej Stronie. Inni jeszcze mniej rozumieliby mój dar i przychodziliby do mnie, żebym ich uleczył ze wszystkiego, od raka po haluksy.

A tutaj, poza granicami Pico Mundo, muszę się liczyć z policją i sądami, gdzie raczej nie znajdę życzliwego ucha dla opowieści o drugim świecie ukrytym wewnątrz świata, który znamy, o bardziej skomplikowanej rzeczywistości ukrytej wewnątrz rzeczywistości materialnej. W najlepszym razie czekałoby mnie więzienie, prawdopodobnie trafiłbym do wariatkowa, a przez lata czekania na decyzję sądu nie mógłbym nikomu pomagać, używając mojego daru, ponieważ zostałbym unieruchomiony i ubezwłasnowolniony przez zgraję prawników.

Na schodach zauważyłem coś, co widziałem już wcześniej, ale nie zarejestrowałem: drzwi w ścianie naprzeciwko. Stąd schody wiodły w górę do pomieszczeń, które już odwiedziłem, ale drzwi prowadziły w nieznaną.

Nowe nie zawsze jest lepsze. iPhone'y są lepsze od telefonów z obracaną tarczą, ale nie tak dawno kilku maniaków wpadło na świetny nowy pomysł, żeby zademonstrować swoje pretensje, wlatując samolotami pasażerskimi w wieżowce.

Niemniej, ściskając powłoczkę z piłą do metalu, podszedłem do drzwi i otworzyłem je po chwili wahania. Za nimi zaczynał się opadający tunel, szeroki na jakieś metr osiemdziesiąt i wysoki na dwa metry.

Ponieważ znajdowałem się po północnej stronie mauzoleum, a główny dom stał na północ od tej budowli, założyłem, że tunel biegnie pod schodkową kaskadą, pod trawnikiem, pod tarasem i kończy się w piwnicy rezydencji.

Po wyjściu z więzy i tak zamierzalem wśliznąć się niepostrzeżenie do domu, żeby w miarę możliwości poznać tajemnice Roseland i upostrznić chłopca. Tunel

stanowił wymarzoną ukrytą drogę — pod warunkiem że nie natknę się na Wolfława albo Sempiterna, albo świnię chodzącą na dwóch nogach.

To było więcej niż przejście. Najwyraźniej służyło również innym celom, jako część barokowej maszynierii, którą odkryłem w dwupoziomowej piwnicy mauzoleum.

Sufit, ściany i podłoga pokryte były miedzianymi płytkami. Prostokątne sufitowe lampy szatkowały tunel pasami światła i cienia. W każdą ścianę wpuszczono rurę z przezroczystego szkła. W rurach powoli przesuwały się pulsujące żłociste błyski, które przypominały tamte krople światła wylatujące z kół zamachowych.

Błyski wydawały się płynąć to w stronę domu, to znów z powrotem. Po kilku sekundach ich obserwowania zrobiło mi się niedobrze i ogarnęło mnie dziwne, dezorientujące wrażenie, że jestem tutaj, ale nie tutaj, prawdziwy, ale nierzeczywisty, zbliżam się do domu i jednocześnie się oddalam.

Pilnowałem się, żeby więcej nie patrzeć bezpośrednio na rury. Wbijając wzrok w podłogę, przeszedłem paręset metrów.

Na końcu tunelu otworzyłem obite miedzią drzwi i po omacku poszukałem przełącznika światła. Znalazłem się w piwnicy na wina z kamiennymi ścianami i betonową podłogą ozdobioną odsłoniętymi końcami miedzianych prętów, gdzie na sekwojowych regałach spoczywało kilka tysięcy butelek.

Coś tak normalnego jak piwnica z winami wydawało się tutaj nienormalne. Torturujesz i zabijasz kobiety, więzisz własnego syna, ty i twój personel uzbroidliście się jak przed nadejściem Armagedonu, twój dom — może cała posiadłość — przypomina jakąś przedziwną maszynę, po okolicy uganiają się świnioludzie, a wieczorami siadasz z kieliszkiem dobrego cabernet sauvignon i kawałkiem sera, żeby... co? Słuchać popularnych przebojów z Broadwayu?

Nic w Roseland nie było normalne, jak przeboje, ser czy wino. Może niegdyś była to zwykła rezydencja typowego miliardera z pospolitymi perwersjami, ale nie teraz.

Kusiło mnie, żeby otworzyć którąś butelkę i sprawdzić, czy nie zawiera krwi zamiast najlepszego gatunku z Napa.

Za jednymi z dwojga drzwi z postarzanego dębu znajdowały się wąskie, obudowane schody. Przypuszczałem, że prowadziły do kuchni na górze.

Dowiedziałem się od szefa Shilshoma tyle, ile mogłem bez podłączania mu drutów do intymnych części ciała i wydobywania informacji za pomocą elektrowstrząsów. Takie metody nie były w moim stylu. Poza tym na samą myśl, że miałbym oglądać intymne części ciała kucharza, chciałem wrzeszczeć jak mała dziewczynka, która znalazła na ramieniu tarantule.

Chociaż miałem sporo do zrobienia i za mało czasu, podszedłem do drugich drzwi i uchyliłem je ostrożnie. Za nimi czekał długi piwniczny korytarz z zamkniętymi drzwiami po obu stronach i na końcu.

Przyłożyłem ucho do pierwszych drzwi z lewej strony, zanim je otworzyłem. Duże pomieszczenie wypełniały masywne żelazne piece i bojler, pochodzące chyba z lat dwudziestych zeszłego wieku. Wyglądały tak, jakby dopiero wyszły z fabryki, ale nie wiedziałem, czy naprawdę wciąż działają, ponieważ milczały.

Za pierwszymi drzwiami po prawej stronie był magazyn, w którym niczego nie zmagazynowano, a kiedy otworzyłem drugie drzwi po lewej, zastałem tam

Victorię Mors, pokojówkę podległą pani Tameed, która robiła pranie.

Pralki i suszarki były nowsze niż piece i bojler, ale — podobnie jak piwnica win — przez samą swoją normalność wydawały się nie pasować do tego dziwnego, groteskowego świata, zamkniętego wewnątrz murów Roseland.

Victoria Mors sortowała pościel i ubrania, przekładała je z wózka do pralek. Żadna maszyna nie była jeszcze włączona, dlatego nie usłyszałem hałasu silnika czy wirnika, który mógłby mnie ostrzec, że ktoś tam jest.

Pokojówka wydawała się równie zaskoczona moim widokiem, jak ja skonsternowany jej obecnością. Staliśmy bez ruchu, gapiąc się na siebie z otwartymi ustami, niczym figurki z ożywionego szwajcarskiego zegara, które nagle zamarły po otwarciu drzwi.

Victoria, podobnie jak Henry Lolam i Paulie Sempiterno, też z pewnością uważała, że Noah Wolflaw postąpił lekkomyślnie i niezrozumiale, zapraszając mnie i Annamarię. Szukałem słów ze świadomością, że zaważą na jej decyzji, czy wszcząć alarm, ponieważ miałem wstęp tylko na parter domu.

Zanim zdążyła krzyknąć, wszedłem do pralni, uśmiechnąłem się durnym uśmiechem kucharza od szybkich dań i podniosłem powłoczkę, w której miałem piłę do metalu zawiniętą w ręcznik.

— Mam trochę delikatnych rzeczy do prania i kazali mi je zanieść na dół, do pani.

Smukła, niewysoka Victoria Mors ubrana była w czarne spodnie i prostą białą bluzkę, stanowiące uniform jej i pani Tameed. Chociaż pewnie zbliżała się do trzydziestki, wyglądała bardzo dziewczęco. Była ładna na elfi sposób, z dużymi oczami barwy wyblakłego dżinsu. Rudobłond włosy upinała wsuwkami, jednak kilka krętych kosmyków zawsze — również teraz — wymykało się spod spinek i opadało na zaróżowione policzki, nadając jej wygląd dziewczynki, którą przed chwilą oderwano od skakanki czy gry w klasy. Chociaż miała figurę baletnicy, niekiedy w jej ruchach pojawiała się urocza źrebięca niezdarność. Zwykle spoglądała na mnie z ukosa albo spod rzęs, spuszczać głowę, co wyglądało na dziewczęcą nieśmiałość, lecz zapewne oznaczało gorzką podejrzliwość.

Tam, w pralni, patrzyła prosto na mnie, szeroko otwierając wielkie jasnoblękitne oczy z wyrazem troski, jakby nad moją głową fruwał nietoperz wampir, o którym nie wiedziałem.

— Och, nie musiał pan sam przynosić prania, panie Odd — powiedziała. — Przyszłabym po nie do wieży.

— Tak, psze pani, wiem, ale chciałem oszczędzić kłopotu. Pewnie to męczące dla pani i pani Tameed zajmować się tym wielkim domem. Tyle odkurzenia, zamiatania i polerowania, i ciągle sprzątanie po innych. Chociaż oczywiście na pewno są inne pokojówki, których nie spotkałem.

— Nie spotkał pan? — zapytała, przybierając ton głosu oraz wyraz twarzy głupiutkiej, choć przemiłej panienki, która nie bardzo potrafi nadążyć za rozmową, jeśli zdania mają więcej niż sześć słów.

— Długo pani pracuje w Roseland?

— Tak się cieszę, że dostałam tę pracę.

— No, każdy by się cieszył.

— Jesteśmy tu jak rodzina.

— Czują to ciepło.

— I to takie piękne miejsce.

— Magiczne — zgodziłem się.

— Te cudowne ogrody, te wspaniałe stare dęby.

— Wspiąłem się na jeden i spędziłem tam całą, chociaż bardzo krótką noc.

Zamrugała.

— Co pan zrobił?

— Wspiąłem się na jeden z tych cudownych starych dębów. Na sam cudowny wierzchołek, gdzie gałęzie były prawie za cienkie, żeby mnie utrzymać.

Może dlatego, że znacznie przekroczyłem limit sześciu słów, przybrała zmieszana minę.

- Dlaczego pan to zrobił?
- Och, po prostu musiałem.
- Wchodzenie na drzewa jest niebezpieczne.
- Niewchodzenie bywa równie niebezpieczne.
- Ja nigdy nie robię nic niebezpiecznego.
- W niektóre dni samo wstanie z łóżka jest niebezpieczne.

Postanowiła więc na mnie nie patrzeć. Znowu zaczęła sortować pranie i przekładać z wózka do dwóch pralek.

— Może pan zostawić swoje rzeczy, zajmę się nimi, panie Odd.

— Może rzeczy? — powtórzyłem, gdyż potrafię udawać głupiego nie gorzej od innych.

— Pana delikatne rzeczy do prania.

Nie zdecydowałem jeszcze, czy zależy mi na wykrochmaleniu piły do metalu, więc mocniej ścisnąłem powłoczkę i powiedziałem:

— Pan Wolflaw ma chyba bardzo wysokie wymagania. Ten dom jest idealnie czysty.

— To piękny dom. Zasługuje na staranne utrzymanie.

— Czy pan Wolflaw jest tyranem?

Victoria zerknęła na mnie z ukosa, nie przerywając ładowania pralek. Wydawała się autentycznie urażona w imieniu szefa.

— Skąd to panu przyszło do głowy?

— No, tacy bogaci ludzie bywają wymagający.

— On jest wspaniałym pracodawcą — oświadczyła z nutą dezaprobaty skierowaną pod moim adresem, ponieważ śmiałem wątpić we wzorowy charakter władcy Roseland. — Nie zamieniłabym go na żadnego innego. Nigdy w życiu — dodała z przejęciem niczym zadurzona uczennica.

— Tak myślałem. On chyba jest święty.

Zmarszczyła brwi.

— Więc czemu pan powiedział „tyran”?

— Chciałem to sprawdzić. Zamierzam się ubiegać o posadę.

Znowu spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała lekceważąco:

— Nie ma wolnych miejsc.

— Chyba jest za mało ochroniarzy.

— Dwaj są na urlopie.

— Aha. Henry Lolam mówi, że ma osiem tygodni wakacji. To długi urlop.

— Ale nie ma wolnych miejsc.

— Henry wykorzystał tylko trzy ze swoich ośmiu tygodni. Mówi, że świat na zewnątrz za bardzo się zmienia. Mówi, że tylko tutaj czuje się bezpiecznie.

— Oczywiście, że tutaj czuje się bezpiecznie. Każdy czułby się tutaj bezpiecznie.

Podejrzewałem, że trzydzieści cztery martwe kobiety w podziemiach mauzoleum nie czuły się zbyt bezpiecznie w Roseland; jednak nie poruszyłem tego tematu, bo nie chciałem się zachować po chamsku.

Jeśli kiedykolwiek fantazjowałem o zawodzie śledczego CIA, straciłem zainteresowanie, kiedy prawo ograniczyło metody przesłuchiwania terrorystów do kuszenia ich słodyczami. Byłem jednak zadowolony z siebie, ponieważ udało mi się uzyskać kilka ciekawych odpowiedzi od pokojówki bez pomocy nawet jednego marnego batonika.

Teraz, kiedy zmieniłem technikę i zacząłem wsadzać szpileczki, nasza pogawędka mogła przybrać wrogi obrót, a wtedy musiałbym jakoś rozwiązać problem pokojówki, zanim zamelduje kogoś o mojej obecności.

Niestety, jeszcze nie wykombinowałem, jak sobie z nią poradzić, chociaż zdążyłem już odrzucić pierwszą opcję, żeby ją zastrzelić.

Prawie skończyła sortować pranie.

— Henry Lolam powiedział mi, że Roseland to niezdrowe miejsce — podjąłem.

— Chyba żartował, skoro sam nie może wytrzymać nigdzie indziej.

— Henry czyta za dużo cholernej poezji, za dużo myśli i za dużo gada — warknęła Victoria Mors, wcale nie jak uczennica.

— O rany, naprawdę jesteście jak rodzina — zażartowałem.

Na krótką chwilę jej oczy rozbłysły nienawiścią, jakby chciała mi odgryźć nos i oddać mnie Pauliemu Sempiterno, żeby mi wpakował kulkę w twarz.

Ale Victoria Mors potrafiła szybko zmienić przebranie. Kiedy odkładałem powłoczkę, wciągnęła szpony, wymrugła jad z oczu, zastąpiła ocet w głosie miodem i odezwała się z drżącą, rozbrajającą intonacją dziecka, które broni honoru ukochanego ojca:

— Przepraszam, panie Odd.

— *De nada* ⁵.

— Proszę mi wybaczyć.

— Wybaczone.

— Ja tylko, no, nie mogę znieść, kiedy ktoś jest niesprawiedliwy dla pana Wolflawa, bo on... on naprawdę jest cudowny.

— Rozumiem. Mnie też wkurza, kiedy ludzie mówią źle o Władimirze Putinie.

— O kim?

— Nieważne.

Victoria skończyła z praniem, więc teraz załamała ręce, jakby uczyła się gry aktorskiej, oglądając same melodramaty z epoki niemego kina.

— Biedny Henry, on jest bardzo miły, jest dla mnie prawie jak brat, ale należy do tych ludzi... dać mu cały świat, to będzie nieszczęśliwy, bo nie dostał księżycy.

— Narzeka, że kosmici nie obdarzyli go nieśmiertelnością.

— Co z nim jest nie tak? Dlaczego nie może cieszyć się tym, co ma?

— Właśnie, dlaczego? — powtórzyłem, jakby Henry też działał mi na nerwy.

— Noah to geniusz, jeden z największych ludzi w historii.

— Myślałem, że zarządza funduszem hedgingowym.

Zaledwie skończyłem mówić, drzwi się otworzyły i do pralni wszedł wysoki, chudy, wąsаты mężczyzna w ciemnym garniturze, ten sam, który wcześniej mi powiedział, że widział mnie tam, gdzie jeszcze nie byłem, i że liczy na mnie. Jego oczy, również ciemne i głęboko osadzone, błyszczały gorączkową emocją. Chyba nigdy jeszcze nie widziałem równie intensywnego spojrzenia, tak przenikliwego, że nie zdziwiłbym się, gdyby zagotowało mi mózg w czasie.

Podszedł do mnie, błagałnym gestem wyciągając kośćcistą dłoń.

— Niczego takiego nie zamierzałem.

Zamiast ująć rękę, którą odruchowo mu podałem, mężczyzna przeszedł przeze mnie na wylot, jakby był duchem. Przez krótką chwilę, kiedy zajmowaliśmy tę samą przestrzeń, przebiegł mnie jakby elektryczny prąd od środka ciała do wszystkich kończyn, ani bolesny, ani przyjemny, ale uwrażliwiający wszystkie

ścieżki nerwowe, przez które odbierałem ból i rozkosz, ciepło i zimno, gładkość i szorstkość, dźwięk i obraz, smak i zapach. W wyobraźni widziałem przebieg każdego nerwu w moim ciele równie wyraźnie, jak autostrady na mapie. Żaden duch nigdy nie wywołał u mnie takiego efektu.

Przeniknąwszy przeze mnie, mężczyzna szedł dalej i rozpląnął się po dwóch kolejnych krokach. Choć zniknął, w powietrzu dzwoniły trzy słowa wypowiedziane jego akcentowanym głosem:

— Przetaw główny przełącznik.

Victoria Mors obejrzała się za znikającą zjawą. Potem napotkała mój wzrok.

Żadne z nas się nie odezwało, ale nie musiała nic mówić, żebym odgadł, że już wcześniej spotkała tego chudego mężczyznę, a ja nie musiałem nic mówić, żeby się domyśliła, że wiedziałem o Roseland dostatecznie dużo, żeby się nie przejąć tym niesamowitym incydem, dostatecznie dużo, żeby stanowić dla nich wszystkich śmiertelne niebezpieczeństwo.

Trafiłem ją pod brodę prawym hakiem, poprawiłem lewym sierpowym, który wylądował trochę z boku nad jej prawym okiem. Osunęła się na podłogę jak worek z praniem.

Nie byłem z siebie dumny. Właściwie nie było mi wstyd, ale przyznaję, że cieszył mnie brak lustra w pralni.

Jeszcze nigdy nie uderzyłem pięścią kobiety. Poza tym ona była nie tylko kobietą, ale była mniejsza ode mnie. Była nie tylko kobietą mniejszą ode mnie, ale była również ładna w uroczy elfi sposób, więc czułem się tak, jakbym pobił Dzwoneczka. Wiem, Dzwoneczek była wróżką, nie elfem, ale nic nie poradzę, że tak się czułem.

Pocieszało mnie przekonanie, że Victoria zna najciemniejsze sekrety Roseland, więc na pewno jest zła. Nie mogłaby tu pracować, nie wiedząc o ponurej kolekcji martwych kobiet w podziemiach mauzoleum, łatwo dostępnych z piwnicy głównego domu.

Co gorsza, wydawała się zakochana w Noahu Wolflawie, a przynajmniej go podziwiała. Jaka osoba, praczka czy nie, mogła żywić ciepłe uczucia wobec mordercy torturującego kobiety?

Otworzyłem jej usta, żeby sprawdzić, czy nie przygryzła sobie poważnie języka, kiedy ją walnąłem, ale nie zobaczyłem krwi. Będzie miała paskudnego siniaka i koszmarny ból głowy. Żałowałem jej, chociaż chyba nie aż tak, jak powinienem.

W kącie znajdowało się stanowisko szwaczki. W szufladzie leżały nożyczki.

Pogrzebałem w bębnie jednej z pralek, które jeszcze nie nabrały wody, i wyłowilem kilka sztuk odzieży — żadnych niewymownych — które mogłem pociąć i podrzeć, żeby zrobić z nich więzy.

Pracując szybko w obawie, że Victoria odzyska przytomność i zwymyśla mnie od ostatnich, mocno związałem jej ręce z przodu, a potem nogi w kostkach. Dodatkowo połączyłem te więzy kawałkiem materiału, żeby nie mogła wstać.

Otwarłem drzwi, rozejrzałem się po korytarzu, potem wziąłem pokojówkę na ręce i pospiesznie zaniósłem do sąsiedniej kotłowni. Była szczupła, ale ważyła znacznie więcej od Dzwoneczka.

Położyłem ją w kącie, niewidocznym od drzwi, gdzie zasłaniała ją bojler wielki jak silnik raketowy promu kosmicznego. Zaczynała już mamrotać jak w niespokojnym śnie, kiedy wybiegałem z kotłowni.

W pralni odłożyłem nożyczki na miejsce. Zgarnąłem kilka pasów pociętej tkaniny, których nadal potrzebowałem. Wrzuciłem resztki zmasakrowanej odzieży do śmieci i zabrałem powłoczkę z piłą do metalu.

Kiedy wróciłem do Victorii Mors, jęczała, ale jeszcze się nie ocknęła. Posadziłem ją opartą plecami o ścianę, mniej więcej w takiej samej pozycji jak trzydzieści cztery kobiety w podziemiach mauzoleum, chociaż oczywiście ona była ubrana, nie była torturowana, żyła i nadal podziwiała Noaha Wolflawa.

Używając żółtej szarfy z bawełnianych spodni znalezionych w pralni, zawiązałem jej pętlę na szyi. Wolny koniec szarfy przymocowałem do rury z wodą, która wychodziła ze ściany i prowadziła do bojlera. Rura była porządnie zakotwiczona i tylko słabo zaskrzypiała, kiedy ją szarpnąłem z całej siły — nikt w korytarzu by tego nie usłyszał. Teraz Victoria nie dopełźnie do drzwi po moim wyjściu.

Kiedy ukląknęłam obok niej, zatrzepotała powiekami. Otworzyła oczy i przez chwilę chyba nie wiedziała, kim jestem. Potem widocznie mnie rozpoznała, bo plunęła mi w twarz.

— Jak miło — mruknąłem i wytarłem ślinę kawałkiem podkoszulki, którą wcześniej pociąłem.

Czynność płucia widocznie wywołała pewien dyskomfort, bo Victoria skrzywiła się i poruszyła szczękami, żeby ocenić szkody spowodowane przez cios.

— Przepraszam, że musiałem panią uderzyć — powiedziałem.

Pomimo bólu znowu na mnie napłuła.

Wytarłszy płwocinę, zapytałem:

— Czy pani wie o martwych kobietach w mauzoleum?

Zaproponowała mi erotyczne doświadczenie z samym sobą.

— Oczywiście pani wie o tych kobietach.

Zasugerowała, że uprawiałem nierząd z bliską krewną.

W tym oświetleniu jej oczy barwy wyblakłego dżinsu nabrały purpurowego odcienia śmiertelnie trujących kwiatów belladony. Nadal były wielkie i przeryzste, ale nie wyglądały już na oczy nieśmiałej, uroczej dziewczyny.

— Co to za miejsce i do czego służą te dziwne maszyny?

Teraz w nastroju do porad kulinarnych poleciła mi przyrządzić obiad z końcowego produktu jej układu trawiennego.

Wyciągnąłem pistolet z kabury przy pasie i wycelowałem w jej twarz.

— Kim był ten człowiek, który wszedł do pralni?

Nie dała się zastraszyć, tylko wpatrywała się we mnie oczami barwy belladony. Nie przebierając w słowach, kazała mi wsadzić pistolet w część mojej anatomii nieprzystosowaną do roli kabury.

— Nie radzę mnie lekceważyć — ostrzegłem. — Jestem groźniejszy, niż na to wyglądam.

Poinformowała mnie, że moja twarz przypomina zadek małpy, i dodała:

— Nigdy nie wyjdiesz żywy z Roseland.

— Może nikt z nas stąd nie wyjdzie żywy. — Przycisnąłem jej do czoła lufę beretty. — Zabiłem sporo ludzi, psze pani, i przypuszczam, że tutaj też będę musiał kilku zabić.

— Nie boję się ciebie.

— Może nie — mruknąłem. — Ale ja sam się siebie boję.

Słowa aż nadto prawdziwe. Usprawiedliwiając się, że bronię niewinnych, robiłem rzeczy, które zagnieździły się w mojej pamięci niczym robaki w jabłku. Kiedy śpię, wiążę się i wypełzają, żeby nawiedzać sny, z których budzę się zły potem.

Wcześniej Victoria powiedziała mi, że nigdy nie robi nic niebezpiecznego, nawet tak stosunkowo mało ryzykownego, jak wspinaczka na dąb. Widocznie

odzyskała swoją zasadniczą awersję do ryzyka, bo zamknęła oczy i zadrzała.

Postanowiłem zaapelować do resztek przyzwoitości, jakie wciąż mogły się kołatać w jej sercu, więc odsunąłem pistolet i głosem wyrażającym jednocześnie niesmak i współczującą chęć zrozumienia zapytałem:

— Czy to jakiś kult, z którego pani nie może się wyrwać? Czy Noah Wolflaw jest waszym Jimem Jonesem?

— Wyznawcy kultów są obłąkani — odparła. — Obłąkani ignoranci. Kult? Nie. Jesteśmy najzdrowszymi psychicznie ludźmi w historii.

— W historii?

— To ty i twój gatunek jesteście obłąkani i nawet o tym nie wiecie.

— Proszę mnie oświecić.

Każdy rys jej twarzy wykrzywił się we władczym uśmieszku wyższości, wyrażającym krańcową pogardę.

— Znosicie chłostę i zniewagi czasu, które nas nigdy nie osiągną. Znosicie to i dlatego popadacie w szaleństwo.

— No, to wszystko wyjaśnia — mruknąłem, zastanawiając się, czy jakiś kapłan voodoo, którego nie pamiętam, rzucił na mnie klątwę skazującą mnie na twarzystwo ludzi, którzy zawsze mówią zagadkami.

Twarz jej poczerwieniała i pociemniała z nienawiści, głos ociekał pogardą tak gęstą, że słowa niemal lepiły się do języka.

— Wasze myśli są niewolnicami życia, ale nasze nigdy.

Pomimo jej zaprzeczeń to brzmiało jak typowe sekciarskie teksty, wygłaszane przez najwyższego przywódcę i powtarzane przez wyznawców, którzy rozumieją je tylko w połowie, ale recytują jak mantrę w odpowiednich i nieodpowiednich chwilach.

Skoro Victoria zaczęła mówić, spróbowałem znowu naprowadzić ją na temat martwych kobiet w mauzoleum.

— Nazwała pani Wolflawa jednym z największych ludzi w historii. Jak pani może tak potulnie mu ulegać, skoro on traktuje kobiety jak lalki: pobawić się, zepsuć i wyrzucić?

Fakt, że ofiary należały do tej samej płci, nie wystarczył, żeby wycisnąć z Victorii Mors choćby odrobinę współczucia.

— To nie były takie kobiety jak ja. Nie takie jak my. Były jak ty. Zwierzęta, nie bogowie. Przelotne cienie, żałośni aktorzy. Ich życie nic nie znaczyło.

Im więcej mówiła, tym bardziej szalona się wydawała. Wszelkie pozory normalności opadły z niej bezpowrotnie.

Jednak coś w jej słowach brzmiało znajomo, jakbym kiedyś, w innym miejscu i czasie, słyszał podobne zwroty użyte w racjonalnym kontekście, dla szlachetniejszego celu.

Czułem się zbrukany przez tę Victorię, złą bliźniaczkę skromnej pokojówki, lecz dalej ją naciskałem.

— Skąd się wzięły te kobiety? Jak Wolflaw je tutaj zwabił?

Zachichotała jak dziecko dopuszczone do tajemnicy, którą z lubością wyjawia.

— Noah nigdy nie wyjeżdża z Roseland dalej niż do miasta. Paulie je wynajduje w różnych miejscach. Henry też jeździ na polowania, po całym stanie i do Nevady, wszędzie.

— Oni... biorą w tym udział razem z Noahem?

Pokręciła głową.

— Nie. To nie w ich guście, chociaż im to nie przeszkadza. Ale przerwałeś mi, zanim doszłam do najlepszej części.

— Więc słucham.

— Jestem lepsza od nich wszystkich, lepsza od Pauliego czy Henry'ego, w zarzucaniu przynęty i łowieniu ślicznotek. Jak już namierzę taką, która się spodoba Noahowi, układam plan, żeby ją poznać. Bajeruję ją. One zawsze mnie lubią. Świetnie się ze sobą bawimy. Tak łatwo zdobywam ich przyjaźń i zaufanie. Jestem taka drobna, prawie jak dziecko. I mam twarz wróżki, a kto nie ufa wróżkom?

— Ja pomyślałem, że raczej twarz elfa, ślicznej elfki.

Victoria obdarzyła mnie ciepłym, zalotnym uśmiechem i mrugnęła. Przez chwilę czarująca maska niewinności tak dokładnie okryła jej rysy, że nie widziałem ani śladu demona ukrytego za elfią urodą.

— Po niedługim czasie — ciągnęła — umawiamy się na lunch. Przyjeżdżam po nią do pracy albo do domu. Nigdy nie docieramy do restauracji. Mam małą strzykawkę beżigłową. Środek uspokajający niemal natychmiast zwala ją z nóg. Kiedy panienka się budzi, czasami po kilku godzinach, czasami po kilku dniach, zależy, z jak daleka jedziemy, jest przywiązana do słupków łóżka Noaha i dowiaduje się, czym jest i czym my jesteśmy.

Wróżka czy elf, jej widok mnie mierzył.

— A czym jesteście?

— Outsiderami — odparła i miałem wrażenie, że wymówiła to słowo wielkimi literami. — Jesteśmy outsiderami, bez ograniczeń, bez praw, bez strachu.

Chociaż nie nazywali się kultem, to był kult pod każdym względem.

— On nie jest waszym Jimem Jonesem — stwierdziłem. — Jest waszym Charlesem Mansonem. Ted Bundy z apostołami.

— Czasami pozwala mi patrzeć. — Zauważyła, że się wzdrygnąłem, i uśmiechnęła się złośliwie. — Biedny chłopcze, nigdy nie zrozumiesz. Jesteś tylko przelotnym cieniem, żalonym aktorem. Nie liczysz się.

Te słowa, które już raz wymówiła, znowu zabrzmiały znajomo.

Wciąż jednak chciałem zrozumieć, znaleźć powód, który kazał jej przyłączyć się do Wolflawa.

— On chyba ma nad tobą jakąś władzę.

— Miłość — odpowiedziała. — Miłość do wieczności.

Widocznie miłość tego rodzaju oznaczała, że nigdy nie trzeba za nic przeproszać.

Victoria znowu mnie opluła. Od tego gadania o Wolflawie i kobietach chyba ślinka jej napłynęła do ust, bo dostałem wyjątkowo obfitą porcję.

— Za godzinę będziesz miał stopę na gardle.

Wycierając twarz wilgotnym już gałgankiem, zapytałem:

— Jaką stopę?

— Cichą.

— Aha, tę stopę. — Nie wyciągnąłbym z niej już nic pożytecznego. Zwinąłem materiał w kulkę i powiedziałem: — Bądź grzeczną dziewczynką i otwórz buzię.

Zacisnęła wargi. Zatkaną jej perkaty nos. Wstrzymywała oddech, dopóki mogła, potem gwałtownie wciągnęła powietrze, a ja wepchnąłem jej szmatę do ust.

Chociaż mówiła niewyraźnie, zdawało mi się, że nazwała mnie głupim palantem. Próbowiała wypchnąć knebel językiem, ale zamknąłem jej usta. Z pewną przyjemnością.

Ostatnim kawałkiem materiału owinąłem jej dolną część twarzy. Próbowiała mnie ugryźć, ale bez skutku. Zawiązałem jej supeł z tyłu głowy, żeby nie wypluła knebla.

Wsadziłem pistolet do kabury z ulgą, że nie musiałem zastrzelić Victorii. Zabicie kobiety, nawet morderczyni, z pewnością dręczyłoby mnie do końca życia.

Raz w spalonym indiańskim kasynie patrzyłem, jak siedemdziesięciokilowy kuguar podkrada się z tyłu do kobiety, która bardzo się starała, żeby być złą; trzymała mnie na muszce, więc zamiast zarobić kulkę w brzuch i drugą w głowę, nie ostrzegłem jej i pozwoliłem, żeby wielki kot rzucił się na nią jak wygłodzony ćpun na potrójnego cheeseburgera. Nie polubiłem siebie za to — ani trochę — ale dzięki temu żyłem.

Skrępowana, zakneblowana, mocno przywiązana do rury wodociągowej Victoria Mors strzelała we mnie zatrutymi pociskami z oczu barwy belladony.

Przeszedłem przez kotłownię, zgasilem światło, uchyliłem drzwi, zobaczyłem, że droga jest wolna, i wyszedłem na korytarz.

Żałowałem, że nie jestem Harrym Potterem, wyposażonym w pelerynę niewidkę i inne magiczne przybory, jakie nosi ze sobą młody czarodziej. Miałem jednak pistolet kalibru dziewięć milimetrów, mnóstwo zapasowej amunicji i doskonałą piłę do metalu, czyli byłem lepiej uzbrojony niż przy innych niebezpiecznych okazjach. Poza tym jeśli dysponujesz taką peleryną, zakradanie się do legowiska smoka to żadna zabawa, ani dla ciebie, ani dla smoka.

Przez chwilę stałem pod zamkniętymi drzwiami kotłowni i nasłuchiwałem. Nie wątpiłem, że Victoria usiłuje krzyczeć przez knebel. Nawet, ryzykując uduszenie, spróbuje stukać rurą wodociągową. Ale nic nie słyszałem.

Po raz ostatni wszedłem do pralni, gdzie nad zlewem umyłem twarz gorącą wodą i płynnym mydłem.

Ta naprawdę zła kobieta, którą pozwoliłem kuguarowi zabić, kiedyś także plunęła mi w twarz ustami pełnymi czerwonego wina.

Kobiety nie szaleją za mną tak, jak, powiedzmy, za Justinem Bieberem. Ale pocieszam się, że Justin nie wiedziałby, jak uciec z chłodni, gdzie przykuło go łańcuchami kilku potężnych gości w kapeluszach pork pie. Nie potrafiłby wyśpiewać sobie drogi ucieczki i nieuchronnie zmieniliby się w Bieber-sopla.

Z nadzieją, że wysoki, chudy mężczyzna znowu się pojawi i wyjaśni, kim jest i jaki główny przełącznik kazał mi przestawić, ruszyłem dalej korytarzem. Po drodze sprawdzałem kolejne pomieszczenia, nie znajdując niczego interesującego, aż dotarłem do ostatnich drzwi.

Przeszedłem przez drzwi na końcu korytarza i znalazłem się jakby w innym budynku, nie w eleganckiej rezydencji Noaha Wolflawa. Duży prostokątny pokój miał sufit z płyt gipsowych i panele na ścianach, wszystko pomalowane na biało. Cztery okna, rozmieszczone parami na przeciwległej ścianie, były zasłonięte ceratowymi roletami zawieszonymi na staroświeckich obrotowych drążkach.

W kącie stała drewniana szafka z metalową umywalką na wierzchu. Po jednej stronie umywalki znajdowała się żeliwna ręczna pompa z dźwignią do pompowania wody ze studni.

Pod każdą parą okien stało duże dębowe biurko, a na każdym biurku znajdowała się biurowa lampa z kloszem z zielonego szkła. Obrotowe dębowe krzesła miały kółka z twardej gumy na stalowych trzpieniach. Były w dobrym stanie, ale pochodziły chyba sprzed stu lat.

Na obu biurkach stały również telefony kolumnowe z mosiądzu pomalowanego na czarny mat, z mikrofonem na czubku, słuchawką na kablu zawieszoną na widelcu i staroświecką obrotową tarczą na podstawie.

Pod krótszymi ścianami dostrzegłem dębowe segregatory i coś, co wyglądało jak szafka na mapy z płytkami, szerokimi szufladami. Pośrodku ustawiono tyłem do siebie dwie kółka z twardej gumy i dwa dębowe stołki, a po prawej stronie duży dębowy stół, dostatecznie wysoki, żeby pracować przy nim na stojąco.

Na wysokim stole leżał zbindowany z lewej strony plik światłokopii, gruby na jakieś dziesięć centymetrów. Okładka przedstawiała wykonany tuszem widok głównego domu od zachodu. Pod tym przepięknym rysunkiem widniała odręcznie wypisana ozdobnymi literami nazwa ROSELAND. A w okienku tytułowym na dole z lewej strony odczytałem słowa: REZYDENCJA CONSTANTINE'A CLOYCE'A.

Zapewne tutaj właśnie pracował przedsiębiorca budowlany i może obecny na miejscu architekt w czasach, kiedy budowano Roseland. To pomieszczenie powstało widocznie jako pierwsze i zachowano je z pietyzmem, co sugerowało, że Constantine Cloyce, magnat prasowy i król niemego kina, zamierzał stworzyć rezydencję o wartości historycznej, coś jak zamek Hearsta.

Jedynym, co łączyło ten pokój z resztą domu, była betonowa podłoga, w której tkwiły miedziane krążki z wygrawerowanymi wydłużonymi ósemkami, oraz sterylna, ponadczasowa czystość hermetycznie zamkniętej wystawy w muzeum.

Krążąc po pokoju, nagle zwróciłem uwagę na okna zasłonięte ceratą, ponieważ uświadomiłem sobie, że w piwnicy nie powinno być żadnych okien. Odłożyłem powłóczkę z piłą do metalu, przechyliłem się przez biurko, pociągnąłem za sznurek i podniosłem roletę.

Widok za oknem mnie zaszokował. Stałem jak sparaliżowany, nie wierząc własnym oczom. Wreszcie przemogłem się, podszedłem do drugiego biurka, sięgnąłem nad nim i podciągnąłem roletę za drugim oknie, jakbym miał nadzieję,

że zobaczę inny krajobraz albo przynajmniej goły mur piwnicy. Przywitała mnie ta sama sceneria.

Oprócz drzwi, przez które wszedłem, na zachodniej ścianie pomiędzy bliźniaczymi biurkami znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Podeszedłem do nich, zawahałem się, otworłem je i wyszedłem na zewnątrz.

Długi podjazd, który opadał łagodnie od głównego domu do miejscowej drogi, był wysypany żwirem, a nie wybrukowany jak przedtem. Na końcu tej alei żadna brama ani stróżówka nie broniły wstępu do Roseland.

Ogromnej posiadłości nie otaczał kamienny mur. Tylko pomalowane na biało słupki graniczne oddzielały od sąsiednich parceli pagórkowaty teren, jeszcze nieprzekopany i niewyrównany pod budowę.

Ani śladu parkowego ukształtowania krajobrazu. Tylko ugory porośnięte wysoką do pasa trawą i chwastami, ocienione przez znacznie mniej liczne dęby niż te, wśród których spacerowałem od kilku dni.

Oszołomiony tym nieprawdopodobnym widokiem, przeszedłem jakieś dziesięć metrów po zwirowanym podjeździe, zanim się zorientowałem, że oddalam się od drzwi.

Obejrzałem się, ale nie zobaczyłem żadnej pałacowej rezydencji, jakby wielki dom Wolflawa po prostu wyparował.

Zamiast niego widziałem dwa budynki — pierwszy oszalowany deskami, z dachem krytym papą i czterema frontowymi oknami flankującymi otwarte drzwi. To był widocznie barak budowlany, z którego przed chwilą wyszedłem.

Drugi budynek, oddalony od pierwszego o jakieś trzydzieści metrów, był najwyraźniej wygódką.

Dla większości ludzi rzeczywistość jest prosta jak namalowany obraz ujęty w ramy odniesień, zrozumiała i niepodważalna. Ja żyję ze świadomością, że pod tym pozornie jednoznacznym obrazem kryją się niezliczone warstwy, wcześniejsze zamalowane sceny. Każdy fizyk obeznany z mechaniką kwantową czy teorią chaosu wie, że rzeczywistość to bestia o tajemniczych wymiarach i niepojętym potencjale i że im więcej odkrywamy, tym lepiej sobie uświadomiamy, jak mało wiemy.

Ponieważ takie rozumienie rzeczywistości kształtowało moje życie, rzadko tracę równowagę ze zdumienia. W nieobecności Roseland wciąż trzymałem się na nogach, ale czułem się jak kojot z kreskówki przejechany przez buldożer.

Wrażenie, jakie odniosłem wcześniej — że architekt skonstruował ten dom, stosując nową geometrię z jakimś tajemniczym wymiarem — błądło w porównaniu ze wstrząsem najnowszego odkrycia. Znajdowanie połączeń między pokojami, których nie pamiętałem, poczucie, że każdy pokój czy korytarz kryją w sobie coś więcej, coś niewidocznego dla oka, teraz wydawało się prorocze.

Odległy warkot silnika ponownie skierował moją uwagę na zachód. Na brukowanej, lecz prymitywnej dwupasmowej szosie pojawiły się dwa czarne samochody, chyba fordyski model T z otwartymi kabinami dla pasażerów; jeden nadjeżdżał z północy, drugi z południa.

Minęły się mniej więcej w miejscu, gdzie kiedyś miała stanąć brama Roseland. Tymczasem z północy nadjechał jeszcze jeden pojazd: furmanka zaprzęgnięta w konia, wyładowana belami siana, przetoczyła się z turkotem i stukotem kopyt.

Stałem drżący nie tyle ze strachu, ile z zadziwienia. Moje serce też wybijało rytm, mój oddech szybciej niż kopyta konia pociągowego.

Trzy kaczki, wiosłujące leniwie skrzydłami we wznoszących prądach termicznych, przeleciały nisko nad ziemią, równie ciche jak koła zamachowe i wirujące kule pod mauzoleum, które tutaj jeszcze nie istniało.

Jeśli po tym niebie kursowały jakieś latające maszyny, to dwupłatowce, nie samoloty pasażerskie. Tutaj nikt nie przeleciał jeszcze nad żadnym oceanem i żaden ślad buta nie odcisnął się w księżycowym pyłe.

Z północy, szepcząc, nadleciał wiatr. Razem z nim nadszedł strach, że drzwi baru budowlanego się zatrzasną, zerwie się jakieś połączenie i nie będę mógł wrócić do Roseland w całej wspaniałości dwudziestego pierwszego wieku.

Mogłem tu utknąć, w świecie bez penicyliny, bez szczepionki na polio, bez teflonowych patelni, bez powieści Johna D. MacDonalda, bez muzyki Paula Simona, Connie Dover i Izraela Kamakawiwo'ole, bez wygodnych sportowych butów, bez zapieć na rzepy.

Z drugiej strony tutaj nie znajdę programów reality show w telewizji, w ogóle żadnej telewizji, żadnej broni atomowej, żadnych piratów drogowych, żadnego gadania przez komórkę w kinie, żadnego indyka z tofu.

W ostatecznym rozrachunku zyskałbym pewnie tyle samo, ile stracił — tylko że tak daleko w przeszłości większość moich przyjaciół, których kochałem, jeszcze się nie narodziła.

Pospiesznie wróciłem więc do środka i zamknąłem drzwi za przeszłością, w której ani ja, ani moi rodzice jeszcze nie zostali poczęci.

Podszedłem do wewnętrznych drzwi i otworłem je. Za nimi czekał piwniczny korytarz, jednak kiedy się obejrzałem, za oknem zobaczyłem Roseland jeszcze nieurzeczywistnione.

Barak budowlany znajdował się nad poziomem gruntu, piwnica pod ziemią. Jedno istniało wtedy, drugie teraz. Jednak były jakoś połączone, przestrzennie i chronologicznie. Jak słuza powietrzna na statku kosmicznym służy za komorę przejściową pomiędzy atmosferą wewnątrz a próżnią na zewnątrz, ten pokój łączył chwilę sprzed około dziewięćdziesięciu lat z teraźniejszością.

Zamknąłem drzwi do piwnicy, wróciłem do biurka i usiadłem w staroświeckim obrotowym krześle, żeby pomyśleć.

Właściwie, tak jak Sherlock Holmes rozwiązywał skomplikowane problemy z pomocą fajki i skrzypiec, mnie lepiej się myśli, kiedy smażę. Ale brakowało mi patelni, łopatki i czegoś do usmażenia.

Przeszukałem szuflady biurka, lecz nie wiedziałem się niczego, tyle tylko, że ktokolwiek tu pracował, miał obsesję na punkcie porządku i czystości. To samo wydedukowałem z zawartości szuflad w drugim biurku.

Wróciłem do światłodruków na stole i tym razem zauważyłem coś jeszcze w ramce tytułowej, która wcześniej mnie zainteresowała. Odcisniętą pieczętą architekta. Nazwisko — James Lee Brock — i adres w Los Angeles. Pod nazwiskiem architekta znajdowały się dwa słowa i nazwisko: SYSTEMY MECHANICZNE: NIKOLA TESLA.

O Nikoli Tesli wiedziałem tylko tyle, że nazywano go „geniuszem, który oświetlił świat” i że na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku

przyczynił się do elektryfikacji cywilizacji, a co za tym idzie, rewolucji przemysłowej niemal w równym stopniu co Thomas Edison.

A pierwszego dnia w Roseland, podczas pogawędki z Henrym Lolamem przy stróżówce dowiedziałem się, że Constantine Cloyce pasjonował się nowatorską nauką oraz zjawiskami nadprzyrodzonymi, a do jego przyjaciół zaliczali się ludzie reprezentujący niezwykle szerokie spektrum — od jasnowidzącego medium madame Heleny Pietrowny Bławatskiej na jednym końcu do słynnego fizyka i wynalazcy Tesli na drugim.

Zdziwiłbym się, znajdując osławione nazwisko madame Bławatskiej na światłokopiach, ale go nie widziałem. Cokolwiek się działo w Roseland, zaczynałem podejrzewać, że nie miało nic wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, tylko z nauką. Dziwaczną, niemniej nauką.

W szerokich, płytkich szufladach szafki na mapy odkryłem wiele planów systemów mechanicznych, wszystkie podpisane przez Nikołą Tesłę. Wśród nich trafiłem na rysunki — z technicznymi opisami — przedstawiające kule, koła zamachowe stojące na maszynach w kształcie dzwonów, skomplikowane układy kół zębatych, które widziałem w podziemiach mauzoleum, i jeszcze dużo innych.

Byłem pewien, że znam tożsamość wysokiego, chudego, wąsatego mężczyzny, który trzykrotnie do mnie przemówił. Pan Nikola Tesla. Zważywszy, że zmarł przed dziesiątkami lat, ale nie był duchem zwlekającym z odejściem jak te, które dotąd spotykałem, wiedziałem, kim jest, lecz nie miałem pojęcia, czym jest.

Żaden z rysunków ani technicznych szczegółów nie objaśnił mi przeznaczenia całej tej egzotycznej maszyny. W szkole należałem do drużyny baseballowej, nie do kółka naukowego.

Ze wznowionym poczuciem, że czas ucieka, zabrałem powłoczkę z piłą do metalu, wyszedłem na korytarz i zamknąłem za sobą drzwi.

Po prawej stronie miałem wąskie, zabudowane schody służbowe. Zakładałem, że schody w piwnicy z winami wiodą do kuchni, ale nie miałem pojęcia, dokąd te prowadzą.

Podobnie jak wszystkie podłogi i klatki schodowe w całym domu, prezentowały się tak nieskazitelnie, jakby je zbudowano wczoraj. Nie zdradziło mnie ani jedno skrzypnięcie, kiedy wspiąłem się dwie kondygnacje wyżej, na główny poziom.

Zamierzałem wejść na pierwsze piętro, gdzie więziono chłopca. Jednak kiedy dotarłem do parteru, usłyszałem nad głową ciężkie zstępujące kroki. Zaalarmowany, otworzyłem drzwi na podeście, wysliznąłem się z klatki schodowej i przemknąłem przez rozległy westybul do następnych drzwi, które, jak mogłem przypuszczać, wychodziły na ławkę z epoki plejstocenu, gdzie stado mastodontów stratuje mnie na miazgę.

To była garderoba.

Sądząc po rozmiarach szaf — wieszaki i drążki na jakieś dwieście okryć — Constantine Cloyce zamierzał zrobić z Roseland towarzyską mekkę tej części wybrzeża. Na początku posiadłość mogła taka być, ale nie na długo.

W westybulu drzwi otwarły się z taką siłą, że walnęły mocno o odbojnik. Po marmurowej posadzce zaklaskały kroki.

Drugie drzwi otwarły się niemal równie gwałtownie jak pierwsze i rozległy się drugie kroki.

— Poczulał ozon na piętrze — powiedział głos pani Tameed.

Paulie Sempiterno, który widocznie wpadł do holu przez frontowe drzwi, oznajmił:

— Ja poczułem w połowie drogi od bramy.

— Więc nie wiemy, skąd dochodzi.

— Jeszcze nie wiemy na pewno.

— Ja wiem — oświadczyła pani Tameed.

— Może to tylko jakieś zawirowania.

— Nie, to wreszcie przyływ — odparła pani Tameed, chociaż pomiędzy „wreszcie” a „przyływ” wstawiła wulgarne słowo, którego nie powtórzę.

— Ale nie mieliśmy tego od lat — zaprotestował Sempiterno.

Nagle poczułem zapach ozonu.

Oni widocznie też go poczuli, ponieważ wypulili cztery ordynarne słowa, każde z nich dwa, na zmianę po jednym słowie, jakby urządzili zawody w przeklinaniu.

Kroki oddaliły się pospiesznie, chyba w różnych kierunkach, ale nie usłyszałem żadnych zamykanych drzwi.

Nie rozumiałem, co znaczy przyływ, ponieważ od oceanu dzieliło nas co najmniej półtora kilometra. Jednak cokolwiek to znaczyło, uznałem, że ukrywanie się przed tym w garderobie stanowiłoby śmiertelny błąd.

Odczekawszy pół minuty, żeby mieć wolną drogę, zaryzykowałem powrót do wystybulu. Szybko podszedłem do frontowych drzwi i wyjrzałem przez boczne okno, żeby sprawdzić, czy tam nie czyha Sempiterno. Nie czyhał.

Kiedy próbowałem zdecydować, czy zaryzykować powrót na służbowe schody, gdzie drzwi stały otworem, usłyszałem, jak pani Tameed zbiega z góry i krzyczy na cały głos, wyraźnie w panice:

— Carlo! Carlo, szybko!

Majestatyczna łukowa kolumnada oddzielała hol od salonu i z tamtego miejsca, chwilowo niewidoczny, ale nie na długo, Sempiterno odkrzyknął:

— Tutaj! Tutaj! Idę!

Carlo?!

Gdyby to była erotyczna farsa pióra angielskiego dramaturga, nastąpiłyby przeżabawne gagi, kiedy wszyscy wpadlibyśmy na siebie w holu. Jednak przerażenie w głosach tamtej dwójki świadczyło, że stanie się coś ważnego, co powie mi więcej o Roseland, niż dotąd się dowiedziałem, więcej, niż pozwoliliby mi wiedzieć.

Postanowiłem nie czekać na koniec aktu, tylko wyszedłem na zewnątrz i zamknąłem za sobą frontowe drzwi.

Na kolistym podjeździe pod portykiem stał elektryczny terenowy miniwózek na balonowych oponach. Paulie Sempiterno jeździł nim wcześniej po posiadłości.

Podszedłem do wózka, nie zamierzając go zarekwirować, tylko udawać podziw na wypadek, gdyby Sempiterno wypadł z domu. Chciałem mu zamydlić oczy, żeby nie nabrał podejrzeń, że wcześniej byłem w domu i podsłuchiłem jego rozmowę z panią Tameed.

Cierpki zapach ozonu był rozrzedzony, za słaby, żeby podrażnić nozdrza. Ale pamiętałem, co poprzednio zapowiadał.

Chociaż jeszcze nie zapadł przedwczesny zmierzch, rozejrzałem się i spostrzegłem w oddali watahę świniokształtnych stworów, które pani Tameed nazwała odmieniami. Dzieliły nas całe hektary północnego trawnika, jednak stwory zmierzały w stronę portyku z charakterystyczną determinacją i jak zwykle w złym humorze.

Zawróciłem w stronę domu, lecz w tej samej chwili z wapiennych nadproży nad oknami opadły stalowe panele i zsunęły się aż do parapetów. Duża stalowa płyta zakryła frontowe drzwi i przywarła do progu tak szczelnie, że nie wsunąłbym pod nią nawet kartki z błaganiem o pomoc.

Teraz wiedziałem, czym zastąpiono kraty w oknach, kiedy dom został — według szefa Shilshoma — przebudowany. Hm? Rzeczywiście. No proszę.

Ponieważ watahę trochę spowalniały zdeformowane osobniki, mogłem ich wyprzedzić. Przez jakiś czas. Chociaż te stwory chodziły na tylnych nogach,

przypominały dziki, które nieustępliwie ścigają ofiarę. I nie chcę się przechwalać, ale z pewnością pachniałem dla nich wyjątkowo smakowicie.

Podbiegłem do miniwózka, który miał tylko pałąk zamiast dachu i żadnych drzwi, chrząnących przed słońcem albo bandą odmieńców. Kluczyk tkwił w stacyjce. Wskoczyłem za kierownicę.

Elektryczny silnik pracował tak cicho, że kiedy wrzuciłem bieg, słyszałem odległe warczenie i kwiczenie naczelnych świń, chociaż dzieliła nas odległość prawie całego futbolowego boiska.

Elektryczny pojazd nie nadaje się do wyścigów równie dobrze jak coś z silnikiem spalinowym. Wyobraźcie sobie Steve'a McQueena w *Bullitcie*, goniącego bandytów po ulicach San Francisco w chevroletcie volt. No właśnie.

Zamiast odważnie poprowadzić pościg przez wzgórza i łąki Roseland, wykręciłem spod portyku i ruszyłem podjazdem na zachód, w stronę stróżówki. Tam okna były zakratowane. Henry Lolam miał pistolet, strzelbę i karabin. Możemy tam się schronić na czas zagrożenia i czytać jeden drugiemu poezję, kiedy świnie będą się rzucać bezsilnie na okute żelazem drzwi.

Balonowe opony wydawały miękki odgłos „łubum-łubum-łubum” na kocich łbach bruku. Nie słyszałem już odmieńców.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że się zatrzymali. Stali na północnym trawniku, z wysoko uniesionymi głowami — oprócz tych garbatych czy inaczej pokręconych — i patrzyli to na mnie, to na dom, i znowu na mnie, jakby nie potrafili dokonać wyboru.

Przypominali stwory z biblijnej apokalipsy, nie tylko ohydne z wyglądu, ale ucieleśniające nikczemne i okrutne siły, jakie od niepamiętnych czasów nawiedzają świat. Błede, toporne, potężne, zdawały się pochodzić z jakiegoś kręgu piekła, który Dante przegapił. Kilka miało chyba na sobie wystrzępione szmaty, chociaż mogłem mylnie wziąć kosmatą sierść dzika za ubranie.

Ich niezdecydowanie pozwoliło mi znacznie się oddalić i nabrałem pewności, że zdążę się schronić we względnie bezpiecznej stróżówce. Zaparkowałem przy zadaszonym ganku i wyskoczyłem z wózka, nie wyłączając silnika na wszelki wypadek.

Henry nie siedział przed domem, czytając poezję. Stał w zakratowanym oknie i spoglądał na mnie.

Spróbowałem otworzyć drzwi. Zamknięte na klucz. Zapukałem.

— Henry, wpuść mnie.

Wciąż stojąc w oknie na lewo od drzwi, głosem stłumionym przez szybę odpowiedział:

— Odejdź.

Chłapiącą twarz miał dziwnie pozbawioną wyrazu, chociaż zielone oczy wydawały się jak zwykle pełne udręki.

— Odmieńce, Henry. Wiesz o odmieńcach. Otwórz drzwi.

Zdawało mi się, że powiedział:

— Nie jesteś jednym z nas.

Zerknąłem na wschód i zobaczyłem, że odmieńce podjęły decyzję. Biegły podjazdem w stronę stróżówki.

— Henry, przepraszam, że ci dokuczałem na temat kosmitów i kolonoskopii. Powinienem poszerzyć horyzonty. Wpuść mnie. Przrzekam, że w nich uwierzę.

Przez zamknięte okno usłyszałem niektóre słowa:

— Nie... kosmitów... szkoda... nie oni.

— To wielki wszechświat, Henry. Wszystko jest możliwe.

— Obcy... nie uwolnią mnie... Roseland.

— Może mogą cię uwolnić, Henry. Wpuść mnie. Porozmawiamy.

Twarz mu stwardniała w wyrazie nienawiści, jakiej nigdy u niego nie widziałem.

— Ty... nic... żaloszny palant.

Przypomniałem sobie, że Victoria Mors nazwała mnie głupim palantem, kiedy wpychałem jej knebel do ust.

Horda znajdowała się w odległości dobrych pięćdziesięciu metrów, ale szybko się zbliżała. Większość stworów rzeczywiście nosiła brudne, obszarpane łachy, najwyraźniej nie przez skromność ani dla ochrony przed zimnem, tylko jako ozdobę. Tutaj szal na głowie, tam szarfa owinięta wokół ramienia. Ten w kilku naszyjnikach ze splecionych pasków tkaniny, tamten z bezładną płataniną węzłów i frędzli wokół talii.

Chociaż wyglądały dostatecznie groźnie, żeby zabijać gołymi rękami, zębami i kłami, niektóre niosły broń. Preferowały metrowe kawałki rur przywiązane taśmami do nadgarstków, ale dostrzegłem również sierp. Oskard. Tasak. I toporek.

Wysokie, o ciałach nabitych mięśniami, najeżonych łatami sztywnej białej i szarej sierści, z głowami wysuniętymi do przodu, chrząkały teraz unisono, nagle lepiej zorganizowane, nadszarpnięte podjazdem niczym falanga upiornej armii, niczym orki z Mordoru, i żaden czarodziej nie mógł mnie przed nimi obronić. U wielu z nich widziałem świńskie ryje okraszone wilczymi uśmiechami. Pozostali mieli asymetryczne twarze, oczy na różnych poziomach, czaszki mocno zniekształcone przez nieregularne kostne narośla, kończyny źle połączone, niezdarne i za długie. Przedstawiali sobą wszystkie ideologie przemocy wydestylowane i ubrane w materialną formę, zwierzęce, ale nie tylko, ponieważ ich bezpardonowo wrogie zamiary wydawały się niepokojąco ludzkie.

Powietrze pomiędzy nami, właściwie wszędzie wokół mnie, drgało jakby torturowane upałem i pomyślałem, że horda rozplynie się migotliwie jak miraż. Ale prądy termiczne — czy cokolwiek to było — wsiąkły z powrotem w ziemię, powietrze się uspokoiło i odmienne tak się zbliżyły, że czułem ich zapach.

Wskoczyłem do miniwózka, zwolniłem hamulec i odjechałem.

Elektryczny silnik przyspieszał trochę szybciej niż zreumatyzowany dziadek wstający z ulubionego fotela. Skręciłem w lewo pomiędzy stróżówką a bramą. Pędząc na południe przez szeroki trawnik w miniwózku, obejrzałem się po jakichś pięćdziesięciu metrach. Wciąż biegli, ale nie skracali dystansu. Kiedy obejrzałem się ponownie po następnych pięćdziesięciu metrach, zostali w tyle.

Nieskazitelny trawnik ustąpił przed dziką naturą. Jechałem dalej w górę po łagodnym stoku przez jakieś dwieście metrów. Przede mną rozmaite owady wyfruwały i wyskakiwały z wysokiej trawy, niczym wystraszeni przechodnie uskakujący z drogi pijanemu kierowcy.

Na szczycie skręciłem na wschód, żeby ominąć niewielką dąbrowę. Obejrzałem się i zobaczyłem, że odmienice już nie ścigają mnie po łące. Skierowały się do głównego domu.

Nie zatrzymałem się, żeby odtańczyć wokół wózka taniec zwycięstwa, tylko skręciłem na południowy wschód. Zamierzałem okrążyć zagospodarowaną część posiadłości i wrócić do wieży gościnnej, żeby sprawdzić, czy Annamaria nie jest pod obłązieniem.

Na tym falistym gruncie wielkie opony i wyraźnie ulepszone zawieszenie zapewniały jazdę, która nie przypominała podskakiwania na wybojach, tylko kołysanie łodzi wślizgującej się na czoło fali, spływającej w dół i przecinającej dolinę na spotkanie z następną ścianą wody.

Posuwałem się dnem wąwozu i wypatrywałem łatwego wjazdu na przeciwległe zbocze, miejscami gęsto zakrzaczone, miejscami skaliste. Nagle cały krajobraz wokół mnie zafalował pionowo, jakby z ziemi znowu uniosły się słupy żaru, chociaż powietrze pozostało chłodne.

Paulie Sempiterno i pani Tameed mówili o zawirowaniach i przyptywie. Nie chodziło im o ocean, tylko o to zjawisko.

Zmrużyłem oczy i spojrzałem przed siebie, walcząc z oleistymi mdłościami. Barwa światła zmieniła się, chociaż nie tak dramatycznie jak wtedy, kiedy poranek w ciągu minuty przeszedł w noc. Bładożłota trawa przybrała ciemniejszy odcień, srebrzyste chwasty zmatowiały. Szybkie cienie rozdymały się, kurczyły, nabrzmiewały i przesuwały się po ziemi.

Zwolniłem, zahamowałem i niechętnie podniosłem wzrok.

Przez chwilę widziałem znowu żółte niebo, które przestraszyło mnie bardziej niż naczelne świny. To nie było zwyczajne ziemskie niebo w spazmach Armagedonu. Apokalipsa znaczy objawienie, a to niebo było apokaliptyczne w tym sensie, że objawiało, co rasa ludzka ściągnie na siebie przez swoją lekkomyślność i arogancję.

Dygotające ośady termiczne, które wcześniej sprowadziły to przerażające niebo, teraz je odeślały. Powrócił błękit na nieboskłonie, tylko od północy wciąż

zagrażała armada zwykłych burzowych chmur, które tkwiły tam przez cały ranek, jakby zakotwiczone.

Nie wyobraziłem sobie tego wrogiego żółtego nieba ani nie przyszło mi się, że wszedłem przez drzwi we wcześniejszy okres istnienia Roseland. Oba przeżycia były równie rzeczywiste jak ciepła ślina, którą plunęła mi w twarz panna Victoria Mors.

Siedziałem w wózku elektrycznym w wąwozie pomiędzy dwoma wzgórzami i czekałem, aż serce mi się uspokoi. Zwykle potrafię spleść wskazówki w teorię, nawet kryjąc się pod ostrzałem, ale w tym przypadku potrzebowałem chwili spokoju, żeby się upewnić, że niczego nie przeoczyłem.

Masywny mur wokół Roseland, zapewne kryjący równie fantastyczną maszynierię jak ta, którą widziałem w piwnicach mauzoleum, izolował posiadłość nie tylko fizycznie, ale również w innym sensie. Te hektary stanowiły wyspę nieracjonalności w morzu powszedniej rzeczywistości.

Jakiegokolwiek zamiary przyświecały twórcom Roseland, obecne ponure incydenty stanowiły skutek uboczny, którego nikt się nie spodziewał. Po fakcie podjęto środki dla obrony przed tymi skutkami ubocznymi: kraty na oknach, stalowe okiennice, broń i zapasy amunicji.

Odmienne mogły się pojawiać tylko z rzadka. Niemniej, żeby mieszkać w tym domu wariatów, ci ludzie musieli wierzyć, że korzyści czerpane ze stworzonego przez nich systemu usprawiedliwiają życie w stałym zagrożeniu i niekiedy otwarte ataki stworzeń, które zdawały się należeć do innego miejsca i czasu.

Przemyślałem, że wiem, co to za korzyści, wiem, dlaczego oni po prostu nie przestawali głównego przełącznika i nie wyeliminowali śmiertelnej groźby odmieńców.

I podejrzewałem, że te korzyści są jednocześnie przekleństwem. Doprowadziły ich do przekonania, że stoją znacznie wyżej od wszystkich spoza Roseland. Nie tylko wyżej. Uważali się za bogów, a pozostałych za zwierzęta.

Mężczyźni i kobiety, którzy pragną stać się bogami, muszą najpierw zatracić swoje człowieczeństwo.

One uważali za szaleństwo ani przestępstwo morderstw popełnianych przez Noaha Wolflawa i współdziału innych w jego zbrodniach, podobnie jak ja nie uważam się za szaleńca czy zbrodniarza, jeśli złowię rybę, wypatroszę ją i upiekę na obiad. Zaspokoję głód. Wolflaw powiedziałby, że po prostu zaspokaja bardziej nietypowy apetyt. Dla mnie ryba znajdowała się o tyle niżej na drabinie ewolucji, jak zabijane kobiety dla Wolflawa.

On nie zatracił człowieczeństwa tak po prostu. Odrzucił je ze wszystkich sił.

Moim następnym krokiem po sprawdzeniu, co z Annamarią, będzie wyjaśnienie, kim naprawdę są mieszkańcy Roseland. Albo nie byli tymi, za kogo się podawali, albo byli kimś więcej.

Rzeczywiście jestem megapodejrzliwym przystojniaczkiem, żalonym, głupim palantem.

Przerwa dobrze mi zrobiła. Ruszyłem dalej wąwozem, szukając odpowiedniego miejsca, żeby wjechać na stok.

Nagle pojawił się dziesięć metrów przede mną. Mogłem przez niego przejechać, ale zahamowałem.

Tutaj, w bujnej trawie, nosił trzyczęściowy garnitur i krawat. Z odległości półtora metra przed maską pojazdu mierzył mnie śmiertelnie poważnym spojrzaniem, które niegdyś było sławne.

Korpulentny, z okrągłą twarzą, puciołowatymi policzkami i podwójnym podbródkiem, ale nie taki ogromny jak Shilshom. W przeciwieństwie do szefa kuchni jego otyłość nie wynikała z dogadzania sobie, tylko z genów; już jako dziecko był tegi. Wysuwał dolną wargę daleko przed górną, jakby dumał, jak najlepiej się pozbyć kłopotliwej osoby, której jednak nie chciał obrazić.

— To nie jest odpowiednia chwila — powiedziałem mu. — Moja czara się przełamała. Mój grzbiet się ugina. Przepraszam. Zwykle nie mówię komunałów. I nie robiłem aluzji do pańskiej wagi. Po prostu jestem wykończony. Nie poradzę sobie z jeszcze jedną komplikacją.

Wśród zwlekających zmarłych, którzy przychodzą do mnie po pomoc, kilku za życia było słynnymi artystami. Wbrew temu, co można pomyśleć, jeśli się śledzi wiadomości ze świata rozrywki w telewizji i internecie, celebryci też mają dusze.

W pierwszych trzech tomach moich wspomnień opisałem dość długi związek z duchem Elvisa Presleya. Ukazał mi się, kiedy byłem w szkole średniej, i spędziliśmy razem ładnych parę lat. Z powodów, których nie spieszył się wyjawić, król rock'n'rolla wzdragał się przed przejściem na Drugą Stronę, chociaż tego chciał. Problem nie był taki prosty jak obawa, że w drugim życiu zabraknie mu sandwiczów z bananem i masłem orzechowym smażonych w głębokim tłuszczu. W końcu pomogłem mu zrobić ten krok.

Potem przyszedł Frank Sinatra. Jego duch towarzyszył mi tylko przez parę tygodni. To były pamiętne czasy. Jako poltergeist, podobnie jak za życia, pan Sinatra potrafił niezłe przywalić, kiedy się potrzebowało wsparcia.

Nie wiem, dlaczego założyłem, że jeśli pojawi się duch następnej sławnej osobistości, szukając pomocy w odejściu z tego świata, będzie duchem piosenkarza albo piosenkarki.

Ten dżentelmen w garniturze okrążył miniwózek, żeby przejść na stronę pasażera. Roztaczał aurę autorytetu, niezwykłą, bo pozbawioną surowości czy wyższości, za to przepojoną życzliwością.

— Proszę pana, jestem zaszczycony, naprawdę zaszczycony, że zwrócił się pan do mnie o pomoc. Podziwiam pana. Jeśli to przeżyję, zrobię dla pana wszystko, co w mojej mocy. Ale widzi pan, w Roseland tyle się dzieje, że głowa mi pęknie, jeśli będę musiał myśleć o jeszcze jednej rzeczy.

Przyłożył ręce do głowy, a potem oderwał je gwałtownie, rozczapierzając palce, jakby pokazywał eksplodującą czaszkę.

— Tak, właśnie. Przepraszam. Nigdy nie odmawiaj duchowi w potrzebie, to moje motto. No, nie motto, ale zasada. Nie mam motta. Chyba że: „Jeśli coś jest warte zjedzenia, to jest warte usmażenia”. Głędzę bez sensu, prawda? To dlatego, że jestem pana wielkim fanem. Naprawdę. Pewnie ciągle pan to słyszy. Albo pan słyszał za życia. Po śmierci chyba nie słyszy pan tego tak często.

Moją bezładną paplaninę wywołała nie tylko napięta sytuacja w Roseland i nie dlatego się denerwowałem, że naprawdę podziwiałem dokonania tego człowieka. Owszem, te dwa powody odegrały pewną rolę, ale głównie onieśmielała mnie śmiertelnie poważna mina przybysza sugerująca, że wystarczy mu cierpliwości, żeby zaczekać, aż mój opór stopnieje, przypominająca, ile rozumu i inteligencji się

za nią kryje. Elvis? Bułka z masłem. Sinatra? Całkiem łatwo. Ale nie mogłem się równać z tym facetem, który był z dziesięć razy ode mnie bystrzejszy.

— Długo pan czekał na przejście — powiedziałem. — Chyba ze trzydzieści lat. Niech pan mi da jeszcze jeden dzień. Potem pogadamy. Czy raczej ja pogadam, skoro pan nie może. Ale na razie, wie pan, jest tylu złych ludzi. I trupy. Kobieta na koniu. Uwięziony chłopiec. I tykający zegar. Pan wie wszystko o tykających zegarach. Kto więcej wie od pana o tykających zegarach? I ścigają mnie świnię! Wielkie, groźne świnię chodzące na dwóch nogach. Nigdy nie miał pan do czynienia z naczelnymi świniami. W tej chwili się panu nie przydam.

Uśmiechnął się i kiwnął głową. Machnął ręką, żebym jechał.

Odwrócił się, ale zanim się zdematerializował, powiedziałem:

— Chwileczkę, panie Hitchcock.

Znowu stanął do mnie przodem.

— Pan nie... pan nie był... to znaczy pan nie umarł tutaj, prawda?

Skrzywił się i pokręcił głową.

„Nie”.

— Czy pan kiedyś odwiedził Roseland za życia?

Znowu pokręcił głową.

— A dawniej czy pan kiedyś współpracował ze studiem filmowym Constantine’a Cloyce’a?

Przytaknął z nietypowo wściekłą miną.

— Rozumiem, że nie odpowiadała panu ta współpraca.

Alfred Hitchcock włożył palec do ust, jakby chciał zwymiotować.

— Ale nie jest pan tutaj z tego powodu.

„Nie”.

— Jest pan tu tylko ze względu na mnie.

„Tak”.

— To mi pochlebia.

Wzruszył ramionami.

— Niech pan tylko zaczeka, aż wydamę stąd chłopca. Potem zwołamy zebranie. To był hollywoodzki żart. Nie za dobry.

Obdarzył mnie ojcowskim uśmiechem. Pomyślałem, że go polubię, oczywiście jeśli pożyczę dostatecznie długo, żeby go lepiej poznać.

Znowu machnął na mnie, żebym jechał.

Przejechałem ze trzydzieści metrów po dnie wąwozu, zanim znalazłem odpowiednie miejsce, żeby wjechać na zbocze. Kiedy się obejrzałem, pan Hitchcock zniknął.

Dotarłem na szczyt, ruszyłem w dół po drugiej stronie wzniesienia... i zahamowałem ostro, kiedy za następnym wąwozem zobaczyłem czterech odmieńców, idących gęsiego po grzbiecie niższego wzgórza.

Chociaż ich wygląd już mnie nie zaskoczył, nie stracili nic ze swojej obcości — stwory rodem prosto z delirium wywołanego przez jakąś tropikalną chorobę, wytwór umysłu mającego w spoconym uścisku malarii, bardziej pasujące do świata z żółtym niebem niż nawet do tego Roseland, które chwilami samo wydawało się gorączkowym snem.

Ponieważ elektryczny pojazd poruszał się cicho, a świniostwory jak zwykle maszerowały skupione na jakimś swoim złowrogim celu, liczyłem, że mnie nie

zauważą. Zauważyły. Zatrzymały się i patrzyły prosto na mnie.

Obróciłem kierownicę w prawo, gotów zawrócić i wycofać się z pełną szybkością. Pojazd ani drgnął. Akumulator się wyczerpał.

Odmieńce mnie zobaczyły, ale to nie znaczyło, że uznały mnie za dostatecznie ważną osobę, żeby porzucić obecną misję tylko w celu urwania mi głowy. Moja głowa to nic specjalnego, chyba że dla mnie — żadnych tatuaży, kolczyków w nosie czy złotych zębów, które czyniłyby z niej cenne trofeum.

W tym oddziale nie było żadnych groteskowo zdeformowanych osobników z niezgrabnymi kończynami. Same krzepkie okazy, odpowiadające najwyższym standardom swojej monstrialnej rasy, każdy wart pierwszej nagrody na następnym pokazie na wyspie doktora Moreau.

Wydawały się lepiej zorganizowane i bardziej zdeterminowane niż poprzednie grupy. Nie wlokły się po grzbiecie wzgórza, tylko posuwały się truchtem w zdyscyplinowanym szeregu. Co więcej, wszystkie dzierżyły w prawych rękach taką samą broń — toporek z ostrzem z jednej strony obucha i młotem z drugiej. Jednakowe uzbrojenie oraz długie skrawki czerwonej tkaniny, zwisające każdemu z lewego ucha, sugerowały jakiś mniejszy szczebel w obrębie większego plemienia.

Przeprowadzały rekonesans albo miały konkretny cel oraz wyznaczony termin jego likwidacji. A może w Świnioburgu nadeszła pora lunchu i pomyje wlano do koryta, więc krzepkie młode zwierzaki musiały się pospieszyć, zanim żarłoczne świnię zeżrą im najlepsze kąski.

Siedząc w miniwózku, pompowałem mój optymizm, aż nadął się mocniej niż balonowe opony. Jednak zimny pot na czole i we wnętrzach dłoni zadawał kłam mojej zadufanej minie.

Patrzyłem ponad dolinę na tamtą czwórkę, starając się nie okazywać strachu. One patrzyły na mnie, prawdopodobnie obrażone, że się nie boję.

Jeśli wziąć pod uwagę, jak rzadko dwoje ludzi tej samej narodowości, tej samej rasy, tej samej klasy społecznej i tej samej religii potrafi zrozumieć nawzajem swój punkt widzenia i żyć w zgodzie, jasne się staje, dlaczego wątpię, czy to spotkanie zakończy się uściskami oraz deklaracjami wiecznej przyjaźni.

Czterech odmieńców poruszyło się jednocześnie. Zeszli z wierzchołka wzgórza w dolinę dzielącą ich ode mnie. Nie biegli, ale posuwali się wolno, już nie gęsiego, tylko obok siebie.

Możliwe, że ta spokojna reakcja, tak różna od gorączkowej pogoni i warczącej furii, jakie widziałem wcześniej, oznaczała, że nie kierują się nienawiścią jak ich pobratymcy, że nie kochają przemocy dla niej samej, że stanowią bardziej umiarkowany odłam, otwarty na dialog i kompromis.

Wysiadłem z wózka i stanąłem obok.

Kiedy cztery stwory zeszły do połowy przeciwnego zbocza, zaczęły wymachiwać toporkami wszystkie jednocześnie: do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu, do przodu i pełny obrót; do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu, do przodu i obrót...

Coraz bardziej tracąc nadzieję, że znajdę z nimi wspólny język, wyciągnąłem pistolet. Chociaż nie lubię broni palnej, żałowałem, że nie mam czegoś większego kalibru niż dziewięć milimetrów.

Beretta wydawała się całkowicie wystarczająca, dopóki nie znalazłem się na otwartym terenie, atakowany przez cztery naczelné świnie w okolicznościach, które pozwoliły mi lepiej im się przyjrzeć. Każda mierzyła ponad metr osiemdziesiąt i ważyła ze sto pięćdziesiąt kilo. Anatomia stawów kolanowych, stawów biodrowych i kręgosłupów prawie się nie różniła od ludzkiej, co pozbawiało ich wygląd wszelkiego komizmu; nie widziałem w nich ani śladu świnki Porky. Mielili stopy o długich palcach i pięciopalczaste dłonie, nierozszczepione raciczki, chociaż zrogowaciałe ciemnobrązowe paznokcie przypominały raczej szpony przeznaczone do patroszenia ofiar.

Wolałbym uciekać niż stawic im czoło, ale obawiałem się, że mnie dościgną. Byłem od nich lżejszy i zwinniejszy, więc powinienem lepiej biegać. Jednakże dziki potrafią rozwijać szybkość do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie wiedziałem, czy te stwory mają w sobie dość ze świni, żeby biec tak szybko, ale wiedziałem, że ja mam w sobie za mało ze świni, żeby im uciec.

Kiedy dotarły do podnóża przeciwnego wzniesienia i wkroczyły do trawiastej dolinki, wystrzeliłem raz w powietrze. W retrospekcji strzał ostrzegawczy w takiej sytuacji wydaje mi się równie skuteczny, jak groźenie palcem rozwścieczonemu niedźwiedziowi grizzly.

Liczyłem, że je odstraszę i nie będę musiał ich zabijać, nawet jeśli zamierzały — jak to pani Tameed barwnie zasugerowała uwięzionemu chłopcu — zerznąć mnie parę razy, nim odgryzą mi twarz.

Zanim przekroczyły wąską dolinkę, chwyciłem pistolet obiema rękami, przybrałem postawę strzelecką — wyprostowane ręce tworzą trójkąt równoramienny z tułowiem — wycelowałem w bestię na prawym końcu szeregu i oddałem pięć strzałów.

Myślę, że trzy dosięgły celu. Stwór potknął się, zachwiał i upuścił toporek.

Pociski w miedzianym płaszczu z pustym czubkiem to zabójcza amunicja. Podczas penetracji rozpadają się i powodują poważne zniszczenia tkanki.

Impet trafienia na chwilę odebrał bestii głos, ale potem zaczęła wrzeszczeć.

Zdumiony, że utrzymała się na nogach, wpakowałem w nią jeszcze dwie kule. Po drugim strzale ranna bestia chwyciła się jedną ręką za gardło. Potem przewróciła się na plecy.

Trzy pozostałe świniostwory nie rzuciły się na mnie ani nie zaczęły uciekać. Stały obok powalonego towarzysza i patrzyły na niego, jakby nie bardzo wiedziały, co go powaliło.

Nadał w pozycji strzeleckiej, wziąłem na cel następną bestię, ale czekałem z nadzieją, że wreszcie nabiorą rozumu i postanowią się wycofać.

Cała trójka odwróciła się i zagapiła na mnie, teraz nie z wściekłością i nienawiścią, tylko ze zdumieniem. Spoglądały to na mnie, to na martwego stwora, jakby się zastanawiały, w jaki sposób go zabiłem i dlaczego. Potem

pomyślałem, że wyraz ich twarzy oznacza nie tyle zdumienie, co niezdecydowanie. Wiadomo, że zwykle świnie czasami zjadają swoje młode; więc może te trzy próbowały zdecydować, czy mnie ścigać, czy raczej poprzestać na odrobinie kanibalizmu, dopóki ścierwa jest świeże.

Widziałem już dostatecznie wielu przedstawicieli ich gatunku, żeby zauważyć, że w przeciwieństwie do większości zwierząt o jednakowych pyskach, ich twarze różnią się między sobą, nie tak wyraźnie jak u istot ludzkich, ale wystarczająco, żeby nie traktować ich jak stado, tylko grupę odmiennych osobników.

Teraz, kiedy przenosiły wzrok z martwego towarzysza na mnie, unikatowe cechy każdej groteskowej twarzy nadawały im jeszcze bardziej przerażający wygląd. Jeśli nie myślały jednakowo, kierowane tym samym ślepym instynktem, jeśli każdy potrafił indywidualnie zaplanować, jak najlepiej dościsnąć, schwytać i zabić ofiarę, szansa ucieczki przed nimi byłaby nie większa niż prawdopodobieństwo powstrzymania samej czarno odzianej Śmierci, kiedy puka do drzwi z kosą w jednej kościstej dłoni i wypowiedzeniem umowy w drugiej.

Słońce błyszczało na ostrzach toporów i odbijało się w młotowatych obuchach do rozwalania głów.

Odmieńce przeniosły uwagę ze mnie i trupa na siebie nawzajem. Otworły szerokie szakale pyski, ale jeśli wydawały jakieś dźwięki, nic nie słyszałem.

Każdy biały, bezwłosy, wężowy ogon z kępką szarej sierści na końcu uniósł się i wyprostował — jeden, drugi, trzeci.

Spiczaste uszy drgnęły. Nastawiły się do przodu. A potem przypląszczyły się do czaszek.

Stwozy rozproszyły się u stóp wzgórza, zwiększając dystans między sobą.

Ponownie zaczęły wymachiwać toporkami do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu i dookoła pełnym obrotem. Słońce zapalało na broni iskry, jakby ostrzyła się w powietrzu niczym na oseele.

Zużyłem siedem naboju, żeby załatwić pierwszego odmieńca. W tym tempie potrzebowałbym dwudziestu jeden strzałów, żeby zabić pozostałą trójkę.

W magazynku beretty zostało dziesięć naboju. Zapasowy magazynek w kaburze zawierał następne siedemnaście, ale wątpiłem, czy zdążyłbym go wymienić, jeśli mnie zaatakują.

U Szekspira Falstaff mówi, że najlepszą połową męstwa jest dyskrecja. W tej sytuacji wybrałem dyskrecję. Wbiegłem na grzbiet wzgórza i zbiegłem po drugiej stronie.

Zdaję sobie sprawę, że Falstaff był wojownikiem, ale także tchórzem; złodziejem, ale też czarusiem. Służy za wzór tylko dla tych, którzy uważają, że szacunek dla siebie jest najwyższą wartością. Dramatopisarz stworzył go jako komiczną figurę, ale nie godną podziwu, ponieważ wiedział, że kiedy tacy ludzie tracą zdolność zabawiania, stają się krańcowo niebezpieczni. Zmieniają się w Charlesów Mansonów i Pol Potów naszych czasów, i nie wzdragają się przed popełnieniem najstraszliwszych zbrodni.

Wszyscy czasami w życiu tchórzymy, pocieszałem się jednak, że kiedy uciekłem na drugą stronę wzgórza, nie porzuciłem w potrzebie żadnych sprzymierzeńców. Ponieważ narażałem tylko własny tyłek, mam prawo twierdzić, że mój postępek dyktowała raczej ostrożność niż tchórzostwo. Przynajmniej tak sobie powtarzałem, kiedy zbiegałem na łeb, na szyję do wąwozu,

gdzie wcześniej parkowałem miniwózek, wydając piskliwe, drżące okrzyki dzieciennego przerażenia, powstrzymując się, żeby nie zmoczyć spodni. Skręciłem na północ w nadziei, że pieszo dotrę do wieży gościnnej. W ten sposób się okłamujemy, żeby przetrwać — i dlatego narażamy na niebezpieczeństwo najcenniejszą cząstkę samych siebie.

Topografia tej części Roseland była skomplikowana, wzgórza i doliny tworzyły układ przypominający fałdy i bruzdy na powierzchni mózgu. Pędziłem przez te bruzdy szybko niczym myśl, jedna jedyna myśl: „Uciekaj, uciekaj, żyj, żyj!”.

Trzymałem się niższych partii terenu, miejscami ocienionych przez wyniosłe wzgórza, figowce rosnące na stokach albo laury kalifornijskie w zagłębieniach między wzgórzami, gdzie gleba zawsze była trochę wilgotna. Lawirowałem szybko pomiędzy drzewami, schylałem się pod niskimi gałęziami i przebiegałem przez otwarte miejsca, polegając na swojej intuicji za każdym razem, kiedy pofałdowany grunt składał się i musiałem wybrać któreś rozgałęzienie ścieżki.

Skupiałem się na samym biegu i nie śmiałem spoglądać wstecz, żeby się nie potknąć. Poza tym jeśli odmieńce mnie doganiały, wołałem o tym nie wiedzieć, dopóki szponiasta łapa nie złapie mnie za sportową marynarkę i nie zwali z nóg albo dopóki topór nie rozszczepi mi czaszki i nie zabije na miejscu, oszczędzając mi okropności, które mogły mnie czekać, gdyby schwytano mnie żywcem.

Zaledwie parę godzin wcześniej siedziałem w przytulnej kuchni głównego domu, zajadając quiche i sernik. Martwiłem się tylko tym, jak przeniknąć opancerzone tajemnice Roseland i jak odnaleźć sens w wypowiedziach tutejszych mieszkańców, którzy okrywali się płaszczem tajemniczości przed każdą rozmową.

Przynajmniej świniostwory nie były tajemnicze. Nie bawiły się w gierki słowne, nie udawały roztargnienia i nie mydliły mi oczu. Odmieńce nie kryły swoich zamiarów: chciały mnie zatłuc, posiekać, zjeść, a potem siedzieć i wspominać mój smak. Intencje miały równie wyraźne jak urząd skarbowy.

Wędrowałem po tylu rozwidlających się ścieżkach, że już sam nie wiedziałem, czy zbliżam się do wieży gościnnej, czy się od niej oddalam. Nie zdziwiłbym się, gdybym zobaczył na zboczu wzgórza porzucony pojazd na balonowych oponach i trzech odmieńców grających w karty, żeby urozmaicić sobie czas oczekiwania, aż zatoczę krąg i wrócę prosto w ich szpony.

Kilka razy chłodne powietrze migotało jakby od wznoszących się prądów termicznych i kątem oka widziałem rzeczy, które zniknęły, kiedy odwracałem głowę, żeby im się lepiej przyjrzeć. Niektóre wydawały jak cienie na skraju pola widzenia, tylko na pozór materialne i groźne. Inne jednak były znacznie wyraźniejsze: ogromny stos ludzkich czaszek, kojoty żerujące na kilku martwych odmieńcach, naga kobieta przykuta łańcuchem do słupa i zakapturzone postacie przykładające pochodnie do sterty chrustu u jej stóp...

Jedna wizja nie zniknęła, kiedy spojrzałem prosto na nią. Wyszedłem z gaju laurowego i kilka metrów przede mną ścieżka rozwidła się wokół wzniesienia. Na rozstajach stało bezlistne drzewo o czarnych konarach, które ktoś wykorzystał jako ramę do mobilu z wybielonych słońcem kości. Na gałęziach

wisiały delikatne szkieleciki dzieci, niektórych najwyżej trzyletnich; żadne nie miało więcej niż dziesięć lat, kiedy je zamordowano, rozebrano i wystawiono w tym obłąkanym spektaklu okrucieństwa.

Ten widok był jak znak drogowy, informujący o wjeździe do miasta, gdzie rządzi dzika przemoc nieznająca granic.

Po raz pierwszy podczas tej ucieczki na oślepiep zawahałem się, kiedy wizja się nie rozwiła. Ale odzyskałem równowagę i pospieszyłem dalej, wybierając ścieżkę na prawo.

Mogłem tylko sobie wyobrażać, że jakimś sposobem biegnę w dwóch Roselandach jednocześnie: posiadłości, do której przyjechałem z Annamarią przed kilkoma dniami, i innej, istniejącej w jakiejś alternatywnej rzeczywistości.

Odgałęzienie, które wybrałem przy czarnym drzewie obwieszonym białymi kośćmi, okazało się krótką ścieżką. Wzgórza tłoczyły się tutaj ciasno, coraz ciaśniej, coraz bardziej strome, w miarę jak ścieżka się zwężała. Wkrótce dotarłem do ślepego zaułka przy zbiegu trzech potężnych stoków. Z obu stron otaczały mnie gęste chwasty i kłujące jeżyny, przed sobą miałem pochyły słpłacheć gołej ziemi i spiętrzone głązy.

W jeżynach mogłem się zaplątać i utknąć na dobre. Wgramoliłem się więc na głązy, niektóre chwiejące się pod nogami. Wkrótce musiałem schować pistolet do kabury i niemal pełznąć po pochyłości, rozpaczliwie szukając uchwytu dla rąk, kiedy solidny na pozór kamień okazał się zdradliwy i umykał mi spod nóg.

Zdyszany, z walącym sercem, słyszałem za sobą odmienne... ale nie czułem ich zapachu. Chociaż wydawały się blisko, widocznie ukształtowanie terenu wzmacniało ich głosy, bo ohydny smród powinien mnie ostrzec, zanim się na mnie rzucą.

Dopadły mnie w połowie zbocza. Jeden chwycił lewą nogawkę moich dżinsów. Trzymając się rękami, kopnąłem rozpaczliwie i trafiłem w coś, może w głowę. Ale napastnik nie puścił, tylko pociągnął mocniej, żeby mnie oderwać od skały.

W skalistym podłożu obluźował się kamień, wysunął się spod mojej prawej ręki i z grzechotem stoczył się na dół. Wciąż ucepiony lewą ręką, przekreśliłem się na bok i sięgnąłem prawą ręką, żeby wyciągnąć berettę z kabury.

Nade mną pochylił się odmieniec, drugi wyrósł z lewej strony, trzeci z prawej, wszystkie gotowe rzucić się na mnie. Białka oczu miały zaróżowione od krwi, źrenice żółte jak tamto dziwne niebo, które widziałem wcześniej.

Szramy ich ust, wyszczerzone zęby, długie różowe jeżory z czarnymi plamkami stworzone były nie dla słów miłosierdzia, ale do brutalnego rozdzierania i sprawnego pożerania ofiary, która może jeszcze żyła i krzyczała, kiedy się nią pożywiali.

Nade mną uniosły się trzy topory, dwa skierowane w dół ostrzami, trzeci młotowatym obuchem. Wyciągając pistolet, wiedziałem, że zdążę zabić najwyżej jednego, zanim dwa pozostałe rozłupią mi głowę i otworzą jak skorupę małża. Nie bałem się śmierci, jeśli tylko nic po Drugiej Stronie nie śmierdziało tak okropnie, jak te świnię.

Zanim zdążyłem wycelować berettę, stwór nade mną przygniótł mnie odrażającym cielskiem — śliska błada skóra, najeżona nieregularnymi kępkami kłujących włosów — ale potem między jego oczami pojawiła się dziura i tył jego

czaszki eksplodował. Stwór poleciał do tyłu i zniknął tak nagle, jakby zapadł się pod ziemię.

Chociaż nie słyszałem pierwszego strzału, drugi i trzeci zabrzmiały głośno, blisko i wyraźnie. Pozostała dwójka odmieńców jakby odskoczyła ode mnie. Jeden toporek zagrzechotał o kamienie obok mojej głowy, drugi odleciał, wirującym baton wyrzucony zbyt entuzjastycznie przez najbrzydszą mażoretkę w historii parad.

Skaliste zbocze osuwało się przede mną. Za nic nie chciałem zjechać w kaskadzie ziemi i kamieni na ciała odmieńców, rozciągnięte w dole na końcu ścieżki.

Dysząc i plując, bo ubzdurałem sobie, że kropla potu odmieńca wpadła mi do otwartych ust, przekręciłem się znowu na brzuch i znalazłem lepszy chwyt.

Obok mnie pojawiła się para czerwono-czarnych kowbojskich butów z wytłaczanej skóry. Wielka dłoń, która wyciągnęła się, żeby mi pomóc, łączyła się z masywnym przedramieniem, a dalej widziałem herkulesowy biceps ozdobiony wyszczerzonymi hienami.

Chwyciłem rękę, chyba dwukrotnie większą od mojej, i wytatuowany olbrzym pomógł mi wstać. Potykając się, dotarliśmy na szczyt zerodowanego zbocza.

Na zachodzie morze nakrapiane słońcem migotało niczym piracka skrzynia skarbów. Mało brakowało, żeby moim ostatnim widokiem na Ziemi były zęby monsturalnej świni, szeroko rozwarłe do ugryzienia.

Blizny na twarzy mojego wybawcy były równie sine jak przedtem, zęby równie krzywe i żółte, ale teraz opryszczka na górnej wardze błyszczała od ochronnej maści.

— Odd Thomas — powiedział. — Pamiętasz mnie?

— Kenneth Randolph Fitzgerald Mountbatten.

Rozpromienił się, ucieszony, że zapamiętałem jego nazwisko, jakby był takim zwyczajnym osobnikiem, że ludzie zapominali o nim, zaledwie go stracili z oczu.

Samotna mewa, która zapuściła się dalej niż zwykle od oceanu, szybowała wysoko po niebie, wykonując skrzydłami symfoniczne gesty, jakby dyrygowała orkiestrą, którą tylko ona słyszała. Jako że właśnie uniknąłem paskudnej śmierci, ponieważ dzieliłem z ptakiem radość życia.

— Dziękuję, że pan mnie uratował.

Kenny wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

— Nic takiego.

— Nie, naprawdę pan mnie uratował.

Zarzucił karabinek szturmowy na ramię i rozejrzał się po okolicznych wzgórzach.

— No, po prostu jestem otrzaskany z bronią i walką. Zabij albo ciebie zabiją... wybór jest tylko jeden, jeśli o mnie chodzi. Każdy z nas ma jakiś talent. Jaki jest twój talent, Oddzie Thomasie?

Chowając pistolet do kabury na dowód, że pragnę wierzyć w szansę, możliwość, ewentualność, prawdopodobieństwo, że zostaniemy przyjaciółmi, powiedziałem:

— Smażone dania. Jestem czarodziejem patelni.

Szyję miał prawie tak grubą jak głowę. Nawet uszy wydawały się muskularne, jakby co rano ćwiczył pompki na każdej małżowinie.

— Kucharz. To dobry talent — ocenił. — Ludzie potrzebują jedzenia najbardziej ze wszystkiego.

— No, może tak bardzo jak wszystkiego innego, ale nie bardziej.

Powietrze pachniało świeżo, z nutą ozonu, to niemal znikającą, to znów powracającą, chociaż nigdy tak silną, żeby sprawiała przykrość.

Kenny powiedział przeproszającym tonem:

— Sprawdziłem w wieży gościnnej. Nikt tam nie mieszka.

— Więc znowu jestem lalusiowatym gnojkiem, którego nie powinno się wpuszczać za bramę?

Przewrócił oczami i pokręcił głową.

— To nic nie znaczyło. Po prostu taki jestem. W ten sposób się witam.

— Ja zwykle mówię: „Miło pana poznać”.

— W każdym razie — podjął — wykombinowałem, o co chodzi. Jesteś zaproszonym gościem tutaj, nie tam, czyli to nie mój interes, skoro pracuję tam, nie tu, i rzadko tutaj jestem, a nawet jak jestem, to nawet nie wiem dlaczego.

— Chyba wszyscy chodziliście do tej samej szkoły — zauważyłem.

— Do jakiej szkoły?

— Gdzie uczą tak mówić.

— Jak?

— Żeby mącić w głowie.

Kenny wzruszył ramionami.

— Po prostu mówiłem.

— Proszę pana, muszę znaleźć ten miniwózek.

— To elektryczne gówieńko, którym jeździłeś, szukając guza?

— Właśnie.

— Zobaczyłem cię i pomyślałem: „Ten stuknięty mały gnojek wpadnie na bandę cholernych świniaków”, no i wpadłeś.

— Myślałem, że nazywają się odmieńce.

— Może tutaj to odmieńce, ale tam nazywamy je świniakami, chociaż ja mówię „świniaki” tu i tam, dla mnie bez różnicy.

— Konsekwencja to cenna zaleta.

— Nic o tym nie wiem — odparł Kenny. — Ale znalazłem wózek, kiedy te trzy sukinsyny pogoniły za tobą na drugą stronę wzgórza. Mogę ci pokazać.

— Byłoby wspaniale, proszę pana. Akumulator się wyczerpał, ale na przednim siedzeniu zostawiłem coś bardzo potrzebnego.

— No to pokażę — oświadczył i ruszył na południe grzbietem wzgórza.

Musiałem robić trzy kroki na każde jego dwa. Spiesząc za nim, czułem się jak hobbit w roli pomocnika Terminatora.

Czułem ciepło słońca na twarzy, słyszałem granie cykad w wysokiej trawie i cieszyłem się, że nie bulgoczę w kwasach żołądkowych czterech świniaków odmieńców.

— Więc mój Roseland jest tutaj, a pański tam — powiedziałem.

— Na to wygląda.

— Tutaj jest tutaj — ciągnąłem. — Ale gdzie jest tam?

— Od myślenia o tym boli mnie głowa, więc nie myślę.

— Jak pan może o tym nie myśleć?

— Jestem całkiem dobry w niemyśleniu.

— No, ja nie jestem — przyznałem.

— W każdym razie bycie tutaj nie zdarza mi się co roku i nigdy nie trwa długo. To nie ma znaczenia, bo w końcu zawsze wracam tam.

— Tam... dokąd?

— Do mojego Roseland.

— Które jest gdzie?

— Wyluzuj, Odd.

— Jestem dostatecznie wyluzowany.

Kenny obdarzył mnie uśmiechem żółtym jak znak drogowy.

— Od czasu do czasu trzeba wziąć wolny wieczór i nawalić się jak stodoła. To pomaga.

— Gdzie jest pański Roseland? — naciskałem, kiedy wspinaliśmy się na szczyt następnego wzgórza.

Westchnął.

— Okay, teraz mnie łeb napieprza jak cholera.

— Więc równie dobrze może pan myśleć.

— Uratowałem cię przed świniakami. Jeszcze ci mało?

— A ja panu powiedziałem, jak się wyleczyć z opryszczki.

— Jeszcze nie pomogło.

— Pomoże, jeśli pan nie będzie ciągle dotykał językiem tego cholerstwa i zlizywał maści.

— Sam jesteś jak opryszczka — burknął Kenny.

— Więc niech pan mi powie, gdzie jest pański Roseland, to dam panu spokój.

— Dobra, dobra, dobra. W porządku. Miałem kiedyś kobietę, która ciągle mi wierciła dziurę w brzuchu, całkiem jak ty. Wreszcie wykombinowałem, jak z tym skończyć.

— Jak pan z tym skończył? — zapytałem, lękając się odpowiedzi.

— Robiłem wszystko, czego chciała ta stuknięta dziwka. To był jedyny sposób, żeby się zamknęła.

— Więc gdzie jest pański Roseland?

— Może daleko w przyszłości od tego.

— Może?

— To taka teoria.

— Więc jednak pan o tym myślał.

— Ale mi nie zależy.

— No, mnie zależy.

— Co jest, to jest. Nieważne dla czego.

— Z pana nie tylko myśliciel, ale i filozof.

Prychnął z niesmakiem.

— Szkoda, że nie ma żadnych świniaków skurwysynów, żeby je zastrzelił.

— Daleko w przyszłości, tak? Czy to znaczy, że ma pan wehikuł czasu?

Zapewnił mnie, że nie potrzebuje żadnego cudzołożnego wehikułu czasu, tylko że nie użył określenia „cudzołożny”. Potem oświadczył:

— To się po prostu zdarza. Ale tylko w Roseland. Nigdzie indziej. Czasami patrzę w górę i niebo jest błękitne przez minutę, innym razem przez kilka godzin, i świat nie jest taki gówniany jak przez większość mojego życia. Jestem tutaj, gdzie świat jeszcze nie jest gówniany, a nie tam.

— Patrzy pan w górę i to się dzieje?

— Albo się odwracam. A potem błękit znika, niebo jest żółte jak kocia sraczką i wszystko znowu jest do dupy. Jakby coś mnie tutaj przyciągało, ale później znowu mnie odpycha tam, skąd pochodzę. Pewnie robi to samo ze świniakami... przyciąga je tutaj, a potem je odpycha.

— Niemożliwe, żeby Tesla po to zbudował tę maszynę.

— Jaką maszynę?

— Przyciąganie i odpychanie to na pewno skutek uboczny. Świniaki w pana czasie... one są tylko w pańskim Roseland?

— Cholera, nie. Ciągłe wszędzie wyłażą. Gorsze od karaluchów.

— Dlaczego pana niebo jest żółte? — zapytałem.

— A dlaczego twoje jest niebieskie?

— Powinno być niebieskie — odpowiedziałem.

— Nie tam, skąd pochodzę.

Zdjął karabin z ramienia i trzymał w pogotowiu.

— Co się stało? — zapytałem, wyciągając pistolet.

— Jeszcze nic. Spokojnie.

Po chwili powiedziałem:

— Jeśli tamto niebo jest żółte i w pana przyszłości roi się od świniaków, pewnie tam jest bardzo niebezpiecznie.

— Myślisz?

— Coś musiało się stać pomiędzy teraz i wtedy.

— Co się stało, to się stało.

— Ale co do tego doprowadziło?

— Kto wie? Może wojna.

— Wojna atomowa?

— Kilka było atomowych.

— Kilka wojen atomowych?!

— To były małe wojny.

— Jak wojna atomowa może być mała?

— I bio. To chyba było gorsze.

— Broń biologiczna?

— I coś, co nazywali rojami nano.

— Co to są roje nano?

— Wiesz, nie skończyłem cholernych studiów. I nie zadaję się z bandą lalusiowatych technoświrów. Czymkolwiek były te roje nano, skurwysyny w końcu same się zjadły.

— Same się zjadły?

— No, jak już zjadły kupę innych rzeczy.

Przetrawiłem to i przyjąłem do wiadomości.

— I ci profesorzy — dodał.

— Jacy profesorzy?

— Skurwysyny, co robili eksperymenty.

— Jakie eksperymenty?

— Ze świniami.

— Atomówki, wirusy, roje nano, świnie — podsumowałem.

— Nietoperze wampiry. Nikt nie wie, skąd się wzięły. Mówią, że Chińczycy zrobili je jako broń. Albo ten stuknięty miliarder z Nebraski. No i ten wielki rządowy szajs z energią słoneczną.

— Jaki szajs z energią słoneczną?

— Projekt, który wybuchł w kosmosie.

— Jakie to ma znaczenie, skoro wybuchł w kosmosie?

— Takie, że był wielki.

— Jak wielki?

— Bardzo wielki.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Potem Kenny zapytał:

— Lepiej się czujesz, kiedy to wszystko wiesz?

— Nie — przyznałem.

Kiedy wydawał się zadowolony z siebie, przygryzał jednym wystającym zębem dolną wargę.

— I co teraz zrobisz, jak już masz to w głowie?

— Nawalę się jak stodoła.

— Najlepsza rzecz — zgodził się Kenny.

Dotarliśmy do miniwózka z rozładowanym akumulatorem. W wąwozie poniżej ze dwadzieścia kruków padlinożerców zleciało się do martwego świniaka.

Wyjmując powłoczkę z wózka, zapytałem:

— Co pan robi w pańskim Roseland?

— Pracuję w ochronie u wielkiego szefa, stukniętego skurwysyna.

— Czemu stukniętego?

— On myśli, że w Roseland będzie żył wiecznie.

Po chwili wahania zapytałem:

— Nazywa się Noah Wolflaw?

— Wolflaw? Nie. Nazywa się Constantine Cloyce.

Zielone oczy Kenny'ego migotały w słońcu, lecz jego bezpośrednie spojrzenie wydawało się szczerze.

Nagle powiedział:

— Żółte niebo.

Podniosłem wzrok, ale niebo było niebieskie.

Kiedy znowu spojrzałem na Kenny'ego, zniknął i tylko powietrze w tym miejscu drżało przez chwilę.

Stałem obok niedziałającego pojazdu, wymieniałem na wpuł opróżniony magazynek beretty na pełen, wymowałem siedem zapasowych nabożów z kieszeni sportowej marynarki i uzupełniałem pierwszy magazynek, dumając nad odkryciem, że tajemnica Roseland ma coś wspólnego z czasem. Jeżeli skutek uboczny tego, co się tutaj działo, polegał na jakichś miejscowych zaburzeniach w czasie, moje wrażenie, że czas ucieka, mogło być prawdziwe w sensie, jakiego jeszcze nie rozumiałem.

Przed spotkaniem ze świniakami jechałem do wieży gościnnej sprawdzić, czy Annamaria jest bezpieczna. Teraz przypominałem sobie coś, co wydarzyło się w Magic Beach parę dni wcześniej, kiedy napotkaliśmy stado kojotów, które zuchwale się do nas podkradły i najwyraźniej zamierzały zaatakować. Annamaria przemówiła do nich, jakby ją rozumiały — i kilkoma słowami skłoniła je do odwrotu. Posiadała dar rozmawiania ze wszystkimi stworzeniami, więc nie musiała się obawiać żadnych zwierząt, pewnie nawet świniaków; gdyby została zabita, to przez człowieka kierującego się nie zwierzęcym instynktem, lecz najgorszymi ludzkimi popędami. Ponieważ w Roseland trwało odliczanie przed jakąś eksplozją, musiałem wierzyć, że Annamaria sama potrafi zatroszczyć się o siebie.

Niosąc powłoczkę w jednej ręce i pistolet w drugiej, wdrapywałem się na kolejne wzgórza, żeby się zorientować w położeniu i wypatrywać następnych bekonowych oddziałów. Dotarłem do posągu giganta Enkeladosa, a następnie zapuściłem się w dębowy zagajnik otaczający trawnik. Jak przedtem, ani jeden opadły liść nie leżał pod drzewami.

Odłożyłem powłoczkę. Na niższym konarze wybrałem gałązkę z trzema listkami, odłamałem ją i rzuciłem na ziemię.

Miałem wrażenie, że oglądam film przyrodniczy z przyspieszeniem — w miejscu odłamania wyrosła nowa gałązka, wypuściła dokładnie takie same liście i całkowicie się zregenerowała w ciągu niecałej minuty.

Spojrzałem na ziemię — odłamana gałązka zniknęła.

Wreszcie w wieku prawie dwudziestu dwóch lat odnalazłem mój nawiedzony dom, do czego byłem wyjątkowo dobrze przygotowany, wiejski dom jak w *W kleszczach lęku*, z perwersyjnie przerażającą historią jak w *Hell House*, zamieszkały przez ludzi, którzy nie powinni żyć, ale żyją, jak w *Zagładzie domu Usherów*, z uwięzionym dzieckiem w niebezpieczeństwie jak w *Poltergeście*. Ale jedynym duchem w Roseland była amazonka na czarnym ogierze, niestanowiąca zagrożenia ani głównego problemu, który ja jako nieoficjalny egzorcysta musiałem rozwiązać.

Zamiast poltergeistów ciskających przedmiotami i upiórów powstających z grobu, którymi chętnie bym się zadowolił, miałem przeciwko sobie

świniostwory, kosmiczny zegar, całkowicie szalonego potentata filmowego oraz konspiratorów, których zgromadził wokół siebie dzięki posiadanej mocy; mocy, którą go obdarzył, może nieświadomie, wielki Nikola Tesla, od dawna nieżyjący, jednak pojawiający się i znikający ze sceny niczym niematerialna kulka pinballu, powtarzający, że widział mnie tam, gdzie jeszcze nie byłem, i zachęcający mnie, żebym przestawił główny przełącznik, cokolwiek to znaczyło.

Zdarzają się dni, kiedy mam ochotę po prostu wrócić do łóżka i naciągnąć kołdrę na głowę.

Zamiast tego odłamalem z konara tę samą gałązkę co przedtem i trzymałem na otwartej dłoni. W ciągu minuty drzewo się naprawiło, a gałązka zniknęła, chociaż w ostatniej chwili zacisnąłem pięść.

Roseland nie potrzebowało plutonu ogrodników. W zagospodarowanej części posiadłości — w przeciwieństwie do dzikich łąk — drzewa, krzewy, kwiaty i trawa trwały jakby w hipostazie, ani nie rosły, ani nie umierały, zachowane dokładnie w takim stanie, w jakim się znajdowały od... może od pewnego dnia w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym.

Mieszkańcy Roseland nie egzystowali poza czasem. Zegary wciąż tykały, godziny upływały. Słońce wschodziło i zachodziło. Zmieniała się pogoda i pory roku. Czas nie zatrzymał się wewnątrz murów posiadłości.

Widocznie przepływał jakiejś egzotycznej energii przez korzenie, pnie, gałęzie i liście, przez każdy płatek kwiatu i każde źdźbło trawy, utrzymywał wszystko w niezmiennym stanie. Wiatr mógł strącić kilka listków z gałęzi, ale natychmiast wyrastały nowe, podczas gdy oberwane liście spadały na ziemię i przestawały istnieć. Albo może nowe listki to były w rzeczywistości stare liście, może każde uszkodzone drzewo czy roślina — ale nic w pobliżu — przeskakiwała w czasie do chwili, zanim straciły liście, a potem dołączały do teraźniejszości.

Gdybym rozkopał ziemię, pewnie znalazłbym jakąś metalową siatkę albo te miedziane pręty, tkwiące w fundamentach budynku. Nagle zrozumiałem, co znaczą wydłużone ósemki, jeśli je odczytać poziomo, nie pionowo: symbol niekończoności.

Zakręciło mi się w głowie. Pożałowałem, że nie jestem tak dobry w niemyśleniu, jak się przechwalał Kenny.

Wróciłem na półwysep nieskazitelnego trawnika, na którym Enkelados wznosił pięść, grożąc bogom, i przeszedłem po trawie w stronę głównego domu. Z daleka widziałem, że okna i drzwi nadal były zasłonięte stalowymi płytami.

Zza rogu wypadła obszarpana banda odmieńców, wściekłych, ponieważ nie zaproszono ich do środka na lunch. Przewracali meble na tarasie i bębnil w okiennice.

Wycofałem się na trawnik z Enkeladosem, gdzie zastygłe w czasie dęby zasłaniały mnie od strony domu. Stałem obok giganta i próbowałem zrozumieć konsekwencje teorii, że Roseland nie było wehikułem czasu — nie, nic tak prostego — ale maszyną, która steruje czasem, odwraca go albo spowalnia jego skutki i nie dopuszcza do nieuniknionego w innym razie rozpadu wszystkiego, zgodnego z prawem natury.

Zarówno w głównym domu, jak i w wieży gościnnej wszystko wyglądało idealnie, bez skazy, jakby nigdy nic się nie zużyło, nie zakurzyło ani nie zepsuło.

Drewniane podłogi i schody nawet nie skrzypnęły, ściśle dopasowane jak w dniu, kiedy je zainstalowano. Żadnych pęknięć w wapieniu i marmurze.

Sprzęty kuchenne były nowe; prawdopodobnie jednak wymieniono je nie dlatego, że tamte z lat dwudziestych zeszłego wieku przestały działać, tylko ponieważ nowoczesne kuchenki i lodówki posiadały więcej zalet i udogodnień niż stare modele.

Znikąd, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na otoczonym drzewami końcu długiego trawnika pojawiło się sto albo więcej nietoperzy o skrzydłach dwumetrowej rozpiętości. Pomknęły do mnie w tak zwartej formacji, że wyglądały jak jedna masa, fala przypływu pędząca pół metra nad ziemią, chociaż nietoperze nie powinny latać w biały dzień.

Świadomość, że potrafię osiągnąć najwyżej ułamek ich szybkości, powstrzymała mnie od ucieczki. Może nie widziały dobrze w dziennym świetle. Jak większość drapieżników, zapewne tropiły zdobycz po zapachu. Możliwe też, że ich naturalny system orientacji, echolokacja, pomagał im rozpoznać pożywienie; jeśli tak, najlepiej pozostać w absolutnym bezruchu. Ogromny ołowiany posąg, w cieniu którego stałem, powinien mnie zamaskować.

Może, zapewne, możliwe, powinien — powtarzając w myślach te określenia, stałem jak sparaliżowany z nadzieją, że nie zostaną pożarty żywcem.

Skrzydła biły w jednym rytmie tyle razy na sekundę, że ich trzepot brzmiał niemal jak brzęczenie — orkiestrowa synchronizacja, tyleż imponująca, co przerażająca. Głowy wielkie jak grejpfruty, szczęki rozwarte, zakrzywione siekacze obnażone, płaskie nozdrza łowiące z powietrza zapachy krwi i potu, mikroskopijne cząsteczki złuszczonego naskórka, sierści, piór, feromony strachu.

Dech mi zapařło, kiedy przeleciały tak nisko, że patrzyłem z góry na miękkie brązowe futerko porastające ich ciała i na błoniaste skrzydła. Minęły mnie i znikły w nagłym migotaniu powietrza, jakby przebiły kurtynę pomiędzy ich czasem a moim.

Oślabły z ulgi, wdrapałem się na granitowy cokół, na którym stał gigant. Usiadłem oparty plecami o jego lewą łydkę, podciągnąłem kolana pod brodę i przycisnąłem buty do jego prawej stopy. Nie wiedziałem, czy olów, z którego go odlano, zapewni mi osłonę, ale schroniłem się tam ze swoim zwykłym upartym optymizmem.

Kiedy serce przestało mi walić, znowu zamyśliłem się nad Roseland. Nad czasem przeszłym, teraźniejszym i przyszłym...

Staza widoczna w ukształtowanym krajobrazie, domu i meblach najwyraźniej nie obejmowała bardziej ruchomych przedmiotów, jak pościel, garnki i sztucce. Pościel i ubrania nie prały się same, jak dąb naprawiał odłamaną gałązkę, brudne naczynia nie cofały się w czasie do chwili, kiedy były czyste. Silny prąd, który przepływał przez całą konstrukcję — nazwijmy go prądem Matuzalema — wzbudzał wtórne prądy w rzeczach, które stały na podłodze domu albo wisały na ścianach; najwyraźniej jednak nie wnikał do przedmiotów mniejszych i bardziej przenośnych.

A co z ludźmi, którzy tu mieszkali?

W ponurej i burzliwej przyszłości Kenny'ego właściciel Roseland występował pod nazwiskiem Constantine Cloyce, może dlatego, że w chaosie tamtych czasów nie musiał już ukrywać swojej prawdziwej tożsamości. Zapewne ludzie

nadchodzącej epoki mieli za dużo problemów z obronieniem i wyżywieniem siebie i rodziny, żeby interesować się przeszłością. Jeśli pod tym niespokojnym złotym niebem nie działał internet, radio ani telewizja, jeśli jedyne istniejące państwowe archiwa pleśniały w szufladach budynków obróconych w ruinę, Cloyce nie musiał co jakiś czas zmieniać nazwiska i — do pewnego stopnia — wyglądu. Nie musiał udawać Noaha Wolflawa ani południowoamerykańskiego dziedzica kopalnianej fortuny. Mógł nazywać się tak jak zawsze: Constantine Cloyce.

Logicznie biorąc, mieszkańcy Roseland byli jeszcze bardziej ruchomi niż ubrania i sztuce, zatem samo przebywanie w tych murach nie gwarantowało im nieśmiertelności. Starzeli się normalnie i pewnie co kilka dekad musieli stosować jakąś dietę albo poddawać się jakiejś terapii, żeby odzyskać młodość.

Z dnia na dzień zrzucając trzydzieści czy czterdzieści lat, pozbywając się siwizny, zmarszczek i nadwagi, likwidując obwisłe podbródki i worki pod oczami, jawili się jako nowi ludzie, niemal nie do rozpoznania w odmienionej postaci. Właściwie musieli tylko zmienić nazwiska i uczesania, żeby uchodzić za nowych mieszkańców Roseland, zwłaszcza że utrzymywali bardzo ograniczone kontakty z miejscowymi.

Pamiętałem, jak Victoria Mors mówiła, że nigdy nie zrobiła nic niebezpiecznego. Teraz rozumiałem dlaczego. Wprawdzie potrafili cofnąć skutki starzenia i naprawić szkody wyrządzone przez choroby, ale nie byli niezniszczalni. Mogli zginąć od kuli albo w wypadku.

Z tego samego powodu Henry Lolam wykorzystał tylko trzy z ośmiu tygodni urlopu i wrócił do Roseland. Czuł się bezpieczniej za tymi murami. Nieśmiertelność uwięziła go w tym miejscu i stał się własnym dozorcą.

Nadal miałem mnóstwo pytań, ale już mniej niż przed godziną. Te, na które najbardziej pragnąłem odpowiedzi, dotyczyły bezimiennego chłopca.

Jeśli Noah Wolflaw był w rzeczywistości Constantinem Cloyce'em, to duch kobiety na koniu był Madrą Cloyce, jego żoną w latach dwudziestych zeszłego wieku. Z pewnością wtedy została zastrzelona, kiedy w posiadłości jeszcze trzymano konie.

Pamiętałem jej wahanie i rozterkę, kiedy w podziemiach mauzoleum, wśród trupów, spytałem ją, czy była żoną Noaha Wolflawa. Ograniczona do kiwania lub kręcenia głową, nie mogła mi wyjaśnić, że Wolflaw to Cloyce, czyli tak naprawdę była żoną ich obu.

Bezimienny chłopiec nie był już bezimienny. Okazał się synem Constantine'a i Madry, który podobno zmarł w dzieciństwie. Jego imię — Timothy — widniało na plakietce obok niszy grobowej w ścianie mauzoleum, gdzie rzekomo spoczywały jego prochy, jednak on najwyraźniej żył.

Skąd go zabrał Noah Wolflaw — Cloyce — i dlaczego chłopiec najbardziej na świecie pragnął tam wrócić? Jeśli był dziewięcioletnim Timothyem, dlaczego po tylu dekadach wciąż miał dziewięć lat? Dlaczego nie pozwolili mu dorosnąć, a potem odmładzać się jak pozostali? Czy utrzymywali go w dzieciństwie przez prawie czterdzieści lat?!

Odpowiedzi nie mogłem znaleźć przy posągu Enkeladosa. Czekwały na odkrycie w głównym domu.

Z północnego zachodu nadjeżdżały bezgłośnie kohorty ciemnych chmur, które przed końcem dnia miały napełnić świat grzmiotem. Nadciągająca burza zakryła trzecią część nieba i zbliżała się coraz szybciej, gotowa zawładnąć nieboskłonem od horyzontu po horyzont.

Nie wiadomo dlaczego, patrząc na forpoczty burzy, pomyślałem o Wiktorze Frankensteinie przy pracy w starym wiatraku, który w filmie, nie w książce, służył mu za laboratorium. Wspominałem, jak okiełznał błyskawice, żeby ożywić swoje dzieło, pokracznego stwora z mózgiem przestępcy i bezlitosnym cmentarnym sercem.

Mogłem wrócić do zabarykadowanego domu tylko przez mauzoleum, przez mural z reprodukcją obrazu Franchiego, przedstawiającą dziecko i anioła stróża.

Nasłuchując trzepotu nietoperzowych skrzydeł, przynaglany do pośpiechu wspomnieniem zakrzywionych siekaczy, przebiegłem przez trawnik, przeciąłem zagajnik dębów zatrzymanych w stazie i popędziłem przez łąki i wzgórza, gdzie rośliny nadal rozkwitały i wędły zgodnie z prawem natury.

Po drodze wciąż widziałem oczami duszy stary wiatrak doktora Frankensteina. Początkowo nie rozumiałem, dlaczego prześladował mnie ten obraz.

Kiedy jednak zbliżałem się do mauzoleum od południa, oczy duszy mrugnęły i stary wiatrak atakowany przez błyskawice zmienił się w wieżę gościnną w gaju eukaliptusów w Roseland. Kopułę z brązu na tej kamiennej budowli wieńczył niezwykle kwiaton, przypominający wałek, koronkę i bigiel starego kieszonkowego zegarka. A tajemnica Roseland miała związek z czasem...

Moja kwatery i apartament Annamarii zajmowały dolne sześć metrów tej osiemnastometrowej budowli. Kręcone schody prowadzące z parteru na pierwsze piętro sięgały do drugiego, ostatniego poziomu. Klucze, które dostaliśmy, nie pasowały do drzwi na szczycie tych schodów.

Ciekawy z natury, bez powodzenia próbowałem się dowiedzieć, co się mieściło na górnych dwunastu metrach. Nie należę do tych niezdrowo wścibskich podglądaczy, których dziesiątki tysięcy zatrudnia w naszych czasach Big Brother. Ale przekonałem się, że kiedy mój dar przyciąga mnie do nowego miejsca, gdzie jestem potrzebny, moje szanse przeżycia wzrastają, jeśli zbadam teren pod kątem zapadni, pułapek i ukrytych wnyków.

Teraz przystanąłem na południowym trawniku przed mauzoleum, zasłonięty od strony głównego domu, i zastanawiałem się, czy nie powinienem jednak wrócić do wieży. Po drodze mógłbym zajrzeć do domu pana Jama Diu i pożyczyc siekiere spośród nieużywanych ogrodniczych narzędzi. Po dzisiejszych wydarzeniach nabrałem ochoty, żeby coś porąbać, choćby tylko drzewi.

Po chwili wahania poczułem, że jednak główny dom przyciąga mnie silniej niż wieża. Z pewnością w obu tych miejscach świat wyszedł z formy, ale jeśli wskazówki zegara apokalipsy pędziły ku katastrofie, musiałem szybko dostać się do chłopca.

W mauzoleum mozaika przedstawiająca obraz Franchiego nadal była zagłębiona w północnej ścianie i odsłaniała dwa biegi schodów, prowadzące w dół do pierwszej piwnicy.

Zakładałem, że po chwili zwłoki wejście do sekretnego świata na dole zamknie się za mną automatycznie. Teraz, stojąc z boku, przyłożyłem palec do płytki w anielskiej tarczy, którą nacisnąłem wcześniej, żeby otworzyć drzwi, ale pozostała cofnięta, a kamienny blok nie powrócił na swoje miejsce.

Obejrzałem ścianę nad pierwszymi schodami, a potem nad drugimi, ale nie znalazłem żadnego przełącznika. Intuicja podpowiadała mi, że nie powinienem tutaj tracić więcej czasu. Wydarzenia w Roseland szybko zmierzały do przełomowego punktu.

Zszedłem do pierwszej piwnicy, gdzie siedem złotych kul wirowało bezgłośnie na siedmiu prętach. Liczne koła zamachowe obracały się w ciszy, krople złocistego światła odrywały się od ich zewnętrznych krawędzi i płynęły do gobelinu miedzianych drutów na suficie, gdzie były wchłaniane i transmitowane przez skomplikowaną siatkę, aż gasły i znikwały.

Ponieważ niedawno odkryłem główne przeznaczenie tej maszynery — sterowanie czasem — miałem nadzieję zrozumieć przynajmniej z grubsza, w jaki sposób owe różnorakie urządzenia wspólnie tego dokonywały. Nadal jednak niczego nie pojmowałem.

Ani talent kulinarny, ani parapsychiczne zdolności nie gwarantują, że ich posiadacz będzie cholernym geniuszem. Znam wielu kucharzy od szybkich dań, z których żaden raczej nie zdobędzie naukowej Nagrody Nobla. A jeśli widzisz zmarłych zwlekających z odejściem i miewasz prorocze sny, zwykle jesteś zbyt rozkojarzony, żeby zostać mistrzem świata w szachach albo założyć nowy Apple Inc.

Po spiralnych schodach w kącie zszedłem znowu do drugiej piwnicy. Tu na dole sześć rzędów złotych kół zębatach obracało się cicho i nieprzerwanie w srebrnych przewodnicach pod sufitem i kolekcja martwych kobiet czekała, wpatrując się w wieczność oczami o przypiętych powiekach.

Zapewne tutaj, w bezpośredniej bliskości maszyny — albo kluczowych części maszyny — wytwarzane pole stabilizujące było najsilniejsze. Makabryczne trofea, posadzone na podłodze i oparte o ściany, były równie świeże jak w chwili, kiedy właściciel Roseland je zamordował.

Trupy w hipostazie to wciąż tylko trupy. Zastanawiałem się jednak, czy niekiedy w nocnej ciszy ich zabójca czuje wyrzuty sumienia albo chorobliwe przygnębienie i czy wtedy wyobraża sobie, że spotyka te kobiety tuż przed

śmiercią, widzi ich krwawe rany fascynujące jak stygmaty, słyszy ich oskarżycielskie głosy chrapliwe i na wpeł zdławione przez krawaty zaciśnięte na gardłach.

Wszystko, co mogłem mu zrobić, to było o wiele za mało, niż sobie zasłużył.

Ponieważ do bezczasowych zwłok nie dobiegały się żadne ścierwojady, wywnioskowałem, że w domu nie było insektów i gryzoni, kiedy po raz pierwszy włączono maszynę Tesli. Nie widziałem żadnych nieśmiertelnych pajaków tkających nieskończone pajęczyny, żadnych much o starożytnym wyglądzie, żadnych szczurów mądrzejszych po przeżyciu pięćdziesięciu szczurzych żywotów.

Jeśli takie szczury rezydowały za boazerią, nie należało się po nich spodziewać wielkiej mądrości. Nawet istoty ludzkie rzadko robią się mądrzejsze po przekroczeniu pewnego wieku — albo nigdy.

Constantine Cloyce — obecnie Noah Wolflaw — miał siedemdziesiąt lat, kiedy prawdopodobnie sfingował własną śmierć w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. Teraz, w wieku stu trzydziestu czterech lat, najwyraźniej nie nauczył się ani pokory, ani moralności. A powtarzanie mi, żebym się zamknął, bynajmniej nie świadczyło o dowcipie i wyrafinowaniu, jakich należało się spodziewać po kimś w jego wieku i z jego doświadczeniem.

Przeszedłem przez piwnicę do drzwi, za którymi zaczynał się wyłożony miedzią korytarz prowadzący pod ziemią do głównego domu. W szklanych rurach wpuszczonych w ściany złociste rozbłyski zdawały się przepływać jednocześnie do rezydencji i z powrotem. Omijałem je wzrokiem, żeby oszczędzić sobie mdłości i zawrotów głowy, jakie czułem za pierwszym razem, kiedy tu wszedłem.

W piwnicy z winami pod domem nie poszedłem dalej podziemnym korytarzem, jak przedtem. Zamiast tego wspiąłem się po wąskich schodach służbowych na parter.

Wszedłem do kuchni ostrożnie, na wypadek gdyby szef Shilshom przygotowywał właśnie bankiet na uroczystość godną księcia Prospera z opowiadania Edgara Allana Poe'go. Podczas apokaliptycznej zarazy, zwanej klątwą Czerwonego Moru, ksiądz wydał wielką ucztę, próbując zaprzeczyć własnej śmiertelności. Przyjęcie się nie udało. Podejrzałem, że kilku mieszkańców Roseland skończy nie lepiej od Prospera.

Jedyne światło padało z dwóch lamp nad zlewami. Okna były zasłonięte przez stalowe okiennice.

Chwilowo żadne odmienne nie dobiegały się do okien i w domu panowała cisza. Może przeciąganie i odpychanie maszyny Tesli odrzuciło ich z powrotem do ich czasu... jednak wątpię. Ta cisza wydawała mi się złowieszczą.

Do kuchni przylegał pokój, który służył kuch mistrzowi za gabinet. Wszedłem tam i cicho zamknąłem za sobą drzwi.

Tutaj szef Shilshom planował menu, sporządzał listy zakupów i niewątpliwie głowił się, co zaserwować panu domu, kiedy do Roseland sprowadzano następną młodą kobietę przypominającą zmarłą panią Cloyce, żeby ją torturować i zamordować. Planowanie posiłków na specjalne okazje to wielka sztuka.

Możliwe, że tylko Constantine Cloyce, kierowany poczuciem wyższości wynikającym z potencjalnej nieśmiertelności, mordował zwykłych ludzi dla rozrywki, ale pozostali mieszkańcy rezydencji byli równie obłąkani. O ich

szałeństwie świadczył fakt, że mu pomagali — albo dlatego, że pragnęli żyć wiecznie, albo dlatego, że nie widzieli nic złego w zabijaniu śmiertelników, którzy i tak umrą prędzej czy później.

Żadne z nich nie żyło tak długo, żeby sama długowieczność mogła ich wpędzić w obłąd. Wyobrażałem sobie, że po kilkuset latach powtarzalność ludzkich doświadczeń może wywołać nudę, która doprowadzi do chronicznej depresji albo tak desperackiego poszukiwania nowych, krańcowych doznań, że tortury i śmierć staną się rodzajem środka uspokajającego. Ale Cloyce miał dopiero sto trzydzieści cztery lata, inni zaś byli jeszcze młodszy. Coś innego niż długowieczność spowodowało, że pogrążyli się w szałeństwie.

W gabinecie Shilhoma stało masywne krzesło biurowe, zrobione na miarę jego potężnego ciała, z siedzeniem podwójnej szerokości i kółkami grubymi jak piłki baseballowe. Kiedy w nim usiadłem, poczułem się jak Jack w zamku na czubku łodygi fasoli.

Na biurku stał komputer, jedyny, jaki widziałem na parterze, chociaż w skrzydle dla służby pewnie było ich więcej. Włączyłem go, wszedłem do internetu i wyszukałem Nikołę Tesłę.

Serb z pochodzenia, urodził się dziesiątego lipca tysiąc osiemset pięćdziesiątego szóstego roku w Smiljanie, wiosce leżącej albo w Chorwacji, albo w Cesarstwie Austrowęgierskim, albo w miejscu zwanym Lika, albo we wszystkich trzech. Dla mnie to brzmiało trochę jak z innej planety, ale pewnie chodziło o brak spójności powszechny w sieciowych biografiach.

Zmarł siódmego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku w dwupokojowym apartamencie w hotelu New Yorker, oczywiście w Nowym Jorku, gdzie by indziej. Dwa tysiące ludzi przyszło na jego pogrzeb w katedrze Świętego Jana. Tesla został skremowany, a jego prochy przechowywane są w złotej kuli w Muzeum Nikoli Tesli w Belgradzie.

Więcej niż jedno źródło online podawało, że złota kula była ulubionym kształtem Tesli.

Hm. Ciekawe.

W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim Tesla rozwiązał problem wirującego pola magnetycznego i zbudował pierwszy silnik indukcyjny. Chociaż nie mam zielonego pojęcia, co to znaczy. Ale silnik indukcyjny wspomagał rewolucję przemysłową na przełomie wieków; od tamtego czasu stosuje się go zarówno w przemyśle ciężkim, jak i w prostych domowych urządzeniach.

Za moimi plecami coś skrobnęło w stalową okiennicę zakrywającą okno. Poskrobało, postukało i znowu poskrobało.

Dźwięk był słumiony w porównaniu z hałasem, jakiego wcześniej narobiły odmienie, ale przeczuwałem, że intruz za oknem to nie jest po prostu ciekawski szop prac.

Ten odmieniec próbował ustalić, w którym z parterowych pokoi czeka na niego lunch. Wróciłem do komputera.

Po przyjeździe do Ameryki Tesla pracował z Thomasem Edisonem, ale się poróżnili, ponieważ Tesla uważał, że elektrownie Edisona na prąd stały są mało wydajne. Twierdził, że każda energia jest cykliczna i że można zbudować generatory wysyłające elektryczność najpierw w jedną stronę, potem w drugą, w falach wielokrotnych zgodnie z zasadą wielofazowości.

Biorąc pod uwagę, że w Roseland grasowały naczelne świnie i rządził tu socjopatyczny morderca, zdecydowałem, że nie mam czasu sprawdzać, co to znaczy „zasada wielofazowości”.

W każdym razie Tesla podjął współpracę z George'em Westinghouse'em. Prąd przemienny, który zmienia kierunek około sześćdziesięciu razy na sekundę i pozwala na długodystansowe przesyłanie energii przy minimalnych stratach, wkrótce stał się światowym standardem.

W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym Tesla zaprojektował pierwszą na świecie hydroelektrownię, która została wybudowana w Niagara Falls.

Marconi wciąż jest wymieniany jako wynalazca radia, ale to Tesla opatentował podstawowe systemy radia w roku tysiąc dziewięćsetnym, lata przed Marconim. Patent Marconiego został w końcu unieważniony.

Znowu stukanie w stalową okiennicę za moimi plecami: puk, puk, puk... puk, puk, puk... puk, puk, puk...

Brzmiało dziwnie dyskretnie. Jakby tajemniczy kochanek stawiał się na wcześniej umówioną schadzke.

Nie odpowiedziałem stukaniem, ponieważ aż nazbyt łatwo mogłem sobie wyobrazić panią odmieniec, która pragnęła być Julią dla mojego Romea.

Czytając dalej, dowiedziałem się, że do wynalazków Tesli należały żarówka i promień laserowy. Bezprzewodowa komunikacja. Bezprzewodowe przesyłanie elektryczności. Pilot radiowy. On pierwszy robił prześwietlenia ludzkiego ciała, jeszcze przed Roentgenem.

Facet miał łeb jak sklep.

W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku w Kolorado, stosując coś, co nazywał „stacjonarnymi falami ziemskimi”, zapalił dwieście lamp w odległości czterdziestu kilometrów, bez żadnych kabli, przesyłając elektryczność w powietrzu.

Znalazłem coś fajnego i na temat. W latach tysiąc dziewięćset jeden — dziewięćset pięć zbudował na Long Island wieżę transmisyjną wysoką na prawie sześćdziesiąt metrów, z miedzianą kopułą dwudziestometrowej średnicy, wspartą na fundamentach głębokich na trzydzieści metrów. Miała zmienić samą Ziemię w ogromne dynamo i poprzez wzmacniający transmiter rozsyłać nieograniczone ilości energii elektrycznej na cały świat.

Kiedy J.P. Morgan, który finansował ten projekt, zorientował się, że nie będzie można nikogo obciążyć rachunkiem za elektryczność, bo nie da się sprawdzić, kto ile pobiera, zablokował fundusze.

Albert Einstein podziwiał Nikołą Tesłę. Teoria względności Einsteina głosi między innymi, że czas i przestrzeń nie są pojęciami absolutnymi, tylko względnymi.

Hm.

Tesla był tak genialny, że rozwiązywał problemy matematyczne o najwyższym stopniu trudności całkowicie w pamięci, nie używając kartki i ołówka.

Co jeszcze bardziej zdumiewające, potrafił wyobrazić sobie skomplikowane wynalazki, jak na przykład silnik indukcyjny, w każdym szczególe, a potem rysował je od ręki.

Skrobanie. Stukanie.

— Nie potrzebujemy żadnej prenumeraty — mruknąłem.

Czytając dalej, odkryłem, że Tesla przyjaźnił się z Markiem Twainem. Oprócz *Przygód Hucka Twaina* napisał *Jankesa na dworze króla Artura*, historię przedstawioną jako wizja po uderzeniu w głowę, ale w rzeczywistości opowiadająca o podróżach w czasie!

Hm.

W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym magazyn „Life” wymienił Nikołą Teslę wśród stu najsłynniejszych ludzi, żyjących w ciągu ostatniego stulecia, którzy zmienili świat.

Oczywiście to było dawno, zanim telewizja reality, Twitter, Twaddle i tym podobne zredukowały przeciętny okres skupienia większości światowej populacji do dwóch minut, skurczyły pamięć długoterminową do czternastu miesięcy i przekonały nas, że najbardziej godni podziwu nie są tacy ludzie, jak Jerzy Waszyngton, Albert Einstein, Maria Skłodowska-Curie, Jonas Salk, Matka Teresa i Nikola Tesla, tylko ten czy inny celebryta, który właśnie wygrał *Taniec z gwiazdami*, albo czyjs tańczący kot, który właśnie miał dziesięć milionów wyświetleń na YouTube.

Stukanie. Skrobanie. Puk-puk.

— Kto tam? — zapytałem cicho. — Hipopotam — odpowiedziałem równie cicho. — Czego chcesz? — zapytałem ponownie i odpowiedziałem: — Wpuść mnie, to zobaczysz.

Dowiedziałem się również, że Tesla miał swoje dziwactwa. Twierdził, że pomiędzy rokiem tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym a tysiąc dziewięćsetnym w swoim laboratorium w Colorado Springs odebrał sygnały z innej planety. Poważni ludzie zbadali dowody i przyznali mu rację. Powiedział kiedyś, że przy odpowiednim zastosowaniu prądu elektrycznego łatwo mógłby rozszczepić Ziemię na pół. Całe szczęście, że nie zostawił notatek, jak to zrobić, bo inaczej ci faceci z programu *Jackass* już by to zrobili.

Krótko mówiąc, myślał nie tylko niekonwencjonalnie, ale niekonwencjonalnie do kwadratu. Taki człowiek mógł podjąć próbę okiełznania czasu i wykorzystania go do własnych celów.

Oparłem się pokusie, żeby wejść na YouTube i poszukać tego tańczącego kota, zamknąłem internet i wyłączyłem komputer.

Drapanie i stukanie w okiennicę znów się powtórzyło i usłyszałem, że w kuchni szef Shilshom klnie siarczyście, całkiem jak Victoria Mors. Jego głos się zbliżał.

Zerwałem się z krzesła stworzonego dla Jabby the Hutt, złapałem powłoczkę i wybiegłem przez drzwi łączące gabinet kuchmistrza ze spiżarnią, która miała również wejście z kuchni.

W spiżarni zostawiłem drzwi do gabinetu lekko uchylone i czekałem, czy pojawi się król quiche’a.

Wtargnął do gabinetu jak wielki, falujący kłab bieli, bardziej niż zaniepokojony, ale mniej niż spanikowany, zupełnie jakby właśnie zobaczył kapitana Ahaba, kuśtykającego do niego na jednej zdrowej nodze i jednej z wypolerowanego fiszbinu. Nie wydawał się w nastroju, żeby coś upiec albo ugotować.

Z szafki, która mogła zawierać zestaw egzotycznych przypraw albo osobistą kolekcję starożytnych kieliszków do jajek, wyjął półautomatyczną taktyczną strzelbę śrutową kalibru dwanaście.

Przerażony, wściekły, dwustukilowy socjopatyczny szef kuchni ze strzelbą w rękach nie wróży nic dobrego.

Odsunąłem się od drzwi łączących gabinet szefa Rambo ze spiżarnią. Wśliznąłem się w ciemność. Znalazłem drugie drzwi po cienkim pasku światła prześwitującego pod spodem. Wszedłem do kuchni. Wyszedłem z kuchni. Przekradłem się korytarzem, gdzie w każdej chwili mogły się otworzyć jakieś drzwi, w każdej chwili mogłem zostać przyłapany przez jakiegoś mieszkańca Roseland i surowo skarcony, że nie siedzę w wieży zamknięty na klucz... albo zastrzelony.

Dotarłem do bocznego korytarza, a potem do dyskretnych drzwi dla służby, prowadzących do głównego salonu. Zanurkowałem do tego przestronnego wnętrza, które przypominało wspaniałą salę klubową na przesadnie eleganckim luksusowym liniowcu z odległej epoki, w filmach zazwyczaj pełną pięknych kobiet w balowych sukniach, mężczyzn w smokingach i kelnerów w białych marynarkach, roznoszących drinki na srebrnych tacach. Wyspy perskich dywanów dźwigały kilka zestawów mebli, krzesła, fotele, sofy i szelongi w liczbie wystarczającej, żeby posadzić jedną czwartą najbogatszych czterystu przedstawicieli śmietanki towarzyskiej.

Okiennice zasłaniały okna. Żadna z lamp Tiffany'ego się nie paliła. Z pięciu kandelabrow tylko środkowy oświetlał pokój.

Dokładnie pod tą roziskrzoną konstelacją świecowych żarówek i wiszących kryształów stała kolista ława, otaczająca posąg greckiego bożka Pana dwukrotnej wielkości człowieka. Pan miał głowę, tors i ramiona mężczyzny, uszy, rogi i nogi koźła oraz bardzo potrzebował listka figowego.

Reszta pokoju tonęła w cieniu. Po kątach zalegała ciemność.

Zamierzałem przemknąć pod ścianami, trzymając się jak najdalej od jurnego Pana, dopóki nie znajdę następnych drzwi dla służby ukrytych w boazerii, przeciwnych do tych, którymi wszedłem. Dotarłbym do krótkiego holu sąsiadującego z biblioteką, skąd chciałem wspiąć się po spiralnych schodach z brązu na pierwsze piętro.

Nadal dobre trzy hektary dzieliło mnie od celu, kiedy usłyszałem pospieszne kroki na marmurze. Przez głębokie łukowe przejście z kolumnami, łączące salon z lepiej oświetlonym foyer, zobaczyłem nadchodzącego Noaha Wolflawa — alias Cloyce'a — i Pauliego Sempiterno, obu ze śrutówkami.

Ponieważ mam alergię na gruby śrut, opadłem na czworaki i schowałem się za sofą.

Szaleniec i jego główny porucznik weszli do salonu. Jednocześnie na drugim końcu pomieszczenia otworzyły się drzwi, chyba te, przez które wszedłem. Inni

dołączyli do Cloyce'a i Sempiterna na środku, pod zapalonym kandelabrem, obok bezwstydnego Pana.

Zerkając ostrożnie znad krawędzi sofy ponad lasem mebli, zobaczyłem, że przyszedł Jam Diu i pani Tameed. Ogrodnik niósł strzelbę. Pani Tameed, ze trzydzieści centymetrów wyższa od pana Diu, nosiła pas z kaburami, po jednej na każdym biodrze, a jeden z pary potężnych pistoletów trzymała w prawej ręce, wycelowany w sufit.

Ta Szwedka z pistoletami mogła kopnąć lwa w tyłek, a on miauczałby jak przestraszony kocia. Jam Diu wyglądał niczym Budda, który zszedł na złą drogę.

Pokój miał doskonałą akustykę, więc słyszałem każde ich słowo. Victoria Mors zaginęła. Nie było jej w prywatnym mieszkaniu i nie odpowiadała na wezwania przez Talkabout, czyli po prostu walkie-talkie, jakie wszyscy nosili, żeby łatwiej się kontaktować w tym ogromnym domu. Na pewno przebywała w głównej rezydencji, kiedy opuszczono okiennice.

Bynajmniej nie zażenowany tym, że stwierdza oczywistość, Paulie Sempiterno powiedział:

— Coś tu nie gra.

To „coś” to byłem ja.

Pani Tameed powiedziała:

— Gdzie jest ten fałszywy [wyraz niecenzuralny] mały [wyraz niecenzuralny] drań?

Znowu chodziło o mnie.

— Henry wcześniej dzwonił ze stróżówki — powiedział Cloyce. — Już po zamknięciu okiennic. Thomas dobijał się tam do drzwi, chciał, żeby go wpuścić. Odmieńcie go ścigały.

— Więc nie żyje — stwierdził Jam Diu.

Pani Tameed była innego zdania:

— Pewnie nie żyje. Ale nie lekceważcie tego [wyraz niecenzuralny] [wyraz niecenzuralny] [wyrażenie niecenzuralne] gada.

Zważywszy, że pani Tameed była o wiele starsza, niż na to wyglądała, zastanawiałem się, czy pod innym nazwiskiem nie pracowała w Białym Domu za kadencji Nixona.

— Jeśli był poza domem, kiedy zamknięto okiennice — powiedział Jam Diu — to nie mógł wejść z powrotem do środka. Nie traćmy na niego czasu. To tylko głupi zegarant.

Zegarant, nie palant.

— Nawet zegarant czasem ma szczęście — zauważył Paulie Sempiterno.

— Bardziej się martwię, że gdzieś wyłamano okiennice — odparł Jam Diu.

— Nie wyłamano żadnych okiennic — zapewnił go Cloyce. — Cokolwiek się z nią stało, nie dorwały jej odmieńce.

Postanowili przeszukać dom, w dwuosobowych zespołach, żeby znaleźć Victorię Mors, zaczynając od góry i załatwiając jedno piętro naraz.

— Nie ma jej w moim apartamencie — oznajmił Cloyce. — Ale jest mnóstwo innych miejsc do sprawdzenia. Każda cholerna szafa, każdy kąt. Zaczynamy.

Wszyscy wyszli z salonu przez łukowe przejście i w foyer weszli na schody prowadzące na piętro.

Ukryty na czworakach za sofą, opadłem na podłogę, a potem przekreśliłem się na znak. Włócznie, sztylety i groty światła, odbite od kryształowych wisiorów kandelabru, tworzyły zastępy, jaskrawy wzór przemocy pośrodku tynkowanego sufitu, ale ciemność krwawiła ku ścianom.

Zegarant. Byłem zegarantem, ponieważ miałem się zestarzeć i umrzeć, na łasce tykającego zegara. Oni natomiast, którzy mogli regularnie przywracać sobie młodzieńczy wygląd i zdrowie, według słów Victorii Mors byli „outsiderami, bez ograniczeń, bez praw, bez strachu”.

Byli również naiwni. Rzeczywistość narzuca ograniczenia, nawet jeśli nie chcemy tego przynajmniej. Tak zwani outsiderzy mogli jaśnieć niczym pryzmatyczne odbicia fasetowych kryształków na suficie, ale otaczała ich ciemność tak samo, jak te ostre wzory światła.

Nawet jeśli ci ludzie żyli ponad prawem, przynajmniej w tym sensie, że nie uznawali praw natury, widziałem, jak ogranicza ich strach. Victoria Mors nie zrobiłaby nic ryzykownego, żeby nie zginąć w wypadku. Henry Lolam nie mógł długo wytrzymać poza murami posiadłości, ponieważ tylko bliskość maszyny i Tesli i prądu Matuzalema gwarantowała mu długowieczność.

Rozumiałem teraz, dlaczego Henry fantazjował o bliskim spotkaniu trzeciego stopnia, podczas którego kosmici obdarzą go nieśmiertelnością. Chciał żyć wiecznie, ale wolny od więzów, które przykuwały go do Roseland. Wszyscy oni w większym czy mniejszym stopniu byli więźniami tej posiadłości, jeśli nie fizycznie, to psychicznie.

Im dłużej żyli, tym bardziej pragnęli żyć. Ale im dłużej żyli, tym bardziej kurczył się ich świat. Zakres ich doświadczeń zawężał się z roku na rok. Ich socjopatyczna arogancja, ich poczucie boskiej władzy i pogarda dla zegarantów stopniowo wydestylowały się w jeszcze bardziej trującą miksturę.

Zastanawiałem się, kim byli ci ludzie, z których Constantine Cloyce utworzył obłąkaną społeczność Roseland. Czy wszyscy urodzili się na początku zeszłego wieku i w latach dwudziestych byli jego służącymi? Jakie nosili wtedy nazwiska?

Jeżeli wszyscy pochodzili z tego samego czasu, podejrzewałem, że są znacznie bardziej zwariowani, niż mi się zdawało. Niebezpieczeństwo, jakie mi groziło, miało więcej ostrzy niż arsenał pryzmatycznych odbić na suficie.

Myśli o długowieczności w nieunikniony sposób przypomniały mi Stormy Llewellyn, która umarła tak młodo. Z konieczności pogodziłem się z moją stratą, nauczyłem się żyć z poczuciem pustki, ale nie w ciągłej udręce. Teraz melancholijny ból przygiął mnie do podłogi na dłużej, niż zamierzałem tam leżeć. Zdawało mi się, że jeśli Nikola Tesla pokonał śmierć dzięki wynalazkowi fantastycznej maszyny, ja powinienem być przechytzyć i prześcignąć kostuchę tamtego okropnego dnia w Pico Mundo, kiedy zostałem wiecznym kochankiem kobiety, której nigdy więcej nie pocałuję na tym świecie.

Zostawiłem czwórce poszukiwaczy mnóstwo czasu, żeby weszli na piętro i oddalili się od apartamentów Cloyce'a. Potem wstałem, wyjąłem pistolet z kabury, podniosłem powłoczkę i przemknąłem jak cień w mroku pod ścianą.

*Niejeden cień całuje
I cień szczęścia obejmuje*⁶.

Tymi słowami opisany jest księżę Aragonii w *Kupcu weneckim* Szekspira, kiedy dokonuje niesłusznego wyboru i w ten sposób traci wszelkie szanse na poślubienie Porcji.

Mój zaprzyjaźniony autor kryminałów, Ozzie Boone, pokpiwał ze mnie, że w szkole słabo się uczyłem, a zwłaszcza, że wcale nie znałem Szekspira. Od wyjazdu z Pico Mundo, kiedy tylko czas pozwala, zagłębiam się w dzieła Barda. Na początku czytałem sztuki i sonety tylko dlatego, żeby Ozzie był ze mnie dumny, kiedy wrócę do rodzinnego miasta. Wkrótce jednak czytałem je, żeby ujrzeć na mgnienie świat taki, jak za czasów Szekspira, a nie zepsuty jak obecnie.

Jego słowa, napisane ponad czterysta lat temu, często mnie pocieszają i dodają odwagi. Lecz czasami powracają do mnie wersy, które uderzają w mroczniejszą nutę i przeszywają mnie niespodziewanym smutkiem.

*Nie jeden cień całuje
I cień szczęścia obejmuje.*

Apartament właściciela Roseland znajdował się na końcu zachodniego skrzydła. Gdyby nie opuszczone stalowe okiennice, z okien roztaczały się widok na wzgórze opadające ku wybrzeżu i morze odległe o półtora kilometra.

Cloyce zostawił nie jedną czy dwie zapalone lampy, ale wszystkie światła, jakby po powrocie nie chciał ani przez chwilę stać na progu w ciemności i szukać po omacku przełącznika.

Oświadczył kiedyś, że nie śpi od dziewięciu lat, ale z pewnością to twierdzenie było grubą przesadą, jeśli nie zwyczajną bzdurą. W rzeczywistości chodziło raczej o to, że nie spał dobrze od dziewięciu lat albo i dłużej, może dlatego, że zostawiał zapalone światło przez całą noc, bo nie mógł wytrzymać w pokoju równie czarnym jak jego dusza.

Apartament urządzone z takim samym przepychem jak resztę domu. Lampy Tiffany'ego, antyczne brązy i obrazy warte były miliony.

Nie znalazłem niczego specjalnie interesującego, dopóki nie wszedłem do przestronnego pomieszczenia, gdzie pan domu trzymał swoje trofea. Na ścianach wisiały wypchane łby lwa, tygrysa, gazeli o wspaniałych prążkowanych rogach i inne okazy, które widocznie zastrzeżił i sprowadził z Afryki.

Na jednej ścianie, wśród licznych czarno-białych fotografii dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, znalazłem kilka zrobionych na safari. Młody, najwyżej trzydziestoletni Constantine Cloyce dał się rozpoznać pomimo fryzury z tamtej epoki i obfitego wąsa. Pozował z najrozmaitszą zwierzyną, trzymając strzelbę, dumny i poważny na jednych zdjęciach, dumny i uśmiechnięty na innych.

Skoro miał czas i środki na szukanie przygód w tak młodym wieku, widocznie odziedziczył tę prasową fortunę, dzięki której później założył studio filmowe. Jeśli na fotografiach miał trzydzieści lat, safari odbywało się w tysiąc dziewięćset ósmym, czternaście lat przed rozpoczęciem budowy Roseland.

Na niektórych zdjęciach obok Cloyce'a pojawiał się inny młody człowiek. Widocznie był jego przyjacielem, bo na dwóch fotkach stali, obejmując się ramionami, odłożywszy karabiny, za ubitą zwierzyną. Henry Lolam wyglądał tak samo jak teraz, chociaż wtedy na pewno inaczej się nazywał.

Dalej na ścianie wisiały fotografie Roseland w trakcie budowy. Na niektórych Cloyce pozował z innymi osobami.

Najpierw zobaczyłem Nikolę Tesłę. Pojawił się na czterech zdjęciach, zawsze w oficjalnym garniturze i krawacie, podczas gdy inni ubrali się swobodnie. Na dwóch zdjęciach jego jastrzębia postać wyróżniała się taką siłą wyrazu, że ludzie wokół niego wydawali się nieprawdziwi niczym te kartonowe figury naturalnych rozmiarów przedstawiające sławne osobistości, z którymi dawniej robiono sobie zdjęcia na jarmarkach i nadmorskich promenadach. Na pozostałych dwóch

otaczający go ludzie wyglądali dostatecznie realnie — chociaż sam Tesla był skrępowany, jakby czuł, że nie należy do tego towarzystwa.

Na jednym zdjęciu z Cloyce'em pozowała pani Tameed. Obecnie wyglądała na czterdzieści lat, jednak na fotce miała około dwudziestki. Przy większej różnicy wieku mógłbym jej nie rozpoznać, najwyżej po wroście. Z krótkimi włosami, w charakterystycznym kapelusiku-kasku, ubrana w stylu flapper z tamtego okresu — suknia do kolan, bez rękawów, głęboki trójkątny dekolot odsłaniający przedziałek między piersiami — który szokował rodziców tego niezależnego pokolenia.

Z trudem mogłem sobie wyobrazić, że pani Tameed była niegdyś tak frywolna i wesoła, jaka się wydawała na zdjęciu. Sądziłbym raczej, że nosiła wojskowe buty, odkąd tylko zaczęła chodzić, a jako młoda kobieta najbardziej martwiła się, że nie może zapaść w wąsów à la Hitler.

Była jeszcze na jednym zdjęciu z Cloyce'em. Tym razem ona i Victoria Mors uwiesiły się na nim z obu stron, obie ubrane jak chłopczyce. Przypominali podpite i rozpustne trio.

Na tym zdjęciu Victoria wyglądała równie młodo jak teraz, drobna, delikatna i eteryczna. Ciekawe, czy odmładzała się bardziej systematycznie niż pozostali. A jeśli tak... to dlaczego?

Na innej fotografii Cloyce'a z czterema mężczyznami, datującej się pewnie sprzed tysiąc dziewięćset dwudziestego roku, rozpoznałem tylko dwóch z tamtych. Paulie Sempiterno stał trochę z boku, niewiele młodszy niż teraz, patrząc spode łba w obiektyw, jakby nie ufał fotografowi i samym aparatom fotograficznym. Jam Diu wyglądał dziesięć lat młodziej. Nosił biały garnitur, białe buty i biały kapelusz panaama oraz wąsy w stylu Fu Manchu, zwisające parę centymetrów poniżej podbródka.

Widziałem wszystkich mieszkańców Roseland oprócz szefa Shilshoma. Ale nie rozpoznałbym go, jeśli wtedy był normalnych rozmiarów.

Zwierzęce łby na dwóch ścianach bynajmniej nie nadawały temu miejscu atmosfery męskiego klubu. Przynajmniej dla mnie każda głowa była zamaskowaną śmiercią, trupią czaszką ukrytą za zwierzęcym pyskiem, jak w opactwie, gdzie książe Prospero urządził bal kostiumowy. Przytłaczała mnie ich obecność. Wyobrażałem sobie, że ich szklane oczy śledzą mnie, kiedy krążyłem po pokoju.

Chciałem jak najszybciej stamtąd wyjść, najpierw jednak postanowiłem sprawdzić zawartość mahoniowej gabloty na wysoki połysk, intarsjowanej hebanem i kością słoniową w geometryczne wzory. W środku znajdowały się półki wypełnione płytami DVD.

Człowiek mordujący dla przyjemności może posiadać kolekcję filmów, ale wątpiłem, czy wśród nich znajdzie się choć jeden z Muppetami. Na wąskich grzbietach pudełek nie wydrukowano żadnych tytułów. Spodziejając się pornografii albo krańcowej przemocy, zdjąłem płytę z górnej półki i zobaczyłem naklejoną z przodu fotografię jednej z nagich kobiet z piwnicy mauzoleum, dokładnie w takiej pozie, w jakiej zabójca ją posadził w swoim drugim magazynie trofeów.

Sprawdziłem kilka innych z najwyższej półki. Tak jak pierwsza, miały naklejone zdjęcia martwych ofiar, każda z datą i nazwiskiem. Ale tu było znacznie

więcej DVD niż zwłok w mauzoleum.

Obejrzałem kilka z dolnej półki i odkryłem, że podobnie jak na górze, ustawiono je od lewej do prawej według dat. Najwcześniejsza pochodziła z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku.

Widocznie filmował te pierwsze ofiary na taśmie 8 mm, a później używał kamery wideo. W miarę rozwoju technologii przenosił swoje archiwa na taśmy wideo, a potem na płyty DVD. Doświadczenie w przemyśle filmowym i bogactwo zapewniły mu wiedzę i środki, żeby zmodernizować sfilmowane zapisy okropności, jakich się dopuścił. Na pewno miał w domu dobrze wyposażone małe studio, gdzie montował filmy i kopiował na nowo wynalezione, bardziej zaawansowane formaty.

Nie policzyłem płyt. Nie mogłem. Na pewno było ich więcej niż sto pięćdziesiąt.

Zastanawiałem się, gdzie są pozostałe ciała, i miałem nadzieję, że nigdy ich nie znajdę.

Chciałem spalić tę gablotę. Wiedziałem, co było na tych dyskach: każda kobieta żywa i przestraszona, potem to, co jej robił, żeby się zabawić, i wreszcie jak ją zabijał, niekiedy w obecności Victorii, której pozwalał patrzeć. Uważałem, że nikt nie powinien oglądać tych kobiet, ich przerażenia, upokorzenia i poniżenia. Nawet gliny, prokuratorzy i sędziowie.

Odeszły i może to nie miało znaczenia, ale nie było w porządku. Te obłąkańcze amatorskie filmy redukowały życie każdej z nich do męki, w której najmniej była sobą, w której została złamana. Każda załamała się psychicznie i emocjonalnie, ponieważ Cloyce tak dobrze znał się na taktyce i technice terroru, że potrafił je drzeć aż do skutku. Miał do dyspozycji cały czas świata, żeby pozabawić swoją ofiarę wszystkiego, co w niej najważniejsze, splugawić ją i zdegradować do punktu, w którym śmierć jest ulgą. Cały czas świata.

Płyty DVD stanowiły dowód. Dopóki będą potrzebne do wymierzenia sprawiedliwości, nie mogłem ich zniszczyć.

Akceptując ten fakt, rozumiałem konsekwencje: żeby sfilmowane dowody nie były potrzebne, musiałbym sam wymierzyć ostateczną sprawiedliwość wszystkim mieszkańcom Roseland oprócz chłopca, kobietom na równi z mężczyznami. Siedem wyroków śmierci.

Podświadomie chyba wiedziałem, czego ode mnie zażąda los, od chwili, kiedy zobaczyłem zakonserwowane trupy w podziemiach mauzoleum. Teraz jednak nie mogłem dłużej zamykać oczu na fakt, że miałem zostać biczem bożym, a nie tylko uwolnić chłopca i odejść z nim. Nie mogłem ograniczyć zabijania do samoobrony albo obrony dziecka.

Nogi ugięły się pode mną. Usiadłem na pobliskim krześle.

W domu jak zwykle panowała cisza. Żaden dźwięk nie odrywał mnie od ponurych myśli.

Żeby oszczędzić ofiarom Cloyce'a dalszego szargania ich pamięci, musiałem zostać biczem bożym. Żeby uchronić innych przed zarażeniem deprawacją Cloyce'a, gdyby go zobaczyli przy pracy, musiałem zostać biczem bożym. Żeby technologia sterowania czasem nie wpadła w ręce władz i nie skorumpowała ich do końca, jeśli jeszcze nie są skorumpowane, musiałem zostać biczem bożym.

Bicz boży to nie bohater.

Nigdy nie uważałem się za bohatera, ale też nigdy sobie nie wyobrażałem, że zostanie czymś takim.

Bicz boży przyjmuje władzę, której nie posiada. Założyłem, że mam prawo chronić pamięć martwych kobiet przed splamieniem, przyjąłem także założenie, że technologia sterowania czasem nieuchronnie zostanie użyta do złych celów, jeśli jej nie zniszczę i nie zabiję wszystkich, którzy o niej wiedzą.

Bicz boży narusza społeczny i uświęcony porządek. Księżę Hamlet nie był bohaterem *Hamleta*. Jego misja polegała na głoszeniu prawdy i ewentualnym ukaraniu winnych. Ale nie potrafił całkowicie uwierzyć w pierwszą połowę tej misji i w końcu odegrał rolę bicza bożego.

Bicz boży zawsze musi sam też ponieść karę.

Hamlet nie przeżył *Hamleta*. Mojżesz, który zgładził trzy tysiące ludzi, nie dożył, żeby zobaczyć ziemię obiecaną.

Zabójca taki jak Cloyce był mordercą, zabijał z niewłaściwych powodów, ale kierowany przymusem.

Bicz boży zapuszczał się w mroczniejsze obszary. Nie zmuszały go do zabijania zaburzenia psychiczne, rozchwianie emocjonalne czy samolubna żądza. Bicz boży podejmował starannie przemyślaną decyzję, żeby zabijać w ilościach, które przekraczają absolutne minimum niezbędne dla własnego przetrwania i obrony niewinnych. Nawet jeśli zabijał ze słusznych powodów, podnosił bunt przeciwko porządkowi społecznemu i władzom.

Ten, kto zabija, będzie zabity. Wypełniając w Roseland tę ponurą misję, sam sprowadzę na siebie śmierć.

Wiedziałem jednak, że nie wycofam się ze swojej decyzji.

Siedziałem pod szklanookimi zwierzęcymi łbami i wcale nie miałem ochoty wstać, żeby iść dalej.

Wstałem i poszedłem dalej. Ostatnimi pomieszczeniami w prywatnych apartamentach Constantine'a Cloyce'a były sypialnia i przyległa do niej łazienka.

Chociaż sypialnia wyglądała zwyczajnie, możliwe, że właśnie tutaj przez lata Cloyce torturował i zabijał swoje ofiary. Nie mogłem tego sprawdzić, dopóki nie obejrzałem kilku DVD, ale przecież nie zamierzałem ich nigdy odtwarzać.

Z łóżka zdjęto pościel. Pewnie była w praniu, którego nie pozwoliłem Victorii Mors dokończyć.

Naprzeciwko łóżka, ostro kontrastując z antycznymi meblami, wisiał na ścianie duży plazmowy telewizor. Domyślałem się, co Cloyce najbardziej lubił oglądać w nocy, zanim zmorzył go sen.

Potem przyszło mi do głowy, że zanim zrobił cokolwiek nowej porwanej kobiecie, mógł jej pokazać, co ją czeka, puszczać kilka swoich ulubionych DVD.

Tamten dzień w Pico Mundo, kiedy straciłem Stormy, na zawsze pozostanie najgorszym dniem mojego życia, chociaż od tamtej pory każde miejsce, które odwiedzam, wydaje się gorsze niż poprzednie.

Zadrżałem i nie mogłem przestać się trząść.

Na blacie w przestronnej łazience stało kilka antycznych słoików aptekarskich ze szklanymi korkami tak dobrze dopasowanymi, że siedziały ciasno jak gumowe zatyczki. Słoje zawierały porcje białego proszku o subtelnie odmiennych konsystencjach.

Nigdy nie próbowałem uwolnić się od brzemienia mojego daru za pomocą narkotyków. Widuję dostatecznie dużo dziwnych rzeczy bez sztucznego wywoływania halucynacji. Ponadto, obserwując ćpunów, przekonałem się, że chemicznie indukowana euforia podlega swoistemu prawu grawitacji: to, co wzlatuje, musi w końcu runąć w dół.

Chociaż nie potrafiłbym rozróżnić po smaku czy zapachu, który z proszków jest kokainą, heroiną lub czymś innym, nie wątpiłem, że to narkotyki. Przede wszystkim na srebrnej tacy obok słoików leżała krótka srebrna rurka, przez jaką bardziej eleganccy ludzie wciągają kokę. Obok zaś znajdowały się głęboka łyżka, do połowy stopiona świeczka i strzykawki w hermetycznych opakowaniach.

Cloyce był taką imponującą postacią, o postawie i zachowaniu arystokraty oczekującego, żeby go zauważano i podziwiano, taki barczysty i muskularny, taki czujny i bystrooki, że nigdy bym go nie podejrzewał o zażywanie twardych narkotyków. Ale jeżeli w prosty sposób mógł użyć maszyny Tesli, żeby cofnąć lata i znowu być taki młody, jak zapragnął, może potrafił również likwidować długotrwałe wyniszczające skutki heroiny i jej podobnych.

Jeśli oni potrafili okresowo naprawiać konsekwencje zażywania narkotyków, może wszyscy byli ćpunami. Z własnej woli uwięzieni w Roseland, zdecydowani uciec przed śmiercią, ale pozbawieni przeżyć, które wypełniałyby czas, mieli wszelkie powody — i żadnych przeciwwskazań — żeby zarzucać prochy, wciągając

kokę czy dawać sobie w żyłę. Niechętni podróżom, woleli odjazdy na narkotykach, stymulantach i halucynogenach.

W apteczce stało mnóstwo buteleczek z lekarstwami na receptę. Raczej nie były przeznaczone do leczenia chorób i niedomagań. Służyły wyłącznie rozrywce.

Dreszcze, których nie mogłem opanować, nasiliły się, aż poczułem się tak, jakbym miał w żyłach kawałki lodu.

Zważywszy, że ci ludzie nie mieli żadnych hamulców moralnych, że spodziewali się żyć setki lat, że odrzucili wszelkie ludzkie uczucia, że wierzyli w swoją całkowitą bezkarność, że byli zdolni do brutalności nie na miarę zwykłych mężczyzn i kobiet, lecz bezlitosnych bogów, jakich wyobrażały sobie pierwsze prymitywne ludzkie istoty — będą nieopisanie bezwzględni w dążeniu do zaspokojenia swoich mrocznych żądz.

Dodajmy do tego skutki narkotyków... a wobec okrucieństwa tych ludzi nawet drapieżne wampiry wydadzą się łagodne. Mieszkańcy Roseland z pewnością byli większymi potworami niż odmieńce, które Kenny nazywał świniakami.

To, co sobie wyobrażałem na płytach DVD, stanowiło pewnie ułamek potworności, jakie rzeczywiście na nich nagrano.

I nagle wiedziałem, że Victoria mnie okłamała, mówiąc, że chociaż inni pomagali Cloyce'owi zdobywać kobiety dla jego rozrywki, nie podzielali jego upodobania do tortur i mordów. Jeśli nie uczestniczyli w krwawych zabawach Cloyce'a, to dlatego, że woleli zaspokajać własne potworne żądze.

Sądziłem, że wreszcie poznałem sekrety Roseland, ale teraz zrozumiałem, że czekają na mnie następne, jeszcze gorsze. Nie zamierzam ich odkrywać. Nie musiałem wiedzieć. Nie chciałem wiedzieć. Oglądanie demonicznych koszmarów zbyt długo i dokładnie to zaproszenie dla szaleństwa i jeszcze gorszych rzeczy.

Wychodząc z łazienki, myślałem, że skończyłem tutaj, ale coś przyciągnęło mnie do narożnego biurka w sypialni, na którym stał komputer. Intuicja zarzuciła wędkę, złapała mnie na haczyk i wlokła w stronę pliku kartek na biurku.

Leżały zadrukowaną stroną do dołu i kiedy je odwróciłem, zobaczyłem, że to wydruki wiadomości ściągniętych z internetu. Nie najnowszych. Dotyczyły młodego kucharza z baru szybkiej obsługi, który załatwił zabójców popełniających masowe morderstwo w galerii handlowej w Pico Mundo, Kalifornia, ponad osiemnaście miesięcy wcześniej. Czterdzieści jeden osób zostało rannych. Dziewiętnaście zginęło. Policja powiedziała, że gdyby nie młody kucharz, zginęłyby setki. Tak zwany bohater nie uważał się za bohatera i nie chciał rozmawiać z mediami. Jedyna jego fotografia zamieszczona w prasie pochodziła ze szkolnego albumu i wyglądał na niej dość głupkowato.

Cloyce uważał, że powinien mnie poznać.

Znając mnie, podejrzewał, że zniknięcie Victorii to moja sprawa.

Teraz, kiedy mnie znano i poszukiwano równie gorliwie jak Victorii, uwolnienie chłopca i ucieczka z Roseland były właściwie niewykonalne.

Czyjaś ręka opadła mi na ramię i przez chwilę myślałem, że osiwieję. Ale to nie był Cloyce. To był pan Hitchcock. Pokazał mi podniesiony kciuk na znak, że wszystko w porządku.

— No, mam nadzieję — powiedziałem.

Podniósł oba kciuki i taktownie znikł.

Stojąc za rogiem w zachodnim skrzydle, słuchałem, jak tamci kończą przeszukiwać pokoje w długim południowym korytarzu. Działali w parach i nie oddalali się zbyttno od siebie.

Jeśli się nie bali, przynajmniej cholernie się martwili. Dopuszczali możliwość, że Victoria nie żyje. Jeżeli została zabita, jej bilet do fizycznej nieśmiertelności stracił ważność. A jeśli ją zabito w murach Roseland, taki sam los mógł spotkać pozostałych.

Zgromadzili się na końcu południowego skrzydła. Słyszałem, jak ustalają, że zejną razem na parter tylnymi schodami służbowymi i sprawdzą kuchnię. Kiedy uciuchł tupot stóp, wszedłem do południowego skrzydła i pospieszyłem do pokoju chłopca.

Dom był ogromny, a oni posuwali się naprzód powoli, ponieważ musieli zachować ostrożność, wkrótce jednak znajdują Victorię Mors, związaną i zakneblowaną za bojlery w kotłowni. I dowiedzą się, że jestem w domu, pomimo dowodów świadczących o mojej nieobecności. Victoria i Shilshom przyłączą się do polowania. Tylko Henry Lolam, uwięziony w stróżówce, dopóki odmienne grasują po posiadłości, nie będzie miał przyjemności wpakować mi kulki.

Wszedłem do pokoju chłopca bez pukania.

Jeśli wcześniej znajdował się w transie, z oczami wywróconymi w głąb czaszki, ojciec i inni wyrwali go z tego stanu, kiedy przeszukiwali jego pokój. Siedział w fotelu, otoczony książkami, z których próbował czerpać życie, jakiego mu odmówiono.

Wydawał się mały i żałosny. Najwyraźniej nie uwierzył w moją obietnicę, że wrócę.

Siadając na otomanie przed fotelem, powiedziałem:

— Timothy. Tak się nazywasz. Timothy Cloyce.

— Szukają cię — oznajmił.

— Jeszcze nie. Szukają Victorii, ale kiedy ją znajdą, zaczną mnie szukać.

— Sondra — powiedział.

— Co?

— Wtedy miała na imię Sondra. Nie pamiętam jej nazwiska. Chyba nigdy go nie słyszałem.

— Znałeś ją?

— Ją i Glendę... która teraz nazywa się Valerie Tameed. Były jego kochankami. Lubili trójkąty... no wiesz, wszyscy razem w jednym łóżku.

Zaskoczyła mnie i zmieszała jego orientacja w sprawach seksu, chociaż wiedziałem, że nie jest dwudziolatkiem chłopcem, na jakiego wygląda. Według plakietki w mauzoleum urodził się we wrześniu w roku tysiąc dziewięćset

szesnastym. Miał teraz dziewięćdziesiąt pięć lat i dysponował wiedzą czytanego starca, chociaż brakowało mu doświadczenia.

Jak przy poprzedniej wizycie, uderzył mnie wyraz jego złotobrązowych oczu, samotność tak głęboka, że granicząca z rozpaczą, sugerująca wewnętrzny pejzaż bezradosny i ponury, chociaż może jeszcze nie wymarły. Nigdy nie spotkałem takich oczu, których jedno spojrzenie mogło mnie napęlić bezbrzeżnym smutkiem.

Zważywszy, jak długo żył w ten sposób, należało uznać za jego triumf, że nie zwariował. Może ta część jego umysłu, która pozostała dzieckiem, z dziecięcym zachwytem i upartą nadzieją podtrzymywała go na duchu.

Wyjąłem ręcznik z powłoczki i rozwinąłem piłą do metalu. Wahałem się, czy zapytać o Madrę, ale przypomniałem sobie, że Timothy nie jest delikatnym dzieckiem... a przynajmniej nie tylko dzieckiem.

— Twój ojciec zastrzelił twoją matkę. Dlaczego?

— Miała zostać ze mną w posiadłości w Malibu, gdzie spędzał połowę czasu. Drugą połowę spędzał tutaj. To miała być jego kryjówka, wyłącznie dla niego i jego kumpli. Moja matka była słodka... i zbyt uległa. Może podejrzewała, że utrzymywał kobiety, ale pozwalała mu na ten azyl. Nigdy tu nie przyjeżdżała... dopóki nie zabrał jej ulubionego konia ze stajni w Malibu i nie przywiózł do Roseland.

— Wielki czarny ogier — powiedziałem. — Fryzyjczyk.

— Nazywał się Czarny Mag, w skrócie Mag. Kupił Maga dla niej. Kiedy stał się jej ulubionym koniem, ojciec uznał, że to również jego ulubiony koń. Zawsze dawał jej prezenty, a potem odbierał.

Wziąłem prawą rękę Timothy'ego, podciągnąłem rękaw swetra i odsłoniłem transponder GPS.

— Przyjechała bez zapowiedzi aż do Roseland, żeby odzyskać konia. Zabrała mnie, bo myślała, że on może odmówić jej, ale nie nam obojgu.

Oparłem jego rękę na poręczy fotela i wyjaśniłem, że musi trzymać się mocno, żeby bransoletka monitorująca nie ślizgała się pod piłą.

— W tamtych czasach to była długa podróż, cztery godziny w fordzie T, wielka przygoda, zwłaszcza dla samotnej kobiety z małym chłopcem. Ciągle pamiętam, jakie to było przeżycie.

Bransoletka miała akurat tyle luzu, że zdołałem wcisnąć róg rącznika pomiędzy nią a nadgarstek Timothy'ego. Kiedy piła przetnie stał do końca, rącznik osłonił skórę przed zadrażnieniem.

— Nie zdziwiła się, kiedy zastała Pauliego Sempiterno w stróżówce. Od dawna był ochroniarzem ojca. Paulie uprzedził ojca przez telefon, zanim odesłał nas do głównego domu.

Z pewnością miałem co najmniej piętnaście minut, prawdopodobnie dwadzieścia albo więcej, zanim Cloyce i jego zespół znajdą Victorię Mors... dawniej Sondrę.

— Matka nie mogła uwierzyć we wspaniałość Roseland. Wiedziała, że zamierzał zbudować luksusowy wiejski dom, ale nie przypuszczała, że aż tak spektakularny. Nie pokazał jej planów. Był dominujący. A ona, jak mówiłem, była uległa... do czasu.

Sprawdziłem naciąg ostrza i poprawiłem nakrętkę.

— Sondra i Glenda mieszkały w skrzydle gościnnym. Ojciec powiedział matce, że to skrzydło dla służby, a one posłusznie odgrywały rolę pokojówek przez krótki czas jej pobytu w Roseland. Oczywiście to nie było ani skrzydło gościnne, ani skrzydło dla służby. To był zwykły kurwidolek.

Pomyślałem, że nigdy nie przywyknę do takich słów padających z ust dziewięciolatka. Wstałem z otomany i pochyliłem się nad chłopcem, żeby zacząć robotę.

— Matka widziała stajennych i trenera, który przyjeżdżał codziennie zajmować się końmi, ale nie mieszkał na terenie posiadłości. Jednak nie rozumiała, jak raptem dwie pokojówki, kucharz i kilku ochroniarzy mogą prowadzić taki wielki dom. A gdzie są ogrodnicy do tych wszystkich trawników i kwiatów?

Bransoletka miała trzy równoległe rzędy ogniwek, jak pasek zegarka. Gdyby rzędy były ustawione równo, mógłbym przepiłować najsłabsze połączenie między nimi. Jednak środkowy rząd był przesunięty w stosunku do skrajnych. Musiałem przeciąć prawie trzy centymetry stali.

— Ojciec powiedział jej, że ogrodnicy mają wolny dzień, wszyscy tego samego dnia, chociaż był wtorek. Wyjaśnił, że duża ekipa sprzętaczek przyjeżdża trzy razy w tygodniu, ale Sondra i Glenda to jedyne pokojówki na stałe.

Przyłożyłem piłę do bransoletki, żeby zęby wgrzyzły się w stal, nie za mocno, żeby ostrze nie pękło, i wykonałem długie, łagodne pociągnięcie.

— Nie wiem, co jeszcze powiedział matce, ale musiała się zorientować, że łamał.

Początkowo piłowałem tylko do przodu, dopóki nacięcie nie zrobi się dostatecznie głębokie, żeby przytrzymać ostrze, kiedy będzie się ślizgać tam i z powrotem.

— Tamtego popołudnia zgodził się jej oddać Maga. Ale ona nalegała, żeby jechać razem z koniem, kiedy go będą odwozić do Malibu. Było już za późno, żeby załatwić transport. Zostaliśmy więc na obiad i na noc.

Musiałem się skupić, żeby wykonać tylko jedno nacięcie i żeby ostrze nie zjeżdżało na boki, więc nie patrzyłem na Timothy'ego, ale jego głos wywoływał przed moimi oczami obrazy i czułem się tak, jakbym oglądał opowiadaną historię.

Tamtej pamiętnej nocy pościelono mu na sofie w salonie ojca w zachodnim skrzydle. Rodzice udali się do sypialni w tym samym apartamencie.

Chociaż zmęczony, Timothy był również podekscytowany nowym miejscem — i z niewyjaśnionych powodów czuł się nieswojo. Spał lekko i zbudził się w nocy, kiedy ojciec w szlafroku i kapiach przeszedł przez salon i wyszedł na korytarz.

Chłopiec, fan radiowych audycji kryminalnych, podejrzewał, że kroi się jakaś intryga, więc postanowił odegrać rolę detektywa. Wstał z sofy, podbiegł do drzwi, otworzył je cichutko i wymknął się na korytarz.

Z podnieceniem, ale ostrożnie śledził ojca przez cały dom, trzymając się w takiej odległości, że dwukrotnie omal nie zgubił tropu zwierzyny... i w końcu go zgubił. Wędrował przez labirynt korytarzy, oświetlonych księżycem w pełni, który wlewał upiorny blask przez wielkie okna.

Po jakimś czasie, nie zdając sobie z tego sprawy, dotarł do gościnnego skrzydła na parterze, gdzie na korytarzu paliły się lampy. W jednym pokoju usłyszał ludzi,

cichy śmiech jednej kobiety i pojękiwanie innej.

Stał pod drzwiami i słuchał. Od czasu do czasu wychwytywał stłumione słowa, nagłące okrzyki czy jęki, zarówno kobiece, jak i męskie, wyrażające rozkosz albo ból, i nabierał przekonania, że tam się dzieje coś ogromnie ważnego i strasznie dziwnego.

Bohaterowie radiowych seriali, których podziwiał, byli inteligentni, zuchwali i nieustraszeni. Nigdy nie okazywali lęku i nigdy się nie cofali. A ponieważ zawsze wybierali właściwą chwilę, zawsze triumfowali.

Ośmielił się uchylić drzwi.

Za drzwiami znajdował się pokój dzienny, oświetlony tylko blaskiem padającym przez otwarte drzwi przyległej sypialni.

Przyciągany jakby magnesem, chłopiec sunął przez pokój w stronę dwóch nocnych lamp o abażurach z plisowanego jedwabiu, rozsiewających blask koloru brzoskwini.

Przed progiem sypialni zatrzymał się na widok ojca w łóżku z Sondrą i Glendą. W tamtej niewinnej epoce chłopiec był za młody, żeby zrozumieć, co właściwie widzi, ale mógłby się zorientować, gdyby obroza na szyi Sondry i czarne jedwabne sznury, którymi była przywiązana do słupków łóżka, nie dodawały tej scenie tajemniczości.

Równie dziwaczna wydawała się obecność Chianga Pu-yi, obecnie znanego pod nazwiskiem Jama Diu. Timothy widywał go w towarzystwie ojca kilkakrotnie w ciągu poprzednich kilku lat.

Później dowiedział się, że Chiang Pu-yi był bardzo zamożnym człowiekiem, prowadzącym interesy w Hongkongu i w Anglii. Chiang i Constantine poznali się w Londynie, gdzie obaj spędzili trochę czasu z Aleisterem Crowleyem, adeptem magii i przywódcą kultu, który nadał sobie miano Bestii z Apokalipsy. Każdy dostrzegł w tym drugim odbicie samego siebie, niepowstrzymaną żądzę władzy.

Tamtej nocy w dwudziestym piątym roku Chiang Pu-yi siedział w fotelu po drugiej stronie łóżka, naprzeciwko otwartych drzwi, obserwując orgię w trójkącie. Był dziwnie ubrany. Timothy nie pamiętał, co Chiang miał na sobie, ponieważ najbardziej go uderzyło, że ten człowiek, znacznie starszy od Constantine'a, wyglądał dużo młodziej niż wtedy, kiedy chłopiec go ostatnio widział.

Oszołomiony, przez długą chwilę stał w półcieniu tuż za progiem. Coś go przyciągało i jednocześnie odpychało, czuł narastający strach, chociaż sam nie wiedział, czego się boi.

A potem odniósł wrażenie, że wzrok Chianga przesunął się z trójki w łóżku na niego. Chiang się uśmiechnął i chłopiec nabrał pewności, że został odkryty. Natychmiast uciekł.

Zanim dotarł do sypialni na piętrze, gdzie spała jego matka, przedziwny urok sceny w skrzydle gościnnym ustąpił miejsca przerażeniu. Chociaż Sondra nie wydawała się przestraszona, chłopiec pomyślał, że oni ją zabijają.

Obudził matkę z pewnym trudem, dlatego, jak się później dowiedział, że ojciec po obiedzie domieszał jej do drinka środek nasenny. Po tylu godzinach lekarstwo wciąż działało. Ale dobudził ją i na swój dziecinny sposób przekazał jej większość tego, co widział.

Madra zorientowała się, że jej zamroczenie to skutek narkotyku, i postanowiła natychmiast wyjechać. Jeśli mąż mógł jej zrobić coś takiego — i uczestniczyć

w tym, co widział chłopiec — to był zdolny do każdej podłości. Przez lata małżeńskiego pożycia wielokrotnie dostrzegła w nim niepokojącą gwałtowność, którą starała się ukrywać. Niewzłocznie chwyciła tylko kurtkę chłopca i zbiegła razem z nim po schodach.

Wyszli z domu frontowymi drzwiami, ale na podjeździe nie znaleźli swojego forda. Madra nie miała pojęcia, gdzie go szukać, ponieważ nigdzie nie widziała garażu. A potem uświadomiła sobie, że nawet jeśli znajdzie samochód, w środku może nie być kluczyków.

Wiedziała jednak, gdzie są stajnie i gdzie znajdzie swojego ukochanego fryza, Maga. A do konia nie potrzebowała kluczyka.

Chociaż mały Timothy osłabł i trząśł się ze strachu, a jego matka walczyła z narkotycznym odurzeniem, zdawali sobie sprawę, że Constantine na pewno zaczął już ich szukać. Później chłopiec dowiedział się, że Chiang Pu-yi był naćpany i chociaż zauważył małego podglądacza, nie wyciągnął z tego chwilowo żadnych wniosków, tylko pogrążył się w chorych fantazjach o roli, jaką mógłby odegrać dziwieńciołatek w tej orgii.

Matka i syn pobiegli do stajni przez noc, pod księżycem w pełni. Znakomita amazonka z siodłem czy bez siodła, Madra nie traciła czasu na uprząż, tylko stanęła na kamieniu do wsiadania i wskoczyła na konia na oklep. Wciągnęła chłopca, posadziła go przed sobą i kazała mu się trzymać grzywy. Chwyciła grzywę prawą ręką, lewą objęła syna i ruszyła cwałem do bramy, nie ryzykując galopu, żeby chłopiec nie spadł, trzymając się z dala od głównego domu.

Nocą, kiedy nie trzeba było sprawdzać żadnych gości ani stajennych pomocników, stróżówka stała pusta. Madra zamierzała sama otworzyć bramę, pojechać do miasta i może zadzwonić do kogoś zaufanego albo nawet zawiadomić władzę, że mąż podał jej narkotyk i dopuścił się nierządnych czynów na oczach ich dziecka.

Ostrze piły pękło i urwał się film, który malowały w mojej wyobraźni słowa chłopca.

Kiedy wyciągałem zapasowe ostrze z paczki, którą zabrałem razem z piłą, Timothy powiedział:

— Stał nago na podjeździe, błydy jak duch w świetle księżyca. Zobaczyliśmy go z karabinem chwilę za późno. Wtedy nie widziałem, jak zabijał matkę, ponieważ strzelił i zabił najpierw mnie.

Wspomniałem przedtem o zdjęciu z mojego szkolnego albumu, na którym wyglądałem dość głupkowato. Po wyznaniu Timothy'ego poczułem, że moja twarz przypomina ten aż nazbyt znajomy wyraz.

Wcześniej w apartamencie chłopca, kiedy pani Tameed nie wiedziała, że chowam się obok za drzwiami, przypomniała mu, że różni się od reszty z nich, i nazwała go „trupem”. Myślałem, że mu groziła. Nie zdawałem sobie sprawy, że mówiła dosłownie.

— Pierwsza kula strąciła mnie z konia i zabiła mnie na miejscu. Drugą trafił Maga, ale go nie zabił. Podobno matka kazała koniowi uklęknąć, kiedy ojciec złożył się do trzeciego strzału, który ją zabił. Potem podszedł do ogiera i dobił go. Strzelił do niej jeszcze dwa razy, chociaż już nie żyła.

Nie mogłem pozwolić, żeby mnie rozpraszały te rewelacje, nawet najbardziej zdumiewające czy wręcz nie do uwierzenia. Poszukiwacze wkrótce zejdą do piwnicy, jeśli już tam nie dotarli. Za parę minut znajdą Victorię Mors.

Przyszło mi teraz do głowy, w świetle zabawy w krępowanie z Cloyce'em, że Victoria mogła czerpać perwersyjną przyjemność z tego, że ją uderzyłem, wziętałem i na końcu zakneblowałem.

Wiem, że z ogromną przyjemnością napłuła mi kilka razy w twarz.

Wyjmując złamane ostrze z piły drżącymi rękami, powiedziałem:

— Martwy. Nie rozumiem. Przecież nie umarłeś. Jesteś tu, żyjesz.

Czysty jak dzwoneczek głos chłopca z chóru znowu nabral powagi zbyt ciężkiej dla dziecka.

— Poszedłeś do mauzoleum, jak ci kazałem?

— Tak. Zszedłem do piwnicy... i do drugiej piwnicy.

Nawet w ciepłym blasku lampy twarz mu poszarzała, a wargi pobladły.

— Więc widziałeś.

— Tak.

— Wiesz o Nikoli Tesli?

— Tak. Wbudowana pod budynki, w mury... jakaś maszyna... która steruje czasem.

— Budynki i teren — oznajmił Timothy — utrzymywane są w stanie... no, można to nazwać zawieszeniem czynności życiowych, chociaż nie całkiem o to chodzi.

— Hipostaza — podsunąłem.

— Ale prąd, który zasila rezydencję, nie zapewnia ludziom młodości. Kiedy się zestarzeją bardziej, niż sobie życzą, muszą użyć innej części maszyny na szczycie...

— ...wieży gościnnej — wtrąciłem, przykręcając nowe ostrze do ramion piły. — Nie widziałem jej. Tylko się domyślałem, że tam jest.

Drżenie rąk utrudniało mi pracę. Nie rozumiałem, skąd się wzięło. To, co mi powiedział Timothy, wcale nie było gorsze od tego, co już wcześniej odkryłem w Roseland.

— Tę część maszyny nazywają chronosferą — podjął. — Jeśli postrzegać przeszłość jako głębię czasu, a terażniejszość jako powierzchnię, ta rzecz płynie przez czas jak batysfera w oceanie. Przynajmniej w jednym kierunku.

Sprawdziłem naciąg nowego ostrza. Ręce mi się trzęsły jeszcze bardziej, jakbym sam uległ zaburzeniom czasu w Roseland, zestarzał się nagle i zachorował na parkinsona.

— Kiedy jadą do tyłu w czasie — ciągnął chłopiec — lata z nich opadają. Ich ciała stają się młode i sprawne, bo ciała to rzeczy materialne. I chociaż starcze zmiany w mózгах też zostają naprawione, ich osobowości, wiedza i wspomnienia się nie zmieniają, bo umysł jest bezcielesny.

— Więc czemu się nie starzeją, kiedy wracają do terażniejszości?

— Ponieważ nie wracają poprzez czas. Wracają poza czasem. Chronosfera to nie jest tylko wehikuł czasu, który porusza się wstecz i z powrotem, ale przemieszcza się również w bok, przez membranę oddzielającą czas od tego, co leży poza czasem. Nie udaję, że to rozumiem. Wątpię, czy którekolwiek z nich rozumie. Tylko Tesla wiedział i chyba tylko on potrafił to zrozumieć. I Einstein.

Z odległego zakamarka umysłu wzywała mnie mroczna koncepcja niczym upiór nawiedzający ciemny kąt pokoju. Próbowiałem ją zamknąć za mentalnymi drzwiami, bałem się jej, ponieważ przeczuwałem, że gdybym zaczął się nad nią zastanawiać, nieuchronnie wprowadziłbym ją w życie, a wtedy zniszczyłbym siebie i wszystko, co się dla mnie liczy. Teraz znałem przyczynę mojego drżenia.

Wieczny chłopiec powiedział:

— Oni po prostu jadą w tej maszynie wstecz, a potem wracają. Nie powinno się z niej wysiadać w innym czasie.

— Ale to możliwe?

— Można nastawić przyrządy tak, że chronosfera zaparkuje w jakimś innym roku. Można wysiąść, żeby zbadać jakiś moment z przeszłości. Ale tego się nie robi.

— Czemu?

— Konsekwencje podróży w czasie są niepoznawalne. Lepiej nie ryzykować. Z tego, co odkrył Nikola Tesla, wydaje się jasne, że nie można zmienić niczego w przeszłości, ponieważ jest ustalona. Cokolwiek tam zrobisz, nie zmienisz swojej przyszłości. Co się stało, to się stanie. Każda wprowadzona zmiana zostaje skasowana przez... nazwijmy to przeznaczeniem. Ale nieznane ryzyko nadal uważa się za zbyt wielkie.

Pokonałem drżenie i wsunąłem nowe ostrze w linię nacięcia na bransoletkę.

— Ale twój ojciec użył maszyny właśnie w ten sposób.

— Nie chciał zabić mnie, tylko moją matkę. Jak już strzelił, przez chwilę miał wyrzuty sumienia.

Piłując bransoletkę, powiedziałem:

— Pojechał chronosferą wstecz do jakiegoś punktu, zanim cię zabił. Tam zaparkował.

— Wkrótce po tym wydarzeniu cofnął się w czasie. Czekał w stajni, kiedy matka ze mną przyszła. Wziął ze sobą pistolet i zastrzelił ją na moich oczach.

Wcześniej, opowiadając o matce zastrzelonej na grzbiecie Maga, powiedział: „Wtedy nie widziałem, jak zabijał matkę”.

Wtedy.

— Nie zastrzelił Maga, tylko ją. Ale kiedy zabrał mnie ze sobą do obecnego Roseland, ogier wciąż leżał martwy na trawniku. I moja matka. I ja.

Uniosłem piłę znad bransoletki.

Za każdym razem, kiedy patrzyłem prosto w bezdenne oczy chłopca, wstrząsała mną widok tak głęboko zranionej duszy wyglądającej z więzienia bezwicznego ciała. Musiałem jednak patrzeć, żeby zobaczyć w moich oczach współczucie dla jego straszliwego cierpienia i żebym nie musiał o tym mówić.

— Co się stało, to się stanie — powtórzyłem jego słowa. — Nazwijmy to przeznaczeniem.

Constantine Cloyce wyrwał swojego syna z ustalonej historii przeszłości, zabrał go poza czas, a potem do teraźniejszości, i w ten sposób stworzył paradoks. Wiedziałem wszystko o paradoksach czasowych z filmów i książek, ale żaden nie mógł się z tym równać. Jeśli o tym myślałeś za długo, myśli splątywały się w węzeł gordyjski, którego nie można ani przeciąć, ani rozwiązać.

Timothy podjął:

— Umieścili ciało mojej matki w podziemiach mauzoleum, żeby mógł je oglądać, kiedy zechce, z powodów, które pojmował tylko jego pokręcony umysł. Sempiterno i Lolam... wtedy nazywali się Carlo Luca i James Durnan... pracowali z Chiangiem przez całą noc, żeby usunąć zwłoki konia z trawnika i zakopać na łące.

Znowu zabrałem się do piłowania.

— A twoje zwłoki? To znaczy... zwłoki tego drugiego Timothy’ego?

— Kula przeszła na wylot. Nie można było ustalić, z jakiej broni zostałem... on został zastrzelony. Więc upchnęli zwłoki na podłodze przed siedzeniem pasażera w samochodzie mojej matki. Glenda pojechała nabrzeżną autostradą bardzo daleko na południe i zaparkowała w zatoczce, w odludnej okolicy. Sondra jechała za nią drugim wozem. Rozsmarowały krew mojej matki na fotelu kierowcy i zostawiły tam samochód z szeroko otwartymi drzwiami.

— Próba kidnapingu, która się nie udała?

— Tak miała zakładać policja.

— Bandyty porwali twoją matkę, ale zginęła, zanim zdążyli zażądać okupu.

— Coś w tym rodzaju.

— I gliny to kupiły?

— Mój ojciec był powszechnie szanowany. Poza tym niektóre władze można było wtedy kupić, zresztą tak jak teraz. Ojciec wiedział, kogo opłacić i jak.

— Pewnie było o tym głośno.

— Nie tak bardzo, jak myślisz. Pamiętaj, że był właścicielem wielu gazet. Krótko trzymał redaktorów. I miał niejednego haka na swoich konkurentów, więc ich też trzymał za twarz. Nie miał politycznych wrogów, jak William Hearst, i kiedy zamknął się w Roseland pod pretekstem żałoby, udając odludka pogrążonego w depresji, zostawili go w spokoju.

— Twoje prochy... prochy tego drugiego Tima są w urnie w ścianie mauzoleum.

— Tak.

— Czyje prochy są w jej urnie?

— Niczyje. Oficjalnie ciała matki nigdy nie znaleziono. Jej pochówek był czysto symboliczny. Oczywiście w urnie mojego ojca też nie ma prochów.

Ostrze przepiłowało ostatnie ogniwo i monitorująca bransoletka zsunęła się z nadgarstka.

— Przez lata trzymali mnie pod kluczem albo dosłownie na łańcuchu, dopóki nie wynaleziono technologii, dzięki której mogą mnie pilnować w ten sposób.

Upuściłem piłę i wstałem.

Timothy też wstał z fotela.

— Umarłem. A jednak żyję. Nic mojego życia została przecięta tamtej nocy, a przecież tu stoję. Mój umysł rozwinął się, dojrzał, ale fizycznie nigdy się nie zmienię. Dorastanie i dorosłość znam jedynie z książek, mogę tylko czytać o życiu w wieku powyżej dziewięciu lat. Zawsze będę chłopcem i jestem już chłopcem dłużej, niż mogę znieść.

Miałem już dosyć. Dosyć śmierci. Dosyć szaleństwa. Dosyć niespodzianek innych niż urodzinowe. Dosyć niesamowitości. Dosyć Roseland. Jeśli kiedyś urządzą tu pensjonat, ja nie będę go promował.

Ostrożnie wprowadziłem Timothy'ego na południowy korytarz pierwszego piętra. W domu było tak cicho, że pomyślałbym, że ogłuchłem, gdyby w brzuchu mi nie burczało z przejedzenia sernikiem i quiche'em Shilshoma.

Jak wyjaśnił Timothy, upiornie cicha maszyna Nikoli Tesli nie tylko sterowała czasem, ale wykorzystując termodynamiczne konsekwencje tego zarządzania, wytwarzała także energię na potrzeby posiadłości. W gruncie rzeczy to było perpetuum mobile, idealny przykład zielonej energii. No, oprócz humanoidalnych świń, gotowych zabić każdego, kto wejdzie im w drogę.

Timothy powiedział również, że zwykle takie incydenty, kiedy fantastyczna maszyna z niewiadomych powodów przyciągała do teraźniejszości momenty przyszłości, zdarzały się co kilka lat, chociaż niekiedy częściej. Miałem po prostu szczęście, że przyjechałem w pełni sezonu i mogłem obserwować lepsze efekty niż w Vermontcie, kiedy drzewa ubierają się w barwy jesieni.

Dopóki goście z ohydnej przyszłości Kenny'ego Mountbattena pojawiali się w obecnym wycinku czasowym historii Roseland, dopóki nie podniesiono stalowych okiennic, z głównego domu można było wyjść tylko tą drogą, którą się tu wcześniej dostałem.

Kiedy Constantine Cloyce i jego drużyna znajdą Victorię za bojlerami w kotłowni, popędzą na górę w (nie)sprawiedliwym gniewie, żeby zabić pewnego kucharza od szybkich dań. Musimy zająć odpowiednią pozycję, żeby ich ominąć i przekraść się do mauzoleum przez tunel wyłożony miedzią.

Nie podobały mi się szerokie, otwarte główne schody. Nie odpowiadały mi całkowicie odsłonięte spiralne schody z brązu w bibliotece. Ani żadne ze służbowych schodów, bo z nich prawdopodobnie skorzysta wściekła Victoria Mors i jej perwersyjni współkonspiratorzy.

Jedynym rozsądnym rozwiązaniem była teleportacja jak w *Star Treku*, ale jeszcze nie wynaleziono takiego wygodnego środka transportu. Z pistoletem w rękę poprowadziłem chłopca na drugi koniec południowego korytarza, obok wejścia na biblioteczną antresolę, i zachodnim skrzydłem do frontowych schodów dla służby.

Może nie potrafię jednocześnie żuć gumy i grać w baseball czy nawet grać w baseball bez gumy, ale umiem szybko myśleć w marszu. Muszę, bo nigdy nie planuję z wyprzedzeniem. Nie ma sensu planować z wyprzedzeniem, skoro w każdej chwili może się zdarzyć coś zupełnie zwariowanego. Zwykle próbuję

wymyślić coś na poczekaniu, więc muszę szybko podejmować decyzje, kiedy robi się gorąco.

W przeciwieństwie do mnie Timothy miał plan. Długo myślał nad swoją sytuacją. Chciał, żeby go zabrać do chronosfery, chciał wrócić nie do tamtej nocy, kiedy zamordowano jego matkę, tylko do tysiąc dziewięćset piętnastego roku, kiedy na pewno jeszcze nie został poczęty. Miał nadzieję, że wchodząc w czas, kiedy jeszcze nie istniał, po prostu przestanie istnieć.

Przez lata w chwilach największego przygnębienia rozważał samobójstwo, ale się nie zdecydował, ponieważ nie wierzył, że ojciec tak łatwo pozwoli mu odejść. Jeśli Constantine kiedykolwiek kochał syna, to uczucie dawno wygasło. Ale starszy Cloyce darzył namiętnym przywiązaniem swoje bogactwo, swoje zabawki, swoją własność i nie zniósłby, żeby czegokolwiek go pozbawiono. Uważał, że chłopiec należy do niego, i z pewnością spróbowałby zapobiec samobójstwu, cofając się w czasie tuż przed tym zdarzeniem i sprowadzając do terażniejszości żywego Timothy'ego. Potem narzuciłby chłopcu surowszy reżim i jego egzystencja stałaby się jeszcze bardziej nieznośna.

Timothy na pewno miał rację co do ojca. Ale nie mógł przecież wiedzieć, co się stanie, jeśli cofnie się do czasu, zanim został poczęty. Paradoks, który obecnie sobą przedstawiał, pod względem stopnia komplikacji nie umywałby się do paradoksu, który stworzyłby, realizując swój plan.

Poza tym, nawet jeśli było mu przeznaczone umrzeć w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku w wieku dziewięciu lat, nawet jeśli nie mógł znieść perspektywy życia jako wieczny chłopiec, miałem opory przed pomaganiem mu w popelnieniu, za pośrednictwem chronosfery, w najlepszym razie pasywnego samobójstwa. Pragnąłem dla niego nadziei, a nadzieję przynosi wolność, nie kapitulacja.

Kiedy schodziliśmy po frontowych schodach dla służby, postanowiłem, że zanim wejdziemy na drugie piętro wieży gościnnej, odwiedzimy pierwsze piętro. Wprawdzie Annamaria wyrażała się równie enigmatycznie jak stworzenia, które Alicja spotkała po drugiej stronie lustra, ale wiedziałem, że w sprawie Timothy'ego będzie mądrzejsza ode mnie, zważywszy, że musiała przewyższyć tylko żalonną Normę Mądrości Odda Thomasa.

Dotarliśmy na parter i nikt nas nie ostrzelał ani nie opluł. Postanowiłem zejść dalej do piwnicy, chociaż ekipa poszukiwaczy mogła jeszcze tam przebywać. Przeprowadzasz rekonesans, żeby odkryć, co czeka dalej, ale ryzykujesz, że sam zostaniesz odkryty przez to, co czeka dalej, zanim sam to odkryjesz.

Schodząc, ciągle się ogłądałem i sprawdzałem, czy chłopiec jest blisko. Za drugim razem uśmiechnął się do mnie na znak, że docenia moją troskę. Po raz pierwszy widziałem jego uśmiech. Chociaż miał dziewięćdziesiąt pięć lat, pozostało w nim dość z bezbronnego chłopca, żeby ten uśmiech złamał mi serce.

I wtedy zrozumiałem, że go zawiodę.

Ten ufnym uśmiech był znamieny tak samo, jak w filmie o dwóch kumplach gliniarzach znamienne jest, kiedy na początku mniej ważny z nich zwierza się gwiazdorowi, że zamierza się oświadczyć odtwórczyni drugiej roli kobiecej. Zaledwie trzy sceny później ten drugoplanowy jest martwy jak zimny trup, a gwiazdor ma konieczną motywację, żeby przejść nietknięty pod gradem kul,

zatiuk dwudziestu gangsterów i uronić łezkę w taki sposób, żeby nikt go nie wziął za mięczaka.

Ogromna większość filmów nie naśladuje życia, ponieważ życie unika banałów, które zapewniają sukces kasowy. Czasami jednak życie naśladuje filmy, zwykle z katastrofalnym skutkiem i bez pociechy popcornu.

Drzwi do piwnicy na dole klatki schodowej stały otworem. Zawahałem się na ostatnim stopniu i wyteżyłem słuch.

W kurniku jesteśmy tylko my, kurczaki. Nigdy właściwie nie rozumiałem tego powiedzenia. Kurczaki nie umieją mówić, a nawet gdyby umiały, do kogo by to powiedziały?

W powietrzu wisiał lekki zapach ozonu, utrzymujący się od kilku godzin. Poza tym nic nie wywęszyłem... i nic nie usłyszałem.

Gestem kazałem Timothy'emu zostać na miejscu, a sam wśliznąłem się w otwarte drzwi.

Wszystkie drzwi po drugiej stronie korytarza były uchylone albo szeroko otwarte, jakby szukający zanadto się spieszyli, żeby się fatygować ich zamykaniem.

Z prawej strony korytarz był pusty aż do piwnicy z winem.

Tuż po lewej stronie widziałem uchylone drzwi do baraku budowlanego, łączące dom w teraźniejszości z niezagospodarowanym terenem z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego, a za nimi deski kreślarskie, biurka, stare drewniane segregatory.

Gdyby poszukiwacze wciąż przebywali w piwnicy, słyszałbym hałas. Głęboka cisza sugerowała, że znaleźli Victorię, uwolnili ją i wrócili na górę, żeby wytropić i załatwić pewnego głupiego zegaranta, który nie znał swojego miejsca w planie rzeczy.

Obejrzałem się na Timothy'ego, wciąż stojącego na schodach, i przywołałem go gestem. Chciałem go mieć pod ręką, żeby szybko go złapać i uskoczyć do któregoś pokoju po prawej czy lewej stronie, gdybyśmy musieli się schować.

Długie korytarze są niebezpieczne. Jeśli szukają cię dobrze uzbrojeni ludzie, jesteście wystawiony na strzał w pomieszczeniu, które dla strzelca ma wszelkie zalety krytej strzelnicy.

Najlepsze, co możesz zrobić, to wynieść się stamtąd czym prędzej, chociaż niełatwo jest iść jednocześnie szybko i cicho. Próbujesz przesadnie drobić na palcach niczym kot Sylwester skradający się do kanarka Tweety, co wygląda komicznie i zresztą nigdy nie pomaga Sylwestrowi.

Poinstruowałem Timothy'ego, żeby starał się nie hałasować, inteligentnie przykładając palec do ust. Razem pomaszerowaliśmy szybko z zachodniego końca korytarza w stronę piwnicy z winami na drugim końcu. Pralnia była przedostatnim pomieszczeniem z prawej strony i kiedy ją mijaliśmy, zobaczyłem otwarte drzwi, chociaż wcześniej je zamknąłem, co znaczyło, że szukający byli tu i poszli.

Drzwi kotłowni również okazały się otwarte, ale zanim do nich dotarliśmy, wyszedł stamtąd Jam Diu i zastąpił nam drogę, mierząc do mnie ze śrutówki.

Mój pistolet celował w betonową podłogę, więc mogłem trafić przeciwnika tylko wyliczonym rykoszetem, który nie udałoby się pewnie samej Annie Oakley.

— Rzuć to — zażądał Jam Diu, kiedy się zatrzymaliśmy.

Nie wątpiłem, że mógł nacisnąć spust swojej dwunastki i nafaszerować nas grubym śrutem, zanim zdążyłbym podnieść beretę i strzelić. Ale gdybym rzucił broń, i tak byłoby po nas. Zamknęliby Timothy'ego z powrotem w więzieniu, a Constantine Cloyce pewnie oparłoby mnie jak tamte kobiety i umieścił moje ciało w podziemiach mauzoleum, chociaż nie należałem do jego ulubionej płci.

— Powiedziałem: rzuć to — przypomniał mi Jam Diu, jakby myślał, że mam najkrótszy okres skupienia uwagi na świecie.

— No... — bąknąłem.

Zmarszczył brwi.

— Czy to moja beretta?

Rozmowa była lepsza od strzelaniny. Nigdy nie wiadomo, kiedy najbardziej nieprzyjazna wymiana zdań może przybrać pozytywny obrót.

— Tak, proszę pana. Tak, to pańska beretta.

— Ukradłeś moją beretę.

— Nie, proszę pana. Nie jestem złodziejem. Tylko pożyczylem.

Z szorstką czułością powiedział:

— To wspaniały pistolet. Uwielbiam go.

— Szczere mówiąc, ja nawet nie lubię broni. Ale w świetle ostatnich wydarzeń pomyślałem, że mi się przyda prędzej czy później. Na przykład teraz.

— Włamałeś się do mojego mieszkania — oświadczył, wyraźnie oburzony, że nie uzanowałem jego prywatności.

— Nie, proszę pana. Użyłem klucza.

— Constantine to skończony idiota.

— To samo powiedział mi dzisiaj pan Sempiterno.

— Dlaczego Constantine przywiózł tu ciebie i tę... tę kobietę?

Podzieliłem się z nim jedną z moich ulubionych teorii:

— Może podświadomie zmęczył się już tym wszystkim i chciał, żeby ktoś z tym skończył.

— Nie odgrywaj przede mną Freuda, kuchciku. Freud to kupa bzdur.

— No, poza tym Annamaria jest niesamowicie przekonująca.

— Wcale nie zauważyłem, żeby ta dziwka była przekonująca.

— Z całym szacunkiem, proszę pana, pan z nią nie rozmawiał. Niech pan jej da szansę i sam pan zobaczy.

— Odłóż ten pistolet grzecznie i powoli.

Teraz, kiedy rozpoznał swoją broń, już nie chciał, żebym ją rzucił. Widocznie nawet nieśmiertelni bogacze przywiązują się do swoich rzeczy.

— No... — powtórzyłem.

Timothy odezwał się:

— Chiang, pozwól nam wejść do chronosfery. Pozwól mi wrócić tam, gdzie jest moje miejsce.

Pomyślałem, że zdanie „pozwól nam wejść do chronosfery” brzmi jak tytuł starej piosenki Davida Bowie. Nawet w chwilach zagrożenia moje myśli błądzą w dziwnych kierunkach.

Ogrodnik odrzucił swoją łagodną osobowość zen razem z fałszywą rolą ogrodnika. Niechęć wydłużyła jego okrągłą twarz, odbicia świetłówek w jego oczach wydawały się drgać jak języki węży.

— Gdyby to ode mnie zależało, chłopcze, wypatroszyłbym cię i pozwolił zdychać we własnych flakach. A potem cofnąłbym cię dziesięć minut wcześniej i zrobił to jeszcze raz.

— No... — mruknąłem, bo raczej się nie zanosilo, żeby ta nieprzyjazna wymiana zdań przybrała pozytywny obrót.

Timothy chyba uświadomił sobie, że lata więzienia mogły stanowić zaledwie preludium do okropności, jakie mógł mu zgotować pomysłowy człowiek, bo przysunął się do mnie bliżej.

— Ostatnia szansa, żebyś odłożył broń, kuchciku. Bo was rozwałę i może sprowadzę obu z powrotem po dokładkę.

— Wystarczy raz mnie zabić, proszę pana. Nie chciałbym panu sprawiać kłopotu.

Ponieważ nie mogłem wymyślić nic innego, lekko ugiąłem kolana i zacząłem opuszczać uwielbianą beretkę na podłogę, grzecznie i powoli, zgodnie z jego rozkazem, tak powoli, że mógłbym doczekać następnych urodzin, zanim wreszcie wypuściłbym broń.

Liczyłem, że wymyślę jakiś genialny manewr i zaskoczę go tak, jak Jackie Chan zaskakuje swoich wrogów w tych filmach o sztukach walki. Ale nie jestem Jackie Chanem i jak się okazało, to świniaki uratowały moją skórę.

Sześć metrów za Jamem Diu drzwi piwnicy z winem otwarły się gwałtownie i na korytarz wypadł jeden z odmieńców. Nie był to garbus ze zniekształconą głową i za długimi ramionami, tylko tak zwany normalny okaz swojego gatunku. Świński łeb, rozciągnięte wargi odsłaniające groźne kły, mięsiste nozdrza w wilgotnym ryju, żółte ślepie płonące gorączką jak u bagienego stwora wypełzającego spod festonów mchu w ciemnościach sennych koszmarów.

Bestia widocznie odkryła drzwi anioła stróża w ścianie mauzoleum, których nie mogłem zamknąć. Znalazła drogę przez piwnicę, drugą piwnicę i tunel i zjawiła się w ostatniej chwili.

Jam Diu błyskawicznie odwrócił się do drzwi, kiedy rozwarły się z trzaskiem, ale świnia okazała się nadszpodziewanie szybka. Chwyliła go za prawe ramię i złamała je jak suchy patyk. Jam Diu, władca czasu i bóg pomiędzy zwykłymi ludźmi, wrzasnął i wpakował ładunek śrutu nieszkodliwie w sufit.

Krzyknąłem do Timothy'ego, żeby uciekał, ale on już biegł. Popędziłem za nim, wdzięczny, że nie odłożyłem beretty, chociaż z tak bliska pistolet dziewiątka zapewne byłby równie skuteczny przeciw tym bestiom, jak strzałki przeciwko tyranozaurowi.

W dwóch trzecich drogi do zachodnich schodów służbowych, którymi zeszedliśmy trzy minuty wcześniej, w lepszych czasach, obejrzałem się i zobaczyłem Jama Diu rozrywanego w sposób, którego nie chcę pamiętać. Za pierwszym odmieńcem na korytarz wszedł drugi, a za drugim pojawił się trzeci.

Pokonawszy dwa biegi frontowych schodów dla służby, Timothy widocznie pomyślał, tak jak ja, że nie należy wchodzić na piętro. Otworzył drzwi klatki schodowej i wpadł do foyer. Na środku przystanął i rozejrzał się, niepewny, co robić dalej.

Z trzema odmieńcami w domu oraz pięcioma uzbrojonymi po zęby członkami klubu samodoskonalenia zwanego Outsiderzy, którzy wyruszyli na polowanie, raczej nie znaleźlibyśmy spokojnego kąta, żeby się napić herbaty i podyskutować o literaturze. A jeśli wejdziemy na piętro, znajdziemy się w pułapce bez wyjścia.

Odmieńce nie były mózgowcami, którzy poświęcają dużo czasu na omówienie strategii następnego posunięcia. Nie były też głupie ani całkowicie polegające na instynktach, jednak nie przypuszczałem, żeby zbyt długo marudziły w piwnicy, skoro na górze mogły znaleźć więcej mięsa.

Wprawdzie nie słyszałem prychnania, chrząkania i łomotu stu pięćdziesięciokilowych kroków na frontowych schodach dla służby, jednak czułem, że nadchodzą. Wciągnąłem Timothy'ego do głównego salonu.

Gigantyczny koźlonogi Pan wciąż stał na cokole pod środkowym kandelabrem i wiedziałem, czym stronę by wziął w walce pomiędzy mną a jakimś dzikiem z pretensjami. Posuwaliśmy się w cieniu pod ścianą i przystanęliśmy za sofą, za którą już wcześniej się schowałem. Czujni. Nasłuchujący. Pewnie poczulibyśmy ich smród, zanim byśmy ich usłyszeli.

Po przeszukaniu piwnicy Cloyce i jego drużyna zostawili tam Jama Diu na wypadek, gdyby się ze mną rozminęli. Wątpiłem jednak, czy odmieńce są dostatecznie zdyscyplinowane, żeby jeden zgodził się pełnić wartę na dole, podczas gdy reszta pójdzie się zabawić. Gdybyśmy pozostali przy życiu jeszcze przez kilka minut i gdyby wszystkie odmieńce weszły na górę, mogliśmy znowu przemknąć na dół i wyjść, jak wcześniej zamierzaliśmy, chociaż wcale się nie paliłem, żeby brnąć przez szczątki Jama Diu.

Nagle zorientowałem się, że w piwnicznym korytarzu znaleźliśmy się przerażająco blisko atakujących odmieńców, a jednak ich nie zwęszyłem.

— One nie śmierdzą — szepnąłem. — Zawsze mogłem je wyczuć po zapachu.

— Tylko te zdeformowane śmierdzą — wyjaśnił Timothy.

To nie fair. Jeśli nie śmierdziały, może potrafiły również zachowywać się cicho, kiedy chciały. Nie byłem przygotowany na bezwonne, bezgłośnie odmieńce, które mogły nagle wyskoczyć nie wiadomo skąd.

W odległej części domu huknął strzał. Pierwszy wrzask, tyleż ryk bólu, co wściekłości, niewątpliwie wydobył się ze świńskiego gardła.

Ale drugi wrzask, zaraz po pierwszym, był ludzki i niewyobraźalnie udręczony, głos, jakiego nigdy więcej nie chciałym usłyszeć. Trwał przez pół minuty albo dłużej, pełen straszliwej grozy i cierpienia, tak przeraźliwy, że

przywodził na myśl okropny obraz Goi *Saturn pożerający własne dzieci*, który mrozi krew w żyłach jeszcze bardziej, niż sugeruje tytuł.

Choć Timothy nie miał przyjaciela w żadnym z mieszkańców Roseland, nawet w ojcu, rozdzierający wrzask wstrząsnął nim tak bardzo, że chłopiec zaczął dygotać i cicho popłakiwać.

Ponieważ w krzyku można rozpoznać charakterystyczne cechy głosu danej osoby, wiedziałem, że usłyszeliśmy koniec szefa Shilshoma.

Ograniczenia, jakie rzeczywistość narzuca nam wszystkim, były teraz oczywiste nawet dla tych, którzy wierzyli, że żyją bez ograniczeń, bez praw, bez strachu.

Nie litowałem się nad nimi, ponieważ prawdziwa litość wiąże się z pragnieniem pomocy. A ja nie zamierzałem narażać siebie i Timothy'ego dla żadnego z nich.

Jednak niespodziewanie poruszyła mnie rozpaczliwa wizja nieuniknionej otchłani, dźwięcząca w tym długim, męczeńskim krzyku śmierci. Najgorsze i najlepsze z człowieka okrywa ten sam zimny cień i nawet zasłużona śmierć budzi we mnie dreszcz współczucia, przenikający do szpiku kości.

Krzyk ucichł i dom wypełniła głęboka cisza.

Gdybyśmy mieli przeciwko sobie tylko outsiderów, moglibyśmy się schować w jakiejś sprytniej kryjówce na kilka minut, dopóki wszystkie odmienne nie wejdą na górę, a potem wrócić do piwnicy. Ale świniostwory pewnie wywęszyłyby nas wszędzie oprócz dużej hermetycznej chłodni przy kuchni.

Poza niebezpieczeństwem uwięzienia w chłodni nie chciałem tam się chować z tych samych powodów, dla których nie schowałbym się we wspólnym kotle w wiosce kanibali.

Szepnąłem do Timothy'ego:

— Odmienne są w domu, już nic nie przeszkadza wyjść na zewnątrz, więcej dróg ucieczki. Gdzie są przełączniki okiennic?

— N-nie wiem.

— Nie domyślasz się?

— N-nie — wyjąkał.

Wyciągnął do mnie rękę. Dłoń miał małą, zimną i wilgotną od potu.

W ciągu dziewięćdziesięciu pięciu lat osobliwej egzystencji przeczytał tysiące książek, z których głównie czerpał doświadczenia. Tysiące książkowych żywotów przeżytych zastępco plus tyle lat ponurej znajomości licznych horrorów w Roseland, a jednak w głębi duszy i serca pozostał małym chłopcem, ponieważ tkwiło w nim ziarno niewinności. W najbardziej przygnębiających i beznadziejnych sytuacjach zachował przynajmniej odrobinę czystości, z którą się urodził.

Na jego miejscu nie dokonałbym aż tyle i strasznie się bałem, że go zawiodę, czego byłem właściwie pewien, odkąd obdarzył mnie tym ufnym uśmiechem na schodach dla służby.

Przedłużająca się cisza zdawała się jednocześnie nas ponaglać i ostrzegać przed pochopnym działaniem.

Po drugiej stronie ogromnej sali, na skos od nas, w południowo-wschodnim narożniku otwały się drzwi dla służby ukryte w boazerii i pani Tameed

przekroczyła próg niczym doświadczony gliniarz: schylona, trzymając pistolet oburącz i przesuwając lufę z lewa na prawo.

Choć staliśmy na drugim końcu salonu, w cieniu, zobaczyła nas i niemal poczułem jej wściekłość, zanim się odezwała.

— Ty wredny sukinsynu — syknęła; widocznie pod wpływem zagrożenia zmitygowała się i powściągnęła plugawy język, przynajmniej do pewnego stopnia. — Wpuściłeś ich do domu.

Jak wcześniej z Timothyem w piwnicy, przyłożyłem palec do ust, żeby jej przypomnieć o konieczności zachowania milczenia, ponieważ bez względu na dzielące nas animozje wymiana obelg w obecnej chwili mogła sprawić, że podzielimy los Jama Diu i Shilshoma.

Wtedy do mnie strzeliła.

Wprawdzie pani Tameed była w dziedzinie podłości tym, czym Albert Einstein w dziedzinie fizyki, wprawdzie nie cofała się przed popełnieniem żadnej zbrodni, wprawdzie tarzała się w występku, wprawdzie była szalona, ale to nie znaczyło, że brakowało jej zdrowego rozsądku i nie potrafiła zrozumieć, jak należy się zachować w obecnej sytuacji. Wymyślanie mi i strzelanie do mnie mogło przyciągnąć odmieńców.

Szaleńcy o morderczych skłonnościach na ogół są sprytni, nawet inteligentni. Zależy im na przetrwaniu równie mocno, jak na znalezieniu dziewicy do dekapitacji albo dziecka do uduszenia. Hałaśliwe wygłupy pani Tameed były idiotyzmem. Zamierzałem jej to wygarnąć prosto z mostu.

Znowu strzeliła do mnie i Timothy'ego. Z odległości dwudziestu metrów, zwłaszcza w mrocznym i zagraconym pomieszczeniu, tylko dobry strzelec trafiłby do celu. Chybiła.

Ja nie trafiłbym jej z dwudziestu metrów, zwłaszcza że bronią palną posługuję się tylko w ostateczności, chociaż często nie mam wyboru.

Trzecia kula błyknęła mi obok prawego ucha jak osa, centymetr od śmiertelnego użądlenia.

Odwrociłem się plecami do herod-baby, ryzykując postrzał w kregosłup, i pociągnąłem Timothy'ego w stronę drugich drzwi dla służby, prawie całkiem ukrytych w boazerii, z których korzystałem wcześniej, kiedy poszedłem do biblioteki. Zanim podeszliśmy, drzwi zaczęły się otwierać, więc natychmiast popchnąłem chłopca na stronę zawiasów, żeby zasłoniło nas odchylone skrzydło.

Chociaż nie od razu zobaczyłem, kto wszedł, po gardłowym warknięciu rozpoznałem przybysza jako jednego z żółtookiej bandy. Zrobił dwa kroki w głąb pokoju, zwrócony do nas potężnymi, umięśnionymi plecami.

Drzwi powolutku zaczęły się zamykać, odsłaniając mnie i chłopca. Ponieważ zaprojektowano je w ten sposób, żeby nie psuły linii boazerii, nie miały klamki ani dźwigni, za które mógłbym złapać, żeby je przytrzymać. Otwierało się je, naciskając, żeby zwolnić zatrzask, i ciągnąc za wgłębienie na palce ukryte pod listwą.

Odmieniec stanął w miejscu i spojrzał przez pokój na panią Tameed, którą wciąż widziałem w półmroku. Mamrocząc do siebie, stwór zamachnął się na nią toporem.

Pani Tameed wystrzeliła jeszcze dwie kule. Wydawało się, że celowała raczej we mnie niż w bestię, którą powinna się bardziej przejmować.

Kule wbiły się w drewnianą boazerię. Przypuszczałem, że jak tylko w ścianie otwarły się dziury, prąd Matuzalema zaczął naprawiać uszkodzenia.

Odmieniec ni to zaryczał, ni to zabeczał wyzywająco.

Pani Tameed zaczęła na niego wrzeszczeć, nazywając go głupią świnią, chociaż dodawała słowo na „p” przed i po „głupi”. Krzyczała do niego, żeby się obejrzał, i zachęcała: „Załatw tego gnoja, wypruj mu flaki!”.

Nie przypuszczałem, żeby odmienne znalazły angielski, i chyba miałem rację, bo ten okaz tylko jeszcze raz zakwiczął i wysoko podniósł topór.

Szeroko rozstawione oczy na jego wydłużonej czaszce zapewniały doskonałe widzenie peryferyjne. Gdybym ja albo Timothy wykonał najmniejszy ruch, stwór mógłby nas zauważyć.

W takiej sytuacji potrzebowałbym wiele szczęścia, żeby go zdjąć, zanim się całkowicie odwróci i zamierzy na mnie toporem. Ramiona miał dostatecznie długie, żeby mnie dosięgnąć, gdyby zrobił choć jeden krok.

Powoli, żeby ruch nie przyciągnął jego uwagi, uniosłem beretkę z nadzieją, że go zastrzele, zanim nas wyczuje.

Drzwi dla służby, które powoli się przymykały, nagle znowu się rozwarły. Za pierwszym wszedł drugi odmieniec. Ten zatrzymał się w progu i zablokował drzwi ramieniem.

Nowy przybysz stał tak blisko, że mogłem go dotknąć, nawet nie wyciągając ręki. Nie miałem szans zabić ich obu, zanim któryś z nich zabije nas.

Gdyby bestie nie mamrotały bez przerwy i nie powarkowały gardłowo, podniecone niedawnym mordem, usłyszałyby, jak próbuję — bez powodzenia — wstrzymać oddech.

Pani Tameed strzeliła ponownie, tym razem chyba do odmieńców.

Zawierza z przodu cisnął w nią toporem z taką siłą i precyzją, że broń zawirowała w powietrzu i ostrze wbiło się między jej piersi.

Roszczenia do nieśmiertelności i absolutna licencja na boskość pani Tameed straciły ważność. Śmierć nadeszła tak szybko, że ofiara nie zdążyła nawet zaprotestować.

Kiedy upadła, odmieniec, który rzucił toporem, podbiegł do niej, wrzeszcząc triumfalnie. Miał w sobie również coś z małpy, ponieważ poruszał się jak człowiek, chociaż nie był człowiekiem, a także dlatego, że jego emocje zawsze się uzewnętrzniały i natychmiast wyrażały się w działaniu, jak to się dzieje u niższych naczelnych. I jak małpa zdolny był do przemocy tak ekstremalnej, że w porównaniu z potwornym losem jego ofiar morderstwa Cloyce’a wydawały się dziełem poprawnego, pruderyjnego czarnego charakteru z powieści kryminalnej Agathy Christie.

Patrząc, jak stwór w podskokach pędzi do ciała pani Tameed, przypomniałem sobie koszmarną historię opisywaną w mediach kilka lat temu, o niewinnej kobiecie, którą zaatakował duży rozwścieczony szympans należący do jej przyjaciela. Odgryzł jej palce, wydłubał oczy i zerwał twarz w ciągu zaledwie pół minuty.

Drugi odmieniec pozostał w zasięgu ręki, na wpół zasłonięty skrzydłem drzwi. Chociaż mnie i chłopca okrywał cień, światło z korytarza za plecami bestii ukazywało bok jej głowy, ohydny profil. To było oblicze kogoś stworzonego, żeby budzić strach w sercach wszystkich ludzi, stworzonego, żeby terroryzować i zabijać. Okaleczając i bezczeszcząc swoje ofiary, zaszczepiał w tych, którzy przeżyli, demoralizującą myśl, że istoty ludzkie są tylko mięsem, zwykłymi

zwierzętami w świecie, gdzie nie istnieje naturalne prawo, gdzie jedynymi zaletami są siła, bezwzględność, dzikość i okrucieństwo.

Przyciśnięty do mnie Timothy dygotał niepowstrzymanie. Trzymałem go mocno jedną ręką w obawie, że stojąc tak blisko odmieńca, nie wytrzyma, straci głowę ze strachu i rzuci się do ucieczki.

Może naprawdę chciał się cofnąć do przeszłości i nie być już wiecznym chłopcem, zakończyć życie tamtej nocy, kiedy ojciec go zastrzelił. Ale nawet w najczarniejszej depresji z pewnością nie chciał wpaść w łapy któregoś z odmieńców, spoglądać w te żółte oczy, kiedy rozedrą go pazury i zęby wgrzyzą mu się w twarz.

Umrzeć w ten sposób rzeczywiście znaczyłoby umrzeć dwa razy — pierwsza byłaby śmierć duszy, wiary w to, że człowiek jest czymś wyjątkowym i świętym; druga to zwykła fizyczna śmierć.

Stwór przy drzwiach zasyczał i obnażył zęby, patrząc, jak jego towarzysz przeciska się wśród mebli, strąca lampę ze stołu, przewraca krzesło.

Na drugim końcu salonu triumfujący odmieńiec dopadł ciała pani Tameed. Wrzeszcząc z radości, rozszarpał ją, jak dziecko w złości rozszarpuje lalkę. Samo zabójstwo nie wystarczało, po nim musiały nastąpić kolejne akty przemocy.

Znowu znaleźliśmy się na terytorium Poego, tym razem w *Morderstwie na Rue Morgue*, gdzie nocą wielka mała z brzytwą w łapie nie zadowala się samym mordem i musi w taki czy inny sposób sprofanować ciała ofiar.

Brutalne odgłosy rozrywania zwłok sprawiły, że Timothy zadygotał jeszcze mocniej. Gdyby znowu się rozplakał, jak wtedy, kiedy słuchał przeciągającego się śmiertelnego wrzasku Shilshoma, zdradziłby naszą obecność i zapewnił nam taki sam koniec, jaki spotkał panią Tameed.

Ostrożnie przygotowałem się, żeby wpakować z bliska w odmieńca połowę magazynka na siedemnaście naboju. Jednak mocno podejrzewałem, że stwór przeżyje dostatecznie długo, żeby osiągnąć nas karzącą łapą w śmiertelnych drgawkach.

Wtem demoniczny potwór porzucił posterunek w drzwiach i wielkimi susami pomknął przez salon, wznosząc młotek z pazurem. Nie mógł już się opanować, musiał wyrazić swoją nienawiść i pogardę, więc dołączył do towarzysza, żeby razem z nim profanować szczątki zabitej kobiety.

Z foyer wpadł do salonu Paulie Sempiterno z karabinkiem szturmowym w pogotowiu. Ruszył w stronę dwóch bestii, ale zmylił krok, kiedy dostrzegł mnie i Timothy'ego. Podejrzewałem, że zabiły nas równie chętnie jak odmieńców. Wiedział jednak, na co oszczędzać amunicję. Minał posąg Pana i posuwał się dalej w stronę krwiożerczej pary.

Chłopiec i ja szybko wyśliznęliśmy się z salonu do wąskiego korytarza dla służby. Drzwi przymknęły się za nami i szczęknął zamek.

Przysiągłbym, że ten ciasny pasaż biegnie tylko prosto, obok toalety i spizarni, do drugiego wejścia do biblioteki. Ale weszliśmy w rozgałęzienie, z krótszą odnogą na wprost i dłuższą z prawej strony.

Znowu ogarnęło mnie to szczególne oszołomienie, wrażenie, że do budowy Roseland zastosowano unikatową geometrię, że nie widzę wszystkiego, co mam przed sobą.

Jeśli lśniaca maszyna Tesli mogła okiełznać czas i wykorzystać do celów, które już znałem, mogła też wywoływać inne efekty, tak niewyobrażalne, że niemal mistyczne i wykraczające poza moje zrozumienie, nawet gdybym ich osobiście doświadczył.

Sempiterno otworzył ogień w salonie i ranne odmienie zaczęły wrzeszczeć.

— Tim, dokąd prowadzi ten korytarz na prawo? — zapytałem.

— Nie znam wszystkich miejsc w tym domu.

— Przecież tu mieszkasz od tylu lat.

— Nikt nie zna wszystkich miejsc w tym domu.

— Nikt? Twój ojciec musi znać. On go zbudował.

— Wyłożył na niego pieniądze. On i Jam Diu.

— Więc musi go znać.

— On nie rozumie tego domu. Nawet w zwykłe dni czasami wydaje się... nie taki, jak powinien. Ale podczas przypływu, jak teraz, robi się dziwniejszy.

Przypływ. Fale przyszłości wdzierające się w ten moment przeszłości.

Żałowałem, że Roseland nie jest tylko nawiedzone przez duchy. Z duchami bym sobie poradził.

Poprzednio szereg kopulastych plafonów sufitowych z mlecznego szkła dobrze oświetlał drogę do biblioteki. Teraz jednak korytarz był pogrążony w mroku, podobnie jak niezauważone wcześniej odgałęzienie. W dłuższym korytarzu widziałem dwoje drzwi po lewej stronie, żadnych po prawej i jedno na końcu.

Timothy odezwał się:

— Jam Diu mówi, że tego domu nikt nie może zrozumieć, nawet Tesla.

W salonie odmienie ucichły i strzelanina ustała. Jeśli Sempiterno je pozabijał, szybko przeładuje i przyjdzie po nas.

— Boję się — wyznał Timothy.

— Ja też.

Ani damska toaleta, ani spiżarnia w krótszym korytarzu, ani biblioteka na końcu, ani żadne inne miejsce nie zapewniało nam bezpiecznego schronienia.

Chciałem wrócić do kuchni i tylnych schodów dla służby. Zaprowadzą nas do piwnicy z winami.

Puściłem chłopca i ścisnąłem berettę w obu rękach.

— Chodź — powiedziałem. — Tędy. Co mamy do stracenia?

Pierwsze drzwi otwierały się do wewnątrz, na szyb wypełniony złotą poświatą. Trudno było ocenić jego rozmiary, ponieważ ściany miał wyłożone lustrami, które chytrze mamili wzrok niczym labirynt luster w wesołym miasteczku.

Lśniące rzędy spiralnych kształtów, przypominających papierowe dekoracje, jakie ludzie czasami wieszają pod sufitem na przyjęciach w orientalnym duchu, obracały się z różnymi szybkościami, jednak nie były z papieru. Niczym wiertła z szerokimi ostrzami zagłębiały się w szyb. Nie widziałem sufitu; obracające się wiertła wyłaniały się z mgiełki jakieś pięć metrów wyżej. Znikały w drugiej warstwie mgły pięć metrów w dole. W jednej chwili zdawały się wwiercać w ziemię, w następnej jakby się przesuwały do góry.

Jak wszędzie, maszyneria pracowała w kompletnej ciszy. Krawędzie tnące na grzbietach spiral błyszcząły jak roztopione złoto, a rowki między spiralami wydawały się płynne i srebrzyste jak rtęć.

Widok przyprawiał o zawrót głowy, spiralne formy odbijały się w lustrach w nieskończoność. Czuję, że te zwoje przyciągają mnie z hipnotyczną siłą. Zamknąłem drzwi, zanim w transie przekroczyłbym próg i spadł we mgłę na dole.

Obejrzałem się na rozgałęzienie korytarzy, gdzie wyszliśmy z salonu. Póki co nikt nas nie ścigał.

Popchnąłem chłopca przed sobą, żeby go zasłonić własnym ciałem, gdyby Sempiterno wygarnął do nas z karabinu.

Klamka następnych drzwi okazała się lodowata w dotyku. Palce mało mi nie przymarzły do mosiądzu.

Za drzwiami leżała ciemność tak głęboka, że nie przypominała żadnego pokoju ani szybu. Patrzyłem w całkowicie czarną otchłań, jakbym spoglądał w pustkę poza granicami wszechświata.

Światło z korytarza, chociaż słabe, powinno sięgnąć przynajmniej kilka centymetrów w głąb tej osobliwej przestrzeni. Granica pomiędzy światłem a najczystsza ciemnością przebiegała precyzyjnie wzdłuż wewnętrznej krawędzi progu, jak narysowana linijką.

Widziałem już raz coś takiego w odległym Pico Mundo. Siegnąłem do tego, co powinno być stałą masą, barierą, ale palce zniknęły w czerni, a potem cała dłoń aż do nadgarstka. Nie widziałem palców, ramię kończyło się nagle jak kikut po amputacji.

W pierwszym z tych pamiętników opisałem taki pokój, który znalazłem w domu pewnego wstrętne go typu; nazwałem go Grzybem. Tamten pokój był najpierw zwyczajny, potem taki jak to i znowu zwyczajny.

Nie zamierzałem ponownie wyliczać, co wytwarzał tamten pokój w Pico Mundo, ale nie chciałem czegoś takiego tutaj. Cofnąłem rękę, zamknąłem drzwi

i spojrzałem na chłopca, który wydawał się zdziwiony, że wciąż mam dłoń, którą wystawiłem na ryzyko.

— Widziałeś już to? — zapytałem.

— Nie.

Sempiterno powinien już nas gonić. Chyba że zabił odmieńców kosztem własnego życia. Jeśli tak, nie zamierzałem wysyłać kwiatów na jego pogrzeb.

Kiedy otworzyłem drzwi na końcu długiego korytarza, który powinien nas doprowadzić na tyły domu, zobaczyłem przed sobą bibliotekę, która powinna się znajdować od frontu.

Zaskoczeni tym odkryciem, chłopiec i ja przekroczyliśmy próg, zanim zauważyłem Pauliego Sempiterno. Stał tyłem do nas, rozglądając się po wytapetowanym księżkami pomieszczeniu, jakby wszedł tymi samymi drzwiami dziesięć sekund wcześniej.

Usłyszał nas i zaczął się odwracać, unosząc karabin.

W tej wojnie ludzi i potworów nie mogłem liczyć, że Sempiterno weźmie stronę ludzkości. Przywoził do Roseland kobiety, żeby Cloyce się z nimi zabawiał. Może sam też się z nimi zabawiał. Może w jakimś zakamarku posiadłości odkryłbym jego kolekcję, na widok której pożałowałbym, że nie oslepiłem. W tamtym przeblysku przyszłości, kiedy zobaczyłem szerniałe drzewo obwieszone szkielecikami dzieci, czy to było dzieło Pauliego Sempiterno, którego miał dokonać w nadchodzących latach?

Wystrzeliłem serię tak szybko, jak pozwalał półautomat. Pociski w miedzianym płaszczu z pustymi szubkami powaliły go na kolana. Wypuścił karabinek, który potoczył się ze szczękiem. Sempiterno upadł ciężko na bok, skurczył się do pozycji płodowej i zmarł. Odszedł z tego świata w pozycji, w której czekał przez kilka miesięcy, żeby się narodzić.

Zabijanie nie przynosi satysfakcji, nieważne, jak bardzo przeciwnik zasługuje na śmierć. Bohaterowie książek i filmów, którzy rzucają dowcipne uwagi, kosząc bandytów dziesiątkami, wydają mi się niepokojąco podobni z charakteru do odmieńców w Roseland, tyle że są przystojni i roztaczają urok osobisty, który skutecznie odwraca uwagę czytelników lub widzów od znaczenia tej całej krwi.

Kiedy Sempiterno upadł i skulił się w łonie śmierci, spojrzałem na chłopca, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Na chwilę nasze spojrzenia się spotkały. Pewnie w moich oczach, tak jak w jego, widać było dużo więcej lat niż na twarzy.

Odwrociłem się od niego i otworzyłem drzwi dla służby, którymi weszliśmy do biblioteki. Długi, słabo oświetlony korytarz zniknął. Zastąpił go krótszy hol, prowadzący prosto do salonu, teraz jasno oświetlony i niepołączony z żadnym innym korytarzem.

Nieważne, ilu odmieńców grasowało po terenach Roseland, musieliśmy szybko stąd wyjść, zanim sam dom stanie się równie groźny jak żółtooko zgraja.

W każdym kącie czyhało niebezpieczeństwo, za każdymi drzwiami kryło się zagrożenie, cisza nabrzmiewała grozą. Zginęły może trzy odmieńce, może tylko dwa. Do domu weszły może trzy, może sześć, może dziesięć albo jeszcze więcej. Jam Diu, pani Tameed i Sempiterno odeszli z tego świata, zapewne także szef Shilshom. Henry Lolam był uwięziony w stróżówce. Pozostawali Victoria i Constantine, para, której wieczna miłość — jak to nazwała Victoria — rozwinęła się w miłość do mordu.

Intuicja, na której zwykle polegałem bardziej niż na rozumie, podpowiadała mi, że gdziekolwiek pójdziemy z Timothyem, w porównaniu z tym miejscem Dolina Śmierci wyda się wakacyjnym kurortem. Czekano nas zabijanie z rodzaju „zabij albo zgin” i nie przypuszczałem, żeby odmieńce zrobiły nam uprzejmość i sprzątnęły trzech pozostałych mieszkańców Roseland.

Przekradliśmy się przez dom, od biblioteki do kuchni, trzymając się głównych pomieszczeń i unikając służbowych korytarzy, bo już nie wierzyłem, że zaprowadzą nas tam, dokąd powinny prowadzić.

Chciałem wrócić do mauzoleum, a stamtąd przejść po otwartym terenie do wieży gościnnej. Odkąd Timothy powiedział mi o chronosferze, prześladował mnie pewien ryzykowny pomysł. Początkowo stanowił zaledwie na wpół uformowany fantom w zakamarku mózgu, jednak rozpychał się coraz bardziej, aż nabrał konkretnych kształtów i zażądał uwagi.

Gdybym zrobił to, o czym myślałem, nic dobrego by z tego nie wyszło. Zniszczyłbym siebie i stracił na zawsze jedyną rzecz, która dawała mi nadzieję od tamtego najgorszego dnia mojego życia w Pico Mundo. Ale nie można postawić pomysłu pod ścianą i rozstrzelać. Ani zawiązać go w bibułkę rozsądku i zamknąć w skrzynce zapomnienia. Pomysł to najbardziej niebezpieczna rzecz pod słońcem, zwłaszcza jeśli obiecuje ci właśnie takie wyjątkowe szczęście, za jakim długo tęskniłeś.

Zanim Timothy i ja dotarliśmy do kuchni, uzbroiłem się wewnętrznie, oczekując widoku Shilshoma rozdartego na strzępy, jego wnętrzości zwisających festonami z szafek, głowy postawionej na desce do krojenia obok zlewu. Ale kuchnia nie wyglądała jak rzeźnia. Śmiertelny wrzask widocznie dochodził z innego pomieszczenia.

Otworłem drzwi na szczycie tylnych schodów dla służby i usłyszałem ciężkie, wstępujące kroki, prychnięcie i chrząkanie więcej niż jednego odmieńca. Monstrualny cień przesunął się po ścianie podestu, krok czy dwa przed stworem, który go rzucał.

Nie mieliśmy czasu uciec z kuchni. Wepchnąłem Timothy'ego do spiżarni, wszedłem za nim, zamknąłem drzwi i mocno przytrzymałem klamkę.

Sekundę wcześniej Victoria Mors, niezwiązana, niezakneblowana i niespokojna, weszła tam z gabinetu szefa, zamykając za sobą drzwi. Nasz widok zaskoczył ją tak samo, jak ona zaskoczyła nas. Podniosłem beretkę, ale ona szybko chwyciła chłopca za sweter, przyciągnęła do siebie i przycisnęła lufę swojego pistoletu do jego szyi.

Chociaż celowałem z beretty w jej głowę z odległości niecałych dwóch metrów, nie odważyłem się strzelić, ponieważ jej broń wydawała się odbezpieczona. W śmiertelnym skurczu mogła odruchowo nacisnąć spust i zabić Timothy'ego, zanim by sama zginęła.

Z drugiej strony, gdybym opuścił pistolet, mogłaby spróbować mnie zdjąć, chociaż odgłos wystrzału zdradziłby odmieńcom naszą obecność. Impas.

Timothy miał oczy rozszerzone ze strachu, blade wargi zaciśnięte, jakby postanowił jednocześnie być dzielny i przeżyć. Obawiałem się jednak, żeby nie doszedł do wniosku, że Victoria może zrobić dla niego to samo, co pragnął osiągnąć za pomocą chronosfery: jednym strzałem zakończyć jego nienaturalnie długie i przygnębiające dzieciństwo, podarować mu śmierć i spokój, jakie były mu przeznaczone w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku.

Parskając i mamrocząc podejrzliwie, wydając pytające dźwięki niczym trzy niedźwiadki z bajki, które znalazły puste miseczki, owsiance, kiedy Złotowłosa spłądowała ich chatkę, odmieńce weszły do kuchni. Co najmniej dwa. Może trzy.

W ręce, którą trzymała Timothy'ego, Victoria ścisnęła klucz na rozciągliwej różowej plastikowej spirali.

— Weź to — szepnęła. Nadal była tak eterycznie piękna, z błękitnymi oczami roziskrzonymi jakby odbiciem wrózek, które tylko ona widziała, że wydawała się ofiarowywać nie zwykły klucz, lecz magiczny talizman, posiadający moc znajdowania ukrytych skarbów i przywoływania smoków. — Dziurka w stalowej płycie.

Puściła chłopca na sekundę, żeby rzucić mi klucz, i znowu go przytrzymała, zanim zdążył pomyśleć o ucieczce.

Żeby złapać klucz, musiałem puścić klamkę. Zresztą gdyby któryś odmieniec chciał zwiedzić spiżarnię, i tak nie utrzymałbym długo drzwi zamkniętych.

— Ćwierć obrotu w prawo, z powrotem do pionu i wyjmij — szepnęła.

Drzwi spiżarni nie miały zamka. Dziurka, o której mówiła, znajdowała się w małej stalowej płytce na ścianie obok drzwi.

Żeby zrobić to, co kazała, musiałbym spuścić ją z oczu.

— Dlaczego? — zapytałem.

Szept Victorii nabrał gwałtowności.

— Niech cię szlag! Szybko, zanim zabiją nas wszystkich!

Może bestie w kuchni znajdują sernik, migdałowe croissanty, słój z ciasteczkami, jeśli tam był, i zapomną o nas. Chyba że nie lubiły słodczy.

Victoria wyraźnie chciała znowu na mnie napluć, ale jej wściekłość brała się ze strachu i z powodu mojego wahania. Nie dostrzegalem fałszu w jej wykrzywionej twarzy.

Odwróciłem się od niej tylko na chwilę, żeby włożyć klucz i wykonać jej instrukcje. Jak tylko wyjąłem klucz, podłoga uciekła mi spod nóg.

Zaskoczony, poderwałem beretkę do jej twarzy.

Po chwilowej dezorientacji zrozumiałem, że pod spiżarnią znajdował się szyb. Podłoga opadała gładko i bezgłośnie.

Schowałem klucz do kieszeni i ująłem pistolet obiema rękami.

Ściany się wydłużały, spiżarnia stawała się wyższa. Półki wyładowane puszkowaną i paczkowaną żywnością zostały w górze i oddalały się coraz bardziej.

Im głębiej opadaliśmy, tym słabiej oświetlała nas odległa lampa na suficie. Irracjonalnie — co rozumiałe w moim nastroju — spodziewałem się, że zjedziemy na taką głębokość, że lampa stanie się przyćmiona niczym gwiazda i przestaniemy widzieć się nawzajem, pogrążeni w mroku, z dwoma pistoletami, jedno z nas nieuznające żadnych ograniczeń i żadnych praw.

Kiedy opuściliśmy się na jakieś sześć metrów, w ścianie po mojej prawej stronie, za Victorią i chłopcem, pojawił się otwór. Po kilku sekundach zatrzymaliśmy się i otwór okazał się wysokim na dwa metry, szerokim na metr osiemdziesiąt, wyłożonym miedzią tunelem, jak ten łączący mauzoleum z domem. Rozmieszczone w równych odstępach świetłówki kreśliły tunel pasami światła i cienia. Przez szklane rury osadzone w ścianach płynęły te pulsujące złote błyski, które zdawały się jednocześnie zbliżać i oddalać.

Niemal dziesięć metrów wyżej, na szczycie szybu, otworzyły się drzwi spiżarni. Odmieniec zajrzał do środka, spojrział w dół. Zakwicział na nas, ale nie zaryzykował długiego zeskoku.

Victoria wciągnęła Timothy'ego do tunelu. Ruszyłem za nimi, a podłoga spiżarni zaczęła się podnosić, jakby dźwigał ją taran hydrauliczny, chociaż bez syku i szumu typowego dla takich urządzeń. Wzniosła się ponad strop tunelu i zniknęła w szybie, tłumiąc wrzaski odmienca wysoko na górze.

Odmieńce w kuchni wiedziały teraz, że spiżarnia to winda zjeżdżająca do podziemnego królestwa, ale nie miały klucza, żeby ją uruchomić. Zdawało się, że jesteśmy przed nimi bezpieczni.

Stojąc w obitym miedzią tunelu, Victoria Mors i ja nie byliśmy jednak bezpieczni przed sobą nawzajem, a Timothy nie był przed nią bezpieczny.

Przyciskając lufę pistoletu do gardła chłopca z taką siłą, że muszka wrzynała mu się w ciało, Victoria poinformowała mnie, jak cholernie nienawidzi mojej cholernej gęby i jak cholernie żałuje, że nie rozwaliła mi cholernej głowy, żeby cholerny mózg wypłynął.

Jak na kobietę, która przeżyła sporo ponad sto lat, słownictwo miała dość ubogie.

W chwilach zagrożenia, kiedy nie widzę łatwego wyjścia, na ogół mówię szybciej, niż myślę. Przekonałem się, że jeśli mówię, co mi ślina na język przyniesie, bez zastanowienia, wyłączwszy wszystkie filtry, często dochodzę do rozwiązania, którego nie widziałem, dopóki się nie pojawiło. Nie dlatego, że otwieram tamę w jakimś potężnym zbiorniku podświadomej mądrości. Wierzcie mi, żaden taki zbiornik nie istnieje.

Może chodzi o to, że na samym początku było słowo, a słowa to korzenie wszystkiego, co postrzegamy zmysłami. Nie potrafimy sobie niczego wyobrazić, nie potrafimy niczego zwizualizować w myślach, jeśli nie mamy na to słowa. Zatem kiedy pozwalam słowom płynąć swobodnie i nie planuję treści swojej wypowiedzi, czerpię z pierwotnej siły twórczej w sercu kosmosu.

Albo po prostu umiem wciskać kit.

Gdy Victoria mi powiedziała, jak bardzo mnie nienawidzi, wciąż celowałem z beretty w jej twarz, ale usłyszałem swój głos:

— Ja ciebie nie nienawidzę. Może cię nie lubię. Może się tobą brzydzę. Ale nie czuję do ciebie nienawiści.

Nazwała mnie cholernym kłamcą i oświadczyła:

— Nienawiść rządzi światem. Zazdrość, pożądanie i nienawiść.

— Przestałem nienawidzić, kiedy zrozumiałem, że nienawiść nie odda mi tego, co straciłem.

— Zazdrość, pożądanie i nienawiść — upierała się. — Pożądanie seksu, władzy, kontroli, zemsty.

— No, ja jestem tylko zwykłym zegarantem z prostą filozofią. — Nagle przypomniałem sobie coś, co powiedziała w kotłowni, w przerwach między płuciem ni w twarz. — „Znosicie chłostę i zniewagi czasu, które nas nigdy nie dosięgną”.

— Prawda, dopóki wszystkiego nie zepsujesz — warknęła, przekręcając tam i z powrotem lufę pistoletu wbiją w szyję chłopca, aż muszka rozerwała skórę.

Timothy jęknął w proteście, po jego szyi popłynęła cieniutka strużka krwi.

— Szekspir — oznajmiłem. — „Któż by chciał znosić to, czym nas chłoscze i znieważa czas”⁷. *Hamlet*.

— Co ty tam wiesz. Szekspir, akurat. Constantine. Mój Constantine.

Przypomniałem sobie, co jeszcze mówiła.

— „Wasze myśli są niewolnicami życia, ale nasze nigdy”. To chyba z *Króla Henryka IV, Część pierwsza*. Idzie jakoś tak: „Ale ludzkie myśli niewolnicami są ludzkiego życia, a ludzkie życie igraszką jest czasu”⁸.

Chyba próbowała pogardliwym spojrzeniem upuścić mi krwi, podobnie jak lufą pistoletu skaleczyła chłopca.

— Co ty kombinujesz, mały szczyłu? Chcesz mi namącić w głowie? Taki głupi zegarant jak ty?

— Powiedziałaś, że kobiety, które on zabił, to były tylko zwierzęta, „przelotne cienie, żałośni aktorzy. Ich życie nic nie znaczyło”.

— Twoje też nic nie znaczy. Prawda Constantine’a cię boli, co?

— *Makbet* — oznajmiłem. — „Życie jest jedynie przelotnym cieniem, żalonym aktorem, co przez godzinę puszy się i miota na scenie, po czym znika”⁹.

Constantine, przywódca jej kultu i poeta jej czarnego serca, nie był wcale poetą, tylko plagiatorem, zrzucającym od najlepszych. Błyski w jej bładoniebieskich oczach nabrały ostrości. Jeśli kradł poezję, i nie tylko kradł, ale przekręcał jej pierwotne znaczenie dla niegodziwych celów, to również mądrość jego filozofii, jego szalonej ewangelii ziemskiej nieśmiertelności, mogła być fałszywa i pochodzić z drugiej ręki — perspektywa, której Victoria nie śmiała rozważać na tym późnym etapie historii Roseland. Nienawidziła mnie jeszcze żarliwiej za to objawienie.

Wyrecytowałem resztę cytatu, cisnąłem jej w twarz:

— „...opowieścią idioty, pełną wrzasku i wściekłości, a nie znaczącą nic”¹⁰.

Żeby zadowolić mojego przyjaciela Ozziego Boone’a i dla własnej przyjemności, przeczytałem sztuki Szekspira, niektóre nawet po kilka razy, i zapamiętałem parę wersów. Ale nie jestem gorliwym szekspirologiem obdarzonym fotograficzną pamięcią. Cytaty powróciły do mnie, ponieważ pozwoliłem słowom płynąć swobodnie, podobnie jak medium spirytystyczne z kartką i ołówkiem bezwiednie wypisuje obszerne wiadomości, których samo nie wymyśliło. Niemniej dziwiłem się, że Victoria wysłuchiwała tego mojego gadania.

— Powiedziałaś, że za godzinę będę miał stopę na gardle — przypomniałem jej.

— Powiedziałaś: „cichą stopę”. To także z Szekspira, z *Wszystko dobre, co dobrze się kończy*. „Czas cichą stopą nasze najszybsze unosi zamiary”¹¹.

Kazała mi zamknąć cholerną gębę.

Zamiast tego zacytowałem następny szekspirowski odnośnik do czasu, którego nie usłyszałem od niej w kotłowni:

— „Tak, co godzina, rośniem, dojrzewamy, tak, co godzina, gnijemy, gnijemy”¹².

Sądząc po jej zbolalej minie, Constantine Cloyce zaprezentował jej coś podobnego do tych wersów jako własną twórczość, poetycką doktrynę swojego kultu.

— Nie — zaprotestowała. — To nie tak. Wcale nie tak. To idzie: „Tak, co godzina, rośnięm, dojrzewamy, tak, co godzina, oni gniją, gniją”. Oni gniją, wy gnijecie, to wy, głupie zegaranty, gnijecie i gnijecie, nie my.

Lzy stanęły jej w oczach, ale mnie nie wzruszyły. Podejrzywałem, że te słone krople są trujące jak jad żmii.

— Ty wredny gówniarzu. Wszystko zepsułeś — oświadczyła z taką goryczą, że wiedziałem, iż nie tylko zniszczyłem ich zdeprawowane życie w Roseland, ale zasiałem przynajmniej ziarenko zwątpienia w filozofię i mitologię, jaką upichcił Constantine Cloyce, żeby usprawiedliwić ich życie bez ograniczeń, bez praw, bez strachu. I nieznanie nadwątlilem więź „wiecznej miłości”, która wedle jej słów łączyła ją z panem i władcą Roseland.

Wyglądała tak, jakby gotowa była zaryzykować, zabić chłopca i spróbować mnie zastrzelić, zanim ja ją zastrzelę, po prostu, żeby mi zrobić na złość.

Taki postępek pozostawałby w zgodzie z wartościami, które ceniła najwyżej. Zazdrość, pożądanie i nienawiść. Seks, władza, kontrola, zemsta.

Usłyszałem własny głos:

— Niczego nie zepsułem. Jeszcze nie. Możemy jeszcze wszystko naprawić, jeśli zechcesz.

Sam nie wiedziałem, dokąd mnie zaprowadzą te słowa, wiedziałem jednak, że nie odważę się ponownie spojrzeć na Timothy'ego. Victoria mogła zinterpretować każde takie spojrzenie jako dowód, że nadal próbuję go chronić, czyli jestem jej wrogiem.

— Nic już nie można naprawić — burknęła. — Oni nie żyją. Wpuściłeś odmienne do domu i pozabijały wszystkich.

— Nie wpuściłem ich — zaprzeczyłem i właściwie nie skłamałem. Z pewnością nie wpuściłem ich naumyślnie. — W każdym razie nie wszyscy zginęli. Ty żyjesz. Henry Lolam w stróżówce. I Constantine, o ile wiem. Wy i Roseland możecie przetrwać... jeśli dostanę, czego chcę.

— Powiem ci, czego ja chcę.

Chciała, żebym zdechł, chciała mi urwać cholerną głowę, obciąć cholerne narządy rozrodcze i wepchnąć mi do cholernych ust.

Chociaż nie patrzyłem bezpośrednio na szklane rury, w których błyski światła zdawały się płynąć w przeciwne strony jednocześnie, ich widok mącił mi w głowie szybciej, niż zdołałem zamącić w głowie Victorii. Miałem wrażenie, że tunel jest w rzeczywistości długim wagonem, który pędzi pod ziemią, kołysząc się lekko, jak zwykle wagony pociągu. Ona była lepiej obznajomiona z tym efektem i pewnie na niego odporna. Mdlilo mnie coraz mocniej. Jeśli młodości się nasiliła, Victoria może przerwać impas, jak tylko zauważy moją dezorientację.

Nagle, w reakcji na potok jej niecenzuralnych słów, odruchowo zacząłem odgrywać złego chłopca i udawać, że moja poprzednia osobowość była równie fałszywa jak nazwisko „Victoria Mors”.

— Jesteś niezła laska, ale głupia cipa. Oczywiście, że chcemy tego samego. Każdy chce tego samego. Sama to powiedziałaś.

— Przestań pieprzyć.

— Jeszcze będziesz mnie błagać, żebym nie przestawał pieprzyć — powiedział Zły Odd. — Następnym razem przywiążę cię do łóżka, dziwko. A teraz wytrząśnij

głupotę z tej ślicznej główki, żebym mógł tam wsadzić trochę rozumu. Jeśli nie zaczniemy współpracować, nikt z nas nie przeżyje.

Nadal była podejrzliwa, ale widziałem, że Zły Odd przemawia do niej bardziej niż Odd, jakiego dotąd znała.

— Muszę wiedzieć parę rzeczy, Vicky — ciągnąłem. — Jak długo potrwa ten przypływ, zanim się pozbędziemy odmieńców?

Przez chwilę mierzyła mnie wściekłym wzrokiem, ale potem odpowiedziała:

— Jeszcze tylko godzinę, najwyżej dwie albo trzy.

— Jak często się zdarzają te przypływy?

— Nigdy nie wiemy. Raz na rok, na trzy lata, pięć. Zaczyna się kilka dni wcześniej od zawirowań w nocy. Ozon. Krzyk.

— Krzyk nura — skojarzyłem.

Wzdrygnęła się.

— To nie nur.

— Odmieńce, świniaki... nigdy przedtem nie dostały się do domu?

— Nie. I nigdy przedtem nie używały siekier ani toporów. Tylko kijów. Robią się mądrzejsze.

Błyski w rurach pędziły tam i z powrotem. Kwaśna żółć podeszła mi do gardła. Przełknąłem z wysiłkiem, modląc się, żeby Victoria tego nie zauważyła.

— Dokąd prowadzi ten tunel?

Powróciwszy do zwykłych manier, Victoria warknęła, że nie jest cholernym przewodnikiem wycieczki. Lewym ramieniem objęła Timothy'ego za szyję i przesunęła lufę pistoletu do jego prawej skroni.

Zły Odd nie lubił, żeby mu się odszczekiwać. Zrobiłem krok w jej stronę i lufa beretty znalazła się pół metra od jej twarzy.

— Słuchaj, głupia suko, z chęcią rozwałę ci łeb. Jeśli myślisz, że mi zależy na chłopcu, to nie rozumiesz sytuacji. Zależy mi tylko na sobie. Jeżeli tylko ja stąd wyjdę żywy, to mi wystarczy do szczęścia. Ale nie musi tak być. Dokąd prowadzi ten tunel?!

Przyglądała mi się przez chwilę, potem ustąpiła.

— Kawałek na wschód, potem się rozgałęzia na północny wschód i na południe.

— Na północny wschód dokąd?

— Do maszynowni pod stajniami.

— A na południe?

— Do wieży gościnnej.

— To chciałem usłyszeć. Więc mówiłaś, że dwaj pozostali ochroniarze są na urlopie. Nie ma żadnych ochroniarzy, prawda?

— Może są.

— Taa, i Święty Mikołaj też istnieje. Więc zrobimy tak, Vicky. Annamaria i ja zostajemy w Roseland. Podoba mi się takie życie. Mogę przywyknąć do bogactwa. I wiecznej młodości. Zabiłem Pauliego Sempiterno. Zajmę jego miejsce. Wzmocnimy obronę. Odmieńce więcej nas nie zaskoczą, czy to za rok, czy za dziesięć lat.

— Nic z tego nie wyjdzie — burknęła.

— Właśnie że wyjdzie. Jeśli zostało was tylko troje, będziecie potrzebować wsparcia przy następnym przypływie.

Żołądek mi się skręcał jak wijący się leniwie węgorz. Ze wszystkich sił skupiałem się na twarzy Victorii.

— Constantine nie pozwolił wam zostać — oświadczyła.

— Zapominasz, że to Constantine nas zaprosił. Poza tym mamy dla niego prezent, na którym mu naprawdę zależy.

— Jaki prezent?

— Dziecko Annamarii.

Potworne implikacje moich słów wcale jej nie speszyły. Oczy miała puste jak oczy lalki, jednej z tych lalek, które na filmach ożywają i wykazują żywe zainteresowanie sztukami.

— To nie w stylu Constantine'a. Bardziej w stylu Pauliego.

Zgroza mocniej ścisnęła mi serce, kiedy sobie wyobraziłem, co jeszcze oprócz maszyn czeka na odkrycie w maszynowniach pod stajniami. Nie zamierzałem tego sprawdzać.

— Pamiętaj, że Paulie nie żyje — powiedziałem. — Co do Constantine'a... gusta się zmieniają, stają się bardziej wyrafinowane. Jeśli to nie w twoim stylu, ty i ja możemy wymyślić jakąś nową zabawę. Całkiem fajnie byś wyglądała z rozpuszczonymi włosami.

— Mówiłeś, że mnie nie lubisz i że się mną brzydzisz.

— Nie, mówiłem, że może cię nie lubię. Ale czy nie rozumiesz? Przecież najbardziej emocjonującym przeżyciem jest oddanie się temu, kogo nie lubisz i kim się brzydzisz. Wolność obojętności.

Zły Odd zaczynał mnie przerażać.

Victoria oblizła wargi.

— Życie tutaj, wolne od tyranii czasu, robi coś z człowiekiem.

— Coś?

— To jak gorączka we krwi, nie choroba, tylko radosna swoboda. Nazywamy to gorączką wydziedziczenia.

— Wydziedziczenia z czego?

— Jesteśmy wydziedziczeni z wszelkich niemożliwości, ze wszystkiego, co niegdyś wydawało się niedostępne. Każde pragnienie można zaspokoić równie łatwo, jak się narodziło. I każde pragnienie w końcu ustępuje przed nowym, bardziej rozkosznie ekstrawaganckim. Możliwości są nieskończone.

Razem znaleźliśmy drogę do tej krzyżówki samouwielbienia i samopotępienia, która jest najmłodniejszym nowoczesnym szaleństwem. Zakładała, że skoro poznałem to miejsce sercem i umysłem, z pewnością jestem nim równie oczarowany jak ona, gotów wieść życie poświęcone dziełom śmierci.

Niekiedy ryzyko jest konieczne, żeby wygrać. Zaryzykowałem i schowałem berettę do kabury.

Victoria przycisnęła do siebie chłopca, obejmując go za szyję, z lufą pistoletu przy jego skroni.

W jego oczach dostrzegłem zarówno strach, jak i ulgę, i to drugie mnie zasmuciło.

Victoria uwolniła go. Opuściła broń, celując w podłogę.

— Kiedy splunęłam ci w usta — powiedziała i obdarzyła mnie elfim uśmiechem — musiało ci smakować.

Wyciągnąłem pistolet i strzeliłem jej z bliska dwukrotnie w pierś, zanim zdążyła podnieść broń.

Mimo ran i krwi Victoria na podłodze zachowała elfią urodę, pozbawioną teraz duszy, która nie dorównywała pięknnością jej materialnej postaci.

— Nie patrz na nią — ostrzegłem chłopca.

— Widziałem gorsze rzeczy.

— Wszystko jedno, nie patrz. Wejdz trochę dalej w tunel. Za chwilę do ciebie dołączę.

Zrobił, co kazałem.

Moje młodości ustąpiły. Nie wywołały ich pulsujące światła w ścianach. Spowodowała je świadomość tego, co zrobię Victorii, jeśli podstępem zdobędę jej zaufanie.

Nie byłem nic winien tej kobiecie poza tym, co ode mnie dostała, i chociaż wydawała się taka młoda, nie zmarła przedwcześnie. Jednak śmierć to zawsze i przede wszystkim śmierć, nawet jeśli jest także czymś innym, na przykład sprawiedliwością.

Pomimo wszystkich swoich występków niegdyś, bardzo dawno temu, Victoria była kimś innym, nie całkiem wyzbytym niewinności. Przez wzgląd dla tamtej lepszej dziewczyny, którą kiedyś była, żałowałem, że nie mogę jej przykryć kocem, zamiast zostawić odsłoniętą w poniżeniu śmierci.

Moja sportowa marynarka zakryłaby tylko jej głowę i tors, co wyglądałoby na szyderstwo.

Jej pistolet leżał na podłodze. Ponieważ tak szybko zużywałem amunicję, podniosłem broń. Wsunąłem magazynek... i odkryłem, że jest pusty. W komorze też nie było naboju.

Wystrzelała całą amunicję, zanim w ogóle się spotkaliśmy, więc nie stanowiła zagrożenia ani dla Timothy'ego, ani dla mnie.

Wbiłem magazynek z powrotem do jej pistoletu i odłożyłem go na podłogę.

Nie mogło być inaczej. Stało się to, co musiało się stać. Niemniej nie był to szczytowy moment mojego życia.

Odwrociłem się plecami do Victorii i uzupełniłem magazynek mojej beretty. Potem dołączyłem do Timothy'ego w tunelu.

— Dobrze się czujesz? — zapytałem.

— Nie. Ostatnim razem czułem się dobrze, kiedy żyła moja matka.

Położyłem mu rękę na ramieniu.

— Powiedziałeś, że nikt nie może się cofnąć z teraźniejszości w przeszłość i wpłynąć na to, co się stało, żeby stworzyć teraźniejszość taką, jaka jest.

— Mówili, że Tesla tak powiedział, i okazuje się, że to prawda.

— Ojciec sprowadził cię z tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku, z chwili parę minut przed tym, zanim przypadkowo cię zastrzelił, ale twoje martwe ciało wciąż leżało na trawniku obok zwłok matki i konia.

— Tak. Moje życie się skończyło, kiedy mnie zastrzelił.

— A jednak żyjesz... chociaż się nie zmieniasz. Paradoks.

— Ponieważ nie mam życia... nie mam przeznaczenia, do którego mógłbym dorosnąć.

Przykląkłem na jedno kolano, żeby zrównać się z nim wzrostem.

— Gdybyśmy sprowadzili twoją matkę z czasu, zanim ją zastrzelił, byłaby jak ty.

— Jak ja. Nigdy niezmiennająca się fizycznie. Dręczona przyszłością. Nie mogłaby opuścić Roseland. — Spojrzał w stronę ciała Victorii. — Chyba że zostałyby ponownie zabita.

To było dla mnie coś nowego.

— Nie możesz opuścić Roseland?

— Oni mówią... uważają, że wtedy przestałbym istnieć. Istnieję poza czasem, poza moim czasem, tutaj w stuleciu, do którego nie przynależę. Może podtrzymuje mnie tylko pole energii, pole Tesli, które otacza Roseland.

Gdyby to się okazało prawdą, znaczyłoby, że uratowałem go tylko po to, żeby go skazać na śmierć, w taki czy inny sposób.

Odmieńce załatwiły Jama Diu, panią Tameed i może nawet Constantine'a Cloyce'a, oszczędzając mi roboty. Nie musiałem zabijać tylu ludzi, jak się obawiałem, nie musiałem nawet odgrywać znienawidzonej roli biczka bożego. A jeśli wyłączyć maszynię i zlikwiduję ostatniego outsidera, czyli Henry'ego Lolama, ocalę życie wszystkich kobiet i dzieci, na których żerowałby ten obłąkańczy kult w nadchodzących dekadach. Sporo osiągnąłem przez jeden dzień, zwłaszcza jak na bezrobotnego kucharza.

Ale pozostało jeszcze to wieczne dziecko, mądre książkową mądrością i zahartowane przez cierpienie. Przygnębiała mnie świadomość, że mogę mu pomóc, tylko odsyłając go w niebyt. Po wszystkim, co tu przetrzymał, po wszystkich okropnościach, które widział i słyszał, wciąż pozostał niewinny w tym sensie, że był bez winy, niezakłamanym, nieszkodliwym, niezepsutym. Zasługiwał na coś lepszego niż druga śmierć.

Gdyby jego los spoczywał w moich rękach, dałbym mu życie, nadzieję i szczęście. Nie posiadam jednak takiej boskiej mocy. Jestem tylko wędrownym stróżem, jadę tam, dokąd trzeba, sprzątam taki czy inny bałagan i ruszam dalej, do następnego toksycznego wycieku.

Kiedy Timothy mi wyznał, że przestanie istnieć, jak tylko wyjdzie poza bramę posiadłości, nie wiedziałem, co powiedzieć. Mogłem jedynie go objąć, przytulić i mocno uściskać. Chyba zrobiłem, co należało, ponieważ odwzajemnił uścisk i przez chwilę czerpaliśmy siłę z siebie nawzajem, głęboko w labiryncie Roseland, podczas gdy odmieńce polowały w innych korytarzach i w słońcu na powierzchni, karmiąc się ludzkim mięsem z entuzjazmem Minotaura grasującego w labiryncie pod starożytną Kretą.

Ruszyliśmy dalej szukać rozgałęzienia tuneli, o którym wspomniała Victoria Mors.

— Chciałbym, żebyś kogoś poznał — powiedziałem.

Timothy pokręcił głową.

— Chcę tylko, żeby mnie odesłano z powrotem. Żebym znowu był jednym Timothyem, nie dwoma. Tym, który zginął w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku, jak mu było przeznaczone.

— Może tak byłoby najlepiej — przyznałem. — Ale często to, czego chcemy, nie jest tym, co najlepsze. Mam przyjaciółkę w wieży gościnnej. To miła pani. Chcę się jej poradzić, zanim zdecydujemy, co robić.

— Kto to jest?

— Dałbym wiele, żeby znać odpowiedź na to pytanie, Tim.

Kiedy wybity miedzią tunel rozwidlił się, daleko za wymanikiurowanymi terenami Roseland, skręciliśmy w prawo, w stronę wieży gościnnej.

Wyznanie Timothy'ego, że przestanie istnieć za murami posiadłości, rozstroiło mnie tak bardzo, że dopiero teraz zarejestrowałem, co jeszcze ważnego powiedział. Zacytowałem:

— „Dręczona przyszłością”.

— W przeszłości nie żyję. A ponieważ tam umarłem, nie należę do teraźniejszości. Jednak żyję. Mój umysł istnieje jednocześnie w czasie i poza czasem. Więc może dlatego... widzę rzeczy, które mogą się zdarzyć.

— Przyszłość?

— Chyba tak.

— Wcześniej wszedłem do twojego pokoju. Siedziałeś w fotelu. Oczy miałeś wywrócone w głąb czaszki. Byłeś w transie?

— Mogę to zrobić, kiedy zechcę. Ale czasami to mnie dopada, kiedy nie chcę.

— Mówiłeś coś o tym, że ich twarze topią się i spływają z czaszek, że rozsypują się jak sadze... To znaczy, że zobaczyłeś, że kiedyś to się stanie?

— Rozbłyśki jaskrawego białego światła zmieniają wszystko w sadzę i kurz — odparł.

— Uczennice w mundurkach i podkolanówkach. Ich ubrania i włosy płoną, płomienie buchają im z ust. To znaczy... wojna.

— Widzę różne rzeczy w różnym czasie. Nie wiem, co się na pewno stanie, a co tylko może się stać.

Po chwili wahania zapytałem:

— Widzisz jakieś dobre rzeczy, jakieś możliwości, w których chcielibyśmy żyć?

— Niewiele.

— Jeśli przyszłość nie jest ustalona... czemu odmienne ciągle się tu pojawiają przez lata? Czemu jakaś inna, alternatywna przyszłość nie przesącza się czasami do Roseland?

— Może dlatego, że w większości możliwych przyszłości, w osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu procentach, odmienne zostały stworzone i wojna zniszczyła świat.

— Ale to nie jest nieuniknione?

— Nie. Widzimy, że niektóre rzeczy się zmieniają pomiędzy przypływami.

— Na przykład co?

— Na przykład przedtem nie było tych gigantycznych nietoperzy.

— To zmiana na gorsze — stwierdziłem.

— Tak. Ale jeśli możliwa jest zmiana na gorsze, możliwa też jest zmiana na lepsze.

Resztę drogi przeszliśmy w milczeniu.

Tunel kończył się wąskimi spiralnymi schodami z nierdzewnej stali. Wspiąłem się pierwszy jakieś piętnaście metrów w górę. Na szczycie zobaczyłem miedzianą kopułę błyszczącą dwadzieścia metrów wyżej i zrozumiałem, że dotarliśmy na drugie piętro wieży gościnnej.

Całe przestronne pomieszczenie — nawet podłogę — wyłożono jasną miedzią. Wpuszczone w miedź srebrzyste dyski, każdy oznaczony symbolem nieskończoności, tworzyły skomplikowane wzory.

Chronosfera była najbardziej spektakularną, ale nie najbardziej zdumiewającą rzeczą w tym pokoju. Od razu zauważyłem dziwną właściwość światła. Ani za jasne, ani za słabe, ciepłe i złociste, przypominające blask świec, ale bez migotania, tworzyło przyjazny nastrój i sprawiało, że nawet to dziwaczne pomieszczenie wydawało się znajome, chociaż nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Potrzebowałem prawie całej minuty, żeby się zorientować, że światło było dziwne, ponieważ nie miało źródła. Żadnych lamp, kinkietów, świetlówek. Od końca do końca, od sufitu do podłogi pokój był równomiernie oświetlony; w żadnym miejscu nie było ciemniej ani jaśniej niż gdzie indziej. Wydawało się, że światło wypełnia przestrzeń tak samo jak powietrze. Nie potrafię lepiej opisać tego zjawiska.

Przypomniałem sobie, że w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku w swoim laboratorium w Kolorado Nikola Tesla zapalił dwieście lamp na odległość czterdziestu kilometrów, bez kabli. Przesłał elektryczność przez powietrze. Zawsze nastawiony na nowe pomysły, szybko przeszedł do innych zadań i obecna technologia stojąca za tym wyczynem zaginęła.

Różnica pomiędzy eksperymentem w Kolorado a pomieszczeniem w wieży polegała na braku żarówek. Cały pokój wydawał się spełniać funkcję żarówki, chociaż bez żarnika i bez próżni w środku. Timothy i ja mogliśmy oddychać i nie odczuwaliśmy żadnych skutków przepływu prądu. Żadnych wstrząsów. Nawet najślabszego mrowienia. Drobnе włoski na wierzchu moich dłoni nie zjeżyły się od elektryczności.

Ponadto żaden z nas nie rzucał cienia. Ani chronosfera, ani nic innego. Uniwersalne źródło światła pokonało cień.

Opis chronosfery będzie równie trudny.

Zewnętrzną część stanowiło ogromne zawieszenie kardanowe o ramionach wygiętych i platerowanych srebrem. Miało jakieś pięć i pół metra szerokości i ponad osiem metrów od podstawy do wierzchołka, i zajmowało prawie cały pokój, tylko pod ścianami zostało półtorametrowe przejście.

Pośrodku tego pierwszego, większego kardana zawieszenia znajdował się drugi, tym razem powleczoney złotem. A wewnątrz drugiego zawieszenia tkwił krążek żyroskopu, tylko że zamiast krążka było złote jajo mierzące dwa metry od końca do końca i metr osiemdziesiąt średnicy w najszerszym miejscu. Zapewne ze względu na jajowaty kształt nie powinno się nazywać tej egzotycznej konstrukcji żyroskopem, ale nie znałem innego określenia.

Wdzięcznie wygięte ramiona wewnętrzznego kardana łączyły się z zewnętrznymi w jakiś trudno dostrzegalny sposób, który pozwalał im obracać się gładko, bezdźwięcznie, zakreślając w powietrzu leniwe łuki ósemek. Te łuki wydawały się przecinać, zatem kolidować ze sobą, ale nieustannie poruszające się

ramiona nigdy się nie zderzały. Jajo tkwiące pośrodku mniejszego zawieszenia obracało się wokół dłuższej osi, węższym końcem do góry.

Magicznie wirujące ramiona skomplikowanego wewnętrznego kardana także nie rzucały cieni. Ale powietrze wzdłuż ich krawędzi — albo samo światło — lekko falowało.

Wskazując na jajo, Timothy oznajmił:

— To jest kapsuła. Ona podróżuje w czasie... i poza czas. Może zabrać jedną albo dwie osoby. Możesz mnie odesłać samego i jeśli kapsuła nie jest nastawiona na PARKOWANIE, wróci tu pusta.

Miałem mnóstwo pytań, ale to nie była odpowiednia pora. Spostrzegłem miedziane drzwi w miedzianej ścianie, wziąłem Timothy'ego za rękę i poprowadziłem go wokół chronosfery do wyjścia.

Za drzwiami zaczynały się kręcone schody, prowadzące w dół, na pierwsze piętro, gdzie czekała Annamaria.

Nie miałem klucza do pomieszczenia na szczycie wieży. Wyjąłem z portfela dwa dolarowe banknoty, poskładałem je i wepchnąłem w otwór zamka we framudze drzwi, żeby zasuwka nie zaskoczyła i żebyśmy mogli wrócić w każdej chwili. Miliony lat przeszłości były moje za nędzne dwa dolary.

Drzwi się otwały, kiedy chciałem zapukać. Annamaria stała na środku pokoju, twarzą do nas, jakby przed chwilą jakiś system głośników oznajmił: „Odd Thomas wszedł do budynku”.

Po jej lewej stronie stał golden retriever Rafael. Po prawej stronie — mój pies widmo, Buu.

Kotary zakrywały okna, lampy Tiffany’ego się nie paliły. Jedyne światło dawały trzy szklane naczynia, przypominające pękate wazony o długich szyjkach, jeden przezroczysty i dwa w kolorze koniaku. W każdym płonął knot zanurzony w kałuży oliwy.

Annamaria wyciągnęła prawą rękę i Timothy natychmiast do niej podszedł, jakby ją znał. Wziął ją za rękę, a ona pochyliła się i pocałowała go w czoło.

W Magic Beach, gdzie się poznaliśmy, Annamaria wołała lampy oliwne niż elektryczne. Mówiła, że słońce każe rosnać roślinom, z roślin wydobywa się olejki eteryczne, a po latach te olejki płoną w lampach i oddają „światło minionych dni”, które bardziej jej odpowiadało niż elektryczne.

Do mojej kwatery nie dostarczono lamp oliwnych. Może Annamaria specjalnie o nie poprosiła. Może Constantine Cloyce przyniósł je osobiście.

Zaprowadziła Timothy’ego do sofy i usiedli na środku. Rafael wskoczył na siedzisko, zwinął się w kłębek i położył łeb na kolanach chłopca. Buu umościł się obok Annamarii.

Jedna lampa stała na stoliku do kawy. Dokładnie nad nią na suficie drżało kilka rozmytych kręgów światłocienia, odbicia szklanego naczynia.

Annamaria trzymała prawą rękę chłopca w obu dłoniach. Uśmiechali się do siebie.

Na małym stole obiadowym stała druga oliwna lampa, która również rzucała na sufit drżące projekcje swojego kształtu.

Na tym samym stole w dużej, płaskiej błękitnej misie pływał jeden ogromny kwiat o woskowych płatkach, chociaż wcześniej było ich trzy.

— Kogo widzisz, kiedy patrzysz na mnie? — zapytała chłopca Annamaria.

— Moją matkę — odpowiedział.

— Ale nie jestem twoją matką, prawda?

— Nie — przyznał Timothy. — Nie jesteś. Ale mogłabyś być.

— Mogłabym?

— Byłoby miło — stwierdził, po raz pierwszy jak dziecko, nie jak starzec zamknięty w dziecięcym ciele.

Jedną ręką łagodnie odgarnęła mu włosy i przycisnęła wewnątrz dłoni do czoła, jakby chciała sprawdzić, czy ma gorączkę.

Coś ważnego się tu działo, ale nie miałem pojęcia co.

Trzecia lampa oliwna, ta z przezroczystego szkła, stała na blacie we wnęce kuchennej. Zanieczyszczenia knota powodowały, że płomień trzepotał i wydłużał się, wślizgiwał się na chwilę w długą, wąską szyjkę naczynia i opadał z powrotem w kałużę oliwy, którą się karmił.

Annamaria znowu wzięła rękę Timothy'ego w obie dłonie.

— Jak pozostałeś sobą przez te wszystkie lata? — zapytała.

— Książki — odpowiedział chłopiec. — Tysiące książek.

— Widocznie to były odpowiednie książki.

— Niektóre tak, niektóre nie. Można rozpoznać, które są które.

— Jak to rozpoznajesz?

— Najpierw po tym, jak się czuję.

— A później?

— Czytając, co jest na stronie i czego nie ma.

— Pomiędzy wierszami — podsunęła.

— Pod wierszami — sprostował.

Tak mało uczestniczyłem w tym spotkaniu, że czułem się nawet nie jak piąte koło u wozu, tylko jak piąte koło trójkołowca.

Od tej rozmowy oderwało mnie nagłe zamieszanie na zewnątrz, łomotanie i szczekanie, które przyciągnęło mnie do okna. Odsunąłem zasłonę i przycisnąłem czoło do szyby, żeby lepiej widzieć, co się dzieje na dole.

Wokół podstawy wieży gościnniej roily się podniecone odmienne, te z paskudnego i te z jeszcze paskudniejszego gatunku. Słyszałem, jak parskają i chrząkają. Potem znowu rozległ się donośny szczęk, kiedy jeden z odmieńców z rozmachem walnął siekierą w żelazne pręty, osłaniające okno na parterze dokładnie pod tym, przy którym stałem.

Nawet gdyby rozwały mur, w którym osadzono pręty, i zdołały je wyważyć, nie precyzyjnie by się przez wąskie okna. Te bestie były prymitywne, niestabilne emocjonalnie, niezrównoważone umysłowo, stuknięte połcie wieprzowiny, ale nie były takie głupie ani zaślepione wściekłością, żeby nadal daremnie atakować okna, skoro czekały na nich frontowe drzwi.

Te drzwi były tylko okute żelazem, nie całkiem opancerzone. Stalowe krawędzie i stalowe obejmy pozostawiały sporo odsłoniętego dębowego drewna do rąbania. I chociaż wyjątkowo grube, stworzone, żeby wytrzymać obłężenie bezrozumnych zwierząt, które w najlepszym razie próbowałyby je staranować, nie mogły się oprzeć atakom odmieńców wyposażonych w młoty i siekiery.

Victoria Mors mówiła, że odmienne nigdy jeszcze nie były tak uzbrojone, że przed tym przyplływem nosiły najwyżej zwykłe kije. Mówiła, że robią się mądrzejsze.

Jeden z nich dostrzegł mnie w oknie na piętrze i zaczął na mnie wrzeszczeć, wyrażając pięć. Zaraził innych wściekłością i wszyscy odwrócili się do mnie, wyciem domagając się krwi, wymachując pięściami i bronią.

Pomyślałem o Enkeladosie i gigantach, zmiażdżonych pod kamieniami, które sami spiętrzyli wysoko, żeby dosięgnąć niebios i wydać wojnę bogom. Ale nie byłem bogiem, a pierwsze piętro wieży nie leżało tak wysoko jak niebo.

Odwróciwszy się od okna, przerwałem Annamarii i Timothy'emu niezbyt zrozumiałą rozmowę.

— Odmieńce są tutaj. Jak postanowią rozwalić drzwi, mamy najwyżej dziesięć minut.

— Więc będziemy się tym martwić osiem minut później — oświadczyła Annamaria, jakby zgrała pod oknem nie była groźniejsza od akwizytorce z firmy Avon, pragnącej zaprezentować nową linię kosmetycznych produktów.

— Nie, nie, nie. Nie wiesz, czym są odmieńce — zaprotestowałem. — Nie mieliśmy czasu o nich porozmawiać.

— I teraz też nie mamy czasu — odparła. — Pierwszeństwo ma to, co musimy omówić z Timem.

Chłopiec i oba psy najwyraźniej się z nią zgadzali. Wszyscy uśmiechnęli się do mnie, rozbawieni moim zdenerwowaniem z powodu wizyty kilku rozdrażnionych świń, zamierzających urządzić odwrotność *lauu*.

— Musimy wejść na drugie piętro — nalegałem. — Jedyna droga ucieczki to ta, którą przyszedliśmy z Timem.

— Idź pierwszy, młody człowieku. Dołączymy do ciebie, jak tylko tu skończymy.

Znałem ją wystarczająco dobrze, żeby nie naciskać więcej. Na każdy z moich nagłych argumentów odpowiedziała albo kilkoma słowami spokojnej otuchy, albo enigmatycznym zdaniem, które zrozumiałbym dopiero po trzech latach, jeśli w ogóle.

— No dobrze — zgodziłem się. — Dobra, w porządku, pójdę na drugie piętro i zaczekam na was, na odmieńce, na konia widmo, na orkiestrę dętą, ktokolwiek tam przyjdzie, po prostu zaczekam.

— Doskonale — stwierdziła Annamaria i wróciła do rozmowy z Timothyem.

Wyszedłem z pokoju, zamknąłem za sobą drzwi i zamiast na górę, zbiegłem po schodach na dół. W przedsionku dzielącym drzwi zewnętrzne od drzwi mojego apartamentu słyszałem, jak odmieńce tłoczą się na zewnątrz, wydając różnorodne świńskie odgłosy i niektóre tak ludzkie, że ciarki mnie przeszły. Chyba podjadzały jeden drugiego, niczym członkowie drużyny sportowej dopinający się nawzajem przed ważnym meczem.

W moim apartamencie z najwyższej półki w szafie w sypialni wyciągnąłem owinięty plastikiem plik banknotów, który dostałem od podstarzałego aktora Hucha Hutchisona, zanim wyjechałem z Magic Beach, zaledwie przed kilkoma dniami. Jeśli zamknę Roseland na zawsze i ucieknę, Annamaria i ja będziemy potrzebować tej forsy.

Podczas tygodni spędzonych w Magic Beach pracowałem u pana Hutchisona i zostaliśmy przyjaciółmi. Nie chciałem jego pieniędzy, ale nalegał z takim wdziękiem i życzliwością, że odmowa stanowiłaby najgorszą obelgę.

Kiedy pan Hutchison miał dziewięć lat, wybuchł Wielki Kryzys i wiele banków upadło. W konsekwencji nie bardzo ufał takim instytucjom. Trzymał pliki gotówki w zamrażarce, owinięte ciasno w białe plastikowe worki na śmieci i zaklejone taśmą monterską.

Każda paczuszka była podpisana szyfrem. Jeśli napis głosił: OZORY WOŁOWE, zawierała banknoty dwudziestodolarowe. GRASICA oznaczała połowę dwudziestek i połowę setek. Kiedy Hutch wręczył mi jedno takie zawiniątko

w różowej torbie reklamowej, po której fruwały małe żółte ptaszki, nie powiedział mi, ile tam jest pieniędzy, a sam dotąd nie zaglądałem.

Zapomniałem, jakim szyfrem oznaczono tę paczuszkę. Kiedy ją wyjąłem z szafy, przeczytałem: WIEPRZOWINA. W centrum tego wszechświata siedzi ktoś obdarzony poczuciem humoru.

Ściskając prezent od pana Hutchisona, wyszedłem z apartamentu i zamknąłem za sobą drzwi na klucz.

Odmieńce jeszcze nie zaczęły rąbać frontowych drzwi.

Wbiegłem po kręconych schodach, obok apartamentu Annamarii, na drugie piętro, gdzie wcześniej wepchnąłem dwa dolarowe banknoty w otwór na zatrask we framudze drzwi.

Kiedy wszedłem do wysokiego pomieszczenia, Constantine Cloyce wychynął zza skrzydła drzwi i rąbnął mnie w twarz kolbą swojej śrutówki z pistoletowym chwytem.

Znowu byłem w Oświęcimiu, przerażony, że umrę dwa razy. Nie kopałem dostatecznie szybko, żeby zadowolić strażnika. Więc on kopnął mnie raz, drugi, trzeci. Stalowy czubek jego buta rozerał mi lewy policzek. Z rany nie pociekła krew, tylko posypał się mialki szary popiół, i poczułem, jak moja twarz zapada się do wewnątrz, jakbym nie był prawdziwym człowiekiem, tylko nadmuchiwaną kukłą, pustą powłoką wypchaną słomą, która niepostrzeżenie obróciła się w popiół i sadze. Na ziemi, gdzie kopałem z niedostateczną szybkością, pojawiło się krzesło, na którym usiadł poeta T.S. Eliot i przeczytał mi dwa wersy ze zbioru swoich wierszy: „Oto tak kończy się świat. Nie z hukiem, tylko ze skowytem”.

Ocknąłem się na miedzianej podłodze wysokiego pokoju. Przez chwilę nie wiedziałem, skąd się tam wziąłem. Ale potem przypomniałem sobie Wolflawa... nie, Cloyce'a. Constantine'a Cloyce'a. Oczy szare jak szczotkowana stal, podbródek gwiazdora seriali wysunięty do przodu, szczęki zaciśnięte, małe, pełne usta skrzywione w grymasie pogardy, kiedy opadała kolba śrutówki.

Twarz mnie bolała. Czułem smak krwi. W oczach mi się ćmiło. Zamrugałem szybko, ale nie odzyskałem jasności widzenia, a w dodatku przy każdym mrugnieniu boleśnie łupało mnie w głowie.

Słyszałem, jak Cloyce cicho nuci. Początkowo nie mogłem rozpoznać piosenki, ale potem sobie skojarzyłem, że to amerykański standard, *Let's Misbehave* Cole'a Portera.

Wolałem się nie ruszać z obawy, żeby nie przyciągnąć uwagi Cloyce'a, zanim nie odzyskam wzroku na tyle, aby się bronić. Leżałem twarzą do dołu, z głową odwróconą w prawo, przez około minutę, aż znowu zacząłem widzieć wyraźnie.

Na podłodze, jakieś pół metra dalej, zobaczyłem plik banknotów zawinięty w plastik. Ile by nie wynosił mój żaloszny skarb, nie kupi mi życia u mordercy, który jest miliarderem.

Za paczką pieniędzy wznosiła się chronosfera. Nie widziałem stóp Cloyce'a w tej błyszczącej konstrukcji, tylko wewnętrzne zawieszenie kardanowe, bezgłośnie opisujące w powietrzu leniwe ósemki, nieprzerwanie poruszające ramionami po niemożliwej trajektorii. W złocistym świetle, wypełniającym równomiernie każdy centymetr sześcienny pokoju, mój wróg nie rzucał zdradzieckiego cienia.

Leżałem z prawą ręką uwięzioną pod sobą. Kiedy poruszyłem palcami, wyczułem skórzaną wypukłość kabury na pasku. Powoli, uważając, żeby nie wykonywać żadnych innych ruchów, przesunąłem rękę do beretty... i odkryłem, że zabrano mi broń.

Pomiędzy mną a paczką pieniędzy na podłodze leżał ząb. Obmacałem wewnątrz ust językiem i znalazłem nie jedną dziurę, ale dwie. Krew zakrzepła mi w gardle, od jej smaku robiło mi się niedobrze.

Sądząc po głosie, Cloyce znajdował się za mną, w odległości kilku kroków.

Pozbawiony broni, mogłem najwyżej zerwać się szybko i uciekać dookoła chrośnosfery, żeby dostać się do miedzianych drzwi albo schodów z nierdzewnej stali, zanim Cloyce mnie dopadnie.

Dźwignąłem się na czworaki, ale ból i zawrót głowy nie pozwoliły mi wstać. Cloyce kopnął mnie w lewe ramię, które ugięło się i znowu upadłem twarzą do podłogi.

Teraz śpiewał cicho inny kawałek Cole'a Portera: *I Get a Kick Out of You*.

Zważywszy na ten dobór piosenek, bałem się, co będzie dalej, ale nie mogłem tego uniknąć. Kopnął mnie w biodro, w lewy bok, znowu w bok i poczułem, jak pęka mi żebro.

Postawił mi but na plecach i oparł się całym ciężarem. Miałem wrażenie, że złamane żebro zapłonęło i wypala mi dziurę w ciele.

Teraz rozumiałem mój sen:

Naziści pragnęli zabić Żydów, zabić Cyganów i katolików nie raz, tylko dwa razy. Do tego dążą wszyscy tyrani, ci uzbrojeni w potęgę państwa, jak Hitler, i ci z mniejszą władzą, jak Cloyce. Samo fizyczne zniszczenie im nie wystarcza. Wykorzystują strach, żeby upodlić ducha, natrętą propagandę i okrutne szyderstwo, żeby zatruć umysł, tortury i niewolniczą pracę, żeby złamać nie tylko ciało. Próbują sprowadzić swoją ofiarę do stanu przerażonego zwierzęcia, które straciło wszelką wiarę mogącą stanowić oparcie, które przyjmuje upokorzenie jako zasłużone, które popada w takie przygnębienie, że przestaje wierzyć w istnienie prawdy czy sprawiedliwości. Dopiero kiedy zabijają duszę, z satysfakcją przystępują do zabijania ciała, a jeśli im się uda, ofiara potulnie współpracuje przy swojej drugiej, fizycznej śmierci. Oni wszyscy służą w armii potępieńców i jeśli mocniej wierzą w słuszność zła, niż ich ofiary wierzą w prawdziwość i potęgę dobra, nie mogą przegrać.

Na ich podłość można odpowiedzieć jedynie odwagą, żeby im się przeciwstawić, albo tchórzostwem, żeby im ulec. No, jest jeszcze jedna opcja: udawanie uległości.

Złamane żebro paliło mi bok, fale bólu zalewały posiniaczoną twarz. Błagałem go, żeby nie bił mnie więcej, żeby mnie nie zabijał. Prosiłem, błagałem, jęczałem i płaszczyłem się z twarzą przyciśniętą do podłogi. Nie musiałem udawać płaczu, ból wyciskał mi łzy z oczu, ale on mógł myśleć, że to łzy strachu i użalania się nad sobą.

Złapał mnie z tyłu za kołnierzy marynarki. Kazał mi wstać, dźwignął mnie na nogi. Pchnął mnie na ścianę tak mocno, że ostry ból w klatce piersiowej sięgnął aż do czaszki, przekuł zaporę świadomości i znowu załazał mnie ciemność. O mało nie zemdlałem, ale czarna fala odpłynęła.

Teraz Cloyce śpiewał *Anything Goes*. Nie tyle śpiewał, ile mamrotał, wywarkiwał mi słowa prosto w twarz. Był wysokim mężczyzną, silnym, muskularnym. Najpierw kolbą śrutówki wybił ze mnie wołę walki, a teraz zamierzał zatłuc mnie na śmierć gołymi rękami dla przyjemności. Jego oddech cuchnął kwaśno i wstrętnie. Chwycił mnie garścią za włosy, drugą ręką za krocze i pomiędzy słowami piosenki zaproponował, żebym uległ mu seksualnie jak tamte wszystkie przerażone kobiety, zanim je zabił.

Moja prawa dłoń wpełzła do kieszeni sportowej marynarki, chociaż nic tam nie miałem, tylko kilka zapasowych nabojów i klucz do szafki na różowej plastikowej spirali.

Nagle obok nas wyrósł Tesla, z chudą twarzą wykrzywioną w furii. Sięgnął do Cloyce'a, ale sięgnął przez niego na wylot, przeszedł przez niego jak wcześniej przeze mnie.

Zapewne myśląc, że liczyłem na ratunek, Cloyce powiedział:

— On ci nie pomoże. To nie on. Tylko jego aspekt. Produkt uboczny eksperymentu, przeskakujący w czasie, ponieważ nigdzie nie przynależy.

Ciągnąc mnie za włosy, ściskając i wykręcając krocze, Cloyce zaczął się śmiać. Rozbawiły go łzy płynące mi strumieniami po twarzy, nadające mi pozór bezradności.

Ścisnąłem dwoma palcami uchwyt klucza, z całej siły wbiłem ząbkowane pióro w miękką tkanę pod jego podbródkiem, jak najgłębiej, może do samej nasady języka, a potem gwałtownie przekręciłem.

Ciepła krew trysnęła mi na rękę. Cloyce zatoczył się do tyłu, trzymając się za gardło i jęcząc z bólu, chyba przekonany, że dźgnąłem go nożem.

Zanim się zorientował, że rana nie jest śmiertelna, odsunąłem się od niego, chwyciłem z podłogi śrutówkę, odwróciłem się, wprowadziłem nabój do komory i zadałem mu drugą śmierć.

Panowała cisza, więc widocznie odmieńce jeszcze nie zaczęły rąbać frontowych drzwi, ale z pewnością zaczęły je oglądać i manipulować przy kłamce. Wkrótce siekiery pójdą w ruch.

Szczęka mnie bolała od ucha do ucha, ułamane korzenie dwóch zębów rwały, prawa strona twarzy puchła, grożąc, że oko po tej stronie zmniejszy się do szparki. Ciągle przelykałem świeżą krew napływającą do ust, krwawiłem również trochę z nosa. W okolicach krocza też nie czułem się za dobrze, ale mogłem chodzić bez jęczenia.

Psychiczny magnetyzm działa najlepiej, kiedy próbuję zlokalizować jakąś osobę, kiedy krążę po okolicy, skupiony na twarzy i nazwisku mojej ofiary. Niekiedy sprawdza się równie dobrze, kiedy szukam jakiegoś przedmiotu, przywołując w myślach jego obraz.

Nie mogłem sobie wyobrazić głównego przełącznika, o którym mówił Tesla, ponieważ nie wiedziałem, jak wygląda. Założyłem jednak, że ktoś tak obsesyjnie skrupulatny i dbający o szczegóły jak Nikola Tesla opatrzył to cholerstwo wielkim podpisem: GŁÓWNY PRZEŁĄCZNIK. Wizualizowałem w myślach te dwa słowa z nadzieją, że obiekt moich poszukiwań znajduje się w tym pokoju, który wydawał się główną dyspozytornią maszynierii sterowania czasem.

Przez jakąś minutę krążyłem wokół chronosfery, ale potem coś mi kazało wejść do niej, przez większe zawieszenie kardanowe, w stronę ramion wewnętrznego kardana, jednocześnie wycinających z powietrza niezliczone leniwe ósemki. Nawet z bliska nie widziałem, jakim sposobem poruszają się po tak skomplikowanych łukach, a jednak wciąż podtrzymują wirujące jajo — kapsułę pasażerską — które unosiło się pośrodku.

Później przeczytałem o żyroskopach tyle, ile zdołał wytrzymać mój mózg kucharza. Niewiele z tego przyswoilem, ale wystarczająco, żeby się zastanawiać, czy to nie był żyroskop elektrostatyczny, w którym rotor — w tym przypadku jajo — był podtrzymywany przez pole elektryczne lub magnetyczne. Ale jeśli prawidłowo zrozumiałem, rotor elektrostatycznego żyroskopu musiał się znajdować w całkowitej próżni, a przecież wokół jaja nie panowała próżnia.

Wirujące złociste ramiona wewnętrznego kardana zdawały się uniemożliwiać dostęp do jaja. Z pewnością połamałyby mi kości, gdybym próbował przemknąć pomiędzy nimi.

Potem jednak, jakby wyczuwając moją bliskość, wielkie złoczone łuki zmieniły rytm i trajektorię. Obracając się wokół siebie i opisując w powietrzu leniwe ósemki, nadal wydawały się bezkolizyjnie zajmować te same miejsca w tym samym czasie, ale teraz pomiędzy mną a jajem otwarła się ścieżka.

Ufając, że złoście szczęki nie przetną mnie nagle na pół, podszedłem do kapsuły pasażerskiej bez strachu i bez cienia. Kiedy się zbliżyłem, jajo zaczęło zwalniać, zwalniać, aż całkiem się zatrzymało. Kapsuła zdawała się unosić swobodnie w powietrzu, bez żadnego podparcia, trzydzieści centymetrów nad podłogą. Wierzchołek sięgał mi dobre pół metra nad głowę.

Wysoki na półtora metra segment jaja uniósł się na niewidzialnych zawiasach, odsłaniając właz. W środku czekały dwa skórzane lotnicze fotele, a pomiędzy nimi pulpitem sterowniczy.

Wszedłem i usiadłem w jednym z foteli. Właz zamknął się za mną i patrzyłem na coś, co wyglądało jak prosta tablica rozdzielcza.

Na górze tablicy zegar o czternastu okienkach pokazywał w pierwszych czterech okienkach obecny rok; miesiąc, dzień, godzina, minuta i sekunda miały dla siebie po dwa okienka. Czarne cyfry namalowane na bębnach przesuwały się niczym wisienki i cytryny w starym, prymitywnym automacie do gry. O ile się orientowałem, podawały dokładny czas.

Pod pierwszym zegarem znajdował się drugi, pusty. Czternaście pokręteł, jedno pod każdym okienkiem, pozwalały przekręcać bębny, żeby ustawić datę, do której chciałem się przenieść.

Oprócz tego na tablicy było tylko pięć oznakowanych guzików, dużych jak na zabawkach dla dzieci. Pierwszy po lewej radził: BLOKIJ DATE. Obok niego znajdował się guzik z napisem: TYLKO PODRÓŻ. Poniżej trzeci guzik oferował PARKOWANIE. Pomiędzy tymi dwoma guzikami znajdowało się namalowane na tablicy słowo: ALBO. Zakładałem, że jeśli mieszkańcy Roseland chcieli sobie odjąć czterdzieści lat, naciskali TYLKO PODRÓŻ. Jeśli chcieli wysiąść z kapsuły pomimo znanych i nieznanych zagrożeń, zamiast tego wciskali PARKOWANIE.

W jednej linii z dwoma pierwszymi guzikami znajdował się następny, podpisany START. Obok niego piąty i ostatni obiecywał POWRÓT.

Podróże w czasie dla idiotów.

Krążąc wokół chronosfery, zanim zbliżyłem się do jaja, nieświadomie wyjąłem z portfela karteczkę z przepowiednią cygańskiej mumii. Spojrzałem na słowa wydrukowane na kartce: LOS SPRAWI, ŻE NA ZAWSZE BĘDZIECIE RAZEM.

Gdybym cofnął się w czasie do dnia przed aktem terroryzmu, który odebrał jej życie, mógłbym zaparkować kapsułę, wymknąć się ukradkiem z Roseland tamtego okresu — gdzie jeszcze mnie nie znano — i pojechać do Pico Mundo.

Mógłbym ostrzec Stormy, że następnego dnia zostanie zastrzelona. Chociaż moja opowieść zawierałaby elementy fantastyczne, Stormy uwierzyłaby mi z dwóch powodów: po pierwsze, dobrze wiedziała, że moje życie zawsze obfitowało w absurdy i niesamowitości, i przeżyła ze mną wiele takich chwil; po drugie, nigdy się nie okłamywaliśmy i nigdy w sobie nie zwątpiliśmy.

LOS SPRAWI, ŻE NA ZAWSZE BĘDZIECIE RAZEM.

Ale ponieważ żaden mój uczynek w przeszłości nie zmieniłby teraźniejszości, z której przybyłem, wróciłbym do świata, w którym Stormy nie żyje. Jednak Stormy, którą zabrałbym ze sobą, byłaby nią, nie żadnym klonem czy bezdusznym automatem, ale kompletną Stormy Llewellyn. Podobnie jak Timothy, byłaby żywym paradoksem.

Znowu usłyszałbym jej głos, jej śmiech. Znowu jej ręka w mojej dłoni. Jej śliczne, kochające oczy. Jej twarz, cóż za twarz. Jej pocałunek.

Nigdy by się nie zestarzała. Ale gdybym znalazł sposób, żeby przejąć Roseland na własność, zdobyłbym tę maszynę i wtedy ja też nigdy bym się nie zestarzał. Moglibyśmy wypełnić przeznaczenie, które nam obiecała cygańska mumia. Moglibyśmy żyć tutaj wiecznie.

Moje liczne obrażenia bolały dotkliwie i znowu miałem łzy w oczach, chociaż nie przez ten ból. Może nawet to były łzy radości.

Wprawdzie psychiczny magnetyzm nie doprowadził mnie do głównego przełącznika, ale pomógł mi odnaleźć to, czego pragnąłem, czego potrzebowałem, czego żądało moje serce.

Wprowadziłem na drugim zegarze wybraną datę. Naciśnąłem BLOKIJ DATE.

Dokonałem wyboru pomiędzy TYLKO PODRÓŻ a PARKOWANIE.

Zawahałem się, rozważając ryzyko, którego nie dało się ocenić, oraz liczne możliwe implikacje, niektóre katastrofalne. Zastanawiałem się, jak bardzo mogę żałować mojego wyboru, i surowo się napominałem, że ludzi nie wolno traktować jak zabawki. Ostrzegałem sam siebie, że ludzkie serce to wielki zdrajca, że jest zdradliwe ponad wszystko. A jednak wciąż płakałem.

A potem naciśnąłem START.

Jeśli kapsuła znowu zaczęła wirować z wielką szybkością, niczego nie zauważyłem. Nie czułem ruchu w górę ani w dół, ani na boki, ani do tyłu, ani do przodu. Wyczuwałem jakiś ruch, ale taki, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyłem: skręcanie do wewnątrz, jakbym był nakręcaną sprężyną zegarka. To nie jest dokładny opis tego wrażenia, ale najlepszy, na jaki mnie stać.

W trakcie tego cofania się w czasie mój ból zelżał. Czułem, że żebra mi się zrastają i krew znika z ust. Językiem odnalazłem wszystkie zęby na miejscu, opuchlizna szybko zeszała z twarzy i oko nie było już zwężone w szparkę.

Natychmiast poznałem, kiedy kapsuła ześliznęła się w bok, poza czas. Serce mi nie biło, nie wciągałem powietrza w płuca. Ani wdechy i wydechy, ani przepływ krwi nie musiały podtrzymywać życia w tej przestrzeni bez czasu.

Żałowałem, że kapsuła nie ma okien i nie mogę zobaczyć, co leży na zewnątrz, zaledwie jednak ta myśl zaświatała mi w głowie, zrozumiałem, jaka jest zła i niebezpieczna. Cokolwiek leżało poza czasem, musiało szokować i zaskakiwać, musiało budzić nieopisane zdumienie. Lecz ten widok mógł wprowadzić w tak wielkie oszołomienie, napęlić taką grozą, że żaden człowiek nie powinien nigdy go oglądać... jeśli nie chciał postradać zmysłów.

Kapsuła wjechała z powrotem w czas i moje serce znowu zaczęło bić, a miechy płuc podjęły pracę.

Nie musiałem naciskać guzika POWRÓT, żeby wrócić do teraźniejszości, ponieważ nie naciśnąłem PARKOWANIA. Nie cofnąłem się do czasu, kiedy Stormy Llewellyn jeszcze żyła, ale tylko o jeden dzień, nie żeby się odmłodzić, lecz żeby usunąć obrażenia zadane przez Constantine'a Cloyce'a, podobnie jak mieszkańcy Roseland używali maszyny, żeby odwrócić proces starzenia.

Stormy wierzyła, że nasze życie to obóz treningowy, przygotowujący do pełnej przygód służby pomiędzy tym światem a trzecim i ostatnim, przez niektórych nazywanym rajem. Chociaż była katoliczką, z pewnością nie wyznawała ortodoksyjnej teologii. Ale jeśli rzeczywiście dokonywała teraz wielkich czynów, moja miłość do niej, nawet tak wierna i głęboka, nie dawała mi prawa, żebym

zakłócał czasową linię jej życia i w ten sposób umniejszał radość, jaką zapewne czerpała ze swojej obecnej przygody.

Kiedy ocenilem, że jajo się zatrzymało, z ciekawości spróbowałem nastawić docelową datę na przyszły rok. Jak się spodziewałem, zegar na to nie pozwolił.

Ponieważ posiadamy wolną wolę, nasze jutra nigdy nie są ustalone, tylko sami je tworzymy dzień po dniu. Nie mogłem się przenieść w przyszłość, bo nie istniała jedna przyszłość, tylko wiele możliwych przyszłości. Przeszłość jest zamknięta w kamieniu niczym jurajskie skamieliny, ale przyszłość nieustannie zmieniamy każdym uczynkiem.

Właz się podniosł, ale zanim zdążyłem wysiąść, zaskoczyło mnie pojawienie się kogoś w sąsiednim fotelu. Tesla. Jego jastrzębia twarz, jego dumny nos, jego oczy przenikliwe jak promieniowanie.

— Proszę pana — zacząłem, przejęty takim respektem, że nie mogłem wykrztusić nic więcej.

— Wszystko to wielki i straszny błąd — oświadczył, a potem zaczął się wściekać, chociaż w dystyngowany sposób. — Ale J.P. Morgan, Westinghouse, wszyscy finansjści skąpią ci funduszy na badania, chociaż zbijają na tobie fortuny, po czym obcinają budżet na następny projekt! Nie ma wśród nich wizjonerów!

— Proszę pana — powtórzyłem.

W pokoju na szczycie wieży, za wymachującymi ramionami wewnętrznego kardana, pojawili się Annamaria i Timothy.

— Żadnych wizjonerów! Nie zależy im na niczym prócz zysku, ani na wiedzy, ani na cudach, ani na sekretach Boga!!! Cloyce i Chiang podawali się za wizjonerów i mieli pieniądze w bród. Ale to byli bandyci, kłamcy, umysłowe karły!!!

— Proszę pana — spróbowałem po raz trzeci.

Zza pleców Annamarii i chłopca dobiegło łomotanie, okute miedzią drzwi drżały od ciosów. Widocznie odmienne dostały się do wieży. Próbowwały rozwalić siekierami wejście do naszego ostatniego schronienia.

— Umysłowe karły — powtórzył Tesla — przesądni durnie i tyle. Zboczeńcy! To byli zboczeńcy, maniacy! Musimy przestawić główny przełącznik.

— Proszę pana, świny nadchodzą.

Próbował otworzyć pokrywę tablicy sterowniczej między fotelami. Jego ręka przeszła na wylot.

— Na ducha wielkiego Cezara! Jestem kalką Tesli, wkręconą pomiędzy wałki czasowej maszyny do pisania! Produktem ubocznym jednego z pierwszych eksperymentów z chronosferą, rykoszetującym poprzez lata, nigdzie nieprzynależącym, nic niemogącym, bezużytecznym!

Otworzyłem pokrywę tablicy i zobaczyłem coś, co wyglądało jak dźwignia zmiany biegów w sportowym samochodzie, taka z chwytem na całą dłoń zamiast gałki na końcu. Oznaczono ją: GŁÓWNY PRZEŁĄCZNIK.

— Pociągnij! — nalegał Tesla. — Skończ z tym wszystkim i ze mną.

Zanim pociągnąłem dźwignię, powiedziałem:

— Bardzo chciałbym pana znać, panie Tesla.

— I nawzajem. Z tego, co widziałem, jesteś porządnym chłopcem; masz dość odwagi i pomysłu, żeby dokonać wielkich rzeczy.

— Nie całkiem, proszę pana. Ja tylko próbuję sobie jakoś radzić.

Wzruszył ramionami.

— Jak każdy.

Mocno pociągnąłem do tyłu główny przełącznik i Tesla zniknął. Na zewnątrz kapsuły wewnętrzne zawieszenie kardanowe, dotąd obracające się bezgłośnie i nieprzerwanie, zatrzymało się z donośnym zgrzytem.

Odmienne wylały drzwi.

Wygramoliłem się z jaja i dołączyłem do Annamarii i Tima pod wielkim złotym żebrowaniem nieczynnej maszyny.

Chłopiec chwycił moją beretę z podłogi, gdzie rzucił ją Cloyce. Po spotkaniu z Victorią w tunelu uzupełniłem magazynek.

Jednakże do pokoju wtargnęły cztery odmienne, więc siedemnaście nabojęw mogło nie wystarczyć. Nie przypuszczałem, żeby wykazały sportowego ducha i pozwoliły mi przeładować.

Spodziewałem się, że przyływ skończy się natychmiast po przrzuconiu głównego przełącznika. Nie rozumiałem, dlaczego odmienne nie znikły jak Tesla, ale w tamtej chwili to wydawało się równie nieważne jak mój najlepszy przepis na naleśniki.

Annamaria, Tim i ja stanęliśmy plecami do siebie, żeby obserwować cztery bestie, które czujnie okrążyły chronosferę poza ramionami pierwszego kardana. Chrząkały, powarkiwały i wyraźnie nie ufały maszynie. Prychały, krzywiły się i kręciły głowami, jakby zwęszyły coś paskudnego, wydmuchiwały smarki z mięsistych nozdrzy w palce i wycierały ręce o boki, jakby chciały w nas wzbudzić nie tylko strach, lecz również odrazę.

Kropkle potu wystąpiły mi na czoło.

— Jeśli nas zaatakują jednocześnie — powiedziałem — padnijcie, żebym mógł się obracać i strzelać nad waszymi głowami.

— Nie zaatakują nas — zapewniła Annamaria. — Ta nieprzyjemność już się kończy.

— Mogą zaatakować — nie zgodziłem się.

— Za bardzo się martwisz, dziwaku.

— Psze pani, nie chcę być niegrzeczny, ale pani się martwi za mało.

— Co ci przyjdzie ze zmartwień oprócz następnych zmartwień?

Mogliśmy wtedy po raz pierwszy się pokłócić, chociaż kulturalnie, ale największy z odmieńców zmienił temat. Odezwał się niskim, szorstkim głosem, od którego pająki strachu przebiegły mi po kręgosłupie:

— Kobieta z dzieckiem.

Do tamtej chwili nic nie wskazywało, że te monstra potrafią mówić, a co dopiero, że znają angielski.

— Oddaj mi dziecko — zażądał stwór.

Miał większą głowę od pozostałych i mniej cofnięte czoło. Może tylko on jeden umiał mówić.

— Oddaj mi dziecko — powtórzył.

Z każdą chwilą coraz mocniej się pocilem. Pocilem się jak... no cóż, jak świnia.

— Możesz niczego ode mnie żądać — odpowiedziała odmieńcowi Annamaria. — Nie masz tutaj władzy.

— Zabijamy — odpowiedział. — Zjadamy dziecko.

— Odejdź stąd — rozkazała. — Znaj swoje miejsce i bądź tam.

Cztery odmienne powoli zaczęły się do nas przysuwać, pozbawione cienia jak my, bladokóre, z kępkami sztywnych siwych włosów, a jednak cztery stwory ciemności, jakby ich cienie wśliznęły się do ich wnętrza i tam rozmnożyły się w legiony, żeby wypełnić je najczarniejszą nienawiścią. Trzy miały siekiery, a jeden trzymał młot.

Ująłem beretę obiema rękami i wycelowałem w jednego z tych trzech, którzy jeszcze nie przemówili.

Ten gadatliwy powiedział:

— Urodziłem się, żeby zjeść dziecko, to dziecko, twoje dziecko.

— To nie jest twój czas — odpowiedziała spokojnie Annamaria. — I nie będzie dla ciebie czasu, żeby mnie zabić albo dotknąć tego dziecka. Odejdź teraz. Wracaj do swojej niedoli.

Może tylko mi się zdawało, w moim nie najlepszym teraz stanie umysłu, ale tu się działo coś więcej, czego nie rozumiałem. Często doznawałem tego uczucia w towarzystwie mojej tajemniczej przyjaciółki, ale nigdy silniej niż w tamtej chwili.

— Wracaj do swojej niedoli — powtórzyła Annamaria.

Zaatakowały nas — wiedziałem! — ale w trakcie ataku zafalowały, jakby wkroczyły w prądy termiczne wznoszące się z podłogi, i znikły.

— Tu się robi naprawdę gorąco — zauważył Tim.

Sądziłem, że to z powodu napiętej sytuacji, ale okazało się, że gorąco nie jest subiektywną reakcją na stres. Temperatura w pokoju szybko wzrastała.

Pamiętałem, co Timothy powiedział mi wcześniej, że maszynaria sterująca czasem zaopatrywała również Roseland w energię, wykorzystując termodynamiczne konsekwencje swojej podstawowej działalności. Nagle przyszło mi do głowy, że Tesla mógł przezornie wyposażyć maszynę w główny przełącznik, który nie tylko ją wyłączał, ale także niszczył, wykorzystując nagromadzone w niej ciepło.

— Lepiej się stąd zmywajmy — zaproponowałem. — To zaraz wybuchnie.

— Zmartwienia przynoszą tylko następne zmartwienia — przypomniała mi Annamaria.

— Tak, tak, tak, tak — burknąłem i pogoniłem ich dookoła chronosfery, jak najdalej od ciała Cloyce'a, zgarnąłem z podłogi zawiniętą w plastik paczuszkę pieniędzy i wyszedłem za nimi przez rozwalone drzwi na klatkę schodową.

Odmienne na podeście rozwiały się, kiedy do nich podchodziliśmy. Odmienne na dziedzińcu wygrażały nam bronią, wrzeszczały i mogły też nas zaatakować, gdyby nie zabrał ich ze sobą odpływ przemieszczonego czasu.

Nagle obok nas przemknęły Rafael i Buu, z podkulonymi ogonami i położonymi uszami.

Kiedy spieszyliśmy ścieżką przez gaj eukaliptusów, usłyszałem, że coś się przewraca wysoko w wieży z ogromnym hałasem, brzęmiącym jak niemelodyjny karylion. Obejrzałem się i zobaczyłem, że wszystkie szyby wyleciały i z okien buchnął złocisty pył. Mury zadrżały, wśród drzew zaczęły spadać kamienie.

Wybiegliśmy spomiędzy eukaliptusów na długi, pochyły trawnik prowadzący do głównego domu. Tam znaleźliśmy psy, znieruchomiałe, ze zjezoną sierścią.

Wpatrywały się w długą zieloną aleję z posągami Enkeladosa, prowadzącą na południe, ale nie na odległego giganta szczyrzyły zęby.

Coś się poruszało w maskującym cieniu wiecznie zielonych dębów, które wyznaczały zachodnią granicę trawnika. Początkowo wyglądało jak bezkształtna, falująca masa, ogromna i biała, która parła uparcie przed siebie, łamiąc niższe gałęzie zagradzające jej drogę, wstrząsając drzewami. Wydawała upiorny, srebrzysty krzyk, przeniknięty smutkiem i tęsknotą, ten sam, który budził mnie każdego ranka podczas pobytu w Roseland, który mylnie brałem za krzyk nura. Taki żałosny głos wydobywający się z tak wielkiego stworzenia mroził krew w żyłach jeszcze bardziej niż w nocy, kiedy dochodził z nieznanego źródła. Ten stwór, o ile mogłem ocenić, wielkością dorównywał słoniowi, chociaż nic podobnego dotąd nie chodziło po ziemi. Przez chwilę majaczył na skraju lasu, młdąco biały behemot. Potężne fałdy ciała odsłaniały straszliwe deformacje. Miał w sobie wystarczająco dużo ze świni, żeby zaliczyć go do odmieńców, ale wyglądał jeszcze bardziej dziwnie niż najbardziej zniekształcone spośród tych mniejszych bestii. Gdyby mu zostało kilka minut, może wytoczyłyby się z lasu i stanął w pełnym słońcu, a może dalej kryłby się w cieniu niczym potwory z najgorszych sennych koszmarów, które nigdy się całe nie pokazują. Monstra ze snów często symbolizują te nasze cechy, do których boimy się przyznać; może ten lądowy lewiatan, świadom swojej przeraźliwej natury, nie mógł znieść całkowitego obnażenia nawet przed sobą i potrzebował cienia, tak samo, jak winowajca potrzebuje samousprawiedliwienia.

Maszyneria sterująca czasem zakończyła autodestrukcję i przypyływ cofnął się od brzołów naszego czasu. Stwór w lesie powrócił do przyszłości, gdzie niebo było żółte i pokreślone smugami sadzy.

Topografia rozległych trawników zmieniła się, kiedy zawały się podziemne pomieszczenia i tunele. Ze wszystkich drzwi i okien głównego domu podniosły się stalowe okiennice. Szyby wyleciały i błyszczały na tarasach.

Oryginalna powozownia, stojąca obok głównej rezydencji, została przebudowana w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym, kiedy stało się jasne, jak szybko na drogach zaczną królować automobile. Kluczyki do rozmaitych pojazdów wisiały na tablicy.

Wybrałem cadillaca escalade. Buu wskoczył przez zamkniętą klapę bagażnika, a kiedy ją otworłem, Rafael dołączył do niego.

Zwróciłem się do Annamarii:

— Co się stanie z Timem, kiedy wyjedziemy poza mury posiadłości?

Chłopiec przywarł do niej, kiedy odpowiedziała:

— Nic się nie stanie. Będzie cały i zdrowy.

— Ale on mówił...

— Co było, to nie jest, młody człowieku. A teraz zobaczymy, co będzie.

Nie była to odpowiednia pora na naszą kolejną zagadkową konwersację. Wsunąłem się za kierownicę, a ona usiadła z chłopcem z tyłu.

Kiedy przejeżdżaliśmy obok domu, zaczął się zapadać do wewnątrz i osuwać w głąb fundamentów, do jakichś sekretnych pomieszczeń, które się pod nim kryły. Nad zawałiskiem uniosły się gęste kłęby dymu z jakiegoś podziemnego pożaru.

Zapewne w ostatecznym efekcie rozpadu maszynierii z Roseland miało pozostać nie więcej niż z domu Usherów, kiedy zapadł się w cuchnące bagno.

Przed frontem domu obok podjazdu stał pan Hitchcock. Pomachał do mnie, a ja mu odmachiałem. O mało się nie zatrzymałem, żeby mu powiedzieć, że teraz mam dla niego czas, ale właściwie jeszcze nie byłem gotowy.

Uśmiechnął się szeroko na widok Roseland w ruinie. Cloyce widocznie był równie podły jako człowiek i jako szef studia.

Stróżówka zapadła się do oddzielnej dziury, prawdopodobnie grzebiąc pod sobą Henry'ego Lolama.

Chciałem właśnie wysiąść z cadillaca, żeby otworzyć bramę, kiedy mur otaczający posiadłość zaczął się walić i jednocześnie jakby topniał. Skrzydła bramy wyrwały się ze stopionego kamienia i runęły na ziemię. Przejechałem po nich i wcisnąłem gaz najmocniej, jak się odważyłem, żeby możliwie szybko się stąd oddalić, ale nie przyciągnąć uwagi policji.

Zanim ujechałem pięćdziesiąt metrów, wyprzedziła mnie Madra na swoim wspaniałym ogierze, w białej nocnej koszuli opływającej czarne boki konia. Obejrzała się raz i zobaczyłem jej uśmiech, a potem pogalopowała na fryzie z tego do następnego świata.

Wzdłuż dwupasmowej drogi rosły prastare dęby. Przez luki pomiędzy wielkimi czarnymi konarami lunął nagle rzęsy deszcz z chmur, które gromadziły się od rana. Świat za przednią szybą się rozmył i na chwilę znowu ogarnął mnie strach, ale kiedy włączyłem wycieraczki, świat powrócił.

Zjechałem ze wzgórz na nabrzeżną autostradę i skręciłem na południe. Szare morze zlewało się z szarym niebem na horyzoncie zasnutym mgłą, srebrzysty deszcz zaczął ukośnie i opomy syczały na mokrym asfalcie.

Porzuciliśmy cadillaca na parkingu przed supermarketem i wynajęliśmy na miesiąc domek z trzema sypialniami w spokojnym nadbrzeżnym miasteczku. Dach do połowy zarosła żółta bugenwilla, a frontowy ganek wychodził na morze.

Od innych podnajemców właściciel żądał dowodów tożsamości, ale uśmiech Annamarii, jej dotyk i twarda gotówka magicznym sposobem zapewniły nam nowy dom.

Sprawa Roseland zaczęła się jako wielka sensacja, ale szybko przycichła, ponieważ Departament Bezpieczeństwa Krajowego podjął działania zdecydowanie sprzeczne z konstytucją. Internetowe plotki zaszufłdowały to miejsce jako melinę terrorystów knujących coś nikczemnego. Personel wojskowy oraz naukowcy, którzy obozowali na terenie posiadłości i przetrząsali ruiny, nadali wiarygodność tej teorii.

Przez pierwszy miesiąc w naszym nowym schronieniu sypiałem w swoim pokoju, a Tim sypiał z Annamarią, bo bał się zostawać sam. Nie był już tą samą osobą co przedtem. Pozostał chłopcem, który przeczytał tysiące książek i one go ukształtowały, ale nigdy nie mówił o Roseland, jakby go nie pamiętał. Czasami mówił o matce, jak bardzo za nią tęskni, ale chyba myślał, że zginęła wskutek upadku z konia. O ojcu nie wiedział nic.

Nie pytałem Annamarii, jakim sposobem w Timie zaszła taka zmiana, ponieważ obawiałem się, że wyjaśni mi to obszernie, a ja i tak nie zrozumieję ani słowa. Z czasem przekonuję się, że jestem coraz bardziej zadowolony, kiedy nie muszę rozwiązywać tajemnic, których rozwiązania nie wymaga ode mnie mój sztyś zmysł.

Tim był bardzo przejęty odkryciem, że włosy mu rosną. Mówił, że przedtem wcale nie rosły, chociaż sam przyznawał, że to dziwne twierdzenie. Z okazji jego pierwszej wyprawy do fryzjera poszliśmy do salonu gier i na lody.

Później spał już sam w swoim pokoju.

Tutaj, nad morzem, spisałem te pamiętniki w stanie przepływu, jak to nazywają psychologowie. Słowa wylewały się ze mnie, jakbym pisał pod dyktando.

Psy robią to, co zwykle robią psy. Ponieważ Rafael widzi Buu równie wyraźnie jak ja, traktuje go jak towarzysza zabaw, ale mój pies widmo ma przewagę w każdej zabawie.

Nie śni mi się więcej Oświęcim ani podwójne umieranie.

Śnię o Stormy, o latach, które spędziliśmy razem, latach bogatych w doświadczenia, i jak to będzie, kiedy wreszcie znowu się spotkamy, chociaż mogą to zobaczyć tylko we śnie.

Moja podróż jeszcze się nie skończyła. Prędzej czy później, raczej prędzej, wona zostanie wezwany. Dowiaduję się, dokąd muszę jechać, kiedy tam pojadę.

Annamaria mówi, że będę wiedział, kiedy nadejdzie czas ruszać w drogę, bo w nocy obudzi mnie dźwięk dzwoneczka, który noszę na szyi.

Jest teraz w ósmym miesiącu, ale nie przybrała na wadze. Martwię się, że powinna mieć opiekę prenatalną, ale ona mówi, że jest w ciąży od dawna i będzie w ciąży jeszcze dłużej, cokolwiek to znaczy.

Dwa dni wcześniej przy obiedzie w płytkiej zielonej misie pośrodku stołu pływał jeden z tych wielkich kwiatów o woskowych płatkach. Powiedziała, że zerwała go z drzewa w sąsiedztwie, ale chociaż obszedłem okolicę tam i powrotem, nie znalazłem takiego drzewa.

Poprosiłem ją, żeby pokazała mi tę sztuczkę z kwiatem. Jak się okazuje, pokazała ją Timowi jeszcze w Roseland. Ale ona mówi, że to nie jest zwykła sztuczka i pokaże mi ją w swoim czasie, kiedy poznam jej prawdziwą nazwę. Wyobraźcie sobie.

Nasza przyjaciółka Blossom z Magic Beach, która nazywa siebie Szczęśliwym Potworem, zadzwoniła z wiadomością, że odwiedzi nas za tydzień. Została poważnie oszpecona w dzieciństwie, kiedy pijany ojciec ją podpalił. Dlaczego tak często to są dzieci i dlaczego tak często to są ich rodzice? Pewnie taka jest natura tej długiej, długiej wojny. W każdym razie nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć Blossom, która jest piękna w swojej szpetocie.

Wczoraj, kiedy Tim wziął poranny prysznic, owładnęło nim uczucie, że wciąż jest brudny. Wziął prysznic po raz drugi, a potem po raz trzeci. Później zastałem go w kuchni, jak niepotrzebnie szorował ręce nad zlewem i szlochał.

Nie wiedział, dlaczego tak się czuje, ale ja wiedziałem, że to odbywały się lata w Roseland, których nie zapomniał tak dokładnie, jak potrzebował.

Nawet Annamaria nie mogła go pocieszyć, więc zabrałem go na frontowy ganek, tylko my mężczyźni i po batoniku Mr. Goodbar dla każdego. Oglądaliśmy nadmorskie ptaki szybujące po niebie i opowiadałem mu, jaka jest najlepsza część batonika.

Najlepszą częścią Mr. Goodbara nie jest opakowanie, prawda? Nie, podobnie jak najlepszą częścią coca-coli nie jest puszka. W te noce, kiedy leżysz bezsennie, czy jesteś chłopcem, czy mężczyzną, kiedy zastanawiasz się nad sobą i odlepiasz jedną warstwę dziwactwa po drugiej, powinieneś zawsze pamiętać z wdzięcznością, że żałośnie niedoskonała osoba, którą jesteś, ze wszystkimi sprzecznościami i niegodnymi żądzami, to nie jest twoja najlepsza część, podobnie jak opakowanie nie jest najlepszą częścią Mr. Goodbara.

Tim oświadczył, że nie rozumie mnie tak samo, jak ja nie rozumiem Annamarii, ale poczuł się lepiej. Tylko to się naprawdę liczy: że możemy pomóc sobie nawzajem.

Przez jakiś czas sam nie czułem się najlepiej, dlatego że spławiłem pana Hitchcocka w tamtym wózku w Roseland. Martwiłem się, że nie wróci, żeby skorzystać z mojej pomocy.

Jednak tego ranka, kiedy siedziałem na ganku i popijałem kawę, przemaszerował plażą w trzyczęściowym garniturze i czarnych dziurkowanych półbutach. Pomachał do mnie i poszedł dalej, ale podejrzewam, że któregoś z najbliższych dni, kiedy wyjdę z kawą na ganek, będzie tam czekał.

Trochę się obawiam, co zechce mi przekazać reżyser *Psychozy*. Ale przecież wyreżyserował także *Północ, północny zachód* i inne filmy — równie zabawne, co

pełne napięcia. I nakręcił także kilka wspaniałych romansów. Przepadam za romansami, jak zapewne już wiecie.

Więc teraz czekam, aż dzwonek zadzwoni w nocy. Śnię o Stormy, spaceruję w poszukiwaniu tajemniczego drzewa Annamarii, chodzę nad morze, żeby pływać na płycznach z Timem, i czekam na dźwięk dzwonka.

- 1 Przeł. Roman Klewin.
- 2 Przeł. Leon Ulrich. Wszystkie cytaty z *Henryka VI* w tłumaczeniu tego autora.
- 3 T.S. Eliot, *Little Gidding*, przeł. Władysław Duleba.
- 4 W.B. Yeats, *Drugie przyjsie*, przeł. Stanisław Barańczak.
- 5 Nie ma za co (hiszp.).
- 6 Przeł. Maciej Słomczyński.
- 7 Przeł. Stanisław Barańczak.
- 8 Przeł. Stanisław Barańczak.
- 9 Przeł. Stanisław Barańczak.
- 10 Przeł. Stanisław Barańczak.
- 11 Przeł. Leon Ulrich.
- 12 *Jak wam się podoba*, przeł. Leon Ulrich.